R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

BIBLIOTEKA
Pedofile[illegible] Zawodowych
26 pu[illegible]anów Wlkp.
№ 179
Cena zł. 4.00

MOJE WSPOMNIENIA

TOM I.

LEON DEMBOWSKI

MOJE WSPOMNIENIA

BIBLJOTEKA
Podoficerów zawodowych
26 pułku ułanów Wlkp.
Nr
942.

TOM I.

PETERSBURG
NAKŁADEM KSIĘGARNI K. GRENDYSZYŃSKIEGO
1898

92 (zbiorowe); 92 (L. Zeiborski) : 884-3

32201/2

BIBLJOTEKA
№ 1176
26 p. Ul. Wlkp.

1

14118/II

BIBL.
WOJSK.
26
p. Ul.

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

PRZEDMOWA.

Literatura pamiętnikowa wszędzie i zawsze cieszyła się dużem powodzeniem. Jest to zjawisko bardzo naturalne. Pamiętnik, środkujący między poważną historyą, a lekką opowieścią, przystępniejszy jest dla każdego i nie wymaga takiego skupienia uwagi i natężenia myśli jak praca naukowa. Nadto pamiętnik obok dziejowej strony i faktu politycznego znaczenia, dotyka spraw obyczajowych, prywatnych; czasem przemknie się w nim jakiś skandalik a historya znajdzie tu fakta, powieściopisarz szczegóły obyczajowe, zwykły czytelnik często wzmiankę o wypadkach i osobach, o których słyszał, albo z którymi on, lub rodzina jego w stosunkach nawet zostawali.

Treść pamiętników zależy zwykle od stanowiska, jakie w świecie zajmował opowiadacz. Ale zdarza się też często, że pamiętnikarz opowiadając wypadki wielkiego historycznego znaczenia, w których uczestniczył, zapomina o właściwym swym charakterze a z zapasem uczoności i apodyktycznych twierdzeń na harc występując, przestaje być pamiętnikarzem, a nie dorasta do znaczenia historyka. Pretensyonal-

ność w takim razie zwykle wartość wewnętrzną zabija i pamiętniki pisane z celem, aby publikowane drukiem, przekonania piszącego w czytelnika wpoiły, najczęściej niepostrzeżone przechodzą.

Pamiętnik, z którym zapoznać chcemy, w literaturze tego rodzaju trzyma miejsce pośrednie. Zalety i wady prawie się w nim równoważą, a rzecz wygląda raz jako praca przeznaczona do druku, to znowu nosi charakter dorywczych zapisek. Obejmują one czas od ostatnich lat ubiegłego wieku, a zamykają się kapitulacyą Warszawy w r. 1831.

Leon Dembowski przez matkę i stosunki rodzinne zaprzyjaźniony i związany z domem ks. Czartoryskich, ze stosunków tutaj zawartych całe życie nie wyszedł, a że i własne jego stanowisko społeczne do wybitnych należało, był więc ciągle przy wielkim ołtarzu i z tego już względu opowieść jego musi być ciekawa. Na przemiany, to gospodarując, to służąc sprawie publicznej, wtajemniczony był w wypadki współczesne. Urodzony w r. 1789, na dworze Puławskim odebrał świetne wychowanie i powołany do służby publicznej za czasów Księstwa Warszawskiego, przez zbliżenie się do ludzi najbardziej wpływowych, umiał dojrzeć sprężyny nadające ruch krótkotrwałemu życiu tego państwa. Później w r. 1817 po raz pierwszy wybrany na posła z powiatu kazimierskiego, stanowisko to zajmował aż do r. 1829, a w kwestyach prawnych i kredytowych, ustaloną miał sławę, jako specyalista i powaga. W r. 1829 mianowany kasztelanem przeszedł do senatu i tu gorliwość jego nie zmniejszyła się ale owszem wzrosła, zwłaszcza kiedy kraj skutkiem roz-

poczętego powstania sam o sobie radzić musiał. Dalsze koleje autora, ufność, jaką mu okazywał margrabia Wielopolski i godności, jakie do końca życia piastował, powszechnie są znane, że zaś pamiętnik jego urywa się na r. 1831, dalszemi więc kolejami jego życia musi się zająć przyszły biograf.

Z roli już, jaką Dembowski odgrywał, wnosić się godzi, że pamiętnik jego może być bardzo ciekawy, zwłaszcza, gdy zważymy, że mówi o epoce bardzo w źródła ubogiej. Zaczął on pisać pamiętnik swój, zatytułowany *Moje Wspomnienia* około r. 1860, a z zakroju roboty widać, że była to praca poważna i do druku przeznaczona. Stąd niektóre szczegóły, a zwłaszcza wypadki odnoszące się do dziejów Napoleona przedstawiane są z godnym pochwały krytycyzmem. Autor zna wszystkie prawie prace odnoszące się do tej epoki, ocenia je krytycznie i błędy ich wykazuje. Ale wiek późny, w jakim się do pracy tej zabrał, smutne okoliczności życiowe, w jakich się w końcu dni swoich znajdował, nie dozwoliły mu utrzymać się na tem stanowisku wszędzie. Bywają lata, że na wzór chronologisty same tylko wypadki zapisuje, nie dając żadnych objaśnień. Nadto metoda wykładu, usiłowanie, żeby każdy rok stanowił zamknięty rozdział jest najwadliwszą, kiedy bowiem każdy rok poczynający się zwykle na tle ogólno dziejowem rozsnuwa, kończy go najczęściej notatką kalendarzową.

Obok tej jest inna jeszcze wada. Dembowski znał cały prawie stan szlachecki, a szczególniej wybitniejsze jego jednostki. Pod względem koligacyi i pokrewieństwa, miał pamięć niesłychaną i w tym kie-

runku przypomina on owych starych Polonusów, którzy całego Niesieckiego umieli na pamięć. Jeśli nazwisko szlacheckie w opowiadaniu swem spotyka, wylicza wszystkie wspomnianego prozapije, a zapominając, że to w pierwszym wyliczył już tomie, powtarza później pokilkakroć. Że zaś, notując śmierć czyjąś zwykł przytaczać zmarłego życiorys, do powtarzania więc rodzi się nowy assumpt. Język w niektórych miejscach staranny i wykwintny, w innych zaniedbany niesłychanie i notatki w ten sposób nie raz spisywane, że o co chodzi, dojść żadną miarą nie można. Niepowetowaną także szkodę stanowi ta okoliczność, iż począwszy od r. 1808—1813 w pamiętnikach jest pięcioletnia przerwa. Nie pochodzi to zaś stąd, żeby autor sam w opowiadaniu swem lukę zostawił, ale poprostu ten tom *wspomnień*, czy wskutek niedbalstwa rodziny, czy innych jakich powodów uroniono. Żałować zaś tem bardziej tego należy, że część ta pamiętników odnosi się do epoki, do której stosunkowo najmniej mamy źródeł.

Z tego już, cośmy wspomnieli wyżej, łatwo zrozumie czytelnik, że pamiętniki Dembowskiego nie mogą być oddane do druku, w formie takiej, w jakiej pozostały. Należy je koniecznie uporządkować, od ciągłych powtarzań uwolnić i miejscom do zrozumienia trudnym nadać formę przystępną. Tem konieczniejszem zaś to się staje, że drukowane w całości, prawdopodobnie około jakich 10 tomów by wyniosły. Przy porządkowaniu ich nastręcza się jeszcze jedna trudność, co prawda już nie z winy autora pochodząca. Rękopism pisany jest przez rozmaitych prze-

pisywaczy i kilkanaście charakterów pisma w nim się znajduje. Przepisywacze ci z przedmiotem obeznani nie byli, w niemiłosierny więc sposób przekręcali nazwiska i wydawca najdokładniej z epoką i wypadkami musi być poznajomiony, żeby sam w błędy nie popadł.

W literackich kółkach warszawskich bardzo wiele o pamiętnikach Dembowskiego mówiono. Szczególniej K. Wł. Wójcicki wyrażał się o nich, że będzie to nie wyczerpany skarbiec materyałów i historycznych i społecznych i literackich do pierwszej połowy XIX w., to też nie taimy, że spotkaliśmy się z rękopisem tym z ogromną radością. Ks. Władysław Czartoryski, zbierając ze skrzętnością niezmordowaną źródła do życiorysu ks. Adama swego ojca, rozpoczętego przez Bronisława Zaleskiego, nabył także od rodziny po Leonie Dembowskim cztery ogromne wolumina jego pamiętników. Z uprzejmością zaś sobie właściwą przejrzeć je nam pozwolił, oświadczając, że na użytek publiczny z chęcią je odda, jeśli tylko znajomość przeszłości naszej i nauka zyskać na tem będzie mogła. Prawda, że zalet, o jakich nasłuchaliśmy się tyle, nie spotkaliśmy tu w całej zupełności; niemniej przeto jesteśmy tego przekonania, że pamiętniki owe odpowiednio uporządkowane i oczyszczone, znakomicie powiększą źródła do badania czasów niedawno ubiegłych.

Aër.

I.

Pamiętnik rozpoczyna się długim, a wielce uczonym wywodem o rodzie Dembowskich. Z ogromnej erudycyi archeologicznej i historycznej nagromadzonej w tym przedmiocie, z traktowanej porównawczą metodą heraldycznej kwestyi i wyliczenia wszystkich Dembowskich, którzy bądź godności, bądź duże majątki w rzeczypospolitej posiadali, widać, że autor pracował nad tem długie lata. Był to hołd oddany obyczajowi wieku, ale dla nas interesu on nie przedstawia. Pominiemy więc długi wywód rozpoczynający się od XIV w., a wkroczymy o ile można w najbliższą pamiętnikarza epokę.

.... Mój dziad, Antoni Michał, rotmistrz kawaleryi narodowej, poseł podolski na elekcyi Stanisława Augusta, a następnie chorąży czerwonogrodzki zakupił na Podolu piękne dobra Harmaki i tamże osiadł, kiedy zawiązywała się konfederacya w Barze, z którym sąsiadował. Był on jednym z sześciu, którzy pierwiastkowo konfederacyą podpisali, ale, jako bardzo już w wieku posunięty czynnie wspierać jej nie mógł. Kiedy późniejszy hetman Branicki, łącznie z wojskiem cesarzowej Katarzyny, konfederatów w tej okolicy

pognębił, schronił się on do Tureczczyzny, za co mu Harmaki zasekwestrowano. Niezwykłą o ile mi ojciec mawiał, posiadał siłę i kiedy przy ucztach wypróżniono beczkę wina, brał ją zębami za wątory i przez swą głowę przerzucał. Kiedy razu jednego książę jenerał ziem podolskich, objeżdżając te prowincye przybył do Międzyboża, a cała okoliczna szlachta dla powitania jego tamże się zjechała, zapytał książę dla czego nie widzi chorążego czerwonogrodzkiego? Odpowiedziano mu że chory. On więc w dobroci swojej kazał lekarzowi nadwornemu Goltzowi, aby słabego odwiedził i zajął się jego kuracyą. Przybył więc pan Goltz do Harmak. Mój dziad miał wtenczas lat 70 i na dyssenteryą zapadł. Gdy doktór, o zdrowie zapytując, oświadczył, że go książę przysyła:

— Dziękuję księciu za pamięć, a panu za fatygę, rzekł. Ale już się domowymi środkami wyleczyłem.

— A czy wolno zapytać, co tak skutkowało panu chorążemu?

— Zjadłem półkopy jaj na twardo z octem.

Obecna generacya bezwątpienia z podobnego lekarstwa prędzej zgonu, aniżeli wyzdrowienia spodziewać by się mogła. On, mimo wieku późnego codziennie grając z proboszczem w maryasza, wypijał wraz z nim dwugarncowy antałek wina.

Mój ojciec, Józef, oddany do paziów króla Stanisława Augusta, następnie kapitan gwardyi litewskiej i rotmistrz kawaleryi narodowej, opuścił służbę wojskową, zawarłszy śluby małżeńskie z moją matką Konstancyą Narbuttówną, córką Tadeusza Narbutta, podkomorzego lidzkiego i Katarzyny z Włoziewiczów.

Podkomorzy lidzki posiadał majątek rodzinny Sukurcze i posagowy małą wioskę Kotłów, a około 1773 r. dokupił od Piaseckich dobra Ostrów, nic nie zapłaciwszy, ale na kredyt. Sam parę razy posłując, całe życie trawił na skupianiu partyi, kierowaniu sejmikami i wyborami do trybunału litewskiego. Z listów jego i mojej babki widać, iż głównie usiłowania swoje kierował dla utrzymania partyi to królewskiej, to Czartoryskich, przeciwnych wówczas partyi szczerolitewskiej ks. Radziwiłłów. Miał do tego sposobność przez liczne związki pokrewieństwa, bo Narbuttów po Litwie gęsto. Wskutek jednak tych zabiegów fortunę prawie zupełnie utracił. Jeden syn jego szambelanował przy królu, drugi poświęcił się stanowi duchownemu. Dwie córki zaś, moją matkę Konstancyą i drugą starszą Aleksandrę wzięła na wychowanie księżna Izabela Czartoryska. Te łącznie z księżniczkami Teresą i Maryanną otrzymywały nauki i były ich nieodstępnemi towarzyszkami.

Moja matka zgrabna, przystojna wiele miała powodzenia, a najwięcej może to dla niej znaczyło, że zdołała pozyskać przyjaźń swych dobroczyńców, jakiej przykładów coraz mniej się już spotyka, ugruntowaną ona bowiem była jedynie na szacunku i skłonności serca, aż do grobu niezmienną pozostała.

W r. 1784, księżniczka Maryanna poślubiła Ludwika, księcia Wirtemberskiego, brata rodzonego cesarzowej Wszech Rosyi, a wówczas wielkiej księżnej Pawłowej, matki cesarza Aleksandra I. Zostawał on w służbie pruskiej. Że księżnej Wirtemberskiej wypadało opuszczać ojczyznę, związki rodzinne, przy-

jaźni, a w końcu to życie domu możnego i wspaniałego, do którego przywykła, żądała więc koniecznie, aby jej towarzyszyła współ-wychowanica — moja matka.

Nic, zda mi się, niema przykrzejszego, jak kiedy kobieta, idąc za cudzoziemca, zrywa raptownie ze wszystkiem, co jej przeszłość od kolebki otaczało, biegnie w przyszłość niewiadomą, w obyczaje obce, towarzystwa nieznane i w chłodne związki pozornej przyjaźni.

Obie przesiedziały pewien czas w Berlinie. Panował wtedy jeszcze Fryderyk II, nieosobliwy wielbiciel płci pięknej. Młodą jednakże księżnę Wirtemberską, ujęty jej dowcipem tyle polubił, że jej ofiarował bogaty dar bransoletek z soliterów, przeszło 100,000 złp. wartujący. Klejnoty te, jak również podarowane córce dyamenty, które zdobiły mundur jej ojca, jako dowódzcy gwardyi galicyjskiej — to jest: kita do kołpaka dyamentowa, szlify itp. rzeczy, które także kilkakroć sto tysięcy złotych kosztowały — wszystko to, za namową Jezuitów szwajcarskich kazała księżna przerobić na krzyż i do Loretu go ofiarowała. Nie ganię daru, boć wszystko, co posiadamy, mamy od Boga, komuż więc jak nie Jemu sprawiedliwiej należy się ofiara? — ale żałuję, że Najświętsza Panna w Lorecie otrzymała pierwszeństwo nad Częstochowską — ową Matką naszej krainy.

Podczas tego w Berlinie pobytu poznał matkę moją oficer z gwardyi pruskiej hrabia Chack i ujęła go swą urodą. Po odbytym garnizonie w Belgarde, a następnie w Treptau w Pomeranii i blizko więcej

jak rocznym pobycie w pruskich dzierżawach, wróciły te panie do Warszawy. Przybył za niemi i rozkochany p. Chack. Rozgłoszono też niebawem, że małżeństwo jego z moją matką nastąpi. Król Stanisław, który wiecznie w podobne wdawał się intrygi, okrył swą protekcyą p. de Chack i pewny, że ta konkurencya się uda, hetmanowi Tyszkiewiczowi polecił, iżby myśli rodziców w tej mierze wybadał. W Sukurczach przyjęto te królewskie insynuacye bardzo różnie. Matka przylgnęła z serca do tych widoków. Łechtała ją godność hrabiny, widok wielkich dostatków i myśl, że panna Konstancya stanie się podporą licznej rodziny. Pan podkomorzy zaś, rzecz tę rozważywszy po staropolsku przyjął i wbrew oświadczył, że zezwolenia swego nie udzieli, dopóki Niemca nie pozna. Z tak dalekich krajów, mówił, kto go tam wie czy on graff, a choć i graff — czy nie hołysz. Zresztą dodawał: „czyż już mór na Litwinów, żeby panny za Niemców wydawać.“ Zdanie to mniej więcej dzieliła szlachta lidzka, która bezustannie w Sukurczach biesiadowała. Nadaremnie pani podkomorzyna, a moja babka przedstawiała, że księżniczka Massalska wydana za jakiegoś Francuza (ks. de Ligne), że Radziwiłłówna poszła za mąż za Rosyanina Fersena, że toż uczyniła i Brzostowska — wszyscy ją zakrzyczeli. Wydawanie za Niemca wydawało się im niepojętem *horrendum*, a protekcyę królewską brano za znane przywiązanie tego monarchy do cudzoziemców. Kiedy rozgłos tego projektowanego małżeństwa rozszerzył się po Litwie, przyjechał wojewoda Chmara, powinowaty podkomorzego, wraz z p

Wołodkowiczem; ten ostatni swojego syna dla panny Konstancyi zalecał.

Tymczasem kiedy tyle osób trudniło się owem projektowanem małżeństwem, mojej matki nikt nie zapytał, co ona myśli w tej mierze. Odebrawszy list matki i widząc z niego, jak temu związkowi jest rada, z obawy, aby bez jej woli rodzice ręką jej nie zarządzili, postanowiła wyznać p. Chack, że nigdy za cudzoziemca nie pójdzie. Niemiec szczerze był rozkochany, wpadł więc w melancholią i chciał sobie życie odebrać, ale czas, który wszystko leczy, uleczył także te rany.

W tym samym roku, oprócz p. Wołodkowicza, zgłosili się o rękę mojej matki — naprzód, podówczas pułkownik, później jenerał Orłowski, który okryty był szczególną protekcyą książąt Czartoryskich. Za pośrednictwem Zalewskiego, wojskiego W Ks. Litewskiego zgłosił się do podkomorzego. Lecz temu ta partya zupełnie nie podobała się i swego przyzwolenia odmówił. Dalej, słynny później, a wówczas oficer od inżynieryi Julian Ursyn Niemcewicz — ten wprost do podkomorzego się zgłosił i przez niejaki czas korespondencyą z sobą prowadzili. Lecz podkomorzy, który był *pater difficultatum*, kiedy o postanowienie córki rzecz się miała — odmawiał. Orłowskiemu, że za stary, Niemcewiczowi, że za młody. Pisze z tego względu do mojej matki: „Od niejakiego czasu pisujemy często od siebie z p. Niemcewiczem. Młody człowiek, dobrze pisze, ale młody. Komuż wiadomo co z niego będzie? — jeno Bogu, a ja prorokiem nie jestem. Któż przewidzieć zdoła, czy z niego wyrośnie

prosty dąb, czy krzywy o kolący głóg? Ze stylu widzę, że żywy jak ogień — będzie może złośnik.“

Nakoniec między wielbicielami swoimi liczyła moja matka i słynnego poetę Szymanowskiego. Wszystkie te zaloty w roku następnym zakończyły się i nie wiem jakim cudem, ojciec mój, wówczas rotmistrz kawaleryi narodowej, przyzwolenie podkomorzego sobie wyjednać zdołał. Ślub odbył się w Puławach dnia 29 grudnia 1786 r.

Z początkiem następującego roku księżna Czartoryska wybrała się w paroletnią podróż dla dokończenia edukacyi najstarszego syna księcia Adama. Moją matkę chciała koniecznie mieć z sobą i aczkolwiek ta znajdowała się w stanie poważnym, nie mogła odmówić żądaniu osoby, którą za drugą poczytywała matkę. W Paryżu mieszkały w *Palais Royal*, gmachu należącym do księcia Orleańskiego, lecz w którym posiadał obszerny apartament marszałek nadworny Rzewuski, brat starszy pisarza polnego, Kazimierza Rzewuskiego. Matka moja miała z sobą kozaka, ubranego jak wówczas kozaków w służbie będących ubierano. Mieli oni zupełnie ogolone głowy i jeden tylko kosmyk długich włosów za ucho zakładali. Kozak ten, ukraińczyk, ani słowa w obcych językach nie umiejący, lubił się wieczorem po galeryach Palais Royal przechadzać. Ściągał za sobą tłumy ciekawych, które po większej części brały go za Chińczyka.

W końcu tego r. 1787 wróciła moja matka z Paryża w dziewiątym miesiącu ciąży, nie mając z sobą, jak tylko tego wiernego Ukraińca. Trzeciego

dnia po powrocie do Puław powiła córkę Cecylią, moją najdroższą siostrę. Ja przyszedłem na świat 16 października 1789 r. w Puławach. Tegoż samego dnia powiła jw. Sewerynowa Potocka także syna. Obudwom imiennikom nadano jednakowe chrzestne imiona — Leon. Trzymali mnie do chrztu książę Konstanty Czartoryski i pan pisarz Rzewuski.

Już wówczas sejm czteroletni rozpoczął swe prace. Na teatrze puławskim przedstawiano sztuki do okoliczności zastosowane — owe Spartanki, Cyganki i inne podobne, których obecnie zaledwie tytuły nam pozostały; a kiedy zebrał się obóz pod Gołębiem i obroty wojenne dla ćwiczenia wojska, przedsięwzięto rozmaite festyny, dążące do podniesienia ducha. Te następowały jedne po drugich. Na jednym z manewrów brygadyer Walewski, nabojem piasku z działa w głowę trafiony, słuchu pozbawiony został. Książę Wirtemberski miał udział w dowództwie tego obozu, stąd uważano potrzebę traktamentów. Księżna matka i córka, równie jak grono licznych innych pań w Puławach mieszkających, w miejskich strojach, przy obficie zastawionych stołach, oficerów i żołnierzy jadłem i trunkiem zasilały, kiedy współcześnie duchownego posiłku w pięknych mowach i kazaniach udzielali ksiądz Grzegorz Piramowicz i kanonik Witoszyński. Postawiono w tej epoce piękną willę w Puławach, przezwaną Marynki, na mieszkanie dla księstwa Wirtemberskich. Los mieć chciał, że mało w niej zamieszkiwano.

Mój dziadek Dembowski i żona jego już nie żyli, kiedy mój ojciec zawarł śluby małżeńskie.

Odziedziczył on po nich część majątku na Podolu — dobra Nietyczyńce, Hałuzińce i Komarowce, nie daleko Baru. Tam przed mojem urodzeniem z żoną chciał się osiedlić, ale księstwo Czartoryscy tyle do mojej matki mieli przywiązania, iż nie chcieli pozwolić aby ich towarzystwo tak dalekim jej wyjazdem zubożone zostało. Księżna z Anglii pisała, że tylko na krótką podróż do Nietyczyniec zezwala, że dosyć już przeszła wskutek śmierci najstarszej córki księżniczki Teresy (która spłonęła ogniem od sukni zapalonej przez nieostrożne grzanie się przy kominie), żeby jeszcze drugą osobę tyle jej drogą, jak własne dziecko, tracić miała. Po krótkim więc na Podolu pobycie wrócili nazad rodzice.

Kiedy rozpoczęła się kampania targowicka, król Stanisław listem z d. 12 lipca 1792 r. polecił mojemu ojcu zgromadzić żywność i furaż dla armii księcia Józefa w Dubience będącej. List ten w tych słowach:

„Mości Panie Dembowski! Proszę cię znieś się z księciem Józefem w Dubience i bądź mu pomocnym do oprowidowania jego wojska. Jako obywatel patryotyczny i jako mój dawno wierny, pokaż się skutecznym a czynnym w tej okazyi. *Vale et me ama.* Księżnom serdeczne ukłony odemnie.“

List ten przytaczam jedynie dla tego, żeby wykazać jaka różnica w tyle ważnej materyi owego lekkomyślnego rozkazu, od poleceń, które obecnie są wydawane. Rzekłbyś iż zlecenie to dane jedynie, żeby zasłonić się i udowodnić, że myślano coś o wojsku.

W tym czasie przykry dla rodziny ks. Czartoryskich wydarzył się wypadek. Książę Ludwik Wirtemberski, poprzednio porzuciwszy służbę pruską i przeniósłszy się z żoną do Polski, otrzymał w wojsku narodowem stopień generała dywizyi. Kiedy rozpoczęła się kampania targowicka, przeznaczono go na dowódcę głównego wojsk na Litwie działać mających. Właściwie nie wyjaśniono nigdy gruntownie wypadku, czy książę ten działał na szkodę Polski z własnego przekonania, czy z insynuacyi pruskich. To pewna, że w kancelaryi wojsk, w przepisywanych tymże marszach, zdawało się podkomendnym dostrzedz ślady wahania się i złej woli. Mówiono także, że przejęto znoszenie się jego z dowódcami wojsk rosyjskich. Powstał krzyk ogólny i książę Ludwik opuścił bez pozwolenia Wołczyn, gdzie miał główną kwaterę i przejeżdżając przez Warszawę w orderach pruskich, przez posła pruskiego protegowany, przez nikogo niezaczepiony do Berlina przybył.

Księżna Marya, która i bez tego w pożyciu nie doznawała szczęścia, korzystała z tego wypadku, ażeby się rozwieść i wówczas z moją matką u Sakramentek w Warszawie schronienia szukała. Po otrzymanym rozwodzie obie do Sieniawy przybyły, gdzie już ja i siostra moja znajdowaliśmy się pod dozorem ciotki naszej, panny Aleksandry Narbuttównej. Ciotka ta moja była ułomna, ale mimo to głowa dziwnie egzaltowana. Umiała dobrze rysować i malować, lecz nic innego w setnych jej szkicach nigdy nie widziałem, jak wyobrażenie morza przy zachodzie słońca. Kupidon na łódce od lądu odbija, a niewiasta na

brzegu wsparta na kotwicy, z upragnieniem do niego rękę wyciąga. Tym Kupidynem dla panny Aleksandry był stary pułkownik Ciesielski. Hymen ukończył nakoniec te długie i trwałe amory, a odtąd zjawił się nowy przedmiot dla artystki. Dwa serca gorejące na ołtarzu, przy którym Kupidyn w milczeniu spoczywa osypany kwiatami. Lubiła ona także ogromnie sowy i w Sieniawie w swoim ogródku miała do ich chowania wymurowanych dziewięć framug. W nich sowy duże i małe, z uszami i bez uszu ustawicznie się gnieździły i niezmiernie zapowietrzały sąsiedztwo.

Pałac Sieniawski był murowany, bez piętra i zawierał wtedy oprócz ogromnej sieni, jeden duży salon i kilka pokojów, stanowiących mieszkanie księstwa. W sieni ustawiono ogromne mahoniowe organy, prezent dla księżniczki Zofii od p. Kazimierza Rzewuskiego, pisarza koronnego. W sieni tej pospolicie jadano. W salonie kilka karykatur angielskich i mnóstwo sztychów, wyobrażających waleczne czyny wojska austryackiego w kampanii z Francuzami, stanowiły jedyne ozdoby. W jednym z kątów umieszczony był bilard. Dziedziniec kratą żelazną okolony, a w jej środku bramy, boki zaś dziedzińca zamykały dwie długie, bezpiętrowe, drewniane oficyny. W jednej z nich mieszczono gości, a w drugiej oficyalistów i kuchnie. Za dziedzińcem jeszcze dwie oficyny, także drewniane i te podzielone były na oddzielne apartamenta, każdy składający się z czterech pokoi. Dwa apartamenta miały sień wspólną, a do każdego dołączony był oddzielny mały ogródek. Były to mieszkania przyjaciół księstwa, którzy

im w czasie pobytu w Sieniawie dotrzymywali towarzystwa.

Za pałacem rozciągał się ogród w guście włoskim i wchód do niego z salonu. Przed oknami rabaty, w rozmaite floresy ułożone, na których masy tulipanów, hiacyntów, narcyzów, bukszpanów, aurykli i róż uprawiano, — dalej szpalery niebotyczne lipowe użyczały cienia. Labirynty grabowe, świerki wycinane w piramidy i dziwaczne inne kształty — w samym końcu ogrodu cztery sadzawki, a za niemi winnica. Na czele tego ogrodu stał niemiec Lesser i porządku pilnował z całą surowością. A że między szpalerami znajdowały się kwatery, drzewami owocowemi zasadzone, kto się odważył frukta zrywać, mógł być pewny, że wróci z twarzą smołą zamazaną. Na boku ogrodu wystawiono cieplarnie, ale wogóle ogrodem tym księżna Czartoryska się nie zajmowała.

Ja z siostrą z ogródka naszego bardzo byliśmy radzi i tam to zapewnie nabrałem tej do kwiatów pasyi, która mnie już chyba do zgonu nie opuści. Towarzyszami zabaw naszych był syn księżnej Wirtemberskiej — Adam i pani Matusewiczowej także Adam, tudzież chłopczyk doktora Goltza. Podczas trzyletniego w Sieniawie pobytu, kilka razy odwiedzaliśmy Łańcut o cztery mile od Sieniawy odległy. Jest tam zamek, jakiego drugiego w Polsce nie znam. Wówczas była to rezydencya księżnej Lubomirskiej, siostry księcia feldmarszałka — pani możnej, lecz w niczem do brata niepodobnej. Była to osoba sztywna, etykietalna, a od etykiety i dawnej powagi żaden wypadek odprowadzić jej nie zdołał. Mówiono

żem był pięknem dzieckiem, a że księżna dzieci lubiła, szczególniejszą więc mnie otaczała łaską. Kiedy przesiadywałem w Łańcucie, zawsze ten pobyt kończył się słabością, bo tyle łakoci we mnie wpychano, że i silniejsze żołądki znieśćby tego nie mogły. Obsypywano mnie zabawkami z Wiednia i ze Lwowa sprowadzonemi, a które wraz z listami i do Sieniawy przysyłano. Mam jeszcze parę listów z tych czasów. Nakoniec żądała księżna od mojej matki, żebym był jej oddany, co gdy nie zgadzało się z przywiązaniem macierzyńskiem, nastały kwasy. Lecz wkrótce, bo w r. 1794 cały ten ferwor ulotnił się. Zaszczepiono mi ospę, chorowałem 16 tygodni, dwadzieścia wrzodów okryło me ciało, szwy oszpeciły twarz i Łańcut o brzydkim Leonie zapomniał.

Zamek w Łańcucie postawiony był w czworobok i opatrzony czterema po rogach wieżami. Wówczas powierzchownie żadnej nie miał architektonicznej ozdoby, lecz później Aygner nadał mu gotycką facyatę. Przed zamkiem fosy, brama z mostem zwodzonym i mury strzelnicami i małemi wieżyczkami opatrzone. Między zamkiem a fosami założono ogród kwiatowy szczupły, lecz bogaty w rzadkie rośliny. O ćwierć mili od zamku znajdował się ogród dolnym nazwany, na sposób angielski urządzony, z parkiem, w którym chowano sarny i daniele.

W samym zamku znajdowało się siedem dużych apartamentów i zwyczajnie codzień w innym się zgromadzano. Jedna duża sala przez dwa piętra, z kolumnadą, żółto marmuryzowana i ze złotemi ozdobami przypominała salę balową zamku warszaw-

skiego, lecz była od niej znacznie większa. Obok niej teatr, duża sala wybita adamaszkiem ze złotymi galonami. Tu wisiał bardzo pięknego pędzla obraz, trzy gracye wystawiający. Prócz tego ciekawą była długa galerya wązka, obrazami i rzeźbami cała napełniona, w głębi której znajdowała się statua księcia Henryka Lubomirskiego, w postaci Kupidyna — dłuta Canovy. We wszystkich siedmiu apartamentach mnóstwo wazonów, wanien marmurowych i porfirowych, mebli kosztownych i obrazów znakomitych malarzów. Bogactwa nieocenione. Część tych drogich ruchomości przewieziono później do Wiednia, część dostała się w darze wraz z Przeworskiem księciu Henrykowi Lubomirskiemu, wychowańcowi księżnej.

Stół w Łańcucie był jak można tylko najlepszy, toż samo i usługa, duma jednak i surowa etykieta oddalały stąd towarzystwo i piękny ten zamek z całym swym przepychem, zawsze był smutny i pusty, bo kilkanaście osób rozproszonych po tych niezmierzonych komnatach, ginęły niepostrzeżenie.

Zanadto byłem podówczas małym, żebym mógł czynić wiele uwag o towarzystwie sieniawskiem. Pamiętam jednak, że było ono liczne. Chroniło się tu mnóstwo znakomitych mężów, którzy przed prześladowaniami konfederacyi Targowickiej usuwać się z ojczyzny musieli. Pierwsze między nimi trzymał miejsce Tadeusz Kościuszko. Nie siedział on tu ciągle, ale wpadał na krótkie chwile, zajęty zawiązywaniem w wojsku polskiem bliższych stosunków, które stawały się nieuchronnymi przy zamierzonej insurrekcyi. Pod-

czas jednej z tych bytności darował na pamiątkę mojej matce orderową swą wstążeczkę.

Czasami bywał taki ścisk, że gmachy, o których wspomniałem, nie mogły odwiedzających pomieścić i lokowano ich w komisaryi, nieco od pałacu odległej, lub nawet gnieżdżono się w miasteczku o ćwierć mili od pałacu. Dawano wtedy bale, fety, teatra, a czasami i nas dzieci wzywano, kiedy ich do żywych obrazów było potrzeba.

W 1794 r. mój ojciec wraz z księciem Eustachym Sanguszką udali się do obozu pod Połoniec. Tu Kościuszko po wygranej pod Racławicami, oczekiwał posiłków z Lubelskiego, ciągnących z generałem Grochowskim. Kiedy złączenie to nastąpiło, z przeważnemi siłami napierać zaczął Rosyan. Ci cofali się od Wisły przez Wodzisław ku Szczekocinom. Tu miała miejsce bitwa, nie tyle przez straty liczebne nieszczęśliwa, gdyż miano tylko do tysiąca kilkuset zabitych i rannych, ale przez to niezmiernego politycznego znaczenia, że w niej wziął udział sam król pruski z swem wojskiem. Mój ojciec mianowanym był jenerałem inspektorem jazdy i w czasie cofania się na Małogoszcz i Kielce ważne usługi wyświadczył, zasłaniając jazdą to cofanie się, które aż w Gałkowie pod Piasecznem się zakończyło. Maciejowickiej klęsce przytomny nie był, a nie długo po niej powrócił do Sieniawy.

Tu dowiedział się o konfiskacie swego majątku na Podolu. Tym sposobem stracił prawie wszystko, bo tylko przy posagu mojej matki pozostał. Nie wiedząc czego się chwycić zadzierżawił od księstwa

Czartoryskich mały folwark Pożóg, o milę od Puław odległy. Tu domek i inne budynki założył i płacił rocznej dzierżawy 12,000 złp. Kiedy i domek był gotów i ogród założony podług planu umieszczonego w dziele ks. Czartoryskiej *O zakładaniu ogrodów*, wróciliśmy wszyscy w Lubelskie.

Po wzięciu Pragi rozpierzchły się po świecie panny Bernardynki, klasztoru Loretańskiego na Pradze. W zgromadzeniu tem zostawała moja stryjenka Elżbieta Dembowska. Ta, wraz z towarzyszką swoją panną Łaską także do Pożoga się schroniła. Mieliśmy tu prócz tego panią Piaseckę, wdowę po pisarzu komory celnej z Nieszawy, która z dwojgiem dzieci osiadła przy moich rodzicach. Ci acz biedni teraz, chętnie z biedniejszymi kawałkiem chleba się dzielili. Powiększyła się wkrótce ta dzieciarnia przez Cecylią Narbutt, córkę Ludwika Narbutta, brata stryjecznego mojej matki. Był to szałaput pierwszego stopnia, dowcipny, wesół, ale żadnego prowadzenia się nie mający. Naprzód służył wojskowo, później został księdzem, następnie zrzucił habit i ożenił się z wdową po Jakubowskim z domu Rudnicką. Tę wkrótce porzucił, sam do Prus się wyniósł, przeszedł na wiarę protestancką, został landratem i nazwisko zmienił.

Podczas naszego w Pożogu mieszkania kilka rzeczy i osób w pamięci mojej utkwiło. Odwiedził raz mego ojca książę Marcin Lubomirski. Był on niejako słynny z powodu burzliwego swojego życia. On to przeciw ojcu walcząc, okopał się w Karmanowicach gdzie dotąd tych ziemnych fortyfikacyi można widzieć ślady i dlatego na niektórych starych mapach

jak np. Zannoniego, Karmanowice nazwane są Martinsburg. Mówiono że był czas, w którym na czele hajdamaków w górach Karpackich próby wyrządzał. Ożenił się naprzód z węgierką Hadikówną, a później z córką słynnego Franka, założyciela sekty Frankistów i utrzymywano, że po zgonie teścia, objął naczelnictwo tej sekty.*) Książę Marcin posiadał Barskie starostwo, konfederacyą Barską czynnie wspierał i stąd to owe walki z ojcem i wycieczki z hajdamakami. Pamiętam, że posiadał bardzo piękne i bogate tabakierki.

Pożóg należał do parafii Końskowoli, tam więc na nabożeństwo jeździliśmy. Na wielkotygodniowych modłach pierwszy i ostatni raz w życiu widziałem *Biczników.* Ubrani całkiem ponsowo, z kapturami spiczastymi, które im twarz całą zasłaniały, na oczy tylko i dla oddechu mając otwory. Trzymali w rękach dyscypliny, to jest krótkie kijki, do których było przytwierdzonych pięć pasków rzemiennych. Podczas pasyi obnażali swe plecy i temi dyscyplinami sami siebie smagali, ku wielkiemu pospólstwa zadowoleniu.

---

*) Jakób Frank Dobrucki urodził się 1702. r. Trudnił się z początku winiarstwem, to jest gorzelnictwem, a później na apostoła wyszedł. Sekta, którą utworzył, mięszanina to mistycyzmu, illuminizmu, obrządków chrześciańskich i żydowskich. Co do zasad, choć je w tajemnicy trzymano, wiadomo jednak, że opierały się one na dogmacie troistego objawienia Boga w postaciach Adama, Jezusa Chrystusa i spodziewanego Mesyasza. Wyznawcy świętowali Piątki, odprawiając modły na dworze, a największe nabożeństwo miało miejsce w czasie pełni. Frank umarł 1792 r.

Mieszkał już podówczas w Końskowoli nieborak waryat Kniaźnin. Już kiedyśmy byli w Sieniawie donoszono nam, że ślady pomięszania zmysłów zaczęły się u niego objawiać. Z początku podobno ciągle marzył o etymologii rozmaitych słów, zawsze je do Słowiańszczyzny odnosząc. Tak naprzykład tłómaczył, że *Minerwa* pochodzi od krzyku Jowisza, którego głowa bolała i skarżenia się po rusińsku *mene rwe*. Powody jego słabości przypisują gwałtownemu pokochaniu księżniczki Maryi, cokolwiek bądź smutno go było widzieć wybladłego, chudego i rozczochranego, biegającego po salach. Jedenaście lat się męczył, lecz później był spokojniejszy i słabość w idyotyzm zamieniła się. Pochowany w Końskowoli, gdzie mu monument z czarnego marmuru wystawiono. Istnieje on dotychczas, acz trochę uszkodzony. Kniaźnin był litwin, nosił strój polski, głowy nie golił, przeciwnie długie pukle spadały mu prawie na plecy.

Około r. 1796 wypadło ojcu mojemu z powodu rozmaitych interesów pojechać do Paryża, a że właśnie wówczas p. Stanisław Zamojski starał się o rękę księżniczki Zofii Czartoryskiej i o wyprawie dla niej myślano, korzystano więc z tej podróży i księstwo zakupy rozmaitych przedmiotów jemu powierzyli. Jechał na Wiedeń, gdzie pasport do Francyi wydał mu minister Thugutt. Przybywszy do Strassburga, meldował się generałowi Augéreau, który podówczas tam dowodził. Ten, mimo że widział, iż na pasporcie mój ojciec nazwany Dembowski, mimo że on sam pokilkakroć nazwisko swe powtarzał, nie chciał żadną miarą przystać, żeby ojciec mój miał być Dembowskim.

„C'est connu — mówił — à qui le dites Vous? Vous étes le cousin du général Dombrowski et vous portez son nom. Ces bêtes d'Allemands ne savent jamais ce qu'ils écrivent. Je garde le passeport et vous en délivre un autre, accompagné d'une feuille de route. La République aime à donner des preuves de son éstime pour les parents d'un brave, comme votre cousin."

Dano mu więc marszrutę, dostawał darmo konie, kwaterę i oficerską żywność. Mój ojciec wszakże z tego wszystkiego nie bardzo się cieszył, bo chociaż Robespierre już nie żył, a terroryzm ustał, jeszcze trwały podejrzliwości i wewnętrzne niepokoje. Ta zmiana nazwiska więc napełniała go obawą, ale nie mogąc jenerała przeprzeć, musiał woli jego uledz.

W Paryżu stanął u Michała Wyszkowskiego, który po Barrasie uważany był za reprezentanta dyplomatycznego dawnej Polski. Tallien i Barras mieli wówczas niejako największe wpływy. Wprowadzony w ich towarzystwo, w którem celowały panie Tallien i Récamier miał sposobność przypatrzyć się ówczesnym modom grecko-rzymskim. Te damy tak były grzeczne, że dowiedziawszy się o sprawunkach, jakie mojemu ojcu zlecono, same zajęły się dobieraniem i kupowaniem towarów, a że mój ojciec obawiał się kazać robić suknie, porobiono więc kilkanaście półtora łokciowych lalek, które podług mody ubrano i które jako modele z sobą przywiózł.

Powrót mego ojca z temi kilkunastu lalkami i pakami przecudnych koronek, batystów, materyi lugduńskich i t. p. rzeczy był dla wszystkich kobiet

niepospolitem zdarzeniem. Dzieci najlepiej wyszły, bo odziedziczyły te śliczne lalki.

Nastąpiło też w Puławach i wesele pani Zamojskiej. Zjazd był niesłychany. Ja tyle tylko z niego pamiętam, żem sypiał pod stołem, bo innego miejsca w izbie nie było i że codzień doskonałe cukierki przynosiła mi matka.

W tym czasie także, ostatnich lat upłynionego wieku, przybyła do Puław stryjenka księcia feldmarszałka, hetmanowa Ogińska — pani, której dom w Siedlcach z zabaw i ciągłego ruchu stał z Puławami na równi. Była ona nadzwyczaj silną i talerze srebrne w trąbkę zwijała. Mąż jej był nizkiego wzrostu i kiedy w stronnictwach, jakie Polską miotały, będąc w Gdańsku opierał się woli swej małżonki, nie chcąc należeć do partyi Czartoryskich, ta porwawszy go za pas w oknie drugiego piętra wywiesiła i trzymała go tak zawieszonego póty, póki jej nie przysiągł, że się do jej woli zastosuje. Hetman zresztą w historyi tyle tylko miał znaczenia, że we wrześniu 1771 r. przystąpiwszy do konfederacyi Barskiej, zaskoczony pod Stolniczanami, blizko Słonima, tak dzielnie uciekał, że aż w Królewcu się oparł.

Pani Ogińska po kilkodniowym w Puławach pobycie śmiertelnie zachorowała i książę feldmarszałek, nie wiem już z jakich powodów, przeniósł się wtedy do Pożoga i tu aż do jej zgonu przesiadywał. Wziął po niej w sukcesyi dobra: Siedlce, Zakrzówek, Puhaczew i Przybysławice. Ponieważ Siedlce, jako miasto gubernialne rząd austryacki chciał mieć swoją własnością, wymieniał je przeto na dobra Tarnogórę.

W tym także czasie książę Eustachy Sanguszko starał się o rękę księżnej Wirtemberskiej. Dlaczego mu odmówiła nie pojmuję, tem bardziej, że miała do niego skłonność. Całe te niefortunne konkury zatopione zostały w Pożogu w wódce i winie. Książę, idąc za przysłowiem dobry trunek na frasunek, z kolegą broni i z serdecznym przyjacielem, jakim był dlań mój ojciec, cały tydzień pili, aż dopóki miłość trochę nie ostygła.

BIBLJOTEKA
Podoficerów zawodowych
... pułku ułanów Wlkp.
Nr ...

II.

Rok 1799 jest dla mnie bardzo ważny, jako pierwsza wycieczka w świat bez opieki matczynej. W roku tym książę jenerał Ziem Podolskich wybrał się do wód mineralnych w Bardyowie, a ja znajdowałem się także w jego orszaku. Książę za sobą ciągnął cały szereg, nie mówię służby, ale obywatelskiej asystencyi, która do sta przeszło powozów wyniosła. Z Sieniawy ruszyła ta karawana z początku nie tak liczna, ale jakeśmy zaczęli przejeżdżać ziemię Przemyską, wstępować do Nienadawy, Przemyśla, Dubiecka i innych miejscowości, z każdej prawie właściciele do nas się łączyli. Na miejsce przybyliśmy w towarzystwie jw. marszałka Ignacego Potockiego, księdza kanonika Witosławskiego, Oboźnego Witosławskiego, Feliksa Dembowskiego Szambelana, Fredry Jacka, Wojny, Teodora Bukowskiego, Orzechowskiego, Bobowskiego, Dembińskiego, Tadeusza Marskiego, Stadnickiego, dwóch braci Giżyckich, Borejki i wielu innych, już nie licząc takich, jak naprzykład pan Ciesielski, który nigdy nie odstępował książęcego towarzystwa.

Jazda nasza rozpoczęła się w maju, a chociaż z Sieniawy do Bardyowa szosą na Łańcut, Pilzno, Duklę, zaledwie jest 30 mil — my jednak jechaliśmy wężykowato, wstępując od Ananasza do Kajfasza i wszędzie bawiąc przynajmniej dzień jeden, a jak w Przemyślu u biskupa aż trzy dni. Ta wizyta była dla mnie ważna, bo mi pozwalano brać obficie w kieszenie rozmaitego kształtu cukierki, tak iż ta prowizya na całą podróż mi wystarczyła.

Wyjeżdżaliśmy zwykle o godzinie jedenastej rano, a ujechawszy dwie mile stawano na obiad. A kiedy po popasie tym wyjechano, nie długo przychodziła pora na nocleg. Jeżeli popas lub nocleg przypadał w domu obywatelskim, mieszczono się po stodołach, szpichlerzach i nawet w wiejskich chałupach. Jeżeli nie, to wyrzucano z karczem żydów, mieszkańców z mieszkań, wybijano kobiercami ściany i improwizowano salony, w których tak jak w Sieniawie lub Puławach, miało miejsce zwykłe śniadanie, palenie fajek, czytanie gazet, granie w karty i szachy. Nie można było właściwie spostrzedz się, że to podróż, tak wszystko było do codziennego życia podobne, a marszałek z furgonami i kozakami jadący przodem, wszystkie te porządki uskuteczniał prawdziwie czarnoksięskim sposobem.

Dla czego książę wybrał wody Bardyowskie, gdzie żadnych wygód nie było, nie wiem, ale Węgrzy wzięli to dobrodusznie za dowód osobistej dla nich atencyi. Skoro cała ta kalwakata z żonami i dziećmi do Bardyowa przybyła, kłopot był nie mały i już i marszałek nie pomógł, bo tam gdzie tylko kilkanaście

było domów, trudno było pomieścić tyle gości, którzy jak szarańcza nagle spadli. Część taboru musiała w mieście szukać schronienia, pomogli też Węgrzy i magistrat miasta. Spędzono robotników, zwieziono materyał i w kilka dni zapełniła się dolina rodzajem namiotów, deskami krytych, w których, gdy je przystrojono, kobiercami wybito i umeblowano było nawet wygodnie.

Naprzeciw księcia wyjechali niektórzy Węgrzy jak: Czakowie, Haller, Hadykowie aż do Orlika na granicę. Toż magistrat w czarnych węgierskich strojach oczekiwał przy wodach. Książę po węgiersku bogato ubrany, językiem ich przemawiał, co ich radością ujęło. Ściągnął też wkrótce na odgłos tak niesłychanego zjazdu i teatr niemiecki, na którym jak na kazaniu niemieckiem często bywałem, a chociaż mało co rozumiałem, nadzwyczaj mnie zajmował. Przedstawiano sztuki, na tle historycznem osnute i głównie wypadki domu Hohenstaufów zawierające. Wkrótce też stanął i salon, a wtenczas znowu zaczęły się bale, na które zjeżdżały panie węgierskie z córkami.

Z czasu tego dwumiesięcznego pobytu dwa wypadki godne są zanotowania. Pierwszym było uwięzienie i zabranie z towarzystwa Ignacego Potockiego. Minister ten czynny w czasie Sejmu czteroletniego, należał przed pięciu laty do insurrekcyi kościuszkowskiej, a chociaż po uwolnieniu z niewoli rosyjskiej w Galicyi zamieszkał, gdzie posiadał Kurów i do wód za pozwoleniem rządu przybył, stał się jednak podejrzanym z powodu przejętych kores-

pondencyj pisanych z Francyi przez legjonistów, gdzie o nim była wzmianka. O niczem go nie zawiadomiwszy, w nocy otoczono zbrojną siłą dom, w którym mieszkał i wywieziono do Krakowa. Tam już kilku innych a mianowicie Michał Kochanowski w więzieniu osadzeni byli. Blizko rok Potockiego uwięzionego trzymano i dopiero za bytnością księcia feldmarszałka w Wiedniu i za jego czynnem wstawieniem się do samego cesarza, po wielu trudnościach wolnością go obdarowano.

Drugim wypadkiem był wielki festyn, dany na św. Annę dla pani Hallerowej. Zaimprowizowano w jodłowym lesie rodzaj greckiej świątyni, cyframi solenizantki ją ozdobiono, a cała część lasku i dolina, w której źródła, były illuminowane. Muzyka, tańce, suta uczta dla całego towarzystwa, magistratu i znaczniejszych Bardyowa mieszkańców dopełniały uroczystości. Również udał się bardzo dobrze teatr wolny, na świeżem powietrzu urządzony. Jedno tylko wpłynęło na mniejszy effekt. Mianowicie książę Czartoryski, żadną miarą nie dał się przekonać, aby festyn rozpoczął się po zachodzie słońca. Na wszystkie przedstawienia, że o piątej w Lipcu słońce jasno przyświeca, jedno odpowiadał: Milsze mi wasze zdrowie jak effekt illuminacyi. Pijecie wody, kąpiecie się, więc zaziębić się łatwo. A zatem wszystkie lampiony i kagańce pozapalano wśród dnia, a race i młynki towarzyszyły zachodzącemu słońcu. Jedyne to są fajerwerki i illuminacye, jakie mi się w dzień zdarzyło widzieć.

Owóż po tych serdecznych z Węgrami stosunkach, stanęło na tem, że na rok następny najmłodszy syn Hallerów na edukacyą do Puław przyjedzie.

Zaledwie Bardyów opuściliśmy, książę feldmarszałek udał się do Wiednia dla łożenia starań ku uwolnieniu Ignacego Potockiego. Przy tej sposobności raczył się zatrudnić wynalezieniem nauczyciela dla mnie i dla Hallera. Nastąpiły w tym względzie, jak widzę z listów, narady z Maksymilianem Ossolińskim, a między kilkoma na tę posadę kandydatami padł wybór na księdza Laville, szwajcara, rodem z biskupstwa Bazylejskiego. Poprzednio pełnił on obowiązki sekretarza nuncyatury w Lucernie. Przed bitwą pod Zurich, kiedy Francuzi zajęli Szwajcaryą, schronił się ze swoim nuncyuszem do Wiednia. Mówił on płynnie po francuzku, dobry dosyć matematyk, niezgorszy łacinnik, nabożny i pilny. Był on w rodzaju tych guwernerów, których rasa już zaginęła. Nieodstępny od swych uczniów, otaczał ich rodzicielską opieką i troskliwością może do zbytku posuniętą. Po ukończeniu mojej i Hallera edukacyi przyjęty do dzieci hrabiny Rozalii Rzewuskiej, wychował starszych jej synów Stanisława i Leona.

Zimę tego roku przepędziliśmy we Lwowie. Zdrowie bowiem matki mojej zaczęło szwankować, a że tam słynął doktór Krausnecker, jemu więc kuracyą powierzono. Mieszkaliśmy na przedmieściu Halickiem w pięknym gmachu, z którego pyszny widok z jednej strony na ową górę, na której szczycie ruiny zamku; z drugiej pagórek zabudowany kościołem i klasztorem św. Jura.

Uczono nas tańcować, a dla większego towarzystwa przybrano dwoje dzieci, Juliannę i Kajetana Komarów. Ojciec ich był kiedyś kasyerem u księcia wojewody ruskiego, a następnie u jego syna, a kiedy opuszczał Puławy, chroniąc się przed skutkami wojny, w czasie kościuszkowskiej insurrekcyi, zapakowawszy cały swój majątek w skórzane worki, około 4.000 dukatów wynoszący, zakopał go w nocy w ogrodzie Puławskim niedaleko dróżki, która od Sybilli do oranżeryi górnej prowadzi. Nazajutrz miejsce to żonie pokazał i sami do Sieniawy wyjechali. Tymczasem Rosyanie wpadli do Puław, księżna Izabela, która wszelkimi możliwymi środkami podniecała przeciwko Rosyi opinię publiczną, nie posiadała łaski cesarzowej Katarzyny. Oddział zajmujący Puławy otrzymał rozkaz rabunku i niszczenia. Oficer, który tę misyę otrzymał, wykonał ją, śmiem tuszyć, nadużywając rozkazów. Wówczas to potłuczono i porąbano w drobne sztuki owego Fauna, dłuta Lizyppa, nabytego za 5.000 dukatów. Pokrajano obrazy Rembrandta i Rubensa, a dołączywszy je do potłuczonych zwierciadeł, mebli i marmurów, w sadzawce na dziedzińcu zatopiono. Kiedy Puławy tej klęsce uległy, Komar w Sieniawie życia dokonał, a wdowa po nim, jeszcze młoda, zawarła związki małżeńskie z p. Pernettem, komisarzem klucza Sieniawskiego. Był on krewnym Pernetta, marszałka hetmanowej Ogińskiej, którego córki miały funkcyę tańcować kozaka na balach Siedleckich. Już nie pomnę, który z magnatów polskich w ferworze zachwytu ofiarował pannie Pernett sto dukatów. Taż sama zgrabna tancerka została później pierwszą osobą

BIBL. WOJSK. 26 B. U.

w kraju jako księżna Zajączek, żona Namiestnika cesarskiego w Królestwie.

Po uspokojeniu burz wojennych i kiedy Austryacy zajęli Nową Galicyę, przybyła pani Pernett do Puław dla odszukania zakopanych skarbów. Lecz wszelkie jej poszukiwania były daremne. Bądź że ktoś inny skarb znalazł, bądź że z upływem czasu i porostem trawy i krzewów, miejsca nie odnalazła, dość, że z nadzieją odzyskania straty musiała się rozstać. Ale Opatrzność nad sierotami czuwała i niebawem po śmierci Kosakowskiej, kasztelanowej Kamieńskiej, odkrył się dla niej spadek. Komarowie nie wiedzieli nawet o pokrewieństwie, aż wezwani przez sądy, od razu do zamożności przyszli.

Pomiędzy innemi towarzystwami, do których uczęszczaliśmy, bywaliśmy także na obiadach u pisarza Rzewuskiego, który mieszkał w Rynku, obok Ratusza. Ratusz ozdobiony był wysoką wieżą. Na niej osadzono zegar i straż miejską u samego szczytu. Co kwadrans w dzień i w nocy wychodził na galeryę strażnik i świstał na piszczałce, a w czasie pożaru znaki alarmowe dawał. Z powodu ogromnej wysokości wyglądał on jak małe dziecko. Wieża ta około, jak mi się zdaje, 1826. r. nagle runęła i znacznie kamienicę p. Rzewuskiego uszkodziła.

Prócz ówczesnego gubernatora hr. Geisruck, — który sam chudy, nizki, na jedno oko ślepy i garbaty, a miał żonę już w wieku, syna urzędnika, ale idyotę i dwie córki — inni Niemcy mało w towarzystwach bywali. Ten gubernator z familią parę razy odwiedził Puławy i dosyć długo za każdym razem przesiadywał.

Puławy na przyjęcie tak dostojnej osoby podwajały zabawy. Mnóstwo obywateli, potrzebujących protekcyi gubernatora w swych majątkowych stosunkach, korzystało z podobnych pobytów — bądź aby interesom dać pomyślny kierunek, bądź aby bliższą znajomość zabrać z tym dygnitarzem. Ścisk wynikał nad opisanie, a córki gubernatorskie z całą młodzieńczą wesołością w zabawach brały udział, osobliwie panna Henryetta. Sam gubernator, już w wieku posunięty, światły i roztropny, nie dumny i powszechnie szanowany, ale upośledzony od natury, wcale na gubernatora ośmiu milionów ludności nie wyglądał i żadnej w nim powagi nie dostrzegłeś. Istnieje podobno prawo kanoniczne, niedozwalające, aby osoby ułomne na duchownych wyświęcać. Zdaje mi się, że i wielkorządztwo powierzać osobom tak od natury upośledzonym, jakim był nieborak hr. Geisruck — jest nietrafnem. Ani groźnym dla podwładnych, ani rzutkim, ani czynnym nie może być człowiek w wieku, schorzały, ślepy i garbaty.

Niemałe w ówczesnem towarzystwie lwowskiem zajmowali stanowisko prawnicy, dwóch ich szczególniej odznaczało się w tym zawodzie. Jeden Dzierzkowski, drugi Węgleński. Pierwszy był to w istocie rodzaj fenomenu, obdarzony był bowiem od natury niesłychaną pamięcią. Rozwijał w konwersacyi zapas najrozmaitszych wiadomości, przykuwał słuchaczy do siebie i napełniał ich żądzą ciągłego upragnienia, aby go mówiącego słyszeć. Przystojny, o rysach twarzy regularnych i delikatnych, nosił się w polskim stroju dla ukrycia zbytniej otyłości. Aczkolwiek miał ruchy ciała żywe i chód lekki, tak był otyły, iż musiano

otwierać obie strony podwojów drzwi, by mógł wejść do apartamentów, a w żadne krzesła poręczowe zmieścić się nie mógł. W roku 1809. wezwany do zasiadania w rządzie centralnym, przybył na krótkie chwile do Warszawy. Ciekawość towarzystwa warszawskiego wzbudził i ubiegano się o sposobność zobaczenia go i posłuchania. Że jednak cały jego majątek odpadł do tej części Galicyi, która pod berłem Austryi pozostała, wrócił do Lwowa z wielką dla kraju stratą, bośmy takich ludzi jak on mało posiadali.

Drugi, Franciszek Węgleński, świetniał dowcipem, wiadomościami prawnemi i zręcznością. Był rodzonym bratem ministra skarbu Księstwa Warszawskiego. Prowadził życie kosztowne, z przepychem i miał pod murami miasta willę *Pohulankę*, w której, godnie odpowiadając nazwie, z sędziami sądów apelacyjnego i szlacheckiego hulał. Sędziom pensye z swych dochodów płacił i tym dwoistym sposobem sumienia większości w swem ręku trzymał. Nie było też sprawy, którejby nie wygrał. Po roku 1809 porzucił stan adwokacki i Lwów i przeniósł się do Warszawy, a za protekcyą brata, został później ministrem sprawiedliwości.

Wspomnę jeden z adwokackiego życia jego wypadek. Rząd austryacki przedsięwziął wszystkie dobra, które posiadały kopalnie albo warzelnie soli, nabyć na swą własność. Albo więc własność ich płacono, albo zamieniano na inne majątki. Wiele osób w Galicyi porobiło na tem, a przynajmniej znacznie powiększyło fortuny, jak n. p. Dzieduszyccy. Lecz kto się nie umiał dopilnować, ponosił dotkliwe straty.

Takim był wypadek majętnej przedtem jednej wdowy, matki kilkorga dzieci, która przez zamianę zupełnie prawie majątku pozbawioną została, a ani na drodze administracyjnej, ani na sądowej nie mogła uzyskać wynagrodzenia, jakie się jej najsłuszniej należało. Kiedy żadnej już nadziei nie było, udała się do Węgleńskiego i stanął między niemi układ, że p. Franciszek swoim kosztem prowadzić będzie interes. Za poniesione wydatki żadnej nie będzie miał pretensyi, jeśli mu się nie uda, a dostanie dobra pewne, jeśli z zyskami dla wdowy sprawę zdoła zakończyć.

Do interesu zabiera się w ten sposób. Sprawia piękną tacę srebrną, w jedwabny woreczek wkłada tysiąc dukatów i z tem jedzie do Wiednia. Były to czasy wojen francuskich. Austrya ciągłemi wysileniami znękana, zalana papierowymi banknotami i miedzianymi reńskimi, ani srebra, ani złota nie miała. Kruszce tu były taką rzadkością, jak jakie feniksy. Panował cesarz Franciszek II., który później awansował na Franciszka I. Pan cnotliwy i dobroduszny. Kiedym w r. 1840. zwiedzał zamek cesarski w Wiedniu, w jego apartamencie zawieszone były dwa obrazy, a na jednym z nich wyobrażone, jak niepoznany przez chłopa, przewozi go na czółnie przez jeziorko, otaczające zamek Laxemburg i za przewóz trzygrajcarówkę odbiera. Owóż cesarz ten poddanym swoim raz w tygodniu dawał audyencye, na które wpuszczano każdego bez żadnych uprzednich meldunków i na których prośby do niego zanoszone ze szczególną łaskawością, łagodnością i dobrodusznością wysłuchiwał. Pan Węgleński na podobnej audyencyi prezentuje się z ową

tacą i woreczkiem. Gdy cesarz do niego się zbliżył i zapytał, czegoby żądał, oświadczył, iż przybywa ze Lwowa, a wiedząc, ile monarchia w dzisiejszych czasach ma nadzwyczajnych wydatków, pokornie uprasza cesarza, aby raczył przyjąć jako ofiarę od wiernego sługi na zasiłek skarbu tysiąc dukatów, znajdujące się w woreczku. Cesarz zamyślił się, później woreczek wziął do ręki i do kieszeni włożył. Bądź z zadziwienia, bądź z jakiego innego powodu, długo stał przed Węgleńskim milcząc, wreszcie odezwał się, że piękny ten przykład poświęcenia się dla dobra monarchi mile przyjmuje i że z przyjemnością mu przyjdzie wywdzięczyć się p. Węgleńskiemu. Dlatego prosi, aby mu z całą otwartością wyznał, czy w jakim interesie nie może mu być pomocnym. Zapytany odpowiedział, że czyn jego jest wynikiem czystego, bezinteresownego patryotyzmu i że żadnej prośby nie ma. Ponieważ przez to rozmowa weszła na drogę grzecznej konwersacyi, zapytał go więc cesarz, czy długo w Wiedniu bawić jeszcze zamierza i dodał, że spodziewa się, iż go jeszcze przed wyjazdem widzieć będzie.

Tego też właśnie pragnął Węgleński. Nim ośm dni upłynęło, stawił się powtórnie na audyencyi. Skoro go cesarz spostrzegł, przybył zaraz do niego. Pan Franciszek oświadczył, że Wiedeń opuszcza i stosownie do otrzymanego łaskawie rozkazu, składa swe pożegnalne uszanowanie. Cesarz mu na to odpowiedział, iż tem mocniej żałuje, że nie jest w stanie okazać mu swej życzliwości i dodał: „Jeśli sam pan nie masz żadnego interesu, w którym mógłbym ci być użytecznym, może któremu z krewnych lub zna-

jomych przydam się na co — proszę o tem pamiętać". Na to pan Węgleński, udając wprzódy długo zamyślonego, rzekł: „Kiedy tyle dobroci doznaję od waszej cesarskiej mości, przypominam sobie, że jednę biedną wdowę, obarczoną familią, a moją przyjaciółkę, pokrzywdzono przy zamianie dóbr solnych". Cesarz wtedy prędko mu zlecił: „Nie wyjeżdżaj więc jeszcze i opisz mi stan interesu, a ja sam go rozpoznam i sprawiedliwość wymierzę".

Węgleński w Wiedniu pozostał, memoryał podał, cesarz wszystko podług jego wniosku zdecydował i choć skarb porządnie ucierpiał, wdowa do znacznego majątku przyszła, a Węgleński dobra otrzymał.

Zapisać tu także muszę szczególny wypadek, jaki się trafił podczas naszego pobytu we Lwowie. Ten sam Borejko, który towarzyszył księciu do Bardyowa, starodawny Polak, w stroju narodowym, z głową ogoloną, ściągał na kontrakty do Lwowa. Był to podolanin, bardzo poważany przez swych ziomków. Tęgi do kielicha i do korda, miał twarz brunatną, na karku olbrzymich rozmiarów osadzoną. Jechał saniami, a pod Kulikowem, gdy sanie na zatokę poszły, uderzył przy wywrocie tak silnie o słup sosnowy przęsłowego płotu, że ten słup roztrzaskał, innego nie doznawszy szwanku, jak tylko, że mu drzazgi czoło poorały. Niema wątpienia, że nasi praojcowie twardsze mieli czaszki, może z powodu golenia głów i wiecznego wystawiania ich na wpływ powietrza. Gdyby podobną czaszkę miał biedny generał Sokolnicki, pewnoby głowy nie rozbił od prostego upadnięcia na paradzie na dziedzińcu Saskim.

Z wiosną 1800. r. wróciliśmy do Pożoga. Wówczas i przez cztery poprzednie lata mieliśmy liczne towarzystwo. Mieszkały tu dwie siostry mojej matki, panny Aleksandra i Tekla, brat Wojciech Narbutt, a oprócz tych, o których już poprzednio wspominałem, panna Maryanna Piramowicz, guwernantka mojej siostry i Franciszek Lessel, nauczyciel muzyki. Panna Aleksandra poślubiła wkrótce pułkownika Ciesielskiego i do Samoklęsk się przeniosła. Panna Tekla podbiła serce wojewodzica lubelskiego Hryniewieckiego, dziedzica Markuszewa i między nimi nastąpił także związek małżeński. Lecz nie długo się im szczęściło, ciotka moja bowiem dostała raka i w parę lat po ślubie zgasła. Wojewodzic wdowiec, cokolwiek utracyusz, Markuszew sprzedał w części panu hr. Tarnowskiemu, w części panu Ejdziatowiczowi, Bronice zaś z dwoma folwarkami mojemu ojcu. Sam także nie długo po żonie żyjąc, resztę pieniędzy, których nie strwonił, jedynemu z familii chorążycowi Hryniewieckiemu zostawił.

Bronice mój ojciec nabył jeszcze w roku 1798. i od tej chwili rozpoczęły się tam fabryki domu i innych budowli gospodarskich, które kilka lat trwały. Co do Chorążyca, ten z otrzymanej sukcesyi kupił Tuszów, a umierając bezdzietnie i bezdziedzicznie, włościanom cały majątek zapisał, pod warunkiem, aby raz na rok płacili do parafii pewną kwotę na nabożeństwo za familię, która na nim wygasła. Włościanie swoje grunta na siebie uprawiali, dworskie zaś wypuścili w dzierżawę niejakiemu p. Malinowskiemu. Kiedy w r. 1809. wojska księstwa Warszawskiego zajęły te

okolice, na potrzeby powstających pułków, na żywność wojska i koszta wojenne ogromne podatki nakładano. Stąd rachunki p. Malinowskiego, który i za włość i za dwór opłacał podatki, tak urosły, że włościanie wyrzekli się dziedzictwa i pod pańszczyznę dobrowolnie wrócili. Dobra te obecnie należą do generała Rolanda.

Wyszła wreszcie za mąż za niejakiego p. Wójcickiego z Chełmskiego wspomniana już młoda i przystojna wdowa p. Piasecka, Lessel wyjechał do Wiednia, gdzie kształcił się pod Haydnem, wuj Wojciech do Sukurcz, a kiedy przyjechał z Wiednia nauczyciel p. Laville, przenieśliśmy się do Puław w roku 1800.

III.

W roku 1801. matka przepędzała zimę w Warszawie. Zawiozła tam moją siostrę, aby ją kształcić w rysunkach pod kierunkiem pana Norblin, Francuza rodem, lecz Polaka sercem, odkąd, ożeniwszy się z Polką, krewną p. Wójcickiej i Wierzbickiej, w Polsce życie przepędzał. Rysował on bardzo dobrze i malował olejno pięknie. Sufit w świątyni Arkadyi i część robót, to jest konie na suficie sali żółtej w zamku warszawskim jego są dziełami. W mniejszych utworach pędzel jego przypomina sposób Boucher, Watteau i tej szkoły. Szczególnie drzewa wyobrażał wysokie i cienkie i liści nie wykończał.

Zima ta była nadzwyczajnie ostra. W Warszawie matka i siostra moja, dopiero czternastoletnia panienka, nie uczęszczały do wielkich towarzystw, zresztą ich nawet, żeby prawdę powiedzieć, nie było. Przedstawiły się pani de Vauban dla nieuniknionej ceremonii, a reszta czasu mile im schodziła w mniejszem kole osób, z któremi bądź w Puławach, bądź z dawniejszych czasów miała matka moja zażyłość — to jest w domach: państwa Stanisławowstwa Potockich, Gutakowskich, Kickich i Sołtyków.

W tym czasie mieszkał także w Warszawie p. Walicki, o którym obszerniej później napiszę. Tu tylko o nim wspominam dlatego, że darował on podówczas pani Sołtykowej ten słynny szafir, który innym kolorem błyszczał w dzień, a innym przy świecach i który posłużył za przedmiot do ładnej powieści pani de Genlis pod tytułem *Le safir merveilleux.*

Na jednym u pani Sołtykowej wieczorze poznał siostrę moję pan Tarnowski, zwany Egipcyaninem, dlatego, że w młodości krainę tę zwiedzał i odtąd codziennie matce mojej składał wizyty. Z listów jej widzę dziś jeszcze, że wróżyła ona sobie z tego związki małżeńskie, ale ta nadzieja omyloną została.

Po kilkomiesięcznym pobycie, gdy moja matka zrachowała, że siedzenie w Warszawie ogromne wydatki za sobą pociąga, zaproponowała p. Norblin, gdyby nie był skłonnym do Bronic lub do Puław dla kontynuowania lekcyi przybyć. Zgodził się za opłatą pięćdziesiąt dukatów miesięcznie i dlatego matka z wiosną do domu wróciła. Pan Tarnowski odtąd, aż do czasu, dopóki się nie oświadczył o pannę Laurę Potocką, siostry mojej nie widział.

Ja w Puławach całą tę zimę przepędziłem w towarzystwie stryjecznej mojej siostry, Rozyny Dembowskiej, którą w pierwszej młodości poznawszy, jakby siostrę rodzoną całem sercem zawsze kochałem. Miała ona za ochmistrzynię staruszkę, panią Krobanowską. Ta szczególny posiadała talent, bo robiąc machinalnie pończochę na drutach, jednem okiem spała, a drugiem zważała, co młodzież porabia. My z Rozyną cokolwiek hałaśliwi za ulubioną zabawę, do

której czasem Adam Matuszewicz należał, a Haller, jako mój towarzysz, zawsze — uważaliśmy grę w *sali*. Gra to na tryktraku pionami dosyć zabawna. Lecz przekładaliśmy wszyscy rzucanie poduszkami na siebie. Poduszki od kanap uważano za łódki, na nich się po podłodze suwali, szpagatem lub chustkami łapiąc się, o ile zręczność rzutu dozwalała. Owóż kiedy panna Krobanowska obu oczyma patrzała, graliśmy poważnie w *sali*, ale skoro tylko jedno z nich zmrużyła — dalejże do poduszek.

W lecie tegoż roku przybywał świeży żywioł. Przyjechała księżna Wirtemberska z dwiema wychowanicami, panną Cecylią Beydale i panną Maryanną Dzierżanowską. Pierwsza z nich była rówieniczką mojej siostry. Brunetka, szczupła, łagodna, później w tem nieszczęśliwa, że przez pół roku opanowywała ją zbytnia wesołość i ruchliwość, a przez drugie pół roku czarna melancholia. Panna Dzierżanowska, mego wieku, blondynka, rysy miała bardzo regularne, twarz okrągłą i uśmiechem ozdobioną — słowem śliczna istota. Obok tego łagodna i z dobrem sercem. Ale, że zawsze i wszędzie to *ale* panować musi, wiedziała, że jest piękną, lubiła hołdy i wielość hołdujących. Żeśmy byli równego wieku, te dwie panienki powiększyły towarzystwo, a panna Maryanna trzech rówieników, Matuszewicza, Hallera i mnie pod swoje zaciągnęła jarzmo.

Tymczasem fety, bale, zabawy, zjazdy szły torem zwykłym, a i my w nich pewien przyjmowaliśmy udział. Naprzód do jedzenia wszystkich specyałów, deserów i cukierków, następnie do powiększania liczby

spektatorów w fetach i sztukach teatralnych, a wreszcie dawano nam także role dzieci, o ile te do widowiska należały.

Z gości najznakomitszych, odwiedzających w tym czasie Puławy, przypominam sobie arcyksięcia Ferdynanda i hrabiego Trautmansdorfa, tego samego, który poprzednio odbierał homagialną przysięgę od Galicyan w Krakowie.

W r. 1802 posłano mnie w lecie do Bardyowa, pod opieką pułkownika Ciesielskiego, który towarzyszył tamże księciu Czartoryskiemu. Już tą razą zastałem tu pałac wybudowany z oficynami, a towarzystwo prawie to samo, co zwykle. Że pan Ciesielski był wielkim lubownikiem botaniki, jeździliśmy konno aż za Koszyce dla widzenia drzewa cisowego. Drzewo to, z rodzaju iglastych, w stolarskich wyrobach zupełnie podobne jest do mahoniu. Flora bardyowska jest bogatą. Miejsce to od strony południowej Karpat położone sprzyja roślinności: atropa-belladona, wino dzikie rośnie tu prawie powszechnie. Wody mineralne są mocno żelazne.

Teatr niemiecki już teraz nie w szopie, ale w porządnym budynku się mieścił. Ponieważ trochę po niemiecku rozumiałem, z większem więc zajęciem aniżeli dawniej bywałem na przedstawieniach, najczęściej razem z księciem Dominikiem Radziwiłłem. W salonie co niedziela i święto dawano bale, a w dzień powszedni służył on za miejsce zebrań. Oprócz tego wyprawiano bale i podwieczorki składkowe. Składano po dwa reńskie i za to oprócz zwykłych posiłków dostarczano lodów i cukrów. Fruktów mnogość była

niesłychana i po niesłychanie niskich sprzedawano je cenach. Arbuzy przywożono na targ czterokonnemi brykami i oddawano je prawie za bezcen.

Znajdowali się u tychże wód podolanin, dawny przyjaciel mego ojca, Giżycki i przemyślanów wielka liczba. Węgrzy zawsze dla księcia z największą uprzejmością życzliwość swą okazywali. Las jodłowy i świerkowy już poprzeżynany ścieżkami, opatrzony ławkami, piękne do spaceru stanowił miejsce, ale góry gołej od północy rozciągającej się, niczem jeszcze nie ustrojono.

W końcu sierpnia wyruszyliśmy z Bardyowa i w Łańcucie blisko dwa tygodnie się zatrzymaliśmy. Fetowano nas w tym pysznym zamku wspaniale. Oprócz tego stół wyśmienity, fruktów najdoskonalszych obfitość, osobliwie też w deserze i w lodach codziennie dawanych szczególny okazywano przepych.

Księżna marszałkowa była tak prawie majętna jak jej brat, bo chociaż z fortuny księcia wojewody ruskiego mniej otrzymała, ale używała dożywocia na majątku księcia marszałka Lubomirskiego i jego braci. Aczkolwiek Wilanów, Nieporęt, pałac w Warszawie, Opatów i Pików odstąpiła swej córce, pozostał jej jeszcze Łańcut, Wiśnicz, Krzeszowice, Brzeżany, Przeworsk, Leżajsk, w Karpatach Skola, na Podolu Konstantynów, Satanów i inne nomenklatury, których już nie pomnę.

Bawiła podówczas w Łańcucie familia Geisrucków i przejeżdżający do Paryża ambasador rosyjski pan Markow. Miał przy sobie dwóch sekretarzy: Apraksyna i drugiego, którego nazwiska zapomniałem.

Sam ambasador odznaczał się oryginalnym ubiorem, bo nosił frak krojem *habit habillé* koloru ponsowego w centki czarne, a w mowie, jak na prawdziwego dyplomatę przystało był bardzo oględny.

Wówczas lepiej mogłem oceniać nieoszacowane skarby, które nagromadzono w tym pysznym zamku. Konie bronzowe, wazy marmurowe, alabastrowe, najwytworniejszych kształtów, obrazy sławnych mistrzów, statuy starożytne i słynnych nowoczesnych rzeźbiarzy — wszystko to literalnie zapełniało każdy z zakątków. W Łańcucie rozłączyliśmy się z księciem i z p. Ciesielskim wróciliśmy do Puław, kiedy książę feldmarszałek z resztą swojej asystencyi do Sieniawy pociągnął.

W Puławach rozpoczęło się zwykłe życie.

Kiedy się dziś zastanawiam i rozważam, jaki był cel podobnego życia, jednę tylko znajduję odpowiedź — oto zapomniano o wszystkiem i myślano jedynie o tem, żeby się dobrze bawić, a większość towarzystwa zapominała o swoich interesach własnych i prawie na domowników puławskich się zamieniała. Tak np. Dłuski, starosta łukowski, wprawdzie nie miał dzieci, ale mu nawet przez myśl nie przeszło, że ma żonę, dobra i gospodarstwo. Ciągle mieszkał w Puławach, a gościem tylko był u siebie. Naprożno z tego wiru chciała go małżonka wyciągnąć. Z Gutakowa przybywali posłańcy, że kupcy czekają na kontraktowanie zboża. To wszystko chowało się do kieszeni, lub odpisywano, że przyjechać nie można. Z ukształcenia był to istny francuz. W tabaczkowym fraku,

w pończochach, roztrzepany i zawsze w dobrym humorze.

Dawano na Kępie jakąś komedyę. Pan Czacki z Boremla grał w niej rolę ojca, a moja siostra jego córkę. Wszyscy i dzieło i jego przedstawienie chwalili. Pan Czacki odjechał do domu a wtem przybywa jakaś znakomita pani. Cóż robią? Posyłają sztafetę do p. Czackiego, żeby przyjechał grać ową rolę, naznaczając dzień reprezentacyi. Wezwany przybywa zrana, odgrywa wieczorem swą rolę i po balu do Boremla wraca. To mi przypomina także, że p. Wincenty Krasiński, przebrany za hiszpana w białym atłasowym stroju, z drugim kawalerem, zdaje mi się Zawiszą, przebranym za maura, wieczorem opuszczają Warszawę, stają zrana w Puławach i prosto udają się na salę Białą, gdzie właśnie śniadano. Tam nic nikomu nie rzekłszy, jeden drugiemu rzuca rękawicę i rozpoczyna się walka z wielkiem ukontentowaniem przytomnych.

Jak odbywaliśmy nauki nasze, teraz już tego nie pomnę. W łacinie tylko p. Laville zastąpił Groddek, który starał się także w uczniów swoich wszczepić greczyznę, ale usiłowania jego niewielkim cieszyły się skutkiem. Przez ten czas byłem dwa razy w Bardyowie, a raz w Lubieniu, przez całe lato i część jesieni, a z listów matczynych, które mi z tej epoki pozostały, widzę, że ciągle nas używano do fet, komedyi, spacerów, przejażdżek, tak że ta edukacya więcej się zasadzała na praktyce jak na teoryi. Przysłuchiwanie się i branie udziału w towarzystwie osób

wysokiego wykształcenia miało korzystny wpływ na rozwój umysłowy.

W r. 1803 miałem już lat czternaście i zaczynałem się wraz z rówiennikami przyczepiać do młodzieży starszej. Znajdowało się między nami kilku, niby to amatorów literatury. Stanowili to kółko: Bobowski, Fredro, Białopiotrowicz i ja. Schodziliśmy się około szóstej wieczorem w jesieni i zimie do Fredry na herbatę. Tam przegryzając ten trunek tortem, słuchaliśmy przekładów Fredry z tragedyi Rasyna, nad któremi wspólnemi siłami mozoliły się nasze mózgownice. Wiersze na wszystkie boki analizowano i poprawiano, co jednakże nie wydało pożądanego rezultatu. Andromacha, Brytannikus i Fedra pozostały w rękopismach, a potomność wcale na tem nie poniosła straty.

W tym czasie zaczął bywać w Puławach Anglik Pohlen. Jeździł on z dżokejem po Europie karyklem odkrytym, własną parą koni, w towarzystwie żony, z domu Gascogne, córki jenerała, zostającego w służbie rosyjskiej, a celem tych podróży było podratowanie majątku własnego, bardzo nadwerężonego. Oryginał, jak zwykle ci wyspiarze, ale jak na Anglika trzpiot i wesoły. To też jak raz w towarzystwie puławskiem zasmakował, prawie co rok po kilka miesięcy tu przebywał. Człowiek młody, przystojny, ślicznie tańcował. Żona jego także bardzo ładna i przyjemna osoba. Liberyą jego stanowiły białe aksamitne fraki, szafirowe kamizelki i spodnie — ubranie niezwykłe u nas, ale się dobrze wydawało. Skończył życie płynąc okrętem wzdłuż wybrzeżów Baltyku pod

Memlem, przez rozbicie się statku. Żona zaś jego osiadła w Anglii i żyła jeszcze w 1833 r. Ów pan Pohlen, jadąc raz z Berlina do Puław, miał sobie powierzonych kilkanaście słoików angielskich pikli, które księżna Ludwika Pruska księżnie Czartoryskiej przysłała. Przy obiedzie, skoro podano sztukę mięsa, Anglik odzywa się:

— *Princesse, je vous apporte une douzaine de pots des pickles de la part de la Princesse de Prusse.*

Rozkazano przynieść słoiki i ustawiono je na stole. Każdy zupełnie był oklejony kartami tytułowemi. Czytają naprzód gatunki, później wyjmują korki, ale każdy słoik okazuje się próżny.

— *Helas!* — rzekł na to z zimną krwią Pohlen — *c'est visible, que j'en ai trop goute.*

Inną razą przybył przeziębnięty, zakatarzony i z mocnym kaszlem. Sam więc z danego mu apartamentu nie wyszedł, tylko żonę przysłał do salonu. Gdy się o stanie zdrowia jej męża dowiedziano, natychmiast posłano doń doktora Goltza, ojca. Był to także w swoim rodzaju oryginał. Niski, pękaty, po francusku podług starożytnej mody noszący się, łysy, z długim harcapem. Dobry i praktyczny doktór, tylko w ważnych wypadkach dający lekarstwa, które we własnej apteczce, przy pomocy służącego Trojańskiego przyrządzał. Odwiedzając pacyentów przesiadywał u nich po parę godzin, dziwne androny prawiąc, które chorego w dobry humor wprowadzały. Wychodząc miał zwyczaj mówić: — Ja ci dam coś. — Czasem to to *coś* było lekarstwem, najczęściej jednak jakimś specyałem, przez panią Hagen, zarządzającą jego

kuchnią, przyrządzonym. Teorya jego lekarska polegała na tem, że chcąc w Polsce być zdrowym, nie należy używać aptek i doktorów, ale dwa razy w roku porządnie się upić. Raz w maju, zamiast kuracyi wodami mineralnemi, a drugi raz w październiku dla uniknięcia katarów, pleurów i chorób zapalnych.

Owóż Goltz, obejrzawszy pana Pohlen, powiedział mu:

— Połóż się i napij letniego ponczu dla wzbudzenia transpiracyi.

Pohlen obznajomiony ze zwyczajami puławskiemi posłał miejscowego lokaja do marszałka, żądając ponczu. Marszałek myśląc, że chce odwiedzających częstować, posłał mu wazę, w której było ze dwadzieścia cztery szklanki. Pohlen nie zląkł się tej dozy, ale położył się w łóżko i rozpoczął kuracyą obfitemi libacyami. Tymczasem księstwo otrzymawszy od Goltza relacyą o stanie chorego, postanowili go odwiedzić. Przychodzą do oficyny, w której mieszkał i zastają go pijaniusieńkiego, tańcującego z zataczaniem się w szlafroku po pokoju.

— *Que faites vous, M. Pohlen?* — pytają.

— *J'aide à exciter une transpiration* — była odpowiedź.

Okazało się, że Anglik całą wazę ponczu sam jeden wypróżnił.

Co do Goltza, był on w młodości lekarzem u księcia Jabłonowskiego, ojca księcia Stanisława, pana majętnego i rozrzutnego. Lubił te czasy zawsze wspominać i zawsze go one w dobry humor wprawiały, ale że w opowiadaniach swoich zwykł był egza-

BIBLJOTEKA Podoficerów zawodowych

gierować i prawił nieraz duby smolone, przeto mu powszechnie nie wierzono. Miewał też często swoje kaprysy: i tak, choć zwykle bezinteresowny i leczył wszystkich darmo najczęściej własnemi lekarstwami, raz, kiedy niebezpiecznie zachorowała księżna marszałkowa Lubomirska, nie chciał inaczej przejechać czterech mil, oddzielających Łańcut od Sieniawy, póki mu nie przysłano tysiąc dukatów. — Bogata — mówił — chce żyć, niech za ubogich płaci. Jadał zawsze u siebie bardzo smaczne potrawy, które mu przyrządzano i na nie rekonwalescentów zapraszał, mówiąc: tobie już lekarstwa nie pomogą, tylko dobre żywienie.

W innym rodzaju był pierwszy sekretarz księcia, pan Skowroński. Ten między innemi miał w tym czasie dwa szczególne zdarzenia. Był wówczas słynny rabuś Bogusławski. Ten przez niesłychane dowody zręczności i śmiałości popełniał liczne kradzieże, a przez rozległe z towarzyszami związki, zawsze zdołał uciec z więzienia, ile go razy pojmano. Raz wpadłszy do Puław, zaszedł do mieszkania Skowrońskiego. Otworzył jego biurko, poprzeczytywał różne korespondencye i wziął tylko sto dukatów, choć pieniędzy było znacznie więcej. Na biurku zostawił kartkę do Skowrońskiego tej treści: Dziwi się mocno, że sekretarz księcia, posiadający rozmaite jego tajemnice, tak mało jest dbały o korespondencye jemu powierzone, iż je można z łatwością znaleść i odczytać, jak on to uczynił. Żeby mu dać naukę i ukarać za tę nieostrożność, zabiera mu sto dukatów.

Kiedym mieszkał w r. 1811 w Lublinie, po raz może dwudziesty Bogusławskiego owego schwytano. Więzienie jego urządzono ze szczególną troskliwością, aby znowu nie uciekł. Kurytarz główny opatrzono dwoistemi drzwiami, z których jedne żelazne na rygle, tak jak okna były zamykane. Te ostatnie opatrzono dubeltową kratą i zamurowano tak, żeby człowiek przez otwór przecisnąć się nie mógł. Bogusławskiemu okuto ręce i nogi i prócz tego postawiono szyldwacha pod jego oknem na dole, aby ciągle dawał na niego baczenie, a inspektor codzień obowiązany był celę jego rewidować. W ogrodzie Wizytkowskim, w którego klasztorze znajdowało się to więzienie, stał mały domek na skład naczyń ogrodowych przeznaczony. Pewnego wieczora, około godziny 10 w lecie, straż ogniowa daje znać, że domek ten się pali. Pośpieszono na ratunek i choć buda ta spłonęła, z powodu odległości od budynków obszerniejszym pożarem nie zagroziła. W czasie tym jednak Bogusławski zdołał przepiłować kajdany, rozwalił mur w oknie, wyłamał kraty i uciekł, żelaznym drągiem szyldwacha ogłuszywszy. Później go znowu złapano i osadzono już nie w Lublinie, gdzie miał dużo spólników, ale w Chęcinach i tam życia dokonał.

Drugi wypadek, jaki miał miejsce z panem Skowrońskim, był następujący. Posłano go do Gdańska dla odebrania 11.000 dukatów. Sumę tę uzyskawszy, w baryłkę ją zapakował, w koszyku w nogach swoich umieścił i do Puław dążył. I on i służący zasnęli tak mocno, że dwie stacye przespali i dopiero na trzeciej Skowroński przebudziwszy się dostrzegł,

że baryłki nie masz. Wszelkie poszukiwania były daremne i do Puław bez pieniędzy wrócił. Parę lat minęło i już zapomniano o tej stracie, kiedy książę odebrał list od słynnego Magieta, rabina w Kozienicach, uchodzącego u żydów za świętego, w którym mu on donosi, że zguba się odzyskała i że można ją odebrać pod następującemi warunkami: 1) że książę złodziejom wybaczy; 2) że będzie się kontentował odzyskaniem tylko 10.000 dukatów, gdyż jeden uroniono; 3) że dopytywać się nie będzie rabina, jakimi sposobami kradzież tę odkrył. Książę na warunki przystał i pieniądze mu wypłacono. Wtedy książę postanowił sam osobiście odwiedzić Magieta.

Wraz z p. Ciesielskim byłem wizyty tej świadkiem. Kozienice wówczas inną jak obecnie miały postać. W Długiej ulicy od strony Puław, stały jeszcze porządne domki mieszkalne fabrykantów broni, których Stanisław August tutaj sprowadził. Rynek ogromny jakby w najcelniejszych miastach otaczały karczmy przez architekta Kublickiego stawiane, ale do właściwego użytku niezdatne. Okna bowiem miały potężne, a izby obszerne a wysokie, w zimie nie były możliwe do ogrzania. Reszta miasta, prócz pałacu królewskiego, który zamykał rynek, była to mięszanina domków drewnianych, szczupłych, brudnych, błotniste tworzących ulice, w których komunikacye utrzymywano za pomocą porozrzucanych dylów.

Za przybyciem naszem do Kozienic w licznej asystencyi, gdyż książę nigdy nie puszczał się w drogę bez orszaku, udaliśmy się do mieszkania Magieta, którego domek znajdował się wpośród brudnych uli-

czek. Za nami postępował tłum żydów, ze znakami największego zadowolenia, że *feldzeugmeister* wojsk austryackich i taki wielki potentat idzie odwiedzać ich świętego. Radość tę wyrażono najrozmaitszymi sposobami. Jedni krzyczeli, drudzy śpiewali, inni tańcowali. Żydówki i bachory płakały ze szczęścia. Wpośród tego hałaśliwego zgiełku weszliśmy do Magieta, wprost z sieni do dużej izby, gdzie za przepierzeniem leżał święty na piramidzie betów. Byłto staruszek, mający około 90 lat wieku, całkiem biało ubrany, z białą jak śnieg brodą, sięgającą mu aż do pasa. Twarz miał drobną, chudą i pełną zmarszczek. Książę przybliżywszy się do łoża, zaczął mówić po polsku. Magiet kiwnął głową, ale nic nie odpowiedział. Książę myśląc, że po polsku nie umie, użył języka niemieckiego — toż samo milczenie. Odezwał się więc feldmarszałek po hebrajsku, bo i ten język znał bardzo dobrze, ale znowu ten sam skutek. Widząc więc niepodobieństwo wyciągnięcia od świętego choćby najmniejszego słowa, wróciliśmy do karczmy na obiad. Odprowadzały nas znowu jak poprzednio tłumy żydów, a ich entuzyazm teraz manifestował się także i na cześć rabina. — Nasz Magiet, co to za mądry — powtarzano ciągle i nie wiem, czy to uparte jego milczenie za dowód mądrości brano. W każdym razie byłto człowiek dobroczynny. Z całego kraju toczyły się ciągle do Kozienic bryki z ofiarami dla świętego. On je wszystkie przyjmował, a co piątek, co tylko wpłynęło, między ubogich rozdawał. Oprócz datków pieniężnych ofiary te wynosiły od 80 do 200 korcy zboża tygodniowo.

Później już dowiedziano się, że pieniądze te widząc podróżnych śpiących, wykradł pocztylion i w krzaki je schował. Następnie porzucił służbę, ożenił się i tysiąc dukatów wydał na założenie gospodarstwa. Lecz jakim sposobem Magiet do niego trafił i jak resztę odzyskał, to pozostało tajemnicą.

W lecie 1803 r. książę wybrał się tak jak zwykle do Bardyowa, a marszałek Potocki, moja matka i wiele innych osób towarzyszyliśmy księżnie do Lubienia. Ja i młody Goltz, jako lekarz nadworny, podróż tę i tam i nazad odbyliśmy konno. Księżnę wtenczas opanowała pasya łowienia ryb na wędkę — rozrywka, która i mnie wielce zajmowała. Miałem doskonałe angielskie wędki, te więc, jak i zapas glist, starannie z ziemią w słoikach pielęgnowanych poszły naprzód z furgonami.

Lubień, wieś tak jak wszystkie ruskie, bardzo jest osiadła, a należała do arcybiskupstwa lwowskiego, którego pasterzem a zatem i jej posiadaczem był podówczas ksiądz Kicki, brat pana koniuszego koronnego, i Augusta, starosty krasnystawskiego, zamianowanego później kasztelanem. Jechaliśmy zwykłym traktem na Zamość, Tomaszów, Rawę, Żółkiew i stąd na Janów do Lubienia.

W Żółkwi w kościele z ciekawością oglądałem obrazy pędzla d'Altamont, przedstawiające zwycięstwo Jana Sobieskiego i nagrobki familii Daniłowiczów i Stanisława Żółkiewskiego.

W Lubieniu są wody siarczane, łazienki przy źródle i ogródek, wtedy tylko co założony. Na drugim

końcu wsi cerkiew, a naprzeciw niej karczma, taka jak wszystkie karczmy polskie. Ulokowanie się przy podobnym niedostatku budowli niełatwe. Zajęto całą karczmę dla księżnej, pani Matuszewiczowej i mojej matki. Ze stajni za pomocą dywanów utworzono salon, w którym dawano obiady, wieczerze a nawet i fety. Reszta towarzystwa rozlokowała się po chałupach włościańskich, sypiając na sianie i obywając się bez stolików i stołków.

W Lubieniu cały dzień odzywały się albo dzwony cerkiewne, albo głos sąsiadki naszej pani Dydyńskiej w ruladach na wszystkie gamy. Ta pani w istocie dobrze śpiewała, a muzykę lubiła namiętnie. Nie była już wtedy pierwszej młodości, chuda, czerniawa i ospowata, ładną tylko miała kibić. Jak w towarzystwach nieuchronną było rzeczą słuchać mnóstwa aryi i aryetek, które się z jej gardła, jak z rogu obfitości sypały, tak u siebie ciągle odbywając studya, uszy nasze nielitościwie męczyła.

Są na świecie rozmaite w obu płciach nawyknienia i nałogi. Tak w Puławach bywała pani Chrzanowska, osoba majętna, która przywiązała się do baranka, czy owieczki, z takiem zamiłowaniem, że się stał nieodstępnym jej towarzyszem. Woziła go z sobą w karecie, mieszkał w jej sypialni, a skoro tylko nie miała go przy sobie, porywały ją o los jego macierzyńskie niepokoje i porzucała towarzystwo, aby bieżeć do niego. Pani Olędzka znowu, ta co później w Dreźnie z mężem osiadła, miała gęś, z którą rozłączyć się nie była w stanie. Wodziła ją sama na wstą-

żeczce na paszę i całe życie nią tylko zatrudniona była.

Uchodzą Anglicy za oryginałów, ale właściwie powiedziawszy, nie brakuje ich w żadnym narodzie a u nas pod koniec XVIII w. było ich pod dostatkiem. Pan Uniatycki naprzykład, z obawy aby oddech ludzki nie zarażał otaczającej go atmosfery zbytnią ilością azotu, w kościele swym parafijalnym modlił się pod ogromnym kloszem szklannym, a w pokojach swych siadywał, przedzielony od familii ścianą szklaną. Pan Dulski, o którego usterkach nawet i w pamiętnikach trudno opowiadać, miał ogromną służbę z samych pięknych dziewcząt wiejskich dobraną, a usługa odbywała się w taki sposób, jak to opowiedziano w książce *Moyen de parvenir*, ulubionem dziele królowej szwedzkiej Krystyny, które jej piękna hrabianka Sparre czytywała. A cóż dopiero ów pan starosta Kaniowski, który buzdyganem uderzywszy żyda i zabiwszy go, gdy od wojewody Żaby otrzymał za to wymówkę, kazał mu ich zawieść całą furę, oddając za jednego. Podobnież ów Brzostowski, starosta puński, o którego pustotach dziś jeszcze opowiadają w Droznie. Kiedy mieszkał w hotelu Polskim na *Schlossgasse*, na dole, najął przeciwległe po drugiej stronie ulicy pokoje i wywierciwszy dziurki w ścianach, poprzeciągał sznurki, za pociągnięciem których wywracał przechodzących. Gorzej jeszcze dał się we znaki, kiedy wieczorami dzwonił do drzwi i wyglądających przez lufciki Niemców osmarowywał smołą.

Owóż i w Lubieniu tego lata było dwie osobi-

stości w podobnym guście: pan Grabianka i senator Iliński.

Pierwszy illuminat, swedenborgista, długo we Francyi przemieszkując i na francuza prawie przerobiony, posiadał w całym układzie swoim coś osobliwszego. Mistyczność w mowie, nadzwyczajna ruchliwość i szczególne przysłowie: *jak się zowiesz*, co parę słów powtarzane, czyniły go odznaczającym. Lubił wino burgundzkie i znajdował, że to, które mu podawano u księżnej, ma jak się zowiesz, *un délicieux bouquet*. Raz u stołu chciał, aby mu tego wina podano, woła więc na usługującego kozaka — „Słyszysz, jak się zowiesz“ — „Wasyl J. W. Panie“, — odpowiada sługa. P. Grabianka nie był cierpliwy. Widać, że to zaleta illuminatom nie potrzebna, a kiedy się zbytnio rozgniewał, zwykle nic więcej jak swoje „jak się zowiesz“ powiedzieć nie umiał. Powtarza więc bez przerwy swoje przysłowie, a kozak kłaniając się, daje jednę odpowiedź: „Wasyl J. W. Panie“. Wszyscy się śmieli, kozak uciekł i pan Grabianka, dopiero wysapawszy się, zdołał powiedzieć, że mu o wino chodziło.

Senator Iliński był to człowiek bardzo dumny. Posiadał na Wołyniu dobra Romanów, którym nazwę tę dać miał w tym celu, żeby ona znaczyła *Roma nova*, to pewna, że w tym nowym Rzymie prowadził życie z przepychem, nie odpowiadającym zasobom majątkowym. Prócz licznej muzyki, utrzymywał trupę aktorów włoskich, kupił słynnego ogiera angielskiego Dyomeda, za którego zapłacił 10.000 dukatów. Koń ten jadał w marmurowym żłobie, a sztychy wyobra-

żające jego kształty i rysy po całym świecie rozsyłano. Temi rozmaitemi nadużyciami majątek mocno nadwerężył.

W Lubieniu, na swoje imieniny, umyślił w ogrodzie obok łazienek wyprawić fetę. Była więc naprzód pod namiotem herbata, lody, frukta, ciasta i tym podobne przysmaki. Muzyka rozmaite utwory przygrywała, a skoro się zmierzchło, senator z przed oczu gości zniknął, ale w jednej chwili ogródek tysiącem świateł zabłysnął. Grabianka *jak się zowiesz* powstał i zaproponował księżnej i towarzystwu, żeby zwiedzić iluminacyą. Ogródek, jak już mówiłem, był mały i młodymi krzaczkami zapełniony. Lecz czemuż nie podoła ludzka myśl, wytrwałością i funduszami wsparta? Przedstawiają się naszemu oku majestatyczne dęby, stuletnie świerki, a wszystko to na płótnie pomalowane i bogato oświetlone. Tu herby hrabiów Ilińskich z lampionów ułożone, owdzie hrabiowskie mitry, wyobrażenia orderów, któremi był zaszczycony, cyfry i gdzieniegdzie skromny napis *vivat!* — nie wiadomo czy dla gości, czy dla gospodarza przeznaczony. Błądząc po owym labiryncie, nagle stajemy obok zasłony. Muzyka daje się słyszeć, zasłona spada i okazuje się, że to będzie teatralna reprezentacya. Afiszów nie rozdano, aktorów jeszcze nie widać, będzie to więc opera, komedya, krotochwila, balet? każdy ginie w domysłach. Nikt jednak nie zgadł i siurpryza była zupełna. W pierwszym akcie cesarz Paweł dowiaduje się od Ilińskiego o śmierci Katarzyny, a gdy pyta jakiej nagrody chce za złożone powinszowania, on odpowiada, że prosi o zwolnienie więźniów pol-

skich. Iliński w szambelańskim mundurze sam grał tę rolę. W 2 akcie cesarz Paweł odwiedza Kościuszkę i marszałka Potockiego, który był pomiędzy spektatorami na tem przedstawieniu.

Z Lubienia powracaliśmy znowu na Zamość i tu część towarzystwa została z księżną, oczekującą na rozwiązanie swej córki, pani Stanisławowej Zamojskiej. Urodziła się córka i nazwano ją Celina. Później wydana za Tytusa Działyńskiego. Byłem świadkiem jej chrztu, jak i małżeństwa. Chrzest obchodzono suto i chociaż pałac w Zamościu co do mebli i ścian w zupełnem był zaniedbaniu, za to kuchnia, cukiernia, służba, powozy, konie nic do życzenia nie pozostawiały. Cały dwór ze służby zagranicznej złożony — Anglicy i Francuzi do składu jego należeli.

Bawiąc tam blizko dwa tygodnie, zrobiliśmy wycieczkę do Zwierzyńca, ulubionego mieszkania starszego brata, po którego bezpotomnem zejściu Stanisław Zamojski ordynacyą odziedziczył. Pan ten był melancholik, pojął za małżonkę córkę pana Granowskiego, któren po księciu kanclerzu Czartoryskim starostwo Przybysławickie otrzymał, a w Lublinie podczas trybunałów niesłychanych dokazywał rzeczy. Pomiędzy innemi przy pochodniach wyprawiał po ulicach przejażdżki w stroju Adamowym. Klemensów zaczęto dopiero stawiać, a budowniczy Francuz plany do pałacu i ogrodów ułożył i fabryką zawiadywał. Stanisław Zamojski sprowadził z Anglii i Paryża meble i to wszystko w pakach oczekiwało na wykończenie gmachu.

Zwierzyniec odpowiadał zupełnie charakterowi

ówczesnego ordynata. Zewsząd otoczony odwiecznym sosnowym lasem, wśród piasków, nad las także nie miał innego ogrodu. Dwór stanowił drewniany dom bez piętra i kilka oficyn dla administracyi ordynackiej, która dotąd tam przesiaduje. Część tych budynków zamieniono wkrótce na browar, wyrabiający porter, pierwszą tego rodzaju fabrykę w kraju, bo u Paca w Dowspudzie później powstała. Na dziedzińcu od frontu pałacu staw, a na nim wysoka mała kapliczka jedliną obsadzona. Wszystko to raczej wyglądało na klasztor Kartuzów, niż na mieszkanie tak znakomitego obywatela.

Samo miasto Zamość, wówczas pięć razy większe i ozdobniejsze jak teraz, otoczone wałami, stanowiło niby fortecę, ale przyznać należy, że ta w zaniedbaniu zupełnem zostawała. Nie orzeczono jeszcze podówczas do kogo istotnie i forteca i utrzymanie jej należeć mają. Ordynaci utrzymywali, że jest ich wyłączną własnością i rząd austryacki widać nie przywiązywał do niej wielkiej wartości. Upadały więc mury i osypywały się wały. Za fosami rozciągały się pięknie zabudowane przedmieścia, tu bowiem był cyrkuł, siedlisko starosty, kas i władz rządowych od r. 1772. Przedmieścia te w wojnie r. 1809 spalono i odtąd już więcej nie powstały. Sam rynek w guście miast włoskich stawiany, w kształcie czworoboku, w którym kamienice, tak jak w Padwie arkadami opatrzone, pozwalają w czasie deszczu lub skwaru pod osłoną cyrkulować ludności. Ratusz, jego wieża, a osobliwie zewnętrzne, prowadzące do niego schody, są istotnie bardzo piękne. Widać, że Jan Zamojski, za-

łożyciel miasta, akademii padawskiej dawny wychowaniec, architekturę tę zaprowadził. Podówczas istniała tu już wprawdzie nie akademia ale szkoła wyższa, dobrze zaopatrzona w fundusze i w profesorów, która ściągała tu nie tylko uczniów, ale i ich rodziny. Wskutek tego Zamość współzawodniczył z Lublinem i równą z nim posiadał ludność. Akademia miała piękną bibliotekę, w której znajdował się najpiękniejszy, jaki widziałem rękopis Długosza: Żywoty arcybiskupów Gnieźnieńskich na pargaminie, ozdobiony malowaniami, przedstawiającemi tych pasterzy i ich herby. Rękopis ten, jak i wiele innych rzadkości bibliograficznych przeszły na własność Ordynatów. Kościół katedralny (!) w Zamościu, w którego dzwonnicy jest dzwon bardzo wielki i z głosem donośnym, zawiera niejakie pamiątki, pomiędzy któremi celuje grób Jana Zamojskiego. Jest to płyta, na której literami bronzowanemi napis bardzo krótki, bo zawierający tylko te wyrazy: *Hic situs est Iohannes Zamoyski.* Najwłaściwszy to napis dla wielkiego męża, boć pochwały nieodpowiadałyby jego zasługom. Spoczywa tu także Szymon Simonides Będoński. W ołtarzu bocznym jest pyszny obraz Zwiastowania N. M. P. Niektórzy sądzą, że to dzieło Rafaela. Nie dzielę tego zdania, bo korona N. Panny tak pracowicie wykończona, iż zdala zdaje się jakoby do obrazu była przybita. Złudzenie jest tak wielkie, że ja sam drabinę kazałem przystawiać, aby się przekonać, że jest malowaną. Podobnie szczegółów Rafael nie wykończał i zdaje mi się, że to dzieło szkoły weneckiej a najprędzej Bellina. Koloryt wów-

czas był arcy żywy, ale teraz po upływie lat pięćdziesięciu znacznie ucierpiał.

Przy chrzcie panny Celiny wstawiono beczkę wina węgierskiego i tę wypiliśmy na jej weselu. Ale było wtenczas już tak stare, że musiała już liczne rachować lata, kiedy ją stawiano.

Za powrotem do Puław pozachodziły niejakie zmiany w towarzystwie, które się na zimę zebrało. Przybyła tu mianowicie panna Laura Potocka, córka jenerała brygady Jana Potockiego, dotąd wychowywana w Wiedniu wraz z księżniczką Sydonią de Ligne, późniejszą małżonką pana Franciszka Potockiego. Dowcip jej i wesołość w potocznem życiu, nadały naszemu towarzystwu wiele uroku i pomiędzy przybyłą a moją siostrą zawiązała się serdeczna przyjaźń. Korzystając z jej dobroci, chciałem się wyćwiczyć w języku niemieckim i zaczęliśmy czytywać razem Schillera *Maryą Stuart* i *Narzeczoną z Messyny*, ale niestety — niewielkie w tej nauce postępy uczyniłem.

IV.

Zdaje mi się, że zanim do opisu współczesnych wypadków przystąpię, nie od rzeczy będzie dać krótkie wyobrażenie o ówczesnych towarzystwach, zwyczajach, panujących mniemaniach i sportretować niektóre ważniejsze osoby.

Upadek Rzeczypospolitej w końcu r. 1794 i ostateczny podział kraju wywarł wpływ niezmierny na stosunki towarzyskie. Wiadomo iż około roku 1792 wszystkie domy bankierów warszawskich, jako to: Teppera, Kabryta, Scholtza, Prota Potockiego, Majznera, Łyszkiewicza ogłosiły swą niewypłacalność. Mówiono, że z powodu wojny targowickiej, kiedy Rosya wstrzymywała zaspokojenie likwidacyi Teppera za dostawy w wojnie tureckiej, pociągnęło to upadek jego i innych bankierów. Niezawodnie, że wchodziło w rachubę Rosyi podkopywać i tak już upadającą budowę Rzeczypospolitej, odejmując jej tak potężny środek, jakim jest kredyt wewnątrz kraju. Ślady tego widać w korespondencyach o dwa lata późniejszych między posłem rosyjskim w Holandyi a Sieversem. Sivers mianowicie żądał żeby wszelkiemi siłami prze-

szkadzać zaciągnięciu na rzecz Polski pożyczki w Holandyi, która to suma mogłaby posłużyć na wzmocnienie siły zbrojnej. Ale znajdujemy także dowody w tych korespondencyach, że w chwili upadku Teppera w kasie jego znajdowała się znaczna suma, bo przeszło trzy miliony złotych polskich, należących do Skarbu rosyjskiego. Sievers uważał je jako depozyt i żądał aby przed wszystkimi wierzycielami skarb rosyjski był zaspokojony.

Lecz jakikolwiek był rzeczywisty powód upadku banków, to skutki bankructwa zadały cios wszystkim stosunkom majątkowym obywateli. Bankierowie warszawscy, dla zadosyćuczynienia potrzebom intendentury rosyjskiej, zaciągali od prywatnych kapitały na 8, 9, a nawet i 10 od sta rocznego procentu. W ich ręku więc zebrały się wszystkie zasoby pieniężne kraju. Ci, którzy nie posiadali ziemi, czyli kapitaliści, pod tym ciosem ulegli od razu i wystawieni na długie likwidacye, po długich latach oczekiwania zaledwie $^1/_{20}$ część swego kapitału odzyskali. Niektórzy, mianowicie wierzyciele Prota Potockiego po latach 60 jeszcze rezultatu upadłości doczekać się nie mogą.

Kiedy do tej majątkowej klęski dołączył się jeszcze wyjazd króla ze stolicy, rozproszenie się jego dworu i przecięte kraju granice trzema liniami komor międzynarodowych, podejrzenia i trudności w uzyskiwaniu pasportów, wszystko to oddziałało bardzo szkodliwie na stan miast i ich towarzyskie stosunki. Warszawa pierwsza ucierpiała niezmiernie. Owe pałace magnatów, przedtem zbytkiem zaludnione, stały pustkami, bo każdy z panów wolał na wsi trawić spo-

kojne chwile, aniżeli plątać się w towarzystwo Niemców, skąpych, skrzętnych i z pogardą na krew słowiańską patrzących. Z murów zaczęły powoli tynki opadać, a bruki na dziedzińcu trawą zarastały. Bądź skutek to zmiennej temperatury i nieregularnego jej odświeżania, bądź brak codziennego starania o zachowanie miejsca, w którem się mieszka, pewną jest jednak rzeczą, że gmachy nie zamieszkałe prędko ruinie ulegają.

Kraków podobnego także doświadczał losu, ale inaczej działo się we Lwowie i w Poznaniu.

Pierwsze z tych miast od r. 1772 w posiadaniu Austryi, pod łagodnem panowaniem cesarzów austryackich, zamiast upadać, wzrastać poczęło. Przeniesiono tu najwyższe sądy dla obu Galicyi, a gubernium tych dwóch prowincyi ściągało i obywateli i ludność, zresztą charakter władzy dwóch panów, choć z jednego pokolenia pochodzących, wcale był różny i zasady rządzenia nie jednakowe. Prusacy, swą cywilizacyą dumnie wnosząc do kraju nabytego, narzucali swe prawo cywilne i administracyjne i wyższością swą rzekomą uciskali owych *nieuków porządku* jak zwali Polaków, do urzędu ich nie dopuszczając. W Galicyi rzecz miała się inaczej. Prócz gubernatorów, ludzi posiadających zaufanie rządu i rzeczywiście znakomitych, nie ustanowiono w sądownictwie urzędów, do administracyi zaś napędzono Niemców goliaszów, którzy niespodziewaną otrzymawszy karyerę, za główny swój obowiązek poczytywali w niczem się obywatelom nie narazić. Przyjmowali lada jaki datek, choćby połeć słoniny z wdzięcznością i sami interesa obywatel-

skie z uniżonością załatwiali. Galicyanie za boże stworzenie Niemców tych nie mieli.

Kiedy do cyrkułu stanisławowskiego mianowany został kapitan, starosta cyrkularny i urząd objął, zapragnął przedstawić się pani Kossakowskiej, z domu Potockiej, kasztelanowej Kamieńskiej, która tu najobszerniejsze dobra posiadała. —Jak się Jegomość nazywa? — zapytała ona Niemca na prezentacyi.

— Nagi — była odpowiedź. — Nie bój się, porośniesz kochanku, odpowiedziała — wszyscy tu z tłómoczkiem na plecach przybywają a karetami odjeżdżają. Wkrótce nagim być przestaniesz.

W udziale rosyjskim podnosiło się Wilno, bo dzięki dobroczynnym cesarza Aleksandra zamiarom, a za staraniem księcia Adama Czartoryskiego, zreformowano tam ową sprawiedliwie później słynną akademią, obfitymi funduszami ją uposażywszy. Starano się o obsadzenie katedr znakomitościami krajowemi i zagranicznemi. Sławny Frank, ów Frank, który jak Hipokrates był podówczas wyrocznią, objął jedną z katedr medycyny. Groddec, dwaj Śniadeccy, że o innych przemilczę, także niepoślednim blaskiem świecili. Akademia ściągała młodzież ubogą i bogatą i razem także jej rodziny.

Drugim punktem w obszernym tym udziale był Krzemieniec, także za łaską panującego, wskutek starań Tadeusza Czackiego i składek obywateli wołyńskich i podolskich powstały. Aczkolwiek nie posuwał nauk tak wysoko jak Wilno, wykłady jednak były tak gruntowne, że w szkole tej mnóstwo znakomitych talentów wykształcić się zdołało. Krzemieniec

z lichej mieściny podniósł się od razu i zaczął rywalizować z miastami celniejszemi, a siedlisko jego szczególnie jest obrane, gdyż leży ono w rozdole, między dwiema wysokiemi górami i całe przeważnie wybudowane na pochyłej spadzistości. Sławny Besser uczył tutaj botaniki.

Co do Poznania, miasto to zbliżone do granicy Prus i Niemcami znacznie zaludnione, zwiększało się ciągle przez napływ rozmaitych spekulantów, a choć pod względem towarzyskim, a szczególniej czysto polskim, nie było znać postępu, jednak pod względami ekonomicznymi rozwinęło się znacznie.

W stosunkach takich dawne towarzyskie życie miejskie ustało. Ci, którzy ponieśli ciężkie straty majątkowe przez bankructwa, osiedli na wsi celem dorabiania się chleba: ci zaś których fortuny potężne oparły się klęsce, także miast unikali, żeby tam nie spotykać się z Niemcami. Wskutek tego szlachta polska, dla której życie towarzyskie jest koniecznym istnienia warunkiem, siedziała ciągle na wózku, w odwiedzinach krewnych i przyjaciół przejeżdżając z jednego końca kraju na drugi. To nam tłómaczy także wiele okoliczności życia Puławskiego dworu i przesiadywania tu przez lata całe osób przybyłych z dalekich okolic.

Na ten termin także przypada napływ emigracyi francuskiej, która obficie rozlała się po Polsce. Było to czoło dawnej elegancyi i arystokracyi dworu Ludwika XVI, tutaj wygnańcy bez majątku i sposobu do życia, doświadczali w domach obywatelskich gościnnego przyjęcia. Ludwik XVIII ówczesny tytu-

larny ich król zamieszkiwał w Warszawie, a chociaż otrzymywał pieniężne wsparcia od dworu angielskiego i rosyjskiego, te nie były dostateczne, aby całe legiony emigracyi wspierać.

Mnóstwo Francuzów obojej płci, nie chcąc być nikomu ciężarem pełniło obowiązki guwernerów i guwernantek. Tak naprzykład przy pannie Mniszchównie guwernantką była dama orderowa pani margrabina de La-Porte; tak znałem jako nauczyciela hr. de Rochechouard, a wszak zresztą i Ludwik Filip Orleański był nauczycielem szwajcarskich chłopów.

Ta inwazya obcej narodowości dwa szczególniej sprowadziła skutki. Naprzód pewien rodzaj odrazy do rewolucyi francuskiej, której dobra strona nikła w umysłach na widok tych ofiar i pod wpływem opisywanych przez nich okrucieństw, które konwent z zimną krwią popełniał. Powtóre w obyczajach towarzyskich została po nich pewna pamiątka. Nie powiem zaszczepienie grzeczności salonowej, bo ta i bez nich już w wyższym nawet jak obecnie stopniu istniała, ale metoda prowadzenia konwersacyi, w której ani zajmując się polityką, ani szkalując i obmawiając sąsiadów zdołano utrzymywać ożywienie i interes.

Z emigracyi francuskiej dwie tylko znałem osoby, zamieszkałe w odległych punktach, które przez swe postępowanie stawały się rzeczywiście nieznośne. Chcę mówić o pani de Vauban i ks. biskupie Laońskim z familii de Sabran. Ten ostatni osiadł w Łańcucie u księżnej marszałkowej Lubomirskiej i swoją dumą, swemi wymaganiami stał się wszystkim nie-

miły, a dla księżnej był prawdziwym ciężarem, który ona znosiła z istnie chrześcijańską pokorą.

Co do hrabiny de Vauban, ta wraz z mężem znalazła przytułek Pod Blachą — tak zwano pałacyk księcia Józefa Poniatowskiego, obok Zamku w Warszawie się znajdujący. Kiedy Ludwik opuścił Warszawę i przeniósł się najprzód do Memla a później do Edynburga i w słynnym Holy-Rood zamieszkał, hrabia de Vauban, potomek słynnego Vaubana udał się za nim, jako tytularny urzędnik jego dworu. Hrabina zaś pozostała w Warszawie i nie tylko opanowała Blachę, ale i całe towarzystwo warszawskie, nad którem z niesłychaną tyranią panowała aż do r. 1813, kiedy wejście Rosyan do Warszawy koniec jej władzy położyło.

Czem ta pani zdołała ujarzmić księcia Józefa— doprawdy nie pojmuję. Nie była to miłość, boć do tego ani osoba ani wiek jej nie były stosowne, a zresztą książę miał wyłączne przywiązanie do pani Czosnowskiej, z domu Potockiej, co całej Warszawie nie było tajne. Pani de Vauban była brunetka z płcią śniadawą, południowym krajom właściwą, z pewnymi czarnymi centkami, rozrzuconemi po twarzy. Czy to były piegi, czy tylko takie znamiona drobniuchne, powiedzieć nie można. Obok tego nosiła na twarzy ślady odbytej ospy, co zresztą aż do czasów wynalazku Jennera bywało dość pospolite. Nerwowa w najwyższym stopniu a grymaśna jeszcze bardziej, wiecznie leżała na szezlągu, brabanckiemi okryta koronkami, a w pokoju i zimą i latem utrzymywano zawsze temperaturę trebhauzową. Była zaś taka chuda, że

skóra obciągała same tylko kości. Otóż pani ta tak owładnęła naszego bohatera, że ze szponów jej aż do śmierci wyrwać się nie potrafił. Nie był panem ani swego domu, ani majątku, ani czasu, i nie mógł zaprosić do siebie, kogoby mu się podobało. Intraty jego pobierała, rozrządzała niemi, a bywać mu wolno było tylko tam, gdzie ona pozwoliła.

Co dziwniejsza, że nie tylko jego, ale i całą Warszawę trzymała pod ścisłą ferulą. U nikogo nigdy z wizytą nie była, a wymagała aby wszystkie damy jej się prezentowały, jeśli do Warszawy przybędą. Te zaś, które stale tutaj mieszkały, musiały w dnie przyjęcia bywać w jej cieplarni, lub zaraz nazajutrz usprawiedliwić się osobiście, a przynajmniej listownie i wytłómaczyć powody swojej nieobecności.

Warszawa po insurrekcyi kościuszkowskiej stała lat kilka prawdziwemi pustkami i raz tylko ożywiła się, kiedy król pruski przybył odbierać *hommagium* i nakazał, aby obywatele stawili się na uroczystości i bale dworskie. Koło r. 1800 nabrała cokolwiek życia, kilka bowiem domów otworzyło swe gościnne podwoje. Książę Józef z Jabłonny na zimę tu zjeżdżał, Stanisław Potocki również z Olesina lub Wilanowa i Gutowski z Nowego Dworu, czyli Góry. Ci byli w istocie blizkimi miasta sąsiadami. Co do Stanisława Małachowskiego, ten dla podeszłego wieku stałe już tutaj schronienie sobie obrał, mając przy sobie krewną, księżniczkę Radziwiłłównę, a później jej męża Wincentego hrabiego Krasińskiego. Oprócz tego panie: Połoniecka, Świdzińska staruszka poważna i Sołtykowa miały swe salony otwarte.

Dopóki jeszcze legiony obok wojsk francuskich wawrzynami nieśmiertelnymi skronie swe zdobiły, dopóki wojna trwała — promyk nadziei i zmiany tlił w sercach dobrze myślących. Utrzymywano w Paryżu agenta, którego dyrektoryat i ówczesne rządy półurzędownie uznawały. Lecz po pokoju w Campo-Formio wszelka nadzieja zmiany losu upadła. Nie widząc żadnego jaśniejszego celu przed sobą, postanowiono zająć się przynajmniej zachowaniem języka i szerzeniu się giermanizmu opierać. Ta myśl dała początek Towarzystwu Przyjaciół Nauk i pobudziła do życia wydawnictwo Nowego Pamiętnika Warszawskiego.

W tym okresie pięcioletnim do r. 1800 cena domów i willi pod Warszawą bajecznie upadła. Powązki, owa cudna posiadłość księżnej Izabeli Czartoryskiej, na której upiększenie krocie włożono, sprzedana została za 40.000 złp. W r. 1810 były one własnością ojca JW. Łaszczyńskiego. Z kolegą, a jego synem pewnego ranka pojechaliśmy zwiedzić to ustronie dobrze mi znane z opisów, jakie moja matka, posiadająca tam własny domek, często mi czyniła. Prócz gęstego lasu i szczątków trzech kolumn korynckiego porządku, nie znalazłem nic więcej. Owe pałacyki, kanały, wyspy, dworki, które w Arkadyi pędzlem Norblina są oddane, trwalszą zostawiły pamiątkę Powązek niż samo miejsce, w którem teraz dominował pyszny browar piwny, nie małe Łaszczyńskiemu przynoszący zyski. Pałac Tarnowskich sprzedany został za 20.000 złp. za takąż cenę kupił Czarnecki dom z ogrodem, należący do Ordynatów Zamojskich, dziś urząd konsumcyjny. Cokolwiek lepiej zachowaną była willa

księżnej Lubomirskiej Mokotów, ale i ta tylko ruiną zwać się mogła, dopóki pani Wąsowiczowa odświeżania jej nie powzięła zamiaru.

Mody wówczas, mimo wszelkie przeciw Francyi narzekania, mimo nieprzyjaźń rządów, które nad nami panowały, mimo tej silnej emigracyi, która stanowiła znakomitą część salonowego towarzystwa wciskały się wprost z Paryża do warszawskich komnat. Zaniechano nosić puder i tapirować fryzury; harcapy ustępowały krótko obciętym włosom, a tuniki greckie zdobiły niewieście kibicie. Pani Bronikowska, która elegantkom przewodniczyła, ukazała się raz na balu bez pończoch i trzewików *en brodequins*, a nóżka jej zgrabna nie lękała się tej wystawy. Inną razą wystąpiła bez koszuli w tunice greckiej. Lecz mimo całą powagę jaką zdobyła, prowadząc rej w modach, naśladowców, a właściwie naśladowniczek nie znalazła.

Z mężczyzn na czele elegancyi stał książę Józef. Wprowadził on w modę, tak nazwany mundur Jabłonny. Był to frak jasno-zielony z guzikami złotemi, na których wyobrażany był koń rasy angielskiej, upstrzony małemi jasnemi gwiazdkami.

Do elegantów także należał Wincenty Krasiński, młodzieniec przystojny, żywy i dowcipny. Ten z pułkownikiem Molskim miał pojedynek o jakieś wiersze i wyniósł z niego poprzeczną kresę, która kształtny jego nos orli oszpeciła. Dalej odznaczał się między młodzieżą Paweł Bieliński, miły, wesoły, obdarzony żywym i śmiałym dowcipem. Raz na wieczorze u pani Aleksandrowej Potockiej, Tyszkiewiczównej z domu, siostrzenicy królewskiej, później panią Wąsowiczową

zwanej, bona na ręku przyniosła małego Gucia, dzisiejszego Augusta Potockiego (nie żyjący już właściciel Wilanowa). Pani ta rozumem i uprzejmością celowała, ale dowcip sarkastyczny posiadała na równi. Na wieczorach swych naśladowała p. de Maintenon i tak jak u niej kolacyą późno podawano. Otóż hrabina wskazując na dzieciaka, rzekła do Bielińskiego: *Tenez Mr Bieliński, admirez mon Gustave.* — Ach pani, odpowiedział, wzdychając głęboko — Gustaw, ale nie Waza. Niestety ceniony powszechnie Bieliński nie doczekał się zorzy odrodzenia politycznego, bo zgasł bardzo wcześnie.

Nakoniec koło przywódzców elegancyi męskiej warszawskiej zamykali dwaj bracia Górscy i Zawisza, którego zwano w Puławach Czarnym, bo rzeczywiście z tej rodziny pochodził.

Towarzystwo w Krakowie jeszcze mniej było świetne. Ograniczało się na kilku familiach jak Wielopolskich, Wodzickich, którzy ścisłą etykietę przestrzegali, z Niemcami się nie łączyli, ale też i nudzili się uczciwie.

Lwów inną miał barwę. Gubernatorowie trzymali tu dom otwarty i nadawali ton towarzystwu. Oprócz tego stale tu mieszkał magnat polski, pisarz korony Kazimierz Rzewuski. Ten aczkolwiek piątego dochodził krzyżyka, zawsze w obejściu, stroju i obyczajach pozował na młodzika, a przez swój majątek i stosunki silny wpływ wywierał na towarzystwo. Dalej domy Starzyńskich, Korduli Potockiej, Łosiów, Tarnowskich były zawsze dla gości otwarte. Adjutantami pana pisarza wówczas byli: pułkownik Czyż, piękną

galeryą obrazów posiadający, w której widziałem cudownego Murilla, i Raczkowski kapitan, amator muzyki, ładnie na skrzypcach grający, który wykradł podobno swą żonę, ładną brunetkę, dzisiejszą panią Dobkową.

Na czele familii Łosiów stał wojewoda Łoś, oryginał w guście angielskim. Miał on na dziedzińcu swoim trzy bramy — jedna senatorska, druga szlachecka, trzecia dla pospolitego ludu. Odźwierni pilnowali, aby nikt nie ważył się niewłaściwą bramą wjechać lub wejść na dziedziniec. Kiedy generał Orłowski po rewolucyi przybył do Lwowa i był u niego z wizytą, wojewoda zapytył go:

— I cóż generale?... cóż tam o Turkach słychać w Kamieńcu? Orłowski przed Targowicą był komendantem kamienieckiej fortecy. Był on na jedno oko ślepy i w powiece tego oka miał jakieś konwulsyjne drganie. Nadto mało mówił i co moment odchrząkiwał, bo mu kiedyś w gardle polip wyrósł, który mu operowano.

— Panie wojewodo — odrzekł — ja już od lat sześciu w Kamieńcu nie byłem. Rosyanie go zajęli i są z Turkami w pokoju.

— A cóżeś waść zrobił generale, żeś Kamieniec opuścił? Wszak to forteca!

— Panu wojewodzie przecież nie tajno — mówił zdziwiony Orłowski — jakie były wypadki — Rozbiór kraju...

— Ach czyż można takim bredniom dać wiarę — przerwał Łoś żywo — to koncepta gazeciarskie. I mnie

wprawdzie coś o tem gadano, ale *Deus me avertat*, żebym podobnym głupim pogłoskom miał wierzyć.

Jan Amor hrabia Tarnowski, ożeniony z Ustrzycką prowadził dom bardzo ożywiony. Jeszcze był podówczas Markuszewa nie nabył, w którym popioły jego spoczęły.

W Poznaniu nie było innych towarzystw jak tylko niemieckie, w Wilnie sawanci i młodzież akademicka, a w Krzemieńcu oprócz uczonych i młodzieży, towarzystwo wyższe. O tych jednak miastach dużo szczegółów podają drukowane książki, a tem więcej, że w życiu tych okolic nie uczestniczyłem, nie chcę o nich opowiadać.

Głównie jak już wspominałem życie towarzyskie koncentrowało się na wsi, a opisując zwyczaje puławskie co nie tak prędko się jeszcze wyczerpnie, sądzę, że dam charakterystykę tego sposobu życia najlepszą.

Żeby nie powtarzać ciągle szczegółów o osobach biorących w niem udział, wyliczę tu odrazu najznakomitszych i najczęstszych gości.

Z ministrów szczególnie trzech często się tu spotykało: Ignacego Potockiego, podskarbiego Kossakowskiego i biskupa Skarszewskiego.

Ignacy Potocki był wzrostu wysokiego, włosy nosił zaczesane z czoła w tył głowy, pudrowane i z harcapem. Twarz zwykle wesoła, nos prosty cokolwiek przygruby, oczy niebieskie — łagodne. Mimo że cierpiał na pedagrę zawsze się nosił w pończochach i trzewikach, a krótkie spodnie i kamizelka były aksamitne czarne, frak zaś zawsze niebieski. Syn Eustachego Potockiego, generała artyleryi, który w Ra-

dzyniu mieszkał, miał czterech braci: Stanisława, dziada pana Augusta, Jana, który poślubił Rożniecką, matkę generała Rożnieckiego, i pani Władysławowej Tarnowskiej, Jan z żony tej miał jedyną córkę Laurę, wydaną za mąż za Stanisława Tarnowskiego, dziedzica Tarnoskały, Egipcyaninem zwanego. Dwaj inni bracia: Kajetan, starosta dymirski i Jerzy, starosta tłomacki.

Ignacy i Stanisław Potoccy poślubili dwie siostry księżniczki Lubomirskie, córki księżnej marszałkowej, siostry Adama księcia Czartoryskiego. Żona Ignacego wcześnie zmarła, zostawiwszy jedyną córkę Krystynę, która także na suchoty, zdaje mi się w roku 1800 zakończyła życie.

Ignacy w spadku po rodzicach dostał Kurów, Klementowice, Michów i Świdry z przyległościami. Posagu po żonie nie wziął, procent tylko dopóki żyła pobierał. Po jej zgonie zaś, nie wiem jakie były przyczyny, że księżna marszałkowa zięcia i wnuczki nie lubiła, ale to pewna, że na kłopoty majątkowe Ignacego Potockiego żadnego nie miała względu i nigdy, pomimo ogromnych bogactw swoich z pomocą mu nie przyszła.

Drugiej córce, żonie pana Stanisława, który w dziale po ojcu dostał Biłgoraj, była przychylniejszą i za życia jej oddała klucze: Satanowski na Podolu, Opatowski w Sandomirskiem i piękny Wilanów z Nieporętem pod Warszawą.

Jan Potocki dostał po rodzicach Radzyń i Serniki. Żona jego utracyusz i fantastyczka, sypiąc kopce aby zasłonić kościół Sernicki, by go z domu nie było

widać i wyprawiając inne dziwactwa, tak straciła majątek, że pan Jan z córką utrzymywał się z łaski Ignacego, który prócz dzierżawy Klementowic nic więcej nie posiadał.

Dwaj pozostali bracia, starostowie dymirski i tłomacki także swe schedy stracili doszczętnie. Jeden zszedł bezpotomnie, drugi zostawił syna Ludwika, którego znałem i który zginął w pojedynku na Węgrzech.

Pan Ignacy Potocki nigdy o polityce nie rozmawiał i chociaż tyle razy w życiu go widywałem, bo kiedy i my w Bronicach mieszkali, przez całe lata codziennie albo on był w Bronicach, albo my w Klementowicach, albo razem w Puławach, a mimo to nic od niego w tym względzie nie słyszałem. A jednak o sejmie czteroletnim i insurrekcyi Kościuszki był w stanie dużo powiedzieć. Jedynem wspomnieniem z przeszłości, dotykanem tylko wtedy, kiedy z Julianem Niemcewiczem się widywał, były opowiadania o niewoli w Petersburgu.

Humoru był zawsze wesołego i to w rodzaju buffona. Zadawalniał się żartami z mniemanego poety, szlachcica Szabrańskiego z Łukowskiej ziemi, dla którego wiersze pisywał i jemu za własne czytywać kazał, z ekonoma pijaka Tarczyńskiego i innych służących swoich. Im który więcej głupotą celował, tem on bardziej z niego był kontent i szczęśliwy. Latały posłańce do Puław, Bronic i do Gutakowa, do starosty Łukowskiego, z doniesieniem, że Tarczyński w czasie wichru, bojąc się, aby stara i pochylona stodoła w Klementowicach się nie obaliła, kazał pań-

szczyźnie plecami ją podpierać, na wzór karyatyd. Lecz największe było szczęście, kiedy Szabrański własnym konceptem ruszywszy, wiersze jakieś skleił i Potocki wtedy i szczery jego przyjaciel Niemcewicz byli zachwyceni. W tym względzie miał pan Ignacy jakieś dziwne podobieństwo z bratem swym Stanisławem, który znowu w poezyach Bielawskiego szczególnie gustował.

Na strychu w Klementowicach znalazłem dwa tomy dziennika Szabrańskiego, lecz pan Niemcewicz tyle o tę bazgraninę konkurował, że mu ją darowałem. Przeglądając te szpargały, przekonałem się, że Szabrański nie był tak głupi, jak o nim sądzono. W piśmie owem, gdzie codzienne czyny swoje zamieszczał, dobre figle i Potockiemu i Niemcewiczowi płatał, a kiedy raz recytował jakieś niedorzeczne wiersze, napisane przez Niemcewicza, w dzienniku swym zapisał taką uwagę: oni myślą, że ja się nie znam, iż w wierszydłach tych niema sensu, ale udaję, że je chętnie biorę za swoje, bo widzę, że ich to bawi, a mnie o chleb chodzi.

Lubił p. marszałek Potocki grywać w karty i najczęściej grywał w lombra ze starostą Dłuskim, moim ojcem, lub Skowrońskim. Wtenczas ożywiony bywał niezmiernie i strzały rozmaitych dowcipów sypały się nieustannie. Partya prawie zawsze kończyła się faraonem. Przy obiedzie nie pijał ani piwa, ani wody, tylko lekkie francuskie czerwone wino, nigdy więcej jak jednę butelkę.

Wówczas kiedy go poznać mogłem, już jego polityczna karyera była skończona, a kiedy w r. 1809

imieniem Galicyan z Matuszewiczem i Miączyńskim wysłani zostali do Wiednia dla widzenia się z Napoleonem, wkrótce po przybyciu tam dostał dysenteryi, na którą równie jak i Miączyński tamże umarł. Pochowany w Wilanowie.

Urodził się on r. 1750. Nauki wraz z bratem Stanisławem odbył u księży Pijarów w Warszawie, za rektorstwa Konarskiego. Kończył je w Rzymie, może dlatego, że w początku był projekt, aby go przeznaczyć do stanu duchownego. Będąc tam nosił się nawet w stroju *Abbé*, składającym się z kapelusza stosowanego lub z dużem, rozpuszczonem rondem, z fraka i całego ubrania czarnego i z mantynowanego płaszczyka, zawieszonego na plecach. Z Włoch wrócił do ojczyzny mając lat 24 i zdolności jego natychmiast spożytkowano, umieszczając go w komisyi edukacyjnej. W wolnych chwilach od zajęć urzędowych uprawiał literaturę. Przetłómaczył loikę *Condillaca* i przygotował ogromny rękopis, obejmujący znaczną część historyi literatury polskiej. Co się stało z tym rękopisem i gdzie się on obecnie znajdować może, nie wiem, sądzę, że w bibliotece wilanowskiej, tam bowiem wiele dzieł z księgozbioru Ignacego widziałem. W tej także epoce sejmu delegacyjnego wszedł w związki małżeńskie z córką marszałkowej Lubomirskiej. Ta pani z małżeństwa z księciem Stanisławem, marszałkiem, miała tylko cztery córki. Z tych dwie wyszło za dwóch braci generałowiczów, trzecia Julia za Jana Potockiego, krajczyca, słynnego w literaturze, a czwarta za hetmana Rzewuskiego.

Mianowany pisarzem wielkim W. ks. Litewskiego,

zasiadał w Radzie Nieustającej od r. 1778 jako tejże rady marszałek, a od 1780 do 1784 jako jej członek. Od r. 1784 widzimy go także marszałkiem nadwornym W. ks. Litewskiego, którą to godność aż do upadku rzeczypospolitej utrzymał. W 1788 mianowany został członkiem sądu sejmowego.

Po zgonie córki, gdy jeszcze nie znał synowicy swojej pani Laury, ustąpił bratu i jego żonie całej sukcesyi po pannie Krystynie, to jest to, co z fortuny Lubomirskich po dożywociu marszałkowej pozostawało. Tranzakcya ta w Pożogu, w domu mego ojca zrobiona w dobrej myśli, najgorsze miała skutki.

P. marszałek nie chcąc w Kurowie mieszkać, gdy dom w Klementowicach nie był jeszcze do jego przyjęcia z folwarku przerobiony i gdy w Puławach księstwa nie było, przez dwa albo trzy miesiące mieszkał u moich rodziców. Zjechali tamże i państwo Stanisławowie, a w zamiarze osłonięcia pozostałej części majątku od wierzycieli, ustąpienie jego uzyskali. Wkrótce na wzór tej pierwszej tranzakcyi nastąpiła i druga, dotycząca majątku w Augustowskiem, a wreszcie i trzecia, ustępująca kompetencyi za zwrócone przez księstwo Warszawskie starostwo Jurborskie. Tak wyzuwszy się z majątku na korzyść braci, otrzymał Klementowice w dożywocie i pensyi 10.000 złp. rocznie. Gdy pan Ignacy umarł przed księżną Lubomirską, państwo Stanisławowstwo żadnych jego długów, spadłych z licytacyi Hurowa płacić nie chcieli i dopiero syn ich Aleksander, wyrokiem senatu został zmuszony do spłacania pewnej ich części. Obecnie nawet toczy się ciekawy proces, z tą tranzakcyą zwią-

zek mający o wypożyczenie częścią przez Ignacego Potockiego, częścią przez żonę Stanisława — Aleksandrę od ks. Adama Czartoryskiego 15.000 dukatów. Proces ten w r. 1856 przegrany przez Potockich został.

W Klementowicach zwykle Ignacy Potocki zamieszkiwał w lecie i wtedy Stanisław z żoną na mieszkanie do Olesina przybywał. Ksiądz Łapicki, pleban klementowiecki, kapelan Kościuszki, pod Maciejowicami ranny, należał do jego towarzystwa, równie jak brat Jan i synowica Laura.

Marszałek Potocki różnił się od brata swego Stanisława pod wielu względami. Był poważniejszy w mowie i o sobie nigdy nie wspominał, ani się nie chwalił. Ta sama różnica istniała w ich stylu i wymowie. Pan Stanisław mówił łatwo, płynnie i obficie; pan marszałek był treściwy w wyrazach a nawet czasami zanadto lakoniczny, tak że trudno było, osobliwie wiersze pojąć odrazu. Obadwaj utracili majątki osobiste, ale pan marszałek do mienia nie przywiązywał wagi. Portret jego bardzo podobny znajduje się w kościele w Kurowie.

Musiał podskarbi Roch Kossowski posiadać jakieś specyalne talenta i że je posiadał nie wątpię, bo inaczej czyliżby mógł piastować tak ważny urząd jak podskarbstwo wielkie koronne w trudnym czasie sejmu czteroletniego i później jeszcze przez lat cztery. Lecz w chwili, kiedy go poznałem był to prawdziwy automat: nizki, łysy, z ogromnym cienkim harcapem, uszy miał niepospolitej długości. Ręce sparaliżowane, zawsze milczący, jadł tylko i pił i w Puławach po kilka

tygodni siedział. Dając ten niepochlebny obraz nie mam zamiaru jemu ubliżać i los tylko mieć chciał, żem go poznał w chwili kiedy uciśnięty chorobą, wielkiemi nieszczęściami kraju i zagrożony utratą fortuny chylił się ku upadkowi. Powszechny posiadał szacunek, poważano go i litowano się nad stanem jego zdrowia. Słyszałem, że dom jego w Bełżycach słynął z gościnności i uprzejmości, co w Lubelskiem nie było rzeczą łatwą, jeśli zważymy, że konkurować było potrzeba z takimi domami jak Czartoryskich w Puławach, Lubomirskich w Opolu, Sanguszków w Lubartowie. Żona jego uchodziła za cudną piękność, a córki w Paryżu wychowane, wkrótce po powrocie do kraju za mąż powychodziły, ale żyły bardzo krótko.

Przyjeżdżał tu także czasami i ksiądz Skarszewski, biskup chełmsko-lubelski, podkanclerzy za króla Stanisława. Ten, jak wiadomo, podczas insurekcyi Kościuszkowskiej aresztowany, oskarżony i sądzony, uznany za winnego zdrady kraju, na utratę życia przez powieszenie został skazany. Za wstawieniem się nuncyusza przez naczelnika ułaskawiony został. Okazywał on wiele powagi, tak, że ze wszystkich prymasów, arcybiskupów i biskupów, jakich widziałem lub znałem, żaden nie umiał podobnie zachować godności, tej wielkiej dostojności właściwej. Obok tego był to człowiek bardzo pracowity. Kiedym później był urzędnikiem w prefekturze lubelskiej, częste z nim zachodziły stosunki, a wszystkie ważniejsze ekspedycye jego własną pisane były ręką. Z biskupstwa, senatoryi i ministerstwa skazany był na szubienicę, a od tej

zwolniony na końcu życia był arcybiskupem. Tak to koło fortuny wynosi do szczytu, strąca, pogrąża, wydobywa na wierzch i znowu do góry podnosi. Ogólnie zawsze był bardzo małomówny.

Ciekawem było dla badawczego oka widzieć u jednego stolika marszałka Potockiego, który jako dusza rządu Narodowego za Kościuszki, łącznie z Kołłątajem oddawali pod sąd biskupa, siedzącego obok Skarszewskiego. Na rysach obu dostrzedz się nie dawała żadna zmiana. Biskup z powagi swej i dumy surowej nic nie tracił i żadnego nieukontentowania nie okazywał; marszałek jak zawsze był jowialny. Zdawało się, że oba wychylili kubek napoju z rzeki Lety i o całej przeszłości zapomnieli.

Po zgonie Kościuszki, kiedy jego zwłoki do Polski sprowadzono, odbywały się solenne nabożeństwa w większych miastach kraju. W Lublinie celebrował JW. biskup Skarszewski. Był wówczas sekretarzem Rady departamentowej niejaki Iwaszkiewicz, trochę poeta i wogóle człowiek dość zdolny i do wymowy szczególną posiadający wenę. Obiecywał on sobie ciągle, że z improwizacyą wystąpi na pochwałę naczelnika. Władze cywilne lękając się zbytniego uniesienia Iwaszkiewicza zakazały mu uczestnictwa w tym żałobnym obchodzie. Los jednak zrządził inaczej i kiedy biskup zasiadł na krześle, żeby wysłuchać mowy, do wygłoszenia której duchowny się zabierał — Iwaszkiewicz, któremu zabronienie to spokoju nie dawało, wskakuje na stopnie katafalku i mocnym głosem a poetycznymi okresami zaczyna swą improwizacyą. Sypią się obficie z ust jego pochwały Ko-

ściuszki, a kiedy słuchacze admirują mówcę, on mówiąc o miłosierdziu naczelnika, taki zwrot czyni do biskupa: „I któż snadniej jak ty, jaśnie wielmożny celebrujący przyświadczyć może o miłosierdziu serca nieodżałowanego Tadeusza Kościuszki, kiedy stojąc pod szubienicą, z zarzuconym na szyję powrozem otrzymałeś wspaniałomyślnie jego przebaczenie?“

Dalej mówić nie zdołał, bo żandarmi ściągnęli go ze stopni katafalka. Biskup okrył się naprzód śmiertelną bladością, potem stał się jak purpura i otaczający myśleli, że apopleksyą tknięty zostanie.

Pojawiał się także czasami w Puławach w tej epoce Modzelewski, komandor maltański, targowiczanin i członek Rady nieustającej. Źle był jednak widziany, przyjmowano go zimno i nic szczególnego nie okazywał ani w dowcipie, ani w zdolnościach.

Później miewałem często sposobność widzenia, słyszenia i obserwowania Stanisława Małachowskiego, marszałka Raczyńskiego, księcia Michała Radziwiłła, wojewodę wileńskiego i Ferdynanda Moszyńskiego. W dalszem opowiadaniu częste wzmianki o nich się znajdują. Tu ogólnie tylko nadmieniam, ze wszystkich ludzi, piastujących wysokie urzędy cywilne za Stanisława Augusta, a których znałem, trzech tylko prawdziwemi odznaczało się zdolnościami: Ignacy Potocki, Moszyński i Skarszewski.

Z poetów i literatów ci którzy stale przemieszkiwali, byli: Ernest Groddeck, gdańszczanin, hellenista pierwszego rzędu, autor dzieł uczonych: „O grach i igrzyskach greckich“ i „Historyi literatury greckiej“. Był on przez długi czas bibliotekarzem księgozbioru

Puławskiego. Ułomny był i chociaż wielce rozumny, dowcipem nie celował. Zapalonym był szachistą i cały czas, który mu od nauk wolny pozostał, szachom poświęcał. Zwykle w szlafroku aż do 1 godziny pijąc zwolna jedną filiżankę kawy i paląc fajkę, obok foliałów trawił. Z nim czytywałem komentarze Cezara, w greczyznie zaś podczas pobytu swojego w Puławach jednego tylko ucznia Bobowskiego wykształcił, wszyscy inni zaś mało postępów uczynili. Za utworzeniem Akademii wileńskiej w r. 1804 tamże na profesora powołany, był parę razy dziekanem i ciągle bibliotekarzem i tam umarł 1825 roku.

Franciszek Karpiński był czas jakiś w liczbie mentorów księcia Dominika Radziwiłła. Nizki, krępy, nos miał pałkowaty i włosy niepudrowane z wielką księcia feldmarszałka zgryzotą nosił. Uprzejmy i rzadkiej słodyczy, w obejściu prostoduszny, nic w powierzchowności jego nie odkrywało ducha poetyckiego ani egzaltacyi zwykle wieszczom właściwej. W Dykcyonarzu biograficznym wzmiankowano, że Karpiński z namowy króla Stanisława przyjął guwernerstwo przy księciu Dominiku Radziwille. Jest to nieprawda. Król już nie żył od lat kilku, kiedy Karpiński do nauki księcia Radziwiłła był przyjęty. Pierwszy guwerner księcia był pan Winnicki, który go do Puław ze Lwowa przywiózł. Po nim nastąpił Karpiński, nie więcej jednak jak rok trudnił się tym obowiązkiem, książę Radziwiłł był bowiem swawolny a spokojność lubiący Karpiński nie umiłował sobie tej funkcyi. Osiadł na wsi po opuszczeniu tego obowiązku, tam gospodarował i w Puławach nie pokazy-

wał się więcej. Karpiński nie był owym salonowym meteorem, który uwagę całego towarzystwa na siebie zwraca i swą rozmową zajmuje. Aczkolwiek wesoły i wcale nie elegijny i smętny nie wdawał się w ogólne rozmowy, nie okazywał się ani z rodzaju specyalnych sawantów, ani wszystkowiedzów encyklopedystów. Dwie rzeczy zajmowały go najwięcej: wiejskość i poezya. Najsprawiedliwiej ocenia go Brodziński w mowie pochwalnej, w byłem Towarzystwie Przyjaciół Nauk mianej. Ale i Brodziński zdaje się nie miał materyałów pewnych do jego życia. Zapewnia także, że król Stanisław z opiekunem księcia Dominika, księciem Maciejem Radziwiłłem na nauczyciela młodzieńcowi Karpińskiego wybrali i że poprzednio Karpiński był mentorem ks. Romana Sanguszki. Ja z pewnością twierdzić mogę, że Karpiński przy księciu Dominiku od 1802 do 1804 r. zostawał. Łączyła mnie ścisła przyjaźń z księciem i w jego apartamencie, w oficynie ogrodowej na dole, niejedną chwilę pod okiem Karpińskiego przepędziłem. Mam nawet listy tego ostatniego, pisywane do mnie wierszem. Książę Maciej Radziwiłł rzeczywiście pragnął zostać opiekunem nieletniego i z tego powodu z księciem Michałem, wojewodą wileńskim proces w trybunale lubelskim prowadził. Ale go przegrał i książę Michał przy opiece został utrzymany. W 1802 r. zaś król Stanisław August już nie żył. Zresztą Karpiński przed kilkunastu laty pełnił przy księciu Czartoryskim obowiązki sekretarza, był więc tyle znany, że żadnej postronnej rekomendacyi na guwernera nie potrzebował. Portret Karpińskiego, umieszczony w edycyi klasyków pol-

skich bardzo mało ma podobieństwa. Włosy nawet inaczej nosił, gładko uczesane i równo obcięte. Innego ubrania nie wdziewał, tylko koloru popielatego. Do najserdeczniejszych swoich przyjaciół zaliczał Zabłockiego i Kniaźnina, ale tego ostatniego w czasie jego słabości już nie widywał. Życie jego w dykcyonarzu biograficznym także o lat dziesięć przedłużane, umarł bowiem nie w 1835 jak tam podano, ale w 1825 r.

Ignacy Tański, ojciec pani Hoffmanowej. Ten z całą familią dosyć długi czas spędził w Puławach. Naprzód księżna wzięła tu na wychowanie starszą jego córkę Aleksandrę, a w parę lat później on sam z żoną, z domu Czempińską, z siostrą jej panną Katarzyną i córką Klementyną tutaj przybył. Jak go poznałem był już siwy, dość nizki i gruby, rysy miał regularne, ale z pozoru nie wyglądał także na poetę. On to szczególnie dostarczał dla teatru puławskiego owych *pièces de circonstance*. Panna Katarzyna Czempińska, obdarzona rzadką pięknością, zaraz za przybyciem swem rozbudziła dwie pasye. Kazimierz Skowroński sekretarz i Jan Goltz, lekarz, uderzyli przed nią czołem. Ostatniego za męża wybrała.

Co do pani Hoffmanowej, ta była jeszcze tak małem dzieckiem, że nawet do towarzystwa młodzieży należeć nie mogła. Jeżeli w pamiętnikach swych wiele o Puławach mówi, to zdaje się, musiało więcej pochodzić z opowiadań siostry lub matki, aniżeli z własnych spostrzeżeń wiele bowiem niedokładności w opisie jej widzę. Panna Aleksandra Tańska wyszła za mecenasa Tarczewskiego.

Ignacy Tański życie swe więcej polityce aniżeli

poezyi poświęcał. Urodzony w r. 1761, pracował najpierwej w departamencie policyi, pod laską Lubomirskiego, marszałka wielkiego koronnego za czasów czteroletniego sejmu. Później przydzielony do deputacyi indagacyjnej, dotyczącej dyzunitów, był w większej części twórcą relacyi sejmowi podanej, która z anneksami dwa tomy druku wynosi. Stąd przeniesiony do kancelaryi wydziału interesów zagranicznych, pracował tamże aż do upadku kraju. Zgasł w młodym wieku, bo mając tylko lat czterdzieści cztery. Do Puław przybył i tutaj zamieszkał r. 1802. Poezye jego drukiem ogłoszone nie zamieszczą go w rzędzie znamienitych piewców. Zdaje się, że dopiero w Puławach obrawszy mieszkanie, zaczął próbować sił swoich. Tu mu jednak nie dawano czasu, aby trudnił się taką pracą, jaką zamierzał. Jedną tylko komedyjkę z liczby pisanych dla teatru puławskiego drukiem ogłoszono, a dostarczał ich więcej jak dziesięć rocznie, dlatego tłumaczenie Wirgiliusza i niecałe i niekompletne.

Jan Kruszyński poeta i literat, później był sekretarzem generalnym w ministeryum skarbu. Ożenił się w Puławach z wychowanką pensyi pani Januszowskiej, panną Barbarą Poświatowską. Pracował on szczególnie nad katalogiem historycznym zbiorów pamiątek polskich w Sybilli, których był czas niejaki zawiadowcą. Był wysoki, chudy, brunet, zezowaty na jedno oko, wesoły i dowcipny. Lubił namiętnie grę w szachy, ale zwyciężał przeciwników więcej sarkastycznością, którą umiał pod rozmaitymi kształtami do tej gry stosować, jak świetnymi cugami. Kruszyński do Puław przez księcia Stanisława Jabłonowskiego

wprowadzony został. Prac jego drukowanych nie znam, wyjąwszy te, które jako członek Towarzystwa przyjaciół nauk wydał, to jest tłómaczenie Atalii Rasyna i Od Łomonosowa. W Puławach w rękopisie znałem Brytannikusa, a myślę, że i więcej musiał z tragika francuskiego przełożyć. Zmarł jako referendarz w radzie stanu.

Rzadziej, bo nie byli stałymi Puław mieszkańcami, lecz większą część roku w nich przepędzali:

Ksiądz Woronicz, proboszcz w Kazimierzu, później w Powsinie, następnie radca stanu, biskup krakowski, w końcu arcybiskup prymas. Nizki, więcej otyły jak chudy, twarz pełna, smętna, rysy regularne, nos mały i kształtny. Napisał on na cześć Puław poemat, pod tytułem *Świątynia Sibilli.* Był zawsze wzdychający, narzekający i z losu niezadowolony. Kiedy był radcą stanu i brał 15.000 złp. pensyi, znajdował, że to za szczupła płaca na utrzymanie w Warszawie. Kiedy jako biskup krakowski miał dochodu do 60.000 złp. narzekał, że to nie wystarcza na prace Stachowicza, malującego freski w pałacu biskupim. Wymowa jego lepiej w druku, jak w żywem słowie się wydawała, głos bowiem słaby i płaczliwy wszelki jej urok odejmował, a zwykła przewlekłość efektowi uszczerbek przynosiła. Rozwaga, światło, wielkie zamiłowanie kraju i łagodność charakteru ogólny szacunek mu jednały.

Ksiądz Franciszek Zabłocki, proboszcz w Końskowoli, najznakomitszy wtedy nasz kanonik, wówczas już był zupełnie stetryczał, ale pisał mimo to komedye i tragedye. Płody te rozdawał pierwszemu lep-

szemu i wszystkie te późniejsze jego prace zaginęły. Był nizki, krępy, rumiany, z twarzą pełną i zwykle małomówiący. Nosił perukę rudą, niepudrowaną, wielki przyjaciel Kniaźnina i Karpińskiego. Pierwiastkowo miał sobie powierzone obowiązki sekretarza komisyi edukacyjnej. Śmierć małżonki skłoniła go do wstąpienia do stanu duchownego. W czasie, w którym to piszę, duchowieństwo nie tyle pobłażało teatrom, pisarzom teatralnym, a osobliwie aktorom. Ci ostatni, uważani jako jawnogrzesznicy, w stanie wyklęcia, nawet na cmentarzach chować ciała ich zakazano. Ksiądz Zabłocki czy dla uniknienia zgorszenia, czy że sam dzielił to przekonanie, dość że wszystko pisał w sekrecie i później rękopisy podarował niejakiemu Grymbergowi, nauczycielowi języka niemieckiego w Puławach, którego bardzo lubił. Ksiądz Zabłocki w innym rodzaju nie tworzył wcale, tłómaczył tylko lub oryginalne sztuki pisał. Mimo to, że sam był ciągle smutny i prawie ciągle milczący, w ostatnich jednak drukiem nieogłoszonych utworach wiele było dowcipu i wesołości. Wielka szkoda, że prace te zaginęły.

Generał Ludwik Kropiński. — Ludgarda, tragedya pono jedynym jest jego do sławy poety tytułem, lecz tyle był z niej dumny, że w jego przekonaniu Homer i Wirgili w kąt przed nim ustępować musieli. Zawsze nos do góry i mina gęsta, patrzał na świat cały z wysokości swojej Ludgardy. W towarzystwie jednak nierównie był przyjemniejszy, jak cały szereg wymienionych wyżej poetów. Tamci poezyą za swój fach traktowali, ten był poetą z przypadku, a w istocie człowiekiem salonowym, grzecznym, miłym, dowcip-

nym i wielomównym. Jest on także autorem romansu *Adolf* i *Julia*. W r. 1812 jako generał wojsk księstwa Warszawskiego, powierzony miał oddział rezerw, z któremi Lubelskie osłaniał od napadu kozaków. Z końcem 1812 r. porzucił służbę wojskową i ożeniwszy się z panną Anielą Błędowską, na Wołyniu osiadł. Umarł w Woronczynie r. 1844, na ośm lat przed zgonem wzrok utraciwszy. Czacki wspomina o jego dziele *Podróż do Włoch*. Dzieła tego nie znam. Był wzrostu średniego, brunet, oczy miał wypukłe i cokolwiek za duże, zawsze czerwone, które zwiastowały późniejszą ślepotę, nos orli i cienki. Piękny miał być bardzo w młodości i w wieku, w jakim go poznałem, był jeszcze przystojny. Służył w szeregach wojska polskiego za czasów Stanisława Augusta i Kościuszkowskiej insurekcyi i dosłużył się stopnia pułkownika. Ranny kilka razy, dla wyleczenia się w krajach południowych lat parę przebywał.

Tadeusz Matuszewicz, Litwin, w literaturze znany jako tłómacz *Delisle'a: De l'imagination*, licznych Od Horacego, tudzież Tomasza à Kempis: „O Naśladowaniu Chrystusa. Wysokie wykształcenie czyniło go prawdziwą ozdobą towarzystwa. Wzrostu średniego, szatyn, oczy błękitne, nos cokolwiek pałkowaty, prosty, twarz ściągła. Podczas sejmu czteroletniego odznaczał się wymową, którą władał w wysokim stopniu. Należał do redakcyi „Gazety Narodowej“ i był posłem brzeskim, pracującym w deputacyi interesów zagranicznych. Do roku 1809 jako galicyanin nie należał do żadnej czynności w księstwie Warszawskiem i dopiero w tej epoce powołany do rządu centralnego,

następnie w radzie stanu zasiadał. W r. 1812 był czynnym doradcą konfederacyi generalnej i został ministrem skarbu, którą to godność i za Królestwa Polskiego w r. 1816 objął. Umarł we Włoszech w 1819 zostawiwszy syna Adama, zasłużonego w dyplomacyi rosyjskiej i córkę Zofią, o której często bardzo przyjdzie mi wspominać.

Pan Matuszewicz odziedziczył po pani Szczytowej ogromny ziemski majątek: Suchowolę, Łysów, Krześlin, Goślice, a po żonie Przebędowskiej miał Jasieniec, Solec i Tursk. Uchodził z tego powodu za niezmiernie majętnego, chociaż w życiu swojem żadnego sobie nie dozwalał zbytku i nawet innych koni jak fornalskie nie posiadał. Stąd urosło przekonanie, że jest skąpcem, o co go nawet i księżna Izabela obwiniała, wyrzucając mu, że nie dosyć na potrzeby ukochanej swej Zosi dostarcza. Po zgonie jego jednak okazało się, że te ogromne terytoryalne własności, ogromnie też i obdłużone były i że pan Matuszewicz był skąpcem z potrzeby i musu.

W jednym z jego majątków Tursku w Sandomierskiem utrzymywało się podanie o zakopanym skarbie. To też przy każdej tranzakcyi kiedy dobra te z rąk do rąk przechodziły, zastrzegano, że sprzedają się z wyłączeniem ukrytego skarbu. Nabywcy, chociaż każdy pretensyi się zrzekał, każdy poszukiwania czynił, ale nikt nic znaleźć nie zdołał. Podczas rewolucyi Kościuszkowskiej kozacy wpadli do Turska, a stukając dzidami po ścianach kościoła wyśledzili skarb zamurowany we framudze i zabrali go. Mówiono, że parę kroć sto tysięcy złotych wynosił. Te-

stament Matuszewicza jest bardzo ciekawy, usprawiedliwia on w nim bowiem swoje polityczne postępki.

Wychowany razem z Ignacym i Stanisławem Potockim u Pijarów w Warszawie, zaledwie pełnoletni, otrzymał z wyboru współziomków deputacyą na trybunał litewski, a później, jak to już mówiłem, posłował z ziemi brzeskiej. Podług mnie był to najznakomitszy mówca naszej ojczyzny, w stylu treściwszy niż Stanisław, zrozumialszy niż Ignacy Potocki. Nie poczytuję za mówców tych, co przy stoliku i leżąc układają mowy podług prawideł retoryki i tych, którzy wyuczywszy się na pamięć, recytują je albo z pisma czytają. Są to styliści ale nie mówcy. Ci ostatni istnieć tylko mogą w państwach, gdzie obrady są publiczne, gdzie wielkie pod rozbiór i do rozstrzygania przychodzą przedmioty. Z mówców stylistów znałem księdza prymasa Woronicza i księdza biskupa płockiego Prażmowskiego. Mowy ich bądź polityczne, bądź naukowe pięknie się wydawały w czytaniu, ale kiedy Woronicz mówił płaczliwie i powoli, Prażmowski znowu przez nos i cicho, a obaj bez żadnego ognia. Osiński znowu posiadał głos gruby, silny, dźwięczny, a nadewszystko przenikający i nim celował nad innymi, ale mów nie improwizował, lecz owszem, były one wypracowane i najczęściej je czytał. Stanisław Potocki mówił płynnie bez przygotowania, nasuwały mu się łatwo figury retoryczne, okraszał styl doborowymi wyrazami, lecz była ich zanadto wielka obfitość a głosem dorównać Osińskiemu nie był wstanie.

U Matuszewicza była rzecz szczególna — wymowa jego była bez zapału. Z najzimniejszą krwią,

głosem donośnym i arcymiłym płynęły z ust jego obfite myśli, pięknie, a szczególniej niezmiernie jasno wyłożone. Na pozór zdawaćby się mogło, że są one owocem długiej pracy, ale na sejmie 1811 roku, kiedy jako minister bronił wszystkich podatków, zaprowadzić się mających, na wszystkie zarzuty odpowiadał z tąż samą łatwością, a zagrzewając do ofiar, porywał wszystkich szczytnemi swemi improwizacyami.

Później Barzykowski, poseł z Płockiego odznaczał się także oryginalną wymową, ale on, równie jak Bronikowski, poseł kaliski, wyrażali się stylem górnolotnym, pod obłoki sięgającym. W tym doborze słów pysznych myśl się gubiła i plątała jak w labiryncie. Barzykowski nadto posiadał piękny organ i byłby należał do najpierwszych mówców, gdyby nie ten wyszukany wyrażania się sposób.

Stanisław Potocki, świadek całej publicznej karyery Matuszewicza, w mowie swej, mianej po jego zgonie w Towarzystwie Przyjaciół nauk, twierdzi, że większa część postanowień Sejmu Czteroletniego dokonała się pod wpływem czaru jego wymowy.

Kiedy ukończyła się opieka nad księciem Dominikiem Radziwiłłem, uznał książę feldmarszałek potrzebę, aby młodzieniec wybrał się do Petersburga, przedstawić się cesarzowi Aleksandrowi. Za doradcę i niejako kuratora dodano mu Matuszewicza. Po krótkim tam pobycie wrócił do Jasieńca, ulubionej swej siedziby, o dwie mile od Puław odległej.

Stanisław Kłokocki, przyjaciel Matuszewicza, chwalony jako znakomity prozaista. Co napisał nie wiem, tylko często przekłady swoje czytywał. Dru-

kiem jednakże z tego nic nie wyszło. Towarzyski, przyjemny, niezbędnym się stał w Puławach, gdzie go bardzo lubiono.

Orłowski generał, o którym już trochę wspominałem, był kiedyś admiratorem mojej matki i z tego powodu stale jej przychylny i mnie i siostrę kochający. Przywiązanie to swoje tem objawiał, że codzień godzinę w naszem mieszkaniu, wzdłuż pokoju chodził, nic ani słowa do nikogo nie mówiąc. Widząc go, myślałby kto, że jest niemym, bo całe tygodnie mijały, nim słowo jakie wyrzekł. O ilem słyszał dziwne jakieś miał w młodości przygody. Najczęściej opowiadał, że nad łóżkiem swem miał zawieszony portret swej matki, którą bardzo kochał. Owóż pewnego dnia portret ten nagle zamienił się na trupią główkę. W chwili, w której ta zmiana nastąpiła, miała skonać jego matka. W czasie czteroletniego sejmu był on komendantem twierdzy Kamieniec, kiedy zawiązała się konfederacya Targowicka, wezwał go Złotnicki do oddania fortecy, doręczając rozkaz podpisany przez Szczęsnego Potockiego, jako generała artyleryi. Orłowski na to odpowiedział, że bronić się będzie i dopiero po przystąpieniu króla do Targowicy, odebrano mu dowództwo i twierdzę zajęto. Podczas rewolucyi Kościuszkowskiej był komendantem Warszawy i urząd ten, aż do kapitulacyi miasta po szturmie Pragi piastował. W młodości podróżował wiele z Kościuszką.

Wielkim jego przyjacielem był Ludwik Rembieliński, uczeń szkoły rycerskiej kadetów, a później w tejże szkole profesor matematyki. Był w niej tak biegły, że równał się słynnemu tutaj profesorowi

Lhullier. Wielce kochany przez wszystkich ten mąż, jakkolwiek z miną zawsze poważną, posiadał talent rozweselania młodzieży i zawsze był duszą wszystkich zabaw. Później został dyrektorem Skarbu w prefekturze siedleckiej.

To poważne grono osób bądź dostojeństwami, bądź zasługami w literaturze odznaczających się, tworzyło stałe Puław towarzystwo. Obok nich znajdowało się mnóstwo młodzieży bądź kształcącej się, bądź już dorosłej, a zamykali kontyngens ludzie w rozmaitych obowiązkach przy dworze pozostający. O tych ostatnich, a szczególniej o młodzieży często mi mówić wypadnie. Wymienię więc tu choć trochę z pomiędzy tego koła.

Co do młodzieży najstarszy między nią był Maksymilian Fredro, najstarszy z licznego potomstwa Jacka Fredry, dziedzica Sądowej Wiszni, niedaleko Lwowa. Ród w dziejach i literaturze polskiej zdawna zasłużony i na Rusi możny. Brat jego zasłużony i słynny autor komedyi. Dalej z kolei podług wieku idąc Łopot, Litwin, syn tego, który w Sejmie Czteroletnim miał duże znaczenie — Białopiotrowicz Jerzy, także Litwin ojciec jego z lidzkiego już jako częsty deputat do trybunału, już w funkcyach poselskich wielkie zaufanie u współobywateli pozyskał — krótko tu także bawił brat jego starszy Romuald, młodzieniec pełen rozsądku i wiadomości, który niestety, kąpiąc się, utonął.

Dalej dwaj bracia Michałowscy, Marcin i Teodor, z ubogiej familii z Lubelskiego, obaj niezmordowani tancerze. Książę Puzyna z Rusi pochodzący,

Henryk Deboli, syn czy też może synowiec owego Debolego, który był posłem Rzeczypospolitej w Petersburgu, Szumlański legionista, o którym później obszerniej wspomnę, Konstanty Dembowski, syn mego stryja Feliksa, stolnika latyczewskiego, szambelana i kawalera św. Stanisława; Kajetan i Ignacy Witosławscy, synowie obożnego koronnego, Czechowicz, Mogilnicki, który zginął pod Wagram, Jan Narbutt, syn wojskiego litewskiego, Eustachy i Tomasz Jaworniccy, ostatni niemowa itd.

Co do Czechowicza był to jedynak bardzo majętnych rodziców. Los jego był bardzo smutny. Po rozpierzchnięciu się młodzieży puławskiej wrócił do domu i kiedy żadna z tylu piękności znajdujących się w Puławach nie zraniła jego serca, tu zakochał się szalenie w służącej swojej matki. Ponieważ na związek pozwolić nie chciano, wpadł w czarną melancholią i w kwiecie wieku życie postradał.

Ci wszyscy wymienieni, oprócz Szumlańskiego, który miał lat trzydzieści, byli mniej więcej w wieku między ośmnastym a dwudziestym drugim rokiem. Po nich następowała młodzież dziecinna, już mniej liczna: książę Dominik Radziwiłł, ordynat nieświezki, Adam Matuszewicz, Haller Emeryk i ja. Byli to prawie rówiennicy między jedenastym a trzynastym rokiem, z wyjątkiem Radziwiłła, który miał już wtedy lat czternaście.

Dzieci domowników puławskich choć nie codzień, brały jednak bardzo często udział w towarzystwach. Do dorosłych w tej epoce należeli dwaj synowie pana Skowrońskiego, Ksawery i Kazimierz, Jan

Goltz, dwaj Hemplowie — Joachim i Stanisław. Z płci niewieściej panny Wągrocka, Morska, Konstancya, Maryanna i Brygida Jawornickie itd.

Prócz tego księżna Czartoryska brała na edukacyą panny, po większej części sieroty, albo niemajętne. Te pod dozorem ochmistrzyni, pani Januszewskiej, w osobnym gmachu, dziś nieistniejącym mieszkając, staranne i co do nauk i co do obyczajów otrzymywały wychowanie. W owym czasie, o którym mówię na pensyi tej, o ile zapamiętam, znajdowały się: Aleksandra Tańska, później żona mecenasa Tarczewskiego, panna Drużbacka, później Debolina, Weronika Dzierżanowska, pierwsza żona generała Rautensztraucha, dwie panny Dembickie, panna Pośmiatowska, która wyszła za Kruszyńskiego, panna Roszkowska, późniejsza pani Szparmann i wiele innych. Panny te zapraszano tylko na bale i fety, a czasem też w niedzielę i święta na salach się okazywały.

Prócz tej pensyi istniała inna prywatna, pod kierunkiem pani Poltz, Niemki, osoby wykształconej i poważanej. Tu niektóre obywatelskie córki pobierały edukacyą, a między niemi w epoce, o której mówię, odznaczała się panna Rudnicka, córka pisarza Rudnickiego, dziedzica Żyżyna, później wydana za Sołtyka.

Dwór księcia składał się naprzód z osób, które dawniej pełniły jakieś obowiązki, a z ich ustaniem, pozostały w Puławach jako przyjaciele domowi. Takich było dużo, wymienię tylko przedniejszych. Pułkownik Ciesielski, staruszek charakteru słodkiego, niesłychanie zamiłowany w botanice, był przez czas pewien dozorcą nad edukacyą synów księstwa Adama

i Konstantego. W nagrodę jego zasług książę mu nadał dożywociem piękne dobra Samoklęski, nie tyle może cenne z gruntów, ile z obszernych a pięknych lasów. Bez względu że to było dożywocie, Ciesielski pobudował tu ładny dom murowany, założył pyszną oranżeryą i ogród w rzadkie rośliny i frukta obfitujący. Rzeczkę śluzami ujął, wystawił młyn, tartak, założył wieś Syry, lasy szanował i z rąk jego Samoklęski wyszły z podwojonym szacunkiem. Jeśli się zważy na tę okoliczność, że donacya w niczem praw używania jego nie ograniczała; to podziwiać trzeba jak z jednej strony hojność księcia, tak z drugiej Ciesielskiego delikatność. Dziś inne czasy i inni ludzie, dożywotnik naprzódby tartak o dwunastu piłach założył i majątek po swojej śmierci opustoszonyby zostawił.

Do starych także takich gracyalistów należał major Orłowski. Ożenił się on z panną Lannicką i księstwo dla tego stadła wymurowali domek, niedaleko od Puław. Tam niby to oni mieszkali, ale właściwie chowały się w tym domu tylko małe dzieci, sami bowiem Orłowscy stale w Puławach przesiadywali.

Dwór czynny, to jest ludzie obowiązkami swymi się zajmujący byli naprzód sekretarze: Skowroński Roch Orłowski, Łuniewski, Bernatowicz, autor powieści historycznych, pomiędzy którymi najcenniejszy romans Pojata.

Doktorzy: Goltz, Khitel, Schmuck i Gentzendorff, architekt Zalewski i Aiguer, do którego należało tylko

wznoszenie gmachów artystycznych jak Sybilla, Domek Gotycki i tym podobne.

Prawnik Nepomucen Orłowski i pomocnicy jego Nowacki i Kaspary.

Kasyer Piramowicz i pomocnik jego Poświatowski. Obaj oficerowie z gwardyi litewskiej.

Zarządcy dóbr: Jawornicki, pułkownik Sałacki i Filipowicz.

Marszałkowska funkcya przy takim nieustającym napływie i gości i stałych mieszkańców, była najprzykrzejsza. To też często zmieniali tu się ludzie. Za moich czasów po kolei marszałkami byli: Belke, Torcholski i Deboli, a do pomocy, szczególniej w sprawach rachunkowych mieli stale pana Łapczyńskiego.

Hempel, człowiek zacny i powszechnie szanowany roztrząsał i zatwierdzał naczelnie plany budowli po wszystkich dobrach i kierował wydziałem pomiarów.

Malarze i rysownicy: Frey, Rychter, Romański i Jaszczołd.

Nauczyciele języków: Poirsenot do francuskiego, Grimberg do niemieckiego, a do kaligrafii Karger.

Na czele stajni stali koniuszowie Zinekenbart i Szatkowski.

W części muzycznej pierwsze miejsce zajmował Lessel, rodem Niemiec. Dawniej nauczyciel księżniczek, obecnie chociaż był bez zajęcia pobierał pensyą, miał swój domek i ogród i namiętnie zajmował się doświadczeniami fizycznemi, a szczególniej elektrycznością i piękne narzędzia posiadał. Przy nim podówczas bawił syn jego Franciszek po powrocie z Wiednia. Uczeń Haydna i w istocie artysta niepospolity,

ale muzykę zaniedbał zupełnie. Zająwszy się urządzeniem Pilicy i domu w Warszawie dla księżnej Wirtemberskiej, tu osiadł i o muzyce zapomniawszy życia dokonał.

Orkiestra nadworna składała się z dwunastu muzykantów; dyrygował nią niezmordowany i dzielny Niemiec Schmeigler. Pomiędzy muzykantami za moich czasów prawdziwym talentem odznaczał się Zawiski, który grywał na klarynecie.

Grono tych dworskich osób zamykał kapelan z zakonu Maryanów, karzeł Piotrowski, kapitan Szpencberger i wielu innych, których funkcye mi niewiadome.

V.

Przystępując do opisu życia dworu puławskiego najsłuszniej zda mi się rozpocząć od sportretowania gospodarzy.

Książę feldmarszałek Czartoryski w owym r. 1800 liczył lat 69. Wzrostu był średniego, szczupły, nosił perukę pudrowaną i tapirowaną podług mody, która istniała w środku panowania Ludwika XVI. Rzadko inny przywdziewał strój jak mundur austryacki błękitnawo szary, nakrapiany, z czerwonym, galonami haftowanym kołnierzem. Z orderów nosił tylko jeden złotego Runa. Nos miał cienki, orli, oczy ciemno-błękitne, mało ognia, ale wiele łagodności i słodyczy w sobie mające. Trzymał się zawsze prosto, miał chód wolny i poważny i w całej postaci coś imponującego. Nadzwyczajnie uprzejmy nietylko dla obcych i dorosłych, ale nawet dla takich berbeci jak byłem ja, Heller i Matuszewicz. Nie było dnia, żeby z nami nie rozmawiał, nie wypytywał się o lekcye, nie dawał rad i przestróg. Kazał nam nadto do siebie pisywać i na listy z radami odpowiadał własnoręcznie.

Umiał kilkanaście języków, nawet mówił po turecku i arabsku z Turkiem swym Hassanem, którego mu ze Stambułu przysłali i który był kiedyś majtkiem

na flocie tureckiej. W Puławach znajdował się on zawsze na pokojach, a jedyną jego funkcyą było podawanie cybuchów i drzewa aloesowego. Lecz książę mimo rozległych swych wiadomości mało wogóle mówił, a wolał słuchać konwersacyi innych, do której od czasu do czasu parę słów wtrącał. Mężczyzn nazywał zwykle po imieniu a nie po nazwisku.

W pałacu puławskim mieszkał na dole w lewym pawilonie. Apartament jego dopierał z dwóch stron, do tej bogatej biblioteki, która zawierała szacowne edycye literatur zagranicznych, a nieocenione ojczystej, gdyż prócz zasobów, jakie taki miłośnik nauk jak książę nagromadzić zdołał, zakupiono bibliotekę porycką za złp. 600.000 to jest wszystko, co uczony Czacki przez całe życie po klasztorach przez *fas* i *nefas* zbierał. Zajmowany apartament składał się z czterech pokojów. W pierwszym siedzieli służbowi kozacy i lokaje, w drugim kamerdynerzy: Michał Frey, Niemiec i Baptiste, Francuz. Ten ostatni był postrachem młodzieży. Książę bowiem do dwóch rzeczy miał antypatyą: do filozofii Kanta i do włosów niepudrowanych, a ostrzyżonych jak podówczas nazywano *à la Brutus*. Jeszcze z Kantem było mniejsza, bo *skantowana* głowa dawała się *odkantować*, ale na ostrzyżone włosy nie było już rady. Wtedy do ostrzyżonego zjawiał się Baptiste z pudermantlem, pomadą i pudrem, i z rozkazu księcia chcącym lub niechcącym głowę osiwiano. Trzeci pokój książęcego apartamentu był przeznaczony wyłącznie do ubierania, a właściwie do fryzury i pudrowania. Czwarty służył za gabinet i sypialnią. W ubieralni prócz stolika, kanapy i kilku stoł-

ków, żadnych innych mebli nie było, w sypialni prócz łóżka, przy którym mały stoliczek, kilka krzeseł i ogromnego biura, mającego długości z dziewięć, a szerokości z pięć łokci, nic się więcej nie znajdowało. Na tem ogromnem biurze przez środek był ustawiony pulpit, a obok niego mnóstwo książek i cały przyrząd piśmienniczy. Żadnego obrazu, żadnego kosztownego sztychu tu nie dostrzegłeś.

Wstawał książę zawsze o dziewiątej i w pudermantlu wychodził do ubieralni. Tam już oczekiwali na niego dworscy, to jest major Orłowski, kasyer Piramowicz, sekretarz Skowroński, Bernatowicz, Łuniewski i Roch Orłowski, *factotum* Tarchalski i archiwista Zalewski. Ułatwiwszy z każdym interesa dzienne, przywoływał książę marszałka i koniuszego. Pierwszy donosił kto przyjechał, drugi odbierał zlecenia co do spacerów dziennych. Następnie po ich ustąpieniu wchodzili przyjaciele domowi, stale w Puławach mieszkający. Generał Orłowski, pułkownik Ciesielski, książę Konstanty, mój ojciec i inni. Ci asystowali operacyi pudrowania, po całej izbie manewrując, aby puder obficie zdala sypany, sukni ich nie przykrył. W czasie tego zaś trwała pogadanka, która się zwykle o dziesiątej kończyła. Poczem książę wypiwszy w sypialni kawę, udawał się do żony na tak zwane śniadanie. Ze śniadania tego zwykle mało kto korzystał, bo wprzódy zwykle każdy posilił się u siebie. Na gawędzie i paleniu tytoniu schodził czas do południa, poczem następował spacer konny z koniuszym i Ciesielskim. Między pierwszą a drugą jadał książę u siebie obiad z trzech potraw się składający, z których rosół

cielęcina pieczona stanowiły dwa dania niezmienne. Koło szóstej przychodził do żony i tu do ósmej poufne a przyjacielskie toczyły się rozmowy. Do tego towarzystwa dwie tylko osoby były przypuszczane: księżna Wirtemberska i moja matka. Nawet książę Konstanty, jego żona i pani Zamojska w tych dwóch godzinach do rodziców nie przychodzili.

O trzeciej dzwoniono lub bębniono na obiad. Zawsze kilkadziesiąt osób do stołu siadało, a czasami i kilkaset i stoły rozstawione były w dwóch salach. Domowi wprzódy o drugiej godzinie jadali. Obiad koło pół do piątej się kończył. Wieczorem schodzono się o ósmej, a w lecie, kiedy herbata była w Parchatce, Buciec (Budce?) lub na kępie, zbierano się wcześniej.

Kolacyą dawano o dziesiątej i księstwo zwykle między jedenastą a dwunastą salony opuszczali. Książę na kolacyą jadał zawsze tylko suche kotlety, a przy obiedzie u stołu wielkiego siedział, ale nic nie jadł. Wieczorem dzielono się na towarzystwa: konwersacyjne, które razem z księstwem przy wielkim okrągłym stole zasiadało. Kobiety wykonywały robótki ręczne stosownie do mody i zwyczaju. Pamiętam, że był czas, w którym strzępiono jedwabne materye na watę, odkręcano zużyte galony na topienie srebra, robiono kwiaty, a nawet i trzewiki. Nie mówię już o wyklejaniu szkatułek i pudełek do domu gotyckiego i mnóstwa podobnych rzeczy.

Drugi oddział towarzystwa bawił się graniem w bilard, szachy i karty.

Młodzież obu płci po otrzymaniu na to pozwo-

lenia, odchodziła do drugiej sali i tam z całą hałaśliwością wiekowi jej właściwą, biegano, skakano, grano we wszystkie *petits jeux*, począwszy od ciuciubabki i gotowalni, a skończywszy na lisie i pytce. Księżna Wirtemberska i pani Zamojska nie odmawiały zwykle udziału, lecz zabawa stawała się najprzyjemniejszą kiedy zdołano uprosić Ludwika Rembielińskiego, aby objął jej kierunek. Matematyk ten, niewyczerpany miał zawsze zapas konceptów do rozmaitego rodzaju rozrywek i kiedy się bardzo z wieczora rozochocono, proszono o pozwolenie tańców. W jednej chwili nadbiegało dwunastu muzykantów z pulpitami, a dyrektor ich Schmeigler tem ochoczej na skrzypcach przygrywał, im z większem życiem tańcowano. W momencie organizował się bal, który, ażeby większych nabrał rozmiarów, posyłano na pensyą pani Januszewskiej, gdzie było zawsze dwanaście panien, otrzymujących edukacyą kosztem księstwa i spraszano innych w Puławach osiadłych.

Skoro księstwo opuścili salony, opuszczali je i inni poważniejsi i zostawała sama młodzież najczęściej pod opieką księżnej Wirtemberskiej. Ta lubiła późno w noc przeciągać zabawy i nieustawano jak między godziną 2 a 3 nietyle ze znużenia, ile z obawy, żeby nazajutrz nie być strofowanymi za zbyt długie w nocy czuwanie.

Nie od rzeczy zda mi się będzie tutaj, żeby do osoby księcia feldmarszałka zbyt często nie wracać, podać szczegóły odnoszące się do jego żywota.

Urodził się w Gdańsku 1 grudnia 1741 r. z Zofii z Sieniawskich, jedynej córki Adama Sieniawskiego,

kasztelana krakowskiego i hetmana wielkiego koronnego. Pobyt w Gdańsku ojca jego Augusta i stryja Michała, miał związek z elekcyą Stanisława Leszczyńskiego, którego oni obaj byli stronnikami. Matka księcia Adama wniosła w dom książąt Czartoryskich ogromny majątek Sieniawskich i Denhoffów, gdyż poprzednio była za ostatnim Denhoffem i ten nie mając potomstwa ani blizkich krewnych, cały majątek jej zapisał. Miasto Gdańsk trzymało do chrztu Adama, a na pamiątkę ofiarowało dla chrzestnego syna bogaty serwis srebrny, medalionami ozdobiony. W czasie wielkich festynów zdarzało mi się widzieć ogromne blaty srebrne do roznoszenia trunków służące, na których pięćdziesiąt szklanek pomieścić się mogło. Oprócz tych wazony na wino, małe do noszenia kieliszków szczególnego rodzaju i kształtu naczynia i inne tym podobne rzeczy.

Edukacyą otrzymał domową pod kierunkiem guwernera Francuza pana de Mouet, poczem przez lat kilka zwiedzał kraje obce, pod dozorem Tomasza Pruszaka, kasztelana gdańskiego. Był w Niemczech, Włoszech, Francyi i Anglii, gdzie zabawił najdłużej, przebywając w domu lorda Mansfield. W r. 1761 poślubił Izabellę, hrabiankę Fleming, córkę Jerzego Fleminga, podskarbiego W. ks. Litewskiego, wojewody pomorskiego i Antoniny z ks. Czartoryskich, siostry swej stryjecznej.

Z ust samej księżnej słyszałem, że kiedy po śmierci swej matki wychowywana była u babki, księżnej Katarzyny w Przybysławicach, o rękę jej starał się Karol Radziwiłł, zwany „Panie Kochanku“. Kiedy

ks. kanclerzyna w Wołczynie bawiła, zaprosił on ich wszystkich na biesiadę do Biały. Przy stole, prócz zwykłej służby, usługiwały niedźwiedzie, z których jeden, gdy hrabiance talerz odmieniał, ta ze strachu zemdlała i taką awersyą do księcia Karola powzięła, że o małżeństwie nie mogło być nawet mowy.

Pierwszy zawód służby publicznej księcia Adama Czartoryskiego rozpoczął się odrazu od wielkiego dostojeństwa. Wiadomo, iż stronnictwo Czartoryskich miało silne wpływy na interesa krajowe za Augusta III. Książę wojewoda ruski więc wyjednał dla jedynaka syna dozwolenie odstąpienia mu posiadanego urzędu Generała Ziem Podolskich. Niedługo po zawartem małżeństwie udał się książę Adam do Petersburga, a stosunek blizki, jaki miał z posłem pruskim, wprowadził go do poufnego towarzystwa wielkiego księcia następcy tronu. Wielki książę w towarzystwie księcia Adama bardzo zasmakował, nie mógł się bez niego obejść i codziennien a obiady go zapraszał.

Stryj księciaA dama i ojciec, przewidując niedaleki zgon Augusta III, a mając w zamiarze dokonanie reformy rządu rzeczypospolitej, wysłali księcia Adama do Petersburga, celem zapewnienia sobie pomocy sąsiada, który już od Piotra W. zaczynał wielki wpływ na interesa Polski wywierać. Wielki książę Piotr sam pierwszy poddał księciu Adamowi myśl osiągnięcia polskiej korony. Ale kiedy, jeśli nie z własnej woli, to stosując się do życzeń ojca i stryja torował sobie drogę do tronu książę Adam, tymczasem stolnik Poniatowski silniejszą znalazł pomoc w Katarzynie.

Piotr III, pamiętny swej przyjaźni i przyrzeczeń, w dniu wstąpienia na tron ozdobił księcia Adama orderem św. Andrzeja, lecz skoro krótkie jego panowanie koniec wzięło, uzyskanie tronu dla ks. Adama stało się bardzo niepewne, Stanisław Poniatowski, mianowany jeszcze za życia cesarzowej Elżbiety posłem rzeczypospolitej przy dworze rosyjskim, popierał gorliwie pierwszą część danych mu zleceń, to jest wyjednywał pomoc dla przeprowadzenia reformy, ale z drugiej sam forytował się na króla. Książęta Czartoryscy, wiedząc o wpływie Poniatowskiego na Katarzynę, zaniechali myśli popierania księcia Adama, będąc przekonani, że również pod imieniem siostrzeńca panować potrafią i swe zamiary przeprowadzić zdołają.

Dlatego też, kiedy po zgonie Augusta III, w końcu 1763 roku zebrały się sejmiki województwa ruskiego w Sądowej Wiszni i tam zebrana szlachta ofiarowała ks. Adamowi swe wota na elekcyą, wymówił się od tego zaszczytu. Biograf jego i sekretarz Bernatowicz wzmiankuje nawet, że toż samo oświadczył i na propozycye Piotra III-go. Wiary temu dać nie można, bo do ostatnich chwil była nadzieja i kiedy Katarzyna przysyłała posła swego Kayserlinga, pisała do Poniatowskiego: *J'envoie en Pologne Kayserling, avec ordre de Vous faire élire Roi — Vous ou Votre cousin le prince Adam Czartoryski.*

Na sejmie konwokacyjnym 1764 r. objąwszy laskę marszałkowską, wyjednał książę Adam uchylenie *liberum veto*, ukrócenie władzy hetmanów i podskarbich i oddanie wojska pod straż komisyom. Na sejmie

elekcyjnym jako poseł głosował za Poniatowskim i elekcyą jego podpisał. W r. 1764 był posłem inflanckim, lecz kiedy pierwszy rozbiór kraju nastąpił, a nawet przedtem jeszcze, wraz z zawiązaniem się konfederacyi barskiej, uchylił się zupełnie od spraw publicznych i lat kilka za granicą bawił.

W r. 1765 przyłożył się radą do założenia szkoły rycerskiej kadetów, jej przewodniczył i na jej uposażenie łożył. Był generałem lejtnantem wojsk litewskich i szefem pułku gwardyi litewskiej.

W r. 1775 wrócił znowu do życia publicznego, jako członek komisyi edukacyjnej, a w r. 1781 został marszałkiem trybunału litewskiego.

Lecz już poprzednio zaczęły się niesnaski pomiędzy nim a królem. Zgon księcia kanclerza i ks. wojewody, a przedtem jeszcze wiek podeszły, usuwał ich zwolna od kierunku sprawami Polski, a nieszczęśliwy obrót, jaki nastąpił wskutku popieranej przez nich interwencyi rosyjskiej do spraw Królestwa Polskiego, osłabił stronnictwo Czartoryskich. Doszło wreszcie do tego, że wzmagające się niesnaski jawnie wyróżniały dwie partye: królewską i Czartoryskich. Wmięszały się do tego intrygi, których skutkiem była słynna w swoim czasie sprawa pani Dogrumoff, zbyt podobna do owej naszyjnika królowej we Francyi i ks. de Rohan.

Ponieważ druki odnoszące się do tej sprawy są dzisiaj rzadkością, w streszczeniu więc o niej wspomnę.

Pani Dogrumoff, żona majora rosyjskiego, a o ile się zdaje Francuzka rodem, kobieta obyczajów rozwiązłych, poznawszy się z Anglikiem Taylorem, po-

przednio kupcem, uprzedziła tegoż, jako osobę mającą stosunki z księciem Czartoryskim, że panowie: Ryx, starosta piaseczyński, a kamerdyner królewski i generał Komarzewski, adjutant królewski, dali jej zlecenie otrucia księcia Adama. Taylor 11 stycznia 1785 r. ostrzegł o tem księcia i tegoż dnia dla otrzymania bliższych objaśnień w towarzystwie Ignacego Potockiego, marszałka nadwornego litewskiego z ust Dogrumowej usłyszeli potwierdzenie tegoż oskarżenia, a relacya jej na piśmie, którą marszałek w dniu 14 stycznia uzyskał, oznaczała:

1° i 2° że Komarzewski, przyprowadzony do niej przez Ryxa, obiecał jej za zgładzenie ze świata księcia Adama nadanie wsi, pensyą roczną 500 dukatów i jednorazową gratyfikacyą 1000 dukatów. Że dał jej proszek, służyć mający do otrucia.

3° i 4° że w celu namówienia jej do spełnienia tej zbrodni byli u niej sześć razy wraz z Ryxem.

Książę Czartoryski przypuszczając, że może niedostatek skłania panią Dogrumoff do podobnych zeznań, kazał jej ofiarować 200 dukatów. Odmówiła przyjęcia tej kwoty, a przytem oświadczyła, że potrafi skłonić oskarżone osoby do powtórzenia obietnic i wyznania zamierzonego zabójstwa przy świadkach, których ukryć w swem mieszkaniu obiecywała.

Jakoż 16 stycznia o trzeciej po południu przybył Ryx do pani Dogrumoff, mieszkającej blizko Alei. Zaraz po nim stawili się świadkowie: Stanisław Potocki i Taylor, którzy w przedpokoju przezedrzwi rozmowie się przysłuchiwali. Skoro pani Dogrumoff powiedziała, że z księciem Czartoryskim zrobiła zna-

jomość, że u niej bywa, że teraz otruć go się podejmuje, byle osobę jej zapewniono i obiecaną nagrodę wypłacono, — na to Ryx miał zawołać: brawo! to dobrze.

Kiedy Ryx wychodził z pokoju, Taylor schwycił go za kołnierz, przyłożył lufę pistoletu do głowy i w ten sposób zmusił go do udania się do pałacu marszałkowej Lubomirskiej (dziś Stanisława Potockiego). Tu niebawem przybył Mniszech, marszałek wielki koronny, aresztowano Ryxa, Komarzewskiego i panią Dogrumoff i sąd marszałkowski zajął się tą sprawą.

Sąd ten składali: Mniszech, marszałek wielki koronny, Ignacy Potocki, Antoni Małachowski, wojewoda mazowiecki, Bazyli Walicki, wojewoda rawski, Tomasz Ostrowski, kasztelan czerski, Franciszek Podoski, kasztelan mazowiecki, Kicki, koniuszy wielki koronny, Stanisław Sołtyk, stolnik koronny, Kazimierz Rzewuski, pisarz koronny i Jerzy Wielhorski, pisarz litewski. Do pisania indagacyi 18 stycznia król przeznaczył swego sekretarza Glaire, rodem szwajcara, bo sędzia sądu marszałkowskiego Cieciszewski, nie umiał po francusku.

Wyrok wydany 15 marca t. r. uznawał Ryxa i Komarzewskiego za niewinnych, panią Dogrumoff za oszczerstwa skazywał na wieczne więzienie, stanie pod pręgierzem i wypalenie na piersiach znaku szubienicy, — Taylora uniewinniono od zarzutu wspólnictwa, za samowolne zaś aresztowanie Ryxa skazano go na sześć miesięcy wieży i sześćdziesiąt grzywien.

Księcia Czartoryskiego za to, że dopuścił wy-

roku, co znaczyło w ówczesnej terminologii prawnej, że dopuścił zaoczności i nie stawał przez obrońcę, skazano na zapłacenie sześćdziesięciu grzywien. Nakazano zarazem spalić dwa pisma przez stronnictwo ks. Czartoryskich ogłoszone pod tytułem: Pierwsze i drugie objaśnienie.

Początkowo pan szambelan Borysławski wniósł oskarżenie ze strony księcia Adama i chodziły pogłoski, że wskutek intryg dworu zabroniono adwokatom podejmować się sprawy księcia. To pewna, że panowie Kasperski i Chrzanowski, ówcześni najznakomitsi warszawscy patronowie, odmówili swej pomocy księciu. To stało się powodem, że książę Adam postanowił dopuszczenie zaoczności wyroku, mimo, że familia jego gwałtownie nalegała, żeby przed sądem osobiście się stawił.

Zręczna była bardzo obrona Ryxa. Przywodzono w niej, że pan Scudery, podróżując z siostrą po Francyi, na noclegu w oberzy toczył rozmowę o romansie, któren pisać zamierzali, a który później pod tytułem *Cyrus* wydany wielkiej bardzo nabył wziętości. W rozmowie panna Scudery zapytała brata: *Et que ferons nous avec le prince Mazara? — Faut-il le faire perire par la foudre ou l'empoisonner?* Dwaj kupcy, którzy wpodle kwaterowali, usłyszawszy to zapytanie, w przekonaniu że o księciu Mazarin mowa, donieśli o tem policyi, aresztowano więc Scuderych, i ci z wielką bardzo trudnością usprawiedliwić się zdołali. Wogóle obrona ta z wielkim talentem ułożona, głównie polegała na tem, że trzem osobom jedynie do sprawy wpływającym zaprzeczono możności świad-

czenia. Pani Dogrumoff dlatego, że była delatorką, Taylorowi bo był jej spólnikiem, panu Stanisławowi Potockiemu, bo był spokrewniony z księciem Adamem. Odsunąwszy świadectwa tych trzech osób, przyznawano, że Ryx był u Dogrumowej, ale że zupełnie o czem innem mówił. Wynikło to prawdopodobnie stąd, że większość sądu była królowi przychylna: Mniszech, Walicki, Podoski, Ostrowski, Kicki, Wielhorski, byli z partyi królewskiej. Małachowski i Sołtyk nie należeli do stronnictw, a pisarz Rzewuski i Ignacy Potocki, jakkolwiek Czartoryskim oddani stanowili znaczną mniejszość.

Z dzisiejszego pojmowania rzeczy na sprawę tę patrząc przedewszystkiem uderza, że strony sędziów nie ekscypowały, a szczególniej tak blisko spokrewnionych jak byli Mniszech i Potocki. Zdaje się nadto, że potomność nie przyzna trafności wyrokowi, bo naprzód mimo, że doktór Jahn i za jego zdaniem inni lekarze i aptekarze zeznali: 1) że dany do rozbioru proszek udzielony był w tak małej ilości, iż niepodobna było doświadczeń dokonać dokładnie; 2) że trucizny mineralnej jak arszeniku, ołowiu, miedzi zupełnie nie było; 3) że jednak pies, któremu szczyptę jego zadano dostał konwulsyi. Mimo że doktór Goltz zawyrokował, iż proszek ten nie zawiera w sobie trucizny znanej, — sąd zawyrokował, że proszek nie był trucizną. Opierając się na zdaniu biegłych, należało chyba oświadczyć, że jakkolwiek proszek nie jest trucizną znaną, ani mineralną, wszakże kiedy szczypta jego sprawiła psu konwulsye, musiał być szkodliwym. Dalej kiedy Ryx zaprzeczył treści rozmowy, jakoby

słyszanej przez Taylora i Potockiego, a ci z mocy prawa za świadków przyjętymi być nie mogli, należało sprawę dla braku dowodów umorzyć, a nie wymierzać tak srogiej kary na panią Dogrumoff. W czem jeszcze sprawa ta godna uwagi, że poseł austryacki p. Ducachet dwukrotnie udawał się do Rady nieustającej z oświadczeniem, że osobę księcia Adama cesarz bierze pod swoją opiekę.

Wogóle sprawa ta choć sądownie badana, pozostała okryta jakąś tajemnicą, a że wszystkie odnoszące się do niej druki, publikowane przez stronnictwo Czartoryskich zostały popalone, więc nic dziwnego, że poinformowany tylko z jednej strony badacz całą winę zwala na księcia Adama.

Pani Dogrumoff skazana na surowe kary, jak wieczne więzienie, stanie pod pręgierzem i piętnowanie znakiem szubienicy, od księcia Czartoryskiego brała znakomitą pensyą i mieszkała aż do zgonu wraz z małżonkiem w kluczu Jarosławskim.

Trudno także było nie wierzyć słowom osoby tak znakomitej jak p. Stanisław Potocki, który ukryty pode drzwiami, całą rozmowę Ryxa z panią Dogrumoff słyszał. Bądź co bądź wyrok w tym procesie sprawił, że książę Adam zamieszkał w 1785 r. w Sieniawie, a sprzedawszy już poprzednio dowództwo pułku gwardyi litewskiej, przeszedł w służbę austryacką i za cesarza Józefa II został zamianowany dowódcą gwardyi galicyjskiej, szefem pułku jazdy i feldzeugmeistrem. Wybrany w roku 1788 posłem na sejm czteroletni z województwa lubelskiego, jeździł w 1791 roku do Drezna dla uzyskania od Elektora Saskiego

przyjęcia korony polskiej, ofiarowanej przez stany jemu i jego córce. Tam poznał Henryka Dąbrowskiego, wówczas służącego w wojsku saskim i namówił go do objęcia obowiązków w szeregach ojczystych. Po przystąpieniu króla do konfederacyi targowickiej usunął się do Galicyi, a po insurekcyi Kościuszkowskiej wszystkie dobra jego położone w kordonie rosyjskim skonfiskowano. Dla odzyskania ich zmuszonym został synów swych oddać w służbę rosyjską. Cesarzowa Katarzyna starszego księcia Adama przeznaczyła do osoby cesarzewicza Aleksandra, młodszego zaś Konstantego na adjutanta wielkiemu księciu Konstantemu, a majątek skonfiskowany tymże synom oddać poleciła. Młodzi książęta na swe imię zatrzymując tytuł własności, zarząd dóbr i intraty z nich rodzicom zwrócili. Równie szczęśliwym nie był mój ojciec, dobra bowiem skonfiskowane mu na Podolu, już nigdy do niego nie powróciły.

Cesarz Franciszek Józef r. 1802 mianował księcia Adama Czartoryskiego feldmarszałkiem, kawalerem orderu Złotego Runa i szefem pułku piechoty, a w r. 1808 sejm węgierski jednogłośnie nadał jemu i jego potomstwu indygent magnactwa węgierskiego. W roku 1809 arcyksiążę Ferdynand wezwał go, aby odezwą do wojsk księstwa Warszawskiego wydaną zachęcał też wojska i młodzież do łączenia się z Austryą. Książę Adam w odpowiedzi swej pomiędzy innemi odezwał się w ten sposób: „Wprzódy byłem polakiem aniżeli feldmarszałkiem i dlatego nigdy podobnej odezwy nie podpiszę“.

W roku następnym wykonał przysięgę na wier-

ność księciu warszawskiemu i w r. 1812 stanął na czele konfederacyi, co było jego ostatnią posługą publiczną.

Od chwili cofania się wojsk francuskich przeniósł się do Sieniawy i w Puławach już rzadko przemieszkiwał. Zgon jego nastąpił 29 marca 1829 roku w wieku lat 92. Przy końcu długiego życia książę Czartoryski zdzieciniał zupełnie. Pomięszały mu się wszystkie języki, które posiadał — grecki, łaciński, polski, rosyjski, niemiecki, francuski, hiszpański, włoski, angielski, hebrajski, turecki, perski, arabski, węgierski i taką mieszaniną słów najrozmaitszych rozmawiał, nie będąc przez nikogo rozumianym.

Hrabia Fryderyk Skarbek na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk z dnia 5 maja 1825 r. w mowie pochwalnej na zebraniu tem mianej, skreślił zasługi tego światłego męża i jego działalność. Pisma jego, o ile mi wiadomo, są następujące:

a) Katechizm moralny i definicya dla korpusu kadetów.

b) Komedya: Panna na wydaniu.

c) „ Kawa.

d) „ Pyszno-skąpski.

e) „ Damy.

f) „ Gracz.

g) Myśli o pismach polskich, drukowane pod imieniem Dantyszka.

h) Pamiętniki o elekcyi Henryka Walezyusza, przekład dokonany z p. Choisnin, a podpisany imieniem Turskiego.

Podobno i listy Doświadczyńskiego także jego

są pióra, a że wszystkie jego prace są albo pod pseudonimami okryte, albo bezimiennie drukowane, przeto dokładnie oznaczyć je i wyliczyć trudno.

Księżna Izabella, żona księcia Adama, a wnuczka księżnej kanclerzyny, z domu Wallenstein, pochodziła z holenderskiej rodziny Flemingów. Ci najprzód, indygienat saski, a później za Augustów i Polski pozyskali. Ojciec jej znakomity w Polsce posiadał majątek: Wołczyn, Włodawę, Izabelin, Terespol, oprócz starostw, a w Holandyi miał także dobra Gertruidensburg nazwane. Do tych przywiązane było prawo bicia monety i widziałem dukaty holenderskie, bite tamże pod stemplem ks. Izabelli z jej wyobrażeniem w miejsce rycerza. Dobra te księżna sprzedała, czego sama później żałowała często.

Wydana za mąż w czternastu latach życia, śluby te zawarła przez posłuszeństwo dla babki, u której, gdy matka ją odumarła, w dziecinnym wieku na wychowaniu zostawała. Chociaż książę wojewoda ruski, jeden z majętniejszych panów w Polsce z rządności słynął, związek ten wszakże skojarzony został jedynie ze względów majątkowych, bo hrabianka jako jedynaczka, całą fortunę Flemingów odziedziczyła. Ojciec jej — o ilem z ust jej własnych słyszał, niecierpliwym i żywym pozostał do zgonu, po polsku źle mówił i z akcentem niemieckim. To mu nie przeszkadzało piastować wielkie godności w rzeczypospolitej, był bowiem podskarbim księstwa Litewskiego i wojewodą pomorskim. Żywość jego miała być taka, że kiedy w nocy wracał do swego mieszkania, zaraz wysiadając z powozu zaczynał zrzucać z siebie odzienie

i do koszuli rozebrany dochodził do łóżka, nie zważając czy służba rozrzucone po sieni i schodach szaty zbiera. Dla tego także z księciem Kanclerzem, flegmatykiem i człowiekiem sarkastycznym, nie mógł nigdy harmonizować i nie było przykładu, żeby zaproszony na obiad do niego, za stołem do końca jego dosiedział. Wolna i dłużąca rozmowa księcia Kanclerza zapalała go gniewem i porzucał teścia. Opowiadała mi nadto sama księżna, że w owej epoce wcale nie była ładna i na krótko przed ślubem dostała ospy, która ją jeszcze więcej oszpeciła. Dopiero koło ośmnastego roku życia nabrała tej przyjemności i wdzięków, które takiego hałasu w Polsce i za granicą były powodem.

Posiadała niewyczerpaną pamięć. Wiadomości historycznych ogromny zasób, mniej się zajmowała literaturą. Konwersacya jej posiadała nadzwyczaj wiele uroku, choć czasem satyryczność dziadka przypominała. Lecz mimo lekkiej skłonności do szyderstwa, umiała być przyjaciółką, jakich trudno znaleźć, a litością i dobrocią serca współzawodniczyła z mężem. Oprócz tego Polka całą siłą swych żywych i namiętnych uczuć i sentyment ten radaby przelać na wszystkich. W literaturze dwa jej dzieła są mi znajome: jedno z rycinami, o sposobie zakładania ogrodów, — drugie: Pielgrzym w Dobromilu.

Koło roku 1787 podróżowała po Niemczech, Francyi i Anglii, w celu dokończenia edukacyi syna Adama. Moja matka odprowadziła ją do Paryża, ale stąd, jak już nadmieniłem, z powodu spodziewanej słabości do kraju wrócić musiała i odtąd tylko bez

przerwy z sobą korespondowały. Najdłużej zabawiła księżna w Anglii, gdzie zawiązała przyjazne stosunki z Lady Jersey, później kochanką księcia Walii, następnie króla Jerzego IV. U niej najwięcej w czasie swojego w tym kraju pobytu przebywała, ale do zwyczajów angielskich nie mogła przywyknąć. W jednym z listów tak przed moją matką się skarży:

„Wyobraź sobie, że ci Anglicy posiadają kraj cudny, cały jakby jeden starannie utrzymywany ogród, nieprzebrane bogactwa, z któremi sami nie wiedzą co robić, oprócz tego mają ludzi światłych, kobiety anielskiej piękności i mimo tych zasobów ciągle się nudzą. Nie znają co jest towarzyskość, co wylanie serca, przyjaźń i wszystko u nich zimne, skrzepłe, skrępowane etykietą, która w zwyczaj przeszła i od której jarzma wyłamać się nie umieją. Wszyscy posępni, smutni, milczący i jakby przyciśnieni ogromem nieszczęścia. O ludzie, jakże nie umiecie korzystać z darów Opatrzności! Nasza Polska sto razy lepsza i przy całej swojej biedzie sto razy szczęśliwsza“.

Wówczas kiedym był w stanie księżnę lepiej ocenić, cztery rzeczy szczególnie były wyłącznym zatrudnienia jej celem: ogród puławski, włościanie puławscy i włostawiccy, zbieranie pamiątek narodowych i obcych i edukacya panny Zofii Matuszewicz. W ogrodzie sama sadziła i szczepiła drzewka, pielęgnowała kwiaty, nakreślała plany trawników i klombów i zbierała nasiona. Włościan wszystkich znała po imieniu i nazwisku, była wszystkich protektorką, przyjaciółką i kumą, bo wszystkie ich dzieci do chrztu trzymała. Z gorliwości jej, ujawnianej w zbieraniu pamiątek

historycznych, nagromadzało się ich wiele w świątyni Sybilli i Domku gotyckim. Tego ostatniego zbioru katalog drukiem ogłoszony, katalog zaś Sybilli w starannym rękopisie, z pracowitemi winietkami tylko był mi znany. Co do panny Zofii Matuszewiczównej, która w niemowlęctwie straciwszy matkę pod opiekę księżnej się dostała, znalazła w opiekunce swej więcej jak matkę, bo księżna o własnych swych dzieciach nie miała tyle starania co o tej sierocie. W swoim pokoju ją zawsze trzymała, sama ją pielęgnowała i ani bony, ani guwernantki nie dopuściwszy, sama ją uczyła, a kochała jeśli nie więcej, to na równi ze swemi dziećmi.

Księżna lubiła zabawy. Prócz polonezów jednak nigdy innego tańca tańczącej jej nie widziałem. Chociaż wiekiem od męża znacznie młodsza, bo liczyła wówczas lat 53, zawsze świeża i ruchliwa śmiało jeszcze tańcować mogła. Co do księcia feldmarszałka, ten prócz polonezów tańcował menueta i kozaka, ale tylko z jedną panią Zamojską. Już wówczas obydwa te tańce wyszły zupełnie z mody i prawie żadna z młodszych osób tańcować ich nie umiała, księżniczka Zofia tylko dla przyjemności ojca ich się nauczyła.

Apartament księżnej znajdował się na dole, w prawym pawilonie. Ściany przedpokoju okryte były werniksowanemi karykaturami angielskiemi niekolorowanemi. W sali, której sklepienie utrzymywały słupy czworograniaste, znajdowały się tylko cztery stołki, na wzór rzymskich zrobione i ogromna *en stuc* porfirowa wanna. W drugim salonie na ścianach porozwieszano piękne obrazy — same oryginały. Między

tymi celowały: Dolabelli — wjazd Ossolińskiego do Rzymu, dziś sztychy nawet z tego obrazu przez Dolabellę robione także do rzadkości należą. Dalej pejzaż Rembrandta, św. Marcin Rubensa, Samarytanka Weroneza, bydło — Casanowy, portret matki Rembrandta — przez tegoż, kobiety Leonarda da Vinci i Wniebowstąpienie — Van Dycka. Obok tego salonu, w którym jeśli gości Puławy nie miały, zbierano się na śniadanie i herbatę — ku ogrodowi istniały księżnej gabinety. W pierwszym piękny pejzaż Hakerta, w drugim, holenderskimi kaflami w ściany wmurowanemi wyłożonym, umieszczono małą biblioteczkę z romansów złożoną. Stąd była komunikacya do oranżeryi. Z drugiej strony znajdował się pokój sypialny księżnej, a w nim wielkie portrety księżnej Wirtemberskiej i pani Zamojskiej, małe dwóch synów i sześć pejzażów szkoły holenderskiej. Te ostatnie, później darowane mojej matce są dzisiaj moją własnością.

Do najbardziej ulubionych zabaw księżnej należał teatr i tak zwane fety, rodzaj obrazów z żywych osób składanych i bądź na kępie, bądź w ogrodzie, bądź w salonach przedstawianych. Teatrów było dwa — jeden na dworze, na kępie — letni, drugi nad mieszkaniem księżnej, obok sali białej — zimowy. Sztuki dla nich pisali poeci i literaci bawiący w Puławach, a grywali miejscowi amatorowie, a często przybyli goście. Pióra Kniaźnina, Tańskiego, Kruszyńskiego, Karpińskiego, samego księcia i księżnej dostarczały dramatycznych utworów, a czasem przedstawiano i sztuki francuskie. Pamiętam graną Atalią Rasyna i Menechnów Regnarda.

Co do fet, tych było takie mnóstwo i taka rozmaitość, że je opisać trudno. Dla oryginalności wspomnę jedną z zabaw do tego rzędu należących.

Ogród puławski oddziela od kępy Łacha wiślana, ciągnąca się od Włostowic obok Puław, Marynek do Wisły. Nad jej brzegiem wznoszą się strome wzgórza i wapienne skały, w których groty wykute. Zrobiono projekt, aby całe towarzystwo podzielić na dwie części. Jednej zadaniem było z łodzi i statków wylądować do ogrodu, drugiej atak ten odpierać. Zawarowane było, że skoro jedna łódź osadę swą na brzegi wysadzi bitwa już wygrana, a broni innej jak sikawki nie można było używać. Dowódcą siły wodnej obrany został książę Eustachy Sanguszko, a odpierającej Stanisław Zamojski. Dwa tygodnie oznaczono do potrzebnych przygotowań i głównie czasu tego użyto na sprowadzenie mnóstwa ręcznych i dużych sikawek i przygotowanie strojów tak dla siebie jak i dla ludzi zaciągniętych pod swe zwierzchnictwo. Stroje te musiały być odpowiednie do przypuszczenia, że nikt na sucho nie wyjdzie i że przystojność zacna wymagała, żeby turniej ten wobec dam odbywać się mający, w niczem uczuć ich nie obrażał. Obmyślano rodzaj spancerów kazimierkowych spinanych, chustki na szyje białe, kapelusze słomiane, dolne ubrania także kazimierkowe i buty z cholewami. Damy podzieliły się także na stronnictwa, a każda swego rycerza wstążką u kapelusza i dewizą udarowała. Dwa razy w ciągu miesiąca ponowiono tę zabawę i kiedy się zaczynała odpychano statki od brzegów długiemi żerdziami i tak z rzeki jak i z brzegów wzajemnie na siebie masę

wody wylewano. Jeden galar o mało nie zatonął taką masą wody go zalano i musiał się poddać, ale jak za jednym tak za drugim razem wybrzeże zdobyto.

Na zabawę tę przybyło także mnóstwo osób z Warszawy, a pomiędzy nimi kilku emigrantów francuskich: ks. Fleury, ks. Grammont i Vicomte de Vassy, odznaczający się tem, że po stracie oka nie nosił plastra, lub innej osłony, jak to robią inni, ale miał oko szklanne wprawne, jak hr. Neuperg, drugi mąż wdowy po Napoleonie. Było zwyczajem przyjętym w Puławach, że każdy przyjeżdżający miał dodanego służącego na swoje rozkazy i nawet jeśli kto żądał na kilka osób oddzielnego do stancyi swojej obiadu, herbaty, kolacyi, ponczu, lodów, cukrów — to wszystko ze skwapliwością mu dostarczano. Również udzielano do spacerów pojazdów lub koni wierzchowych. Rozkaz ten zaś rozciągał się nietylko do znakomitości, ale nawet my, młodzież tych samych hojności doznawaliśmy dowodów i częstokroć śniadania i podwieczorki wyprawialiśmy dla sproszonych. Co zabawniejsza, że często na owe partye, na których jako siurpryzę przygotowywano jakąś fetę w tajemnicy, zaproszono samych gospodarzy, którzy tym sposobem własnym swym kosztem byli traktowani. Owóż, kiedy wspomniany p. Vassy rozbierał się, kazał przynieść służącemu, dodanemu mu do usługi szklankę wody i położywszy się w łóżko, wyjął oko szklanne i do wody wpuścił. Służący stał nieporuszony mocno tem zdziwiony czekał. P. Vassy, chąc spać, zapytał go, czegoby czekał. Dobroduszny Maciuś odrzekł: Czekam, żeby JWPan drugie oko wyjął.

Większą część młodzieży, mieszkającej w Puławach, opatrywali rodzice hojnie, aby w miejscu tak świetnem i w ubiorze i w potrzebach niedostatku nie okazywała. Panowało więc między nią wielkie marnotrawstwo, a każdy chciał pokazać się panem i hojnym. Nieraz za podanie piórka do zębów dawano dukata. Jedną z przyczyn głównych tego zbytku był książę Dominik Radziwiłł, któremu opieka rocznie 200.000 złp. na jego fantazye płaciła i który, nie wiedząc co z pieniędzmi temi robić, siał je na los szczęścia garściami. Za popędem przez niego danym liczba wydatków stawała się ogromną, każdy dla siebie, służących, których przy osobie swej trzymał, musiał sprawiać ubiory, a pieniędzmi na wszystkie strony rzucać sowicie.

W podobnem życiu sześć lat przepędzałem, z początku jako dziecko, później jako młodzieniec i korzystałem nietylko z nauki, ale i z zabaw, bo w Puławach młodych ludzi od towarzystwa nie odprawiano nigdy; rozmowa osób wysoko wykształconych wpływała na rozwój umysłów znakomicie. Przyjazne związki najściślejsze łączyły mnie z Hallerem, Stanisławem Hemplem, towarzyszami mojej nauki, Jerzym Białopiotrowiczem, Puzyną i Radziwiłłem.

Puławy uległy zmianom co do ogółu budowli zamieszkanych, czyli pałacowych. Główny gmach, postawiony na cyplu znacznej spadzistości wygazonowanej, u schyłku tejże do Łachy wiślanej, stu dwudziestołokciową płaszczyzną od niej przedzielony. Przed księciem wojewodą ruskim służył on za wieżę i bramę obronną przewozu na Wiśle, która płynęła

w miejscu, gdzie obecnie jest Łacha. Książę wojewoda bramę tę przerobił na pałac, architektura którego była dosyć oryginalną. W środku wznosił się korpus o dwóch piętrach w kwadrat podłużny, od strony południowej dwoma pawilonami i czworobocznemi wieżami opatrzony. Na dole tego korpusu ganek, utworzony przez wsparcie wielkich schodów z ciosowego kamienia na arkadach. Schody te z dwóch stron zewnątrz budowli cały front zajmowały i prowadziły tylko na pierwsze piętro.

Na dole wielka sień flizami szwedzkimi wyłożona, której sklepienia spoczywały na kolumnach porządku doryckiego. Stąd drzwi na lewo prowadziły do apartamentów księżnej, już przez księcia feldmarszałka przybudowanych i na prawo do biblioteki. Frontowemi drzwiami po kilku schodach zstępowało się do rodzaju szyi tak szerokiej jak schody, a wiodącej do salonu kształtu nieforemnego, którego ściany były ozdobione płaskorzeźbami, wyobrażającemi sceny mitologiczne. Salon ten przez lat kilka stał pustkami, a stąd mnóstwo do niego wiązało się baśni o strachach. Z salonu na prawo i na lewo, schody nie oddzielane nietylko przedpokojem ale nawet drzwiami wiodły do dwóch wież, z których w każdej znajdowały się apartamenta z trzech pokojów złożone. Dopóki całej tej części na bibliotekę nie zajęto w apartamentach tych mieszkała moja matka. Co do salonu samego powszechnie utrzymywano, że z nastaniem nocy satyry i bachantki schodziły z płaskorzeźb i straszne wyprawiały harce, inni zaś przysięgali, że słyszeli granie na fujarkach i trąbkach. Choć więc sa-

lon ten nie stanowił komunikacyi głównej, korzystała z tych bajek młodzież i straszyła najczęściej panny służące, zabierając się czasem i do osób poważniejszych. To było powodem, że płaskorzeźby zniszczono, a salon wraz z apartamentami po prawej zajęto na bibliotekę. W kącie na prawo znajdowały się kręcone schody kamienne aż na dach prowadzące.

Na pierwszem piętrze tak od wejścia od schodów zewnętrznych, jako też kręconych znajdował się obszerny salon, flizami wykładany i który pospolicie służył za jadalnią. Stąd wchodziło się do sali zwanej *białą*, gdyż cała sztukateryami tego koloru była wyłożona, a dwa ogromne kominy i parę pieców dostarczały tu w zimie potrzebnego ciepła. Nad kominami wisiały dwa portrety Lwa Sapiehy i Stefana Czarnieckiego, naturalnej wielkości, ale nieosobliwego pędzla krajowego, w środku zaś pyszny także naturalnej wielkości portret Maryi Ludwiki, królowej polskiej, pędzla Van Dycka. Niedaleko od wchodowych drzwi ustawiony był bilard i ta część sali przeznaczona także do gry w szachy i karty. W przeciwnym rogu stół okrągły, obszerny, mogący więcej jak dwadzieścia osób wkoło siebie przyjąć. Tu w zimie podawano herbatę i całe poważniejsze towarzystwo zajmowało się tu gawędką, aż do jedenastej w nocy. Młodzież, jeśli nie tańcowała, po rozejściu się starszych przy tym stole także w gry umysłowe zabawiać się lubiła. Najulubieńszą z nich była tak zwana w *punkciki*. Polegała ona na tem, że jedna osoba układała jakiś frazes i stawiąc tylko początkowe wyrazów litery, resztę wypełniała kropkami i drugiej osobie do

odgadywania dawała. Szczególniej zakochani lubili się tą grą zatrudniać, w doborze bowiem słów do odgadywania podawanych mogli wyrażać swe sentymenta, znaczenie ich utajając dla otaczających w wyrazach dwuznacznych.

Z sali białej przechodziło się do drugiego, mniej obszernego salonu, którego ściany wybite były jedwabną materyą chińską, zahaftowaną rozmaitego kształtu drakonami. Później ozdobę tę zamieniono na popielate marmoryzacye. Komnata ta w niedzielę służyła za miejsce do nabożeństwa i w końcu jej umieszczona mała kapliczka zawsze bywała zamknięta i tylko w czasie mszy ją otwierano. W czasie nabożeństwa damy siedziały na krzesłach, a książę feldmarszałek słuchał go zawsze stojący, żeby więc staruszka nie mordować zbytnio, starano się jak najprędzej odmawiać modlitwy. Najbieglejszym w tym względzie był ksiądz Dąbrowski, proboszcz międzyborski i jego msza nie trwała więcej jak dziesięć minut. Ksiądz Laville najmniej znowu był sprawny, bo trzy kwadranse czasu dla odprawienia mszy potrzebował. Tu wieczorami młodzież się bawiła do czasu, póki starsi nie odstąpili jej sali białej.

Z tego salonu przechodziło się do tak zwanej sali złotej. Ta miała kształt szczególny  , a ściany jej całe były w źwierciadłach i złoconych floresach. Części stanowiące czworoboki były niższe od owalu środkowego, ozdobionego malowidłami Boucher. Meble tu kształtu starożytnego, kanapy i taborety wyzłacane, pokryte złotogłowami lugduńskimi. W całym

górnym apartamencie jeden tylko ten salon miał meble wysokiej wartości. Tutaj zwykle tańcowano.

Stąd drzwi na prawo prowadziły do apartamentów cesarskich, nazwanych tak na pamiątkę tego, że w nich mieszkał cesarz Aleksander. Były to trzy pokoje, z których czwarty zapomocą przepierzenia zrobiony. Najobszerniejszy zieloną materyą wybity i pejzażami Norblina ozdobiony.

Ze złotej i chińskiej sali duże okna aż do ziemi wychodziły na balkon ciosem wyłożony, z którego odkrywał się piękny widok na przeciwległy brzeg Wisły. W rogach północnych znajdowały się dwa apartamenta, lecz te już nie do korpusu, ale do pawilonów należały i o nich mowa będzie niżej.

Drugie piętro, na które wiodły schody kręcone, składało się tylko z dwóch salonów ogromnych i małej komórki. W jednym z nich mieszczono pospolicie kilku młodzieży, dłużej w Puławach bawiących, drugi zaś służył za skład głów drewnianych, z zamku krakowskiego zdjętych. Względem tych głów utrzymywała się legenda, że kiedy Zygmunt August jakąś sprawę sądził i skłaniał się do wydania wyroku niesprawiedliwego, one przemówiły: *Auguste judica juste* i od tej chwili usta miały otwarte. Tu naznaczono kwaterę dla służby męskiej, ale jakże poczciwych Maćków przekonać, żeby spali wraz z drewnianemi głowami, które gadają. Póki więc głów tych nie przeniesiono do domku gotyckiego lokaje wszyscy gnieździli się gromadą w małej i ciasnej komórce.

Dach ponad całym korpusem płaski, miedzią kryty, balustradą z ciosu okolony, na której usta-

wione z blachy dętej rozmaite figury i armatura. Środkowa z nich przedstawiała olbrzymiego Herkulesa, czy też Atlasa, na barkach swych świat dźwigającego. Nad schodami zewnętrznemi umieszczono dwa marmury z napisami, że budowa ta jest dziełem Augusta i Zofii Czartoryskich.

Za księcia feldmarszałka dobudowano na lewo dziedzińca pawilon, gdzie na dole znajdowały się już opisane apartamenta księżnej, a na górze teatr, komunikujący się z salą białą. Pawilon prawy nie został nigdy dokończony. W nim mieszkał książę i mieściła się biblioteka, na górze zaś dwa apartamenty zachowane stale dla księżnej Wirtemberskiej i pani Zamojskiej.

Prócz tych budynków, stanowiących całość pałacu, dotykały do nich dwie oficyny murowane, piętrowe i trzecia podobnaż dwupiętrowa, w której było archiwum i mieszkali oficyaliści. Między oficynami był czworoboczny dziedziniec. Z oficyną od strony ogrodu pałac był złączony dwoma cieplarniami, w których środku perystyl z kolumn jońskich stanowił wejście do ogrodu.

Ogród założony pierwotnie w guście włoskim, przez księżnę Izabelę zamieniony został na angielski. Zachowano tylko jedną ulicę lipami zasadzoną, która dopierała do końca góry i na której końcu wystawiono świątynię Sybilli, na wzór tej, której ruiny w Tivoli się znajdują. Aigner kierował pracami, a dla naśladowania skał sprowadzano zimową porą na saniach i walcach ogromne odłamy granitu, do których zaprzęgano po sześćdziesiąt par wołów. Od świątyni

druga aleja lipowa w kształcie *berceau* wiodła do oranżeryi górnej; poza którą znajdował się folwark, zwany Żulinki. Tu był mały domek mieszkalny i małe gospodarstwo, w którem hodowano szczególne gatunki drobiu i sześć *ponejów* karych, tak dużych jak brytany, którymi księżna zwykle na spacer jeździła.

Dalej rozciągał się obszerny, obmurowany ogród warzywny i fruktowy z czwartą cieplarnią, jedynie na stapelie i kaktusy przeznaczoną. To wszystko stanowiło ogród właściwy. Do niego od strony wschodniej przytykał lasek, zwany *dziką promenadą*, gdzie znajdował się sarkofag rodziców księstwa z kararyjskiego marmuru we Włoszech wykonany, a przez księcia Adama syna, kiedy był posłem przy królu sardyńskim, tutaj przysłany. Za laskiem prześliczny pałacyk Marynkami zwany, w guście włoskim, z płaskim dachem przez Aignera dla książąt Wirtemberskich postawiony. W czasie wielkich zjazdów gości w nim także lokowano. Tu także oprócz pięknego salonu *en stuc blanc* z marmurowym kominem, w oknie umieszczonym, znajdowało się kilka cennych obrazów Norblina. Przy Marynkach była piąta oranżerya.

Od Marynek, w stronę Wisły rozciągał się wzdłuż Łachy tak zwany ogród dolny. Upiększały go smagło wzrosłe sokory, po trawnikach rozrzucone. Od punktu, gdzie Sybilli świątynia rozpoczynała pasmo górzyste, powykuwano w wapiennym pokładzie groty, a część ich z ziemi oczyszczona tworzyła skały, na których umieszczono napisy bądź z poetów łacińskich, polskich i francuskich, bądź wspomnienia poświęcone pamięci nieżyjących osób, dla ukochanej mojej matki,

BIBL. WOJSK. 26 p. Ut.

po jej zgonie kamień pamiątkowy w górnym ogrodzie położono, a dziwną koleją rzeczy ludzkich zacna pani, która utworzyła ten cały ogród cudowny, która każdego przyjaciela pamięć chciała w nim potomności przekazać, sama nic, coby o niej mówiło nie uzyskała.

Przy grotach mieszkał pustelnik, miał w jednej jaskini kaplicę i odwiedzających graniem na kobzie i teorbanie zabawiał.

Na Łasze most drewniany o jednym łuku, śmiało rzucony stanowił bliższą komunikacyą z kępą, a poza Łachą obszerna łąka zamykała się lasem z odwiecznych sokorów złożonym. Niektóre z nich miały bajeczne i co do grubości i co do wysokości rozmiary.

Naprzeciw pałacu na dole postawiono statuę Tankreda i umierającej Kloryndy, a obok biła fontanna na trzydzieści stóp wysoko. Dalej zarośla z kasztanów, wśród których znowu sześć fontan, a nakoniec w cyplu sformowanym przez złączenie się Łachy z Wisłą, chiński czerdak, ocieniony wiekuistymi kasztanami. Za czerdakiem drugi ogród kwiatowy, warzywny i szósta oranżerya z cieplarnią. Z ogrodu dolnego sto schodów w obmurowaniu prowadziło do górnego a w tym ostatnim, zanim wystawiono Domek gotycki znajdował się duży salon otwarty z przodu i niemający frontowej ściany, tylko zamiast niej smukłą kolumnadę. Obok niego cztery pokoje, po dwa z każdej strony, które także oddawano na mieszkanie młodzieży.

Nie opisuję Domku gotyckiego, bo ten jest sztychowany, jak również drukiem ogłoszony katalog zbio-

rów w nim zawartych, natomiast za obowiązek uważam obszerniej pomówić o Sybilli.

Przy schodach u wejścia do niej ustawiono dwa sfinksy z porfiru ingryjskiego, dar cesarza Aleksandra, równie jak kopuła szklanna, sklepienie kończąca, a która oświecała wnętrze. Posadzka z wielkich płytów białego marmuru, ściany biało *en stuc* marmoryzowane, a kornisze (gzymsy) i sklepienia ubrane w bogatą ornamentykę. Cała budowa zawierała jeden salon okrągły, z framugą naprzeciw wejścia zasłoniętą karmazynową aksamitną oponą z kutasami i frędzlami złotemi, zawieszoną na bronzowej strzale. Poza nią zawieszone były miecze historyczne jak Władysława Jagiełły, przysłany przez wielkiego mistrza krzyżackiego w wilię bitwy Grundwaldzkiej — Stefana Czarnieckiego i t. p. W środku framugi, naprzód wysunięty postument, na którym ustawiona szkatułka hebanowa, w złoto i drogie kamienie oprawna, w której przechowywano łańcuchy, pierścionki i zegarki naszych monarchów. Pochodziły one po większej części z grobowców królewskich na Wawelu i za wyjęcie ich księżna sprawiła lampę srebrną do grobu św. Stanisława, która dotąd nad grobem tego świętego jest zawieszona. Najciekawsze w tym zbiorze łańcuchy Zygmunta Starego, Zygmunta III, Batorego, królowych Anny, Cecylii Renaty i zegarki roboty Zygmunta III.

Na ścianach ułożone w sposobie trofeów starożytne zbroje książąt Ostrogskich, Zasławskich, Sapiehów, oraz sajdaki, łuki i strzały. Wkoło ścian wielkie szafy półkoliste mahoniowe, w szufladach których nie-

zliczone mnóstwo pamiątek. Jedne drogocenne, inne nie odznaczające się wartością, ale ważnem wspomnieniem. Do rzędu tych ostatnich zaliczyć należało burkę hetmana Żółkiewskiego, koloru płowo żółtego, grubo pikowaną, w której pod Cecorą poległ. Były na niej ślady krwi i miejsca przebite, w które rany otrzymał. Była ta burka tak ciężka, że trudno ją było kilka minut na ramionach utrzymać. Do pamiątek cennych jako wartość należą buławy słynniejszych hetmanów, laski marszałkowskie, szable znakomitych rycerzy, puhary, tabakierki, rogi, trąbki itd.

Na szafach ustawiano piękne starożytne szkatułki, wszystkie pamiątkowe, historyczne. Pomiędzy niemi wazon z kości słoniowej przez Kościuszkę wyrobiony misternie, ręka Jana Kochanowskiego, czaszka Żółkiewskiego i szczątki kości Bolesława Chrobrego.

Co do tych ostatnich ja świadkiem jestem, że są one autentyczne. W r. 1808 przejeżdżaliśmy przez Poznań, gdzie jak wiadomo ciało Bolesława spoczywa w tumie czyli kościele katedralnym miejscowym. Ponieważ gmach ten spłonął i groby więc w tym pożarze nadwerężone zostały. Zamierzono postawić nowy pomnik dla Bolesława i w tym celu subskrypcye otworzono, biskup poznański Górzyński wyjął owe kości Chrobrego z grobu, schowano je w skrzynkę, opieczętowaną pieczęciami biskupa i kanoników i złożono tymczasowo w zakrystyi.

Owóż księżnę ogarnęła chęć posiadania jakiejś cząstki tych drogich pamiątek i z tym uporem pragnącej czegoś gorąco kobiety, zapowiedziała, że póty z Poznania nie wyjdzie, dopóki celu swego nie dopnie.

Na jej prośby biskup sam w asystencyi kanoników skrzynkę otworzył, a przytomny temu doktór Khitel wskazał, że znajdują się trzy czaszki zamiast jednej. Że Mieczysław I w Poznaniu także pochowany, oczywista więc rzecz, że zwłoki syna obok ojca spoczęły. Trzecia czaszka jest czy Mieczysława II, czy Dąbrówki. Kiedy Khitel nad otwartą skrzynką spostrzeżenia swoje czynił, a księża się na niego gapili, księżnej i pannie Zofii Matuszewicz udało się parę ułamków przywłaszczyć.

Wracając do życia dworu puławskiego, wspomnieć trzeba, że tańce wówczas były inne, aniżeli obecnie. Polonezy jedne miały przywilej rozpoczynania balów, ale tańczono je z większą powagą, a szczególniej przy przemianach i podawaniu ręki starano się w postawie obu płci wykazywać wiele gracyi, co w istocie nie jest łatwem i wtedy nawet nie wiele znajdowało się osób, które godnie w pierwszej parze iść mogły. Polek nieznano wcale, a walce oryginalne, bez żadnych dodatków najwyżej raz lub dwa razy w ciągu balu tańczono. Jedne z uprawianych podówczas tańców, które stanowiły uciechę dla widzów, były fandango z kastanietami, menuety i kozaki, tańce przeważnie solowe. Towarzyskimi były kadryle, ale nie francuskie, Ecosez, krakowiaki i mazurki. Na końcu balu przychodziła kolej na *Gross-Vater*. Wszystkie dzisiaj nie będące w użyciu. Po wkroczeniu wojsk francuskich nastały gawoty i kadryle francuskie, które despotycznie wyrugowały poprzednie.

Na stajni w Puławach utrzymywano koni wierzchowych trzynaście, cugowych ośmdziesiąt. Powozy

wszystkie kształtu starożytnego, o których już dzisiaj trudno dać wyobrażenie. Ubiór stangretów stanowiły ferezye białe. Codziennie kilka koni wierzchowych zachowywano do dyspozycyi księcia, na innych jeździła młodzież, bądź na rajszuli, bądź na spacery w miarę czasu i okoliczności. Oprócz tych jednak większość miała także własne konie wierzchowe i kiedy całe towarzystwo w lecie jeździło na herbatę do Parchatki, Buńki lub Wólki, wtedy powozy z damami otaczała młodzież męska na koniach.

Na czele służby stali kamerdynerowie, zawsze czarno ubrani, którzy oprócz obowiązków około księcia i księżnej, nadzorowali także roznoszenie potraw. Lokaje ubrani byli w zielono jasne fraki z pąsowym kołnierzem i galonami, a w dzień powszedni w szaraczkowe jasne surduty z czarnemi aksamitnemi wyłogami. Tych było mnóstwo, bo oprócz do posługi przy stole, każdy gość miał przeznaczonego z nich jednego, do jego osoby. Prócz tego stale utrzymywano dwunastu hajdaków ubranych w suknie węgierskie zielone z czerwoną pasmanteryą i kilkunastu pachołków w długich opończach zielonych. Pierwsi nosili potrawy, drudzy załatwiali rozmaite drobne posługi i trzymali straż nocną.

Wydział marszałkowski, to jest koszta stołu, piwnicy i światła pochłaniały rocznie z górą 800.000 złp.

Książę feldmarszałek, o ile sobie dzisiaj przypomnieć mogę, posiadał następujące dobra:

W Nowej Galicyi: Końskowolę z Puławami do stu tysięcy złotych rocznej intraty czyniące. Dalej Samoklęski, Zakrzówek, Przybysławice, Garbów, Pu-

haczów, Tarnogórę, również ze 100.000 złp. przynoszące, Międzyrzec za 200.000 złp., Włodawę i Rożankę do 50.000 złp. i oprócz tego starostwo latowickie.

Na Żmudzi starostwa pieniońskie i kupiskie.

Na Litwie dobra Kossów i Wołczyn, dające intraty trzykroć sto tysięcy złotych.

Na Podolu klucze: klewański, żukowski, mikołajewski, zieńkowski, międzyborski i granowski, które do trzech milionów intraty przynosiły.

Ogół intrat liczono do sześciu milionów złotych, dobrami temi zarządzali komisarze i ci w jesieni z intratami i rachunkami do Puław się zjeżdżali. Książę Konstanty przy pomocy oficyalistów rachunków ich słuchał i zdarzało się często, że z dóbr podolskich do czterech milionów przywożono. Transport szedł pod strażą kozaków granowskich.

Folwark Bukaczów na Pokuciu dostarczał tylko kapłonów na kuchnię, a te były tak wielkie, że i normandzkim nie ustępowały.

VI.

Księgozbiór puławski, wśród tylu innych drogocennych zbiorów, zdobiących to miejsce, należałoby nazwać nieoszacowanym, bo oprócz biblioteki Załuskich nikt w Polsce podobnego nie posiadał. Książę feldmarszałek odziedziczył po Sieniawskich, Denhoffach, Flemingach, stryjach kanclerzu i Teodorze biskupie poznańskim i po stryjence hetmanowej Ogińskiej nietylko majątek nieruchomy, ale i ruchomości. Już więc familijne zbiory książek i rękopismów zastał i liczne i ważne. Adam Sieniawski hetman i jego małżonka, żyjąc w epoce kiedy Karol XII rozgromiwszy Sasów, przegrodził swymi zastępami cesarza Piotra, od sprzymierzeńca jego Augusta II, oczekiwali na wypadki a widząc tron polski osierocony, bo August go się wyrzekał, rozmaite dopuszczali myśli. Hetman to skłaniał się do popierania syna Piotra W., to myślał, że w ślad Wiśniowieckich i Sobieskich korona wejdzie w dom jego, a w porównaniu do młodego wojewody poznańskiego, więcej rzeczywiście przedstawiał zasług. Małżonka jego, kobieta wysoko wykształcona, dowcipna, stała się narzędziem a może

i sprężyną tych planów. Utrzymywali oboje częstą korespondencyą z Piotrem, z Augustem, a nawet z Leszczyńskim. Wszystkie te ważne do ówczesnej historyi dokumenta, te listy i odpowiedzi stanowiły bogatą podstawę księgozbioru. Później, jak wiadomo, książę kanclerz wraz z wojewodą ruskim za ostatniego Sasa w rzeczypospolitej przewodzili i byli głową stronnictwa, dążącego do reform, kiedy znowu Flemingowie, Sasów faworyci, z innego stanowiska sprawę publiczną traktowali. Wszystkie zaś korespondencye i Czartoryskich i Flemingów w tym zbiorze się znajdowały.

Książę feldmarszałek, sam autor i gruntowny znawca swojej i zagranicznej literatury, filolog znakomity, całe życie zwiększał swój księgozbiór. Ci, którzy go bliżej znali, twierdzili, że innej nie miał namiętności. Nigdym go nie widział grającego w karty, dla agitacyi tylko czasami robił parę partyi bilarda z Rogalińskim, Ciesielskim, lub majorem Orłowskim, nie zdawał się miłośnikiem sztuk pięknych, bo nigdy ani rzeźb ani obrazów nie kupował, nie lubił i nie posiadał kosztownych sprzętów i jedyny zbytek jego stanowiły książki. Sam własnoręcznie prowadził korespondencye ze znakomitszymi księgarzami, a ci mu donosili nietylko o książkach świeżo z druku wychodzących, ale o rękopisach i rzadkościach bibliograficznych, które gdziekolwiekbądź nabyć można było. Tym sposobem księgozbiór co roku zwiększał się znakomicie, ale jednorazowy wzrost jego do ocenienia trudny, miał miejsce przez nabycie zbiorów Tadeusza Czackiego z Porycka. Po włączeniu tego nabytku do

biblioteki puławskiej, powszechnie utrzymywano, że ona stanowi najbogatszy księgozbiór w kraju.

Na nieszczęście porządnego jej katalogu nigdy ułożyć nie zdołano. Był to las, dziewicza gęstwina Brazylijska, w której błądzić się musiało, bo nie było przewodnika. Za mojej pamięci bibliotekarzem był naprzód Ernest Groddeck, ten jednak wyszukiwał tylko rzeczy do jego specyalności należące, a o porządkowaniu książek na pułkach ani myślał. Po nim inny sawant Holtzmann, pieczę nad skarbami tymi objął, ale zatopiony w układaniu swojego *Lexiconu*, w końcu zwaryował. Przez niejaki czas zajmował się także biblioteką Kruszyński, lecz prawdziwa era jej porządkowania nastąpiła za Sienkiewicza. Ten nietylko ją zaczął podług najnowszego systemu katalogować, nietylko przy tej pracy poodkrywał skarby dotychczas nieznane lub zapomniane, ale przystęp i korzystanie z biblioteki ułatwił, służbę jej urządził i upożytecznić ją dla ogółu zamierzył. Pod jego kierunkiem założono nadto w Puławach drukarnią, w której zaczęto drukować nieznane rękopisma, innym także powierzano wydawnictwa i oprócz funduszu na ten cel stałego, umyślono go zwiększać przez sprzedaż dubletów.

O skarbach tych trudno z pamięci dać wyobrażenie; trzebaby ją chyba mieć taką, jaką był obdarzony biskup Załuski, który będąc w niewoli miarowym wierszem opisał swój księgozbiór. O najważniejszych jednak rzeczach wspomnę o tyle o ile zdołam i o ile one przy rozpoczęciu porządkowania przystępne były. Oglądałem tam wspaniałe kodeksy Ka-

dłubka, Długosza, Janczara Polaka i dwa znakomicie dochowane Galla. Również anonima Jana, archidyakona gnieźnieńskiego, Heidenstejna: życie Jana Zamojskiego, gdzie o wzywaniu pomocy Karola, księcia Sudermanii i o staraniach Zamojskiego o tytuł książęcy bardzo ciekawe szczegóły. Dalej nieznajomego autora historya panowania Zygmunta Augusta, Orzelskiego toż panowanie, obecnie z druku już znane, zbiór kompletny Stanisława Górskiego, zwany aktami Tomickiego, zbiór tak zwany Dogiela, zbiory Naruszewicza, obejmujące nietylko tom I jego dzieła, ale i wszystkie materyały do dalszego ciągu historyi polskiej nagromadzone, Kojałowicza, herby polskie, akta konfederacyi Targowickiej, zbiór rękopismów dotyczących panowania Zygmunta III, i zbiór korespondencyi Jana Chodkiewicza. Z królewskich autografów były wszystkie, począwszy od Kazimierza W., nawet tak rzadkie jak Władysława Warneńczyka i Jana Olbrachta.

Z ciekawości i rzadkości przypominam sobie:

Ułamek kazania z r. 1243.

Ułamek tłómaczenia biblii na język polski z rozkazu królowej Jadwigi, dokonany przez Jędrzeja de Jossowie. Najdawniejszy to podobno ślad języka polskiego, bo pieśń Bogarodzica, czyli jest dziełem św. Wojciecha nie dowiedzione i znana nam tylko z druku, dokonanego roku 1506 — ten zaś ułamek pochodził z r. 1390.

Oryginał rozgraniczenia między Litwą a Mazowszem, podpisany przez książąt Kiejstuta i Olgierda w r. 1358.

Rękopis o sztuce wojennej Alberta I księcia pruskiego, na pargaminie z malowaniami.

Z rzeczy prawnych:

Przekład praw polskich i mazowieckich z lat 1449 i 1450.

Statut litewski z r. 1538 i t. d.

Autografów ludzi znakomitych mnóstwo jak równie i rękopisów w druku już znanych jak na przykład Ostroroga, Górnickiego i tym podobnych.

Co do druków wszystkie feniksy, kruki białe znajdowały się tu w edycyach dobrze przechowanych, lub tak doskonale facsimilowanych w kartach brakujących, że podrobienia rozpoznać nie było można.

Biblioteka ta nadto nie ograniczała się wyłącznie do literatury polsko-łacińskiej. Owszem oprócz biblii Mogunckiej wszystkie inne tu posiadano, a Aldy, Elzewiry, Szeffery, Etienny, wszelkie edycye najdroższe jak Biponckie, *ad usum delfini*, angielskie, Didota, z najpyszniejszymi sztychami, które po kilka tysięcy złotych kosztowały, tu w obfitości spotkać można było.

Za Grodka i Holtzmana pożyczano nawet dzieła rzadkie i drogocenne za pozwoleniem księcia. Za Sienkiewicza zwyczaj ten ustał i natomiast urządzono czytelnią. Tu dozwolono wszystko czytać, przeglądać, robić wypisy i notaty i kopiować całe rękopisma. Wtenczas także uporządkowano szafy, opatrzono je zamkami i mosiężną siatką.

Drukarnia puławska lat tylko kilka czynna, upadła zaraz z rozproszeniem się tych wszystkich zbiorów, o których tu pokrótce wspomniałem. Wytłoczone

w drukarni tej książki będą kiedyś taką rzadkością, jak pochodzące z Lubcza, Grodziska, Baranowa itd., które dziś na wagę złota się płacą.

Uprzejmość, jaką okazywano dla każdego zgłaszającego się do obejrzenia tych skarbów była trudna do wysłowienia, a zwiększała się ona jeszcze znacznie, jeżeli kto dla robienia wypisów i notat, dla sprawdzania rękopisów i wogóle dla pracy naukowej tu przybył. Niestety zawsze zakłady podobne umieszczone na wsi nie mogą wywierać takich korzyści jak w dużych miastach. Odległość, koszta podróży i potrzeba bawienia w miejscu obcem odstręczały wielu badaczów.

Wyliczałem już wyżej osoby, które na dworze puławskim widywałem i które mi wspomnienia moje przywodzą, lista ich tam nie wyczerpała się cała, dla tego jeszcze raz do tego sposobu opowiadania powracam, żeby narysować zlekka osoby, które o Puławy się otarły, a w swoim czasie były z jakiegokolwiekbądź względu godne uwagi, a przez to i wzmianki. Zaliczam do nich:

Księżnę Radziwiłłową, z domu Przezdziecką. Była to osoba już w wieku. Włosy śnieżnej białości w tym czasie, kiedy ją poznałem, nosiła krótko obcięte. Na twarzy jej widne były jeszcze ślady wielkiej piękności, z której w swoim czasie słynęła i którą ujarzmiła ambasadora rosyjskiego Stackelberga. Pełna gustu i naturalnego rozumu, choć trochę za rubaszna, jak o tem świadczy wyjątek z listu Niemcewicza, pisanego do mojej matki, ona to ufundowała tę spra-

BIBLJOTEKA Podoficerów zawodowych 26 pułku ułanów Wlkp.

wiedliwie słynną Arkadyą, na której ozdobę Petersburg i Grecya zarówno łożyły.

Nie zboczę, zdaje mi się od opowiadania swojego bardzo, skoro tu miejscowości tej słów parę opisu poświęcę. Tem więcej, że choć jak powiadają przechowuje się ona do dnia dzisiejszego dobrze, jednak tyle w życiu swem widziałem zbiorów, które się rozpierzchły, zakładów, które ruinie ulegały, że nie popełnię niestosowności jeżeli opis ten zostawię.

Arkadya o pół mili od Nieborowa i tyleż od Łowicza odległa, położona wśród płaszczyzn Łowickich; gdzie oko niczem nie zakreślony widzi horyzont i gdzie wśród piasków znajdowało się tylko małe błotko, olszynką zarosłe, tam księżna postanowiła zmusić naturę do piękności i z prawdziwie piaszczystego morza utworzyła cudowne ustronie. Jeśli jaki zarzut kreacyi tej zrobić można to, niezawodnie zanadto wielkie ścieśnienie budowli, choć przegrodzonych klombami i ścieżkami umiejętnie przeprowadzonemi. Ten błąd wprawdzie nie dawał się dostrzegać kiedy księżna sama, przebrana za grecką kapłankę gości oprowadzała. Co chwila wtedy zatrzymywała się rozprawiała, opowiadała dowcipne historye i bawiąc gości budziła w nich przekonanie, że budowle są dosyć odległe. Lecz kiedy w jej nieobecności sam gość Arkadyą zwiedzał, przekonywał się, że jeden budynek nie jest od drugiego więcej odległy jak o 40 łokci. To też słusznie wyraził się ks. Eckmühl, który zwiedzając tę miejscowość powiedział o niej: *C'est le plus beau garde-meuble, que j'ai vu.*

Księżna nie poczynała oprowadzania gości od

głównego wejścia, ale wchodziła z nimi boczną furtką, wiodącą do jej domku mieszkalnego, zwanego domkiem gotyckim. Podstawę jego stanowiły ogromne odłamy kamienia, tworzące kształtną grotę, ocienianą paprociami i rozmaitemi wijącemi się roślinami. Tu ukryte schody wiodą do wznoszącego się wyżej domku, ten zaś postawiony z jakiegoś rodzaju rudy błotnej doskonale nadaje murom cechę starożytności. Wewnątrz wszakże, oprócz szyb pięknie malowanych nic godnego uwagi nie ma. Stąd po pod gotyckiem sklepieniem wychodzi się na trawnik klombami okolony, z którego widok na Nieborów i znajdującą się w głębi świątynię. Świątynia od strony domku jest półokrągła wsparta na sześciu kolumnach, między któremi dwa piękne pomniki greckie. W przedsionku wazon antyczny oparty na dwóch gryfach także greckiej roboty. Przy ławce mahoniowej kilka par obuwia mieszkańców wyspy Otahiti. W pokoju, który do przedsionka tego dotyka przy drzwiach organy, a w oknie biuro, na którem mnóstwo ładnych drobiazgów. Przy drzwiach posąg bożka milczenia, a koło niego marmurowa misa do mycia rąk różaną wodą, płynącą z umieszczonego po nad nią srebrnego naczynia.

W świątyni samej sufit malowany *al fresco* przez Norblin'a wystawia jutrzenkę, otwierającą wrota dniowi, koloryt jaskrawy, żywy, a konie Apolina cudne. Ściany marmoryzowane białe, w głębi ołtarz marmurowy, oparty o zwierciadło olbrzymich rozmiarów. Na prawo ołtarza wymalowany bożek miłości, który odbijając się w zwierciadle piękny czyni efekt. Obok ołtarza wazony marmurowe i japońskie. Z jednej strony sofa

okrągła, kryta dywanami, a raczej tyftykami ze skarbca Tippo-Saiba, które aż tu zawędrowały. Prócz tego starożytna głowa Nioby, dwa posągi greckie, kilka wazonów, kandelabry starożytne i narzędzia muzyczne greckie. Za świątynią mieści się gabinecik okrągły. Ściany jego malowane olejno przez Norblina, przechowały widok Powązek, tak jak one były w najświetniejszym swym stanie. W pokoiku tym znajdują się dwa cudne i nieoszacowane stoliki, jeden malachitowy, a drugi porfirowy. Na półkach naokoło mnóstwo cennej porcelany. Przeciwna strona świątyni, którą się wychodzi, ma fronton attycki, dopiera do jeziorka lasem olszowym obrośniętego. Szczątki w nim wodociągu starożytnego ustrajają pejzaż. Na kilka kroków od świątyni mieszkanie kapłanów, budowa prosta, ale na placu przed nią rozstawione mnóstwo szczątków rzeźb starożytnych, posągów, wazonów, sarkofagów, kolumn. Wszystko to z wysp greckich przez Orłowa Czesmeńskiego przywiezione, księżna Radziwiłłowa dostała w darze od cesarzowej Katarzyny. W głębi kolumny ze świątyni Neptuna i biust Eskulapa.

Niedaleko od tego miejsca pobudowano cyrk, zupełnie naśladujący starożytne — z gradusami rostrami i innemi ozdobami. Obeliski i kolumny z orłami są z marmuru ingryjskiego. Koło cyrku kaplica architektury tybetańskiej, z wejściem od spodu, cała jest bowiem na sklepieniu tworzącem próżnię oparta. Drzwi do niej piękne, bronzowe, a wewnątrz pięć rysunków olbrzymich, sepią przez Seidenmanna dokonanych, wyobrażających: Najświętszą Pannę Syxtyńską — Ra-

faela, Magdalenę — Batoniego, Spoczynek w Egipcie, Urodzenie Samsona, Geniusz sławy — Annibala Caracci. Tu także znajduje się piękny nagrobek z marmuru czarnego, na którym postać kobieca wykuta w marmurze białym. Po drugiej stronie świątyni amfiteatr rzymski z pamiątkami egipskiemi.

Za tą budową znajduje się słynny pałac kryształowy. Ściany jego są z tafli szkła tak wielkich, że cztery składa się ich na szerokość, a tylko jedna na wysokość. Wewnątrz firanki kryształami ozdobione i mnóstwo kryształowych naczyń. Efekt gmach ten, kiedy znajdujemy się w jego wnętrzu robi ogromny, szkło bowiem tak jest czyste, że spostrzedz się nie można, że nas ściany od zewnątrz oddzielają. Do tego pałacu przysłano z Petersburga kopułę szklaną, ale ta przez spaczenie się podstawy, na której była osadzona, pękła i odłamów jej użyto za rezerwoary do fontan, w których woda się zbiera. Powiadają, że wydęcie tej olbrzymiej bani, przypłaciło życiem kilkunastu ludzi, dmuchali bowiem aż do pęknięcia płuc. Taką tedy była owa Arkadya, którą wielu ciekawych zwiedzało.

Księżna Radziwiłłowa miała jednę szczególność, że krzyczała zamiast śmiać się. Podobnego zjawiska u nikogo nie spotkałem. Familijne jej stosunki nie należały do szczęśliwych. Miała dwie córki, Różę, która umarła panną i Anielę, pierwszą żonę ks. Konstantego Czartoryskiego, którą przeżyła także. Synowie: Antoni, namiestnik poznański, ożeniony z księżniczką Ludwiką Pruską, Ludwik, późniejszy ordynat klecki, żonaty z wdową po Walewskim Kazimierzu,

Michał jenerał i Walenty. Mąż jej książę Michał, wojewoda Wileński, który synom Ludwikowi, Michałowi i Walentemu tylko po sto dukatów pensyi rocznej płacił, który dla żony nie był także hojniejszy, wyrzucał ogromne pieniądze w Warszawie dla przypodobania się trzem siostrom, córkom majętnego młynarza z pod Nieborowa, które, odznaczające się pięknością i dobrze wychowane, nad sercem jego zapanowały. Książę oprócz tego miał inne zamiłowanie. W Nieborowie nagromadził ogromne skarby w obrazach, książkach i pysznych pomarańczowych drzewach, które zakupione u Moszyńskiego w Dreźnie, wodą tu dostawione były. W galeryi jego sławny Paul Potter, przedstawiający polowanie w lesie, zapłacony był dziesięć tysięcy dukatów.

Książę wojewoda Wileński miał brata, Dominika, który umierając zostawił wdowę i troje dzieci, syna i dwie córki. Opiekę nad ich majątkiem i osobami objął książę Wojewoda i dzieci z matką do Nieborowa sprowadził. Tu podczas upału dano im chłodzącego jakiegoś napoju i dzieci pochorowały się, dostając symptomatów, odznaczających cholerę, chorobę jeszcze u nas wtedy nieznaną. Syn w kilka godzin umarł, a księżna Dominikowa w przekonaniu, że dzieci jej otrute, z córkami natychmiast wyjeżdżać chciała. Gdy zaś książę Wojewoda temu się sprzeciwiał, potajemnie Nieborów opuściła sama i przed prezesem Regencyi Hoymem oskarżyła księcia Michała. Niemiec, zabrawszy pomoc wojskową, zjechał do Nieborowa, księżniczki zabrał i matce je oddał.

Kiedym w r. 1805 czas jakiś w Nieborowie ba-

wił, zaszedł zabawny wypadek. Przybyło kilka osób z Warszawy odwiedzić Arkadyą, i z nimi udaliśmy się tam wszyscy. Po oględzinach zebrane towarzystwo postanowiło użyć przejażdżki po jeziorze na małym, płaskim galarze, który się tutaj znajdował. Nie obliczono jednak ciężaru i zaledwie od brzegu odbito, statek zaczął tonąć i na dnie osiadł. Ci, których wzrost wysoki, lub umiejętność pływania od zatonięcia ocaliły, wyciągali z błota omdlałe damy. Książę Stanisław Jabłonowski, który się także na statku znajdował i który wtenczas zapamiętale był zakochany w pannie Ewie Kickiej, o niczem innem nie myślał, tylko o uratowaniu przedmiotu swojej miłości. Co którą damę wyciągnął — to nie ta mówił — i napowrót nielitościwie do wody ją rzucał. Szczęściem nikt nie utonął, ale większa część płci pięknej z przemoczenia i przeziębienia się rozchorowała, wszyscy bowiem dopiero w Nieborowie odzież zmienić mogli.

Koło r. 1802 ks. Konstanty Czartoryski pojął za małżonkę córkę Radziwiłłów, księżniczkę Anielę, osobę piękną i miłą. Stała się ona jedną z ozdób Puław, bo chociaż książę ojciec oddał synowi klucz Międzyrzecki, rzadko jednak tam przemieszkiwali i najczęściej w Puławach bawili. O posag księżniczki długie były spory i książę Wojewoda, opierając się na jakichś zwyczajach Radziwiłłowskich, dając córce 200.000 złp. posagu, żądał koniecznie, aby książę Konstanty sukcesyi się wyrzekł. Mój ojciec układy prowadził i dokazał po wielu trudach, że w kontrakcie przedślubnym o tem zrzeczeniu się nie uczyniono wzmianki. Księżniczka Aniela była śliczna blondynka, wzrostu śre-

dniego, rysy twarzy miała regularne, oczy błękitne i usta ładne tylko cokolwiek za duże. Nie długo żyła i na suchoty umarła.

Powinowactwo familijne, jakie wskutek tego małżeństwa powstało, było powodem, że księżna matka i po kolei jej synowie prawie ciągle siedzieli w Puławach. Księżna Radziwiłłowa nigdy na śnieżnych swych włosach innego nie nosiła ubrania tylko przepaskę, najczęściej złotą. W szatach białych, krojem greckiej tuniki i, jakkolwiek już w wieku posunięta, zawsze wesoła. Wczesne siwienie włosów było w tej familii dziedziczne i wszyscy synowie w sile wieku siwizną już byli okryci.

Najstarszy z synów książę Antoni, poślubiwszy księżniczkę pruską w Berlinie przesiadywał, kiedy jednak odwiedzał Polskę, nigdy Puław nie mijał. Mężczyzna piękny, wielki miłośnik muzyki, był autorem partycyi do Fausta Goethego. Żonę jego, księżnę Ludwikę przyjmowano w Puławach z uszanowaniem należnem osobom z familii panującej. Była to kobieta miła i grzeczna, ale przywykła do wymagań dworskich, zbyt ulegała jarzmu etykiety. Aczkolwiek wówczas młoda i chętnie udział w zabawach biorąca, stawała się w nich oględną i to otrętwiało wesołość szczerą, zwykle w Puławach panującą.

Książę Ludwik Radziwiłł, równie jak i młodsi jego bracia był w ciągłym niedostatku, tem większym, że ożenił się z wdową ubogą a dzietną. Posiadał jednak zawsze niewyczerpany zapas wesołości, a w r. 1807, odziedziczywszy ordynacyą Klecką i Dawid-

grodzką, po zgonie Wojewody Trockiego, Warszawę opuścił i stale osiadł na Litwie.

Do stałych gości Puław, a nawet jakby domowników, należała także pani Sewerynowa Potocka, elegantka warszawska, mająca pretensyą do serca Stanisława Augusta, z domu Sapieżanka, siostra ks. Franciszka Sapiehy, pani Jelskiej i pani Sołtykowej. Początkowo zaślubiona ks. Hieronimowi Sanguszce wojewodzie wołyńskiemu, po rozwodzie z nim wyszła za Seweryna Potockiego krajczyca koronnego, brata Jana, słynnego z podróży swych i dzieł, już dzisiaj rzadkich, w języku francuskim pisanych, a dotyczących historyi plemion słowiańskich. Jana Potockiego raz tylko widziałem w Puławach. Ciągle podróżując, lub zajęty swemi naukowemi pracami, mało w kraju przesiadywał. Pojął za małżonkę jedną z córek ks. Marszałkowej Lubomirskiej, lecz ta krótko żyła i powiwszy mu dwóch synów Alfreda i Artura, umarła. Obadwaj chłopcy wychowani w Wiedniu, często u babki w Łańcucie przesiadywali. Po śmierci pierwszej swej żony ożenił się Jan Potocki powtórnie z córką Szczęsnego Potockiego i z niej miał syna Bernarda. Sam, zdaje mi się na Podolu, samobójstwem życie zakończył. Był średniego wzrostu, otyły, z twarzą okrągłą, rysami regularnemi i pięknemi. Lubił dużo mówić i w sposób zachwycający opowiadał, a było czego słuchać, bo zwiedził całą Europę, Azyą aż do granic chińskich i Afrykę. On to w młodości, kiedy jeszcze balony nie były wydoskonalone i wznoszono się w powietrze za pomocą wynalazku Mongolfiera przez rozrzedzone powietrze, w Warszawie z Blanchard'em wzbił

się w przestwory i bez szwanku spuścili się obaj w okolicy. Życie polityczne zupełnie zaniedbał i cały nauce się poświęcił. Kiedy na wybrzeżach Baltyku i na wyspie Rugii hojnie płacił Niemcom za odszukiwane szczątki wykopalisk, posążków bogów obotryckich i pomorskich, niegodziwie go oszukiwano i dostarczano mu rozmaitych dziwolągów, które on biorąc za starożytności autentyczne skupował i przez to w wywodach swych w wiele błędów popadł.

Pani Sewerynowa Potocka była podówczas ciągle zajęta procesem, który prowadziła i który nakoniec wygrała, pozyskując przez to dobra w Podlaskiem: Jabłoń, Milanów, Kolano, Radzienice i Celejów, oprócz tego posiadała starostwo kazimierskie. Cztery jej córki otrzymały edukacyą przy niej, a właściwie w Puławach, lecz tylko najstarsza z nich panna Emma posiadała wyłączną miłość matki, trzy inne: Paulina, Wanda i Seweryna, pod opieką Angielki pani Betz pozostawione, mało zdawały się matkę obchodzić. Syn Leon, nie wiem już dla jakich powodów chował się przez dość długi czas u rodziców moich w Pożogu, a że był zupełnym moim rówiennikiem, bośmy nietylko jednego roku, ale i jednego dnia na świat przyszli, przeto z towarzystwa naszego wielce radzi byliśmy obadwaj.

Pan Seweryn Potocki o żonę i o dzieci nie okazywał wielkiej troskliwości. Jako senator rosyjski przesiadywał w Petersburgu, lub w okolicach powstającej Odessy, gdzie, nabywszy majętność, którą Sewerynówką nazwał, pustynię tę kolonizował. Był to mężczyzna wysoki, smagły i piękny. Zaledwie, ukończyw-

szy za granicą edukacyą, powrócił do kraju, został zaraz wybrany posłem na sejm czteroletni, w materyi sprzedaży starostw zabierał głos kilkakrotnie i trzymał się partyi Ignacego i Stanisława Potockich, słabo ją atoli popierając. Później znikł z horyzontu politycznego krajowego.

Pani Sewerynowa miała zawsze jakieś pretensye do serca księcia feldmarszałka, należące do wspomnień dawnego życia. Pełna zawsze dowcipu i rozumu, towarzyska i choć z Potoczyzny i Sapiehów dumna, umiała dumę tę doskonale ukrywać i zastosowywać się do towarzystwa, w jakiem się znajdowała. W Puławach ona była duszą i filarem wszystkich amatorskich teatrów, doskonale grała sama przyjęte na się role i umiejętnie innych do ich wypełnienia dobierać umiała. Innych sukien nie nosiła jak tylko białe, ale, że zawsze w stroju dosyć zaniedbana była, te więc zwykle wyglądały popielato.

Panna Emma, posiadając wyłączną miłość matki, siostry swe traktowała z góry. Z powodu dumnego charakteru nie bardzo ją lubiono, a z młodzieży miejscowej nikt jej nie hołdował, co matkę jej niemało bolało. Największe staranie matki było ułowić dla córki księcia Dominika Radziwiłła, ale ten, ani myślał o tem. Wpadła mu w oko panna Brygida Jawornicka, osoba rzadkiej piękności, z twarzą i postawą przypominająca Wenus medycejską i tą szczerze kochał, a że on sam także oprócz majątku miał wiele innych sposobów podobania się, był bowiem przystojny i zgrabny mężczyzna, przeto miłość była wzajemną. Rodzice jednak panny, wiedząc, że nic dobrego ze stosunku

tego wyniknąć nie może, wywieźli ją na Podlasie i wkrótce za pana Żabickiego wydali.

Z przyjezdnych o rękę panny Emmy robił starania Zawisza Czarny. Imię jego, majątek i wysokie wykształcenie wszystko za nim przemawiało, a i panna Emma mu sprzyjała, rada mieć adoratorem swoim pierwszego eleganta warszawskiego. Ale matka znajdowała, że dla Potockiej, wnuczki Sapiehów taka szlachecka partya *c'est une mésalliance,* dla Emmy tylko mitra, a już w ostatnim razie hrabiowska korona mogła być odpowiednią. Tak tedy, przebierając Emka doczekała się półtrzecia krzyżyka. Tymczasem panna Paulina wydana została za Franciszka Łubieńskiego, Wanda naprzód za margrabiego Wielopolskiego, a później jako rozwódka za Uruskiego, a Emma jak siedziała, tak siedziała.

Panna Wanda, brunetka, ospowata, trzpiot i żywa osobliwszego doznała losu co do pierwszego małżeństwa. Związek z margrabią Wielkopolskim był zupełnym *mariage de convenance.* Rodzice między sobą się ułożyli i margrabia na tydzień przed weselem do Celejowa zjechał ze swą rodziną, wyjednano indult, zaproszono gości i ślub odbył się wieczorem.

Wszystko urządzono suto i po pańsku, jak tego związek dwóch tak ważnych domów wymagał. Panna Wanda sama niewielką czuła do małżeństwa skłonność, zwłaszcza skoro zobaczyła margrabiego, który w postaci swojej nie miał nic ujmującego. Na parę dni przed ślubem będąc w Bronicach, wyznała przed moją siostrą, że wolałaby tu na wieki pozostać, aniżeli jechać do margrabiego, do Książa. Po ślubie roz-

poczęto bal, nastąpiła wieczerza i cukrowa kolacya, nakoniec koło trzeciej zrana każdy gdzie mógł i jak mógł w takim ścisku zaczął udawać się na spoczynek. Tymczasem okropne krzyki dają się słyszeć z sypialni nowożeńców i panna młoda, blada a rozczochrana wpada do salonu, gdzie jeszcze siedziało kilka osób, ale nie jest w stanie nic wyrzec, bo ją mdłości porwały. Idą więc do sypialni ze światłem i cóż widzą? Margrabia leży na posadzce w najokropniejszych konwulsyach, cały siny i zapieniony, drgając okropnie twarzą i wszystkimi członkami. Smutny ten wypadek natychmiast się rozgłosił, każden z gości coprędzej zaprzęgać kazał i nie wyszło pół godziny, jak Celejów stanął pustkami, bo i pani Sewerynowa, nie wiedząc co robić, zabrała córki i do Puław z niemi odjechała. Został tylko z krewnymi margrabia, którego konwulsye jeszcze przez dwa dni męczyły, poczem także do Książa wrócił, nie widząc się wcale z żoną. Podano z obudwu stron o rozwód i ten wkrótce otrzymano.

W r. 1809 w zimie przybyła pani Sewerynowa z trzema córkami do Warszawy i stanęła w pałacu Raczyńskich. Był to zakrój dla Emki na jednego z Raczyńskich, ale: *l'homme propose, Dieu dispose.*

Pani Sewerynowa otworzyła salony. Będąc sama dowcipna, przyjemna i majętna, nie potrzebowała gości ściągać i apartamenta jej zaludniały się łatwo. Owóż między gośćmi zjawił się także major Strzyżewski. Z kampanii w r. 1809 pozostało mu jedno wspomnienie, jak jedynie zapomocą odwagi i przytomności umysłu dokonał rzeczy w wojennej historyi

dość rzadkiej. Był on podówczas kapitanem i z podjazdem złożonym z czterech ułanów zapędził się pod miasto Brzeżany. Tam stał na kwaterach oddział austryacki częścią z wojska, a częścią z rekrutów złożony i do 4.000 ludzi liczący. Strzyżewski, nie spotkawszy żadnych placówek wjechał do miasta i tu dopiero spostrzegł, że sam wlazł w garść nieprzyjacielowi. Udaje więc parlamentarza, pyta o kwaterę jenerała i wszedłszy zastaje go jeszcze w łóżku. Nie tracąc więc chwili mówi do niego: jesteś w Brzeżanach otoczony, my panami miasta, poddaj się ze swą komendą, albo ci w łeb wypalę. Spisano kapitulacyą i tak w pięć osób wzięto do niewoli cztery tysiące ludzi bez wystrzału. Strzyżewski posunięty na majora i ozdobiony dwoma krzyżami za waleczność, miał za sobą urok bohaterstwa. I choć nie był ani młody, ani piękny, owszem chudy, wysoki i czarny, tak samo jak wymógł kapitulacyą na jenerale austryackim, wziął szturmem serce panny Emmy. Ta oświadczyła matce stanowczo, że oczekując na książęce partye, starą panną zostać nie myśli i za Strzyżewskiego wyjdzie. Można sobie wyobrazić jakie wrażenie na panią Sewerynową to wywarło, zwłaszcza, że posuwając swe inwestygacye co do osoby majora Strzyżewskiego, miała wyśledzić, że ojciec jego był koniuszym u któregoś z panów polskich. Wszędzie więc jeździła i przed wszystkimi rozwodziła żale, że nie do pojęcia jest, aby córka Potockiego, potomka Rewery i wnuczka Sapiehy, oddała rękę pierwszemu lepszemu i zapowiedziała córce, że na związek ten za życia swego nie dozwoli. W tym czasie o rękę panny Emmy starał

się także jenerał Sokolnicki, równie okryty sławą, ale stary i schorzały. Złe ludzkie języki utrzymywały, że panna więcej przychylności okazywała adjutantowi jenerała, młodemu i przystojnemu Janowi Jezierskiemu. Wszelako ani te nowe konkury, ani opozycya matki, nie mogły przełamać uporu córki i po roku walk domowych cichaczem ślub ze Strzyżewskim zawarty został. Matka niedługo zmartwienie to przeżyła bo w r. 1814 w Pniowie na apopleksyą umarła.

Po ślubie pani Sewerynowa oddała córce Jabłoń, piękne, ale opuszczone dobra. Te major przyprowadził do wzorowego porządku, wartość i dochody z nich znakomicie podniósł. Wielka zmiana po ślubie zaszła także i z panią Emmą. Z osoby bardzo trudnej w codziennem pożyciu i kapryśnej, wyrobiła się pani w towarzystwie nader miła, uprzejma i licznemi zaletami towarzyskiemi ozdobiona, zostawszy wdową, osiadła ona we Florencyi i tu otwarła salony uczęszczane blizko przez lat trzydzieści przez wszystkie znakomitości europejskie. Umarła w 1857 r. powszechnie szanowana i żałowana.

Pani Wanda Wielopolska wyszła po uzyskaniu rozwodu, jakeśmy już wspomnieli za p. Uruskiego, jednego z majętniejszych obywateli galicyjskich, a po jego śmierci pojęła trzeciego męża, jenerała austryackiego Caboga i z nim stale w Wiedniu zamieszkała.

Najładniejsza z panien Potockich była Seweryna i byłaby pięknością skończoną, gdyby nie wzrost zbyt nizki i skłonność do otyłości. Ta wydana za Sobańskiego, niedługo z nim żyła, a swojemi zacząwszy latać skrzydłami, usadowiła się w Wiedniu i tu z am-

basadą rosyjską miała bardzo blizkie stosunki. Mając już około lat pięćdziesiąt, zawsze świeża i ładna, zaślubiła młodego hrabiego Colloredo. Cały Wiedeń dziwił się wielce temu nierównemu małżeństwu i powszechnie utrzymywano, że mu pani Sobańska napój miłosny zadała. Sądzimy, że piękność jej i uprzejmość były jedynie tym cudownym filtrem.

Pani Paulina po stracie męża całkiem oddała się dewocyi i dla świata została straconą.

O dwie mile od Puław, w Demblinie mieszkali Mniszchowie. Posiadali tu piękny pałac z zimowym ogrodem na dolnem piętrze umieszczonym. Jako osobliwość wspaniałego tego budynku wspomnieć należy schody przyozdobione wielkimi obrazami, przedstawiającymi całą historyą Maryny Mniszchówny. Nietyle z powodu wewnętrznej wartości, ile z doskonałego sportretowania osób i wiernego przedstawienia ubiorów współczesnych były one cenne.

Rodzina Mniszchów składała się z rodziców, dwóch córek i syna. Tego ostatniego nigdym nie widział. Wychowany daleko, mówiono mi, że był bardzo dumny, w heraldyce biegły i kulawy. Z córek jedna, którą później poślubiono księciu Antoniemu Jabłonowskiemu, była podówczas jeszcze dzieckiem, starsza zaś trochę kulawa, trochę garbata i cokolwiek zezowata, była mimo to prawdziwą pięknością. Korki u trzewików skróceniu nogi zaradzały, wypchanie jednej łopatki w sukni utajało zbytnią wypukłość drugiej, a pukle prześlicznych włosów nasunięte na oko, zakrywały zezowatość. Głowa zaś i twarz cała była jakby modelowana podług wzoru greckiego.

Wiek jej prawie z moim równy zawiązał ścisłą między nami przyjaźń i kiedy w Puławach uwolniła się z pod surowego dozoru nauczycielki, pani de la Porte, co wśród zabaw i gwaru nie było tu trudnem, zwierzała mi się z nudów demblińskich i etykietalnej miłości rodziców, która piękną jej duszę gnębiła.

Pan Mniszech, marszałek wielki koronny i majątkiem i rodem do magnatów z praojcami należał. Wytapirowany, wyfryzowany, zawsze w trzewikach, wyprostowany, mimo twarzy pięknej i regularnej, miał coś sztywnego i chłodnego w swojem obejściu, chociaż wzrost nizki do takiej impozycyi się nie nadawał. Żona jego, siostrzenica króla Poniatowskiego zachowała żywo w pamięci swoje blizkie z tronem związki.

Kiedy książę Dominik Radziwiłł doszedł pełnoletności, opuścił Puławy wraz z młodzieżą, która towarzystwo jego składała, to jest z Łopotem, dwoma Michałowskimi i Janem Narbuttem. Pani Mniszchowa oddawna już dla córki partyą tę obmyślała, to też kiedy Radziwiłł do Nieświeża się udał, przeniosła się na mieszkanie do dóbr swych Wiszniowca. Wspominałem już, że w Puławach ks. Dominik był cały panną Jawornicką zajęty, w Nieświeżu zaś nowe oczekiwało go niebezpieczeństwo. Kuzynka jego pani Starzeńska, córka pani Morawskiej, stryjenki księcia Dominika, a siostry rodzonej księcia Karola Panie Kochanku, przybyła powitać krewnego. Cudna piękność, średniego wzrostu, blondynka, z płcią tylko u Angielek spotykaną i z rysami regularnemi i posągowemi, postanowiła ona wydać się za swego kuzynka. Że zaś książę

lubił pasyami konie i jazdę konną, po całych więc dniach ujeżdżali razem dzikie rumaki, polowali, strzelali i wkrótce książę Dominik zakochał się w niej po uszy, o pannie Jawornickiej zapominając.

Tymczasem państwo Mniszchowie zaprosili księcia do Wiszniowca i tu powtórzyła się z nim awantura poczciwego pana Paska, który jak zaczął pić z bracią szlachtą w Krakowskiem, nie otrzeźwił się aż dopiero po ślubie z osobą, którą wprzódy znał bardzo mało, a która została dozgonną towarzyszką jego życia. Toż samo stało się i z księciem Dominikiem. Po pijanemu nastąpiły oświadczyny, zaręczyny i ślub za indultem. Kiedy się wytrzeźwił po dniach ośmiu, ze zdziwieniem dowiedział się, że ma żonę. Położenie jego stało się okropne. Kochał się w pani Starzeńskiej. Miłość ta nie utrzymała się w szrankach idealnych i kuzynka była w ciąży, a pierwsze kroki do rozwodu jej z mężem już poczyniono, a tu tymczasem jak z nieba spadała mu żona. Nie było jednak co robić. Zabrał żonę i do Nieświeża ją przywiózł, gdzie uwiadomiona o wszystkiem pani Starzeńska, czekała rywalki. Więcej jeszcze romantyczną barwę tej awanturze nadawała ta okoliczność, że Mniszchówna szczerze do swego młodego męża przywiązaną była. I nic dziwnego, był on młody, przystojny, wesoły i w Puławach nabrał tej grzeczności i poloru, jakie towarzystwo tamtejsze odznaczały. Pani Starzeńska korzystając z przewagi, jaką miała nad księciem, skłoniła go, że po dniach czternastu, wręcz żonie oświadczył, iż z nią żyć nie może. Wyznaczywszy jej 200.000 złp. rocznej pensyi i dodawszy służbę, wyprawił ją

do Puław, a sam kroki o rozwód swój i pani Starzeńskiej rozpoczął. Ponieważ złotem szafował hojnie, wkrótce więc je otrzymał, ale nim to nastąpiło powiła pani Starzeńska syna.

Książę Dominik, dopóki był w Puławach, posiadał wszystkie cechy swawolnego studenta. Do nauki nie miał ochoty tylko do figlów, których pierwszemi ofiarami bywali nauczyciele. Tym stawiał konewki z wodą pode drzwiami, tak, że kiedy drzwi otwierali, cały pokój zalewał się wodą i kiedy po niej brodzili, przynosił im wędki. W łóżko kładł rozmaite niemile woniejące preparata, aby się kładąc powalali i inne niestworzone pomysły. Pani Kleistel, żona doktora, chociaż już przeszło lat 40 mająca, ubierała się codzień w białą suknię. Książę Dominik wkładał jej w kieszeń słoik konfitur, aby gdy siędzie słoik pękł i białą suknię poplamił. W zimie łączono w Puławach pałac z oficynami drewnianymi korytarzami, żeby damy bez obawy zaziębienia przechodzić mogły. Na korytarzach tych książę Dominik co wieczór inaczej przebierając się kobiety straszył, a chociaż go książę feldmarszałek surowo za to strofował, nic to nie pomagało.

Po rozpoczęciu kroków rozwodowych pojechał z panią Starzeńską do Warszawy i stanął w swoim pałacu (dziś namiestnikowski). Był to gmach opustoszony, z ogromnymi salonami, ale bez mebli. Napisał do mnie do Puław, abym przyjechał go odwiedzić, wiedział bowiem o mojej znajomości z jego żoną i liczył, że przez moje wpływy prędzej ją do przyjęcia rozwodu nakłoni. Wtedy to poznałem panią Sta-

rzeńską. Książę Radziwiłł przybył do Warszawy z licznym orszakiem młodzieży, a że nie miał swego kucharza, po obiady więc i kolacye do hotelu Gąsiorowskiego posyłano. Pani Starzeńska honory domu robiła i była jedyną kobietą pomiędzy kilkunastu pustakami, którzy nie wiedząc co robić, po salonach z pistoletów strzelali i konno się po nich uwijali. Pani Starzeńska w zabawach tych zawsze dotrzymywała im placu.

Po kilkunastodniowym tu pobycie wróciłem do Puław, a tutaj aż serce się krajało nad losem młodej księżnej Radziwiłłowej, która gorącą do męża pałając miłością, żoną jego być nie mogła. Z początku i miłość własna obrażona i słuszność czyniły ją mało skłonną do zezwolenia na rozwód, lecz w końcu rozsądek wziął górę, zatrzymała naznaczoną pensyą i na rozwód zezwoliła.

Książę Dominik ożenił się następnie ze swoją kuzynką i miał z niej córkę Stefanię. W r. 1810 wstąpił do wojska ks. Warszawskiego, odrazu otrzymał 8-my pułk ułanów i odtąd całkiem zawodowi swemu się oddał. W r. 1812 pod Ostrowem na czele swego pułku mężnie na jazdę rosyjską uderzył i tak się odznaczył, że Napoleon o tem w biuletynach wielkiej swej armii wspominał i w nagrodę przeniósł go do swej gwardyi. Po bitwie lipskiej i hanauskiej koło Moguncyi nad Renem, zapadłszy na gorączkę tyfoidalną, życie zakończył, mając zaledwie lat dwadzieścia sześć. Za życia czynił wielkie usiłowania, żeby syna swego uprawnić. Jednak przeszkody innych Radziwił-

łów, a szczególniej księcia wojewody wileńskiego, na którego po jego zgonie dobra ordynacyi nieświeskiej i ołyckiej spadały, wszelkie starania w tym kierunku sparaliżowały. Po zgonie ks. Dominika, upadku Napoleona i wśród przewagi, jaką w kraju Rosya i Prusy uzyskały, odsunięto syna od sukcesyi a dobra rozdzielono. Ordynacyą otrzymali synowie ks. Antoniego, namiestnika poznańskiego, księstwo zaś słuckie i inne ogromne posiadłości spadły na nieletnią księżniczkę Stefanię. Uformowano do zajmowania się jej majątkiem rodzaj komisyi opiekuńczej, na której czele ks. Lubecki i Nowosilcow stanęli. Każdy z nich po 40.000 złp. pensyi z dochodów księżniczki pobierał. Księżniczka zaś w Petersburgu w instytucie panien wychowywana, w szesnastym roku życia wydana została przez cesarza za ks. Wittgensteina, syna feldmarszałka z czasu wojen napoleońskich. Żyła z mężem tylko lat parę i zostawiwszy syna, umarła.

Syn księcia Dominika, odsunięty od wszystkiego, służył wojskowo w Algieryi, a wdowa mieszkała lat kilka w Warszawie, słynąc z wdzięków, któremi Artura Potockiego i pułkownika Bezobrazowa na stałych wielbicieli zamieniła. Wreszcie wyszła za mąż za księcia Czernyszewa, ministra wojny w cesarstwie i porzuciwszy światowe obyczaje, cała oddała się dewocyi, corocznie piechotą pielgrzymki do Częstochowy odprawiając. W małżeństwie tem niedługo żyła.

Księżna Dominikowa, Mniszchówna z domu, upodobała sobie p. Deville, brata swej ochmistrzyni

i za niego za mąż wyszedłszy, do Wiednia się przeniosła. Matka nie mogła jej darować tego mezaliansu, aż do czasu póki cesarz Aleksander w r. 1815 nie zaszczycił p. Deville tytułem hr. Dembliń-skiego.

VII.

Niedaleko od Puław, w Rykach, mieszkała rodzina Kickich, która brała zawsze udział we wszystkich uroczystościach i zjazdach puławskich. Pan Onufry Kicki, koniuszy koronny, wierny i przywiązany urzędnik i przyjaciel króla Stanisława, posiadał w wysokim stopniu jego zaufanie i choć nie należało to doń z urzędu, wszystkie pieniężne interesa króla załatwiał. Wskutek tego własną fortunę swoję zawikłał i nadwyrężył. Ryki posiadał jako starostwo i dostał je po swoim stryju wojewodzie ruskim, ten zaś objął je po ojcu króla Stanisławie Poniatowskim, kasztelanie krakowskim, który tu umarł i w kościele w Rykach pochowany.

Onufry Kicki był wysoki, łysy, przystojny, uśmiech miał miły i pełen dobroci, co dokładnie malowało jego naturę, bo też był nieporównanie dobrym i poczciwym. Jedyną jego przywarą była pasya opowiadań zmyślanych. Plótł duby smalone, nikomu wprawdzie nieszkodliwe i sam śmiał się z nich najpierwszy. W Rykach wiecznie czytał Dykcyonarz Morerego i innej książki żadnej w pokojach jego nie

było. Mieszkał w oficynie, cały pałac do użytku dam odstępując, towarzyszem jego nieodstępnym był Turek Hassan, stworzenie dziwnie głupie, którego cała funkcya ograniczała się do nakładania fajki. Pani Kicka, żona jego, z domu Szydłowska, siostra generałowej Grabowskiej, trzy córki i syn składali całą rodzinę. Najstarsza z córek panna Teresa, wysoka blondynka, nietylko ogromną urodą i piękną figurą, ale znakomitem wykształceniem i rozumem celowała. Zakochał się w niej książę Konstanty Czartoryski i szczerze chciał ją pojąć za żonę, ale sami Kiccy widząc, że córka ich nie bardzo chętnie byłaby widziana przez Czartoryskich, po latach kilku zerwali te amory. Druga Ewa, do ojca z rysów podobna, nietyle wdziękami, ile układem, wesołością i dowcipem się odznaczała. W 1808 r. za pośrednictwem i staraniami pani Bentkowskiej z Ułęża wydana została za jej krewnego, księcia Antoniego Sułkowskiego. Książę ten, urodzony z Niemki, z domu Bubna, miał w charakterze swoim coś sztywnego i niemieckiego. Swoim kosztem wystawił 9-ty pułk piechoty Księstwa Warszawskiego i na jego czele w parę tygodni po ślubie wraz z Sobolewskim i Feliksem Potockim udał się do Hiszpanii. Żona jego przed ślubem prawie go nie widziała, a po ślubie także bardzo krótko z nim była, a gdy nieobecność jego do kilku lat się przeciągała, ciągle tem się trapiła, że męża nie pozna, kiedy z Hiszpanii powróci. Książę Sułkowski był odważny, dzielny żołnierz i jeszcze w 1807 r. odznaczył się pod Gdańskiem i Tczewem. W Hiszpanii niemniej zaszczytnie walczył pod Olkano i Almanacis i miano-

wany został gubernatorem Malagi, a później generałem brygady. W r. 1811 wrócił do ojczyzny, został generałem dywizyi i odbył całą kampanią 1812 r., dwie tylko rany poniósłszy, z których jedna pod Smoleńskiem od bagneta w brzuch otrzymana, była bardzo niebezpieczna. W 1813 r. po bitwie pod Lipskiem, z pominięciem starszych dwóch generałów: Dąbrowskiego i Sokolnickiego, został zamianowany dowódcą szczątków wojska polskiego. Krukowiecki rozpoczął wtedy przeciwko niemu intrygi i podburzał oficerów, żeby ci żądali to Dąbrowskiego, to Sokolnickiego, albo żeby upierali się, że ponieważ król Saski pozostał w Lipsku, nie należy działać bez jego rozkazów. Te wszystkie podżegania miały ten skutek, że oficerowie zebrali się tłumnie i wymogli na Sułkowskim słowo, że za Ren nie przejdzie, tylko do tej rzeki Napoleona odprowadzi. Współcześnie austryacki generał Bubna, wuj Sułkowskiego nie przestawał przysyłać swych adjutantów i parlamentarzy i usiłował nakłonić księcia, żeby Napoleona odstąpił, obiecując za to imieniem sprzymierzonych, że byt Księstwa Warszawskiego zachowanym zostanie, że wojsko będzie mogło swobodnie wrócić do kraju i tam oczekiwać końca wojny. Wszystkie te konszachty doszły do wiadomości Napoleona i pod Gelenhausen, o parę mil od Hanau, przybył do Polaków, a zebrawszy wkoło wszystkich oficerów, wytłómaczył im treściwie na jaką hańbę naraziliby się porzucając go; zapewnił nadto, że byt Księstwa bynajmniej pominięty nie będzie w przyszłym traktacie i zagroził, że ponieważ wszystkie fortece obsadzone są jego garnizonami i że

ponieważ jedna wygrana przeniesie go na brzegi Wisły — wtedy za zdradę zemścić się nie omieszka. Urok cesarza na wojsko był zawsze potężny, to też ci, co dopiero opuścić go myśleli, krzyknęli: *Vive l'empereur!* i przysięgli na kraniec świata mu towarzyszyć. Książę Sułkowski mógł albo żądać, żeby mu dane słowo zwrócono, albo nawet nie czyniąc tego, pójść za ogólnym zapałem. On jednak zamiast tego, ze szefem swego sztabu Henrykiem Zabiełłą poprosił o dymisyą, tę natychmiast otrzymał i z Gelenhausen udał się do Leszna. W roku następnym powołany do tworzenia nowego wojska polskiego i mianowany generał-adjutantem, przesiedziawszy parę miesięcy w Petersburgu, wziął dymisyą i do swojej ordynacyi w Poznańskiem powrócił. Żona jego wtenczas już od lat kilku nie żyła, a zostawiła mu tylko syna i cztery córki. Sam Antoni Sułkowski umarł w 1836 r. a syna król Pruski wziął na opiekę i w 16-tym roku życia do pułku kirasyerów pruskich go oddał.

Pani Kicka ze wszystkich córek najwięcej lubiła Sułkowską. O śmierci jej nigdy nie uwiadomiona, naprzód utyskiwała, że Ewunia tak rzadko pisze, a później i sama o niej zapomniała zupełnie.

Trzecia córka, panna Józefa, w młodym bardzo wieku wydana została za Biszpinga, Litwina — przeniosła się z nim na Litwę i skutkiem tego do towarzystwa puławskiego nie należała. O synu Ludwiku, będziemy mieli sposobność wspominać często poniżej.

Raz w zimie, jadąc do Warszawy, wstąpiłem do Ryk. Panie mieszkały w Warszawie, a koniuszy paląc fajkę nad Marerym fatalnie się nudził. Zatrzy-

mał więc mnie przez całą dobę i nie krępując się już niczem, nie przestawał opowiadać swoich fantazyi. Zaraz po moim przyjeździe rzekł mi:

— Poczęstuję cię marynowanym wielorybem, zobaczysz co to za szczupak. Ale bo też imaginuj sobie: parę tygodni temu wybrałem się na polowanie. Przyprowadzono mi mego kucyka, którego za to szczególniej lubię, że jest tak mały, iż jak mi się podoba spuszczam z nóg strzemiona i idę sobie piechotą, a koń pode mną stępa kroczy. Otóż byliśmy we czterech. Ja, leśniczy, gajowy i poczciwy Janiszyc (kucharz). Kiedyśmy koło Bogusz zjeżdżali z góry, słyszymy szum i hałas jakiś niezwykły. Na stawku pod Boguszami fale jak na morzu się piętrzą, a wiatru żadnego nie było.

— Janiszyc — co to jest? — pytam.

— A to chyba wieloryb, jaśnie wielmożny panie.

— Janiszyc, kochanku — mówię mu — polowanie za nic. Wracajże do Ryk, wołaj stawniczego, spędź ludzi, przywieź sieć co rychło, a spiesz się, żeby czasem wieloryb nie umknął.

Zakładają tedy sieci, ciągną, ale liny pękają, a dwóch ludzi omal że nie utonęło, tak silnie szczupak ten sieć szarpał. Nakoniec wyciągnęliśmy to monstrum. Wyobraź sobie cały był czarny, zielonym mchem porosły, a kilkanaście łokci długi. Nowy kłopot jak go tu do Ryk zawieść. Musieliśmy dwa wozy związać i sześć koni do nich założyć. W domu nowy ambaras, bo szczupak do kuchni zmieścić się nie mógł i na dziedzińcu Janiszyc toporem w kawałki rąbać

go musiał. Ale co najdziwniejsza — i co na to powiesz — oto wewnątrz znaleźliśmy w nim guziki metalowe od fraka i zegarek srebrny repetyer. Biedaka jakiegoś połknął jak pigułkę. Zegarek darowałem Janiszycowi.

Przyniesiono ową marynatę, a dzwonka jej były małe, mówię więc do koniuszego:

— Przyznam się panu, że nie bardzo wielką mam ochotę jeść tego ludożercę.

— Ej, nie uważaj na to — perswaduje — może to on tylko frak z zegarkiem połknął.

— Ale, jak na takiego ogromnego szczupaka — dodałem — to dzwona wcale nie są wielkie.

— To sztuka Janiszyca — odparł wcale niezmięszany koniuszy. Umyślnie tak je powykrawał, bo całe dzwona nie dałyby się zamarynować.

Pan koniuszy w politycznem swem życiu szedł w dwóch odmiennych kierunkach. Przyjaciel poufny króla, należał do partyi dworskiej i podczas sejmu czteroletniego był takimże patryotą jak i monarcha. Skoro zaś Stanisław August przyłączył się do Targowicy, on stanął zaraz na czele konfederacyi województwa mazowieckiego. Kiedy zaś w 1809 r. istnienie kraju zmieniło swą postać, został senatorem, naprzód kasztelanem, a później wojewodą i niepodlegle już myślał i działał, bo nie miał nad sobą wpływów królewskich.

Trudno mi wyliczać wszystkich dość licznych sąsiadów, jacy często odwiedzali Puławy i stanowili stałych członków tutejszego towarzystwa — nie odgrywali oni w ówczesnym politycznym układzie żadnej

ważniejszej roli i dlatego wspomnę ich tylko z nazwisk. Należeli do nich generał Byszewski z Baranów, z dwoma synami i trzema córkami, z których jedna została panią Skarbek, Rudnicki z Żyżyna, którego córka wydana była za Sołtyka, Bętkowski z Ułęża, Jagniątkowski, Cieciszowski, Jawornicki i wielu innych.

Do oryginalnych dość postaci należał książę Stanisław Jabłonowski, *galant dans toute l'acception du terme,* serce swe oddał pannie Ewie Kickiej, mimo że był żonaty i choć z żoną nie żył, nie był z nią jednak rozwiedziony. Podczas czteroletniego sejmu odznaczał się jako gorliwy patryota i do Berlina posłował. Będąc częstym gościem i niemal domownikiem w Puławach, kupił po królu Stanisławie piękną grupę Tankreda i Kloryndę za 1500 dukatów i tę w sekrecie do Puław sprowadził i w nocy w dolnym ogrodzie, naprzeciw balkonu pałacowego ustawił. Zrana, przy śniadaniu, księżna Czartoryska dar ten cenny spostrzegła i była z niego niezmiernie uszczęśliwiona.

Często także po kilka miesięcy przebywał w Puławach książę stolnik Czartoryski z Wołynia, ostatni z linii tak zwanej Koreckiej, nie zostawił bowiem męskiego potomka, tylko pięć córek, z których najstarsza wydana została za Jana Potockiego z Boćków, druga Teresa za księcia Henryka Lubomirskiego, trzecia za Eustachego Sanguszkę, któremu już sądzonem było z Czartoryską się ożenić, bo gdy dostał rekuzę od księżnej Wirtemberskiej, do stolnikówny uderzył. Czwarta, Józefa, została żoną Alfreda Potockiego, a piąta była za Rzyszczewskim. Książę stolnik często z trzema najmłodszemi córkami, które za moich cza-

sów były jeszcze pannami, Puławy odwiedzał, a był z niego oryginał nie lada. Chudy, wysoki, miał przysłowie: „Ba! mości dobrodzieju“ — i to w rozmowie swojej przynajmniej za każdem trzeciem słowem powtarzał. Nosił strój zupełnie czarny, frak *en habit habillé* i dziwnej formy trzewiki, zapinane na duże metalowe sprzączki. Założył on u siebie w Korcu fabrykę porcelany, która tak świetnie była prowadzona, że nawet bardzo cenne i delikatne przedmioty w niej wyrabiano. Księcia feldmarszałka blizki krewny, zawsze bardzo gościnnie w Puławach był podejmowany.

Czartoryscy z gałęzi, do której ks. feldmarszałek należał, pisali się na Klewaniu i Żukowie, a ks. stolnik na Korcu. Cała rodzina wogóle utrzymuje, że pochodzi od Giedymina i dowodem historycznym tej ich procedencyi ma być przywilej Władysława Warneńczyka, wydany w Budzie 1442 r., gdzie król książąt Czartoryskich braćmi swoimi stryjecznymi zowie. Przywilej ten wszakże nie rozjaśnia wątpliwości, czy od Olgierda, syna Giedyminowego, czy też od brata jego Lubarta ród swój wiodą. Cała rodzina wyznawała wiarę grecką i dopiero w 1616 r. książę Jerzy katolicyzm przyjął, a gdy syn jego Mikołaj, wojewoda wołyński, pojął w małżeństwo ostatnią księżniczkę Korecką, odziedziczyli Czartoryscy Korzec i w XVII w. na dwie rozszczepili się linie: klewańską — starszą i korecką — młodszą. Książę Józef — stolnik w trzecim stopniu pokrewieństwa z linią klewańską zostawał.

Lubił on niezmiernie wiele i niezmiernie szybko chodzić i w spacerach tych, które czasami dwie i trzy

mile wynosiły, rzadko kto placu mu dotrzymał. Jeden tylko ksiądz Poirsenau, Francuz, nauczyciel języka francuskiego na puławskiej pensyi panien, niezmiernie długiemi obdarzony nogami, stanowił zwykłą jego kompanią.

Szczególną skłonność do dziwactwa, jaka odznaczała ks. stolnika malują pomiędzy innemi jego stosunki z Ropelewskim. Ten Ropelewski legionista, złamawszy nogę i do służby niezdatny, wrócił do kraju, a szukając sposobu do życia, trafił na ks. stolnika u którego dobra Wałowice, leżące nad Wisłą, zadzierżawił. Majątek w dzierżawę oddał mu książę bardzo tanio, bo tylko za 6.000 złp., ale natomiast do urzędowego kontraktu wprowadził rozmaite śmieszne warunki. Tak naprzykład, że nie będzie się wolno dzierżawcy ożenić bez pozwolenia księcia, że co roku na rachunek raty dzierżawnej kupi korzec śliwek węgierek, sam je zje i pestki w naznaczonem miejscu posadzi, że trzymać będzie w służbie ekonoma złodzieja i cnotliwego człowieka ma z niego uczynić i t. d. Ropelewski jadł śliwki i pestki sadził, ekonoma kijem do cnoty nawracał, ale po trzech latach uzbierawszy trochę grosza przedstawił księciu, że mu się koniecznie ożenić wypada, choćby dlatego, żeby mieć gospodynię. Książę słuszność żądania uznał, ale sam żonę wybrać mu postanowił. W tym celu zaczął po Sandomierskiem jeździć i znalazłszy panienkę przystojną, ale biedną znacznym posagiem ją obdarował.

Książę stolnik za Stanisława Augusta powołany był do służby dyplomatycznej i przy dworze Saskim posłował.

Najwięcej mnie zawsze bawiło, kiedy pan koniuszy Kicki zaparłszy w kąt ks. stolnika, po godzinach całych plótł mu swoje androny. Książę słuchał ich cierpliwie, twarz mu się przedłużała i co chwila tylko: — Ba, mości dobrodzieju — powtarzał.

Do bardzo oryginalnych także figur należał Kralewski, generał dywizyi ze służby francuskiej, z powodu ran dymisyonowany. Chudy i żywy, nosił zawsze generalski francuski mundur i fryzurę starannie wytapirowaną. Wskutek długiego pobytu we Francyi nabrał manier przesadnej galanteryi i szczególnego ugrzecznienia dla kobiet. W kieszeni zawsze miał na ich cześć przygotowany sonet i odę i za pierwszą okazyą je recytował. Lubił namiętnie fechtowanie się i zawsze wszystką młodzież na szpady wyzywał, łatwo zaś zwycięzką palmę uzyskiwał, bo my wszyscy przyzwyczajeni szablą tylko wywijać, nie tędzy byliśmy na rożenki. Jeden przeciwnik wszakże raz za wszystkie odniesione nad nami tryumfy się zemścił, fechtując się z nim bowiem wobec dam, zrzucił mu perukę, która tak misternie okrywała jego głowę, że nikt się nie domyślał nawet, że generał był łysy jak kolano. Ten wypadek tak go zmartwił, że obłożnie zachorował.

Przez czas jakiś bawił tu także generał Kopeć, a było to prawdziwie biedne stworzenie. Po sejmie grodzieńskim z brygadą swą wcielony został do wojska rosyjskiego, ale dowiedziawszy się o powstaniu Kościuszki, z tąż brygadą z Owrucza wyruszywszy, przerznął się przez wojska rosyjskie i z Kościuszką się złączył. Pod Maciejowicami ranny i do niewoli

wzięty, zesłany został do Kamczatki. Jadąc tam, w kraju Tunguzów, poczęstowany był jakimiś grzybami, które zjadłszy stracił zupełnie pamięć wydarzeń i ani niewoli swojej, ani uwolnienia nie umiał porządnie opowiedzieć. Cesarz Aleksander I dobrotliwie zachował mu stopień wojskowy i pensyą odpowiednią kazał wypłacać. Mówiono mi, że Kopeć później spisał swe życie i wypadki. Książki tej nie miałem w ręku, ale znając go osobiście, przypuszczam, że nie mógł wiernie przeszłości odtworzyć.

W takim samym wypadku jak Kopeć, był Wyszkowski, podówczas major, który także przez wojska rosyjskie się przedarłszy, złączył się z Zajączkiem. Ten jednak uniknął niewoli i uciekłszy do Paryża, na miejscu Barsa, przy konwencyi i dyrektoryacie był reprezentantem interesów polskich. Brat jego zasłużony w literaturze tłómacz dzieł Zachariae'go, ożeniwszy się z ks. Czetwertyńską, popadł w łaski w. księcia Konstantego i uzyskał dla brata przebaczenie, a dla siebie dobrą pensyą. Major z żoną osiadł w Monachium i tu gościnnie dla współrodaków dom swój otworzył, będąc ich przewodnikiem po mieście i częstując ich gościnnie barszczem i kapuśniakiem. Oboje byli bardzo w podeszłym wieku, kiedym ich poznał w 1846 r., on bowiem miał z górą lat siedmdziesiąt, a ona dochodziła do sześćdziesiątki. Śladów słynnej piękności znać już na niej nie było, ale lubiła naprowadzać rozmowę na Petersburg i wzdychając spoglądała na zawieszony w salonie portret w. księcia Konstantego. Kiedy kto z obecnych oczne te wycieczki dostrzegł, rumieniła się jak szesnastoletnia panienka

surprise en peccadille. Druga Czetwertyńska, jej siostra, wydana za hr. Naryszkina posiadała serce Aleksandra I i podobno przywiązanie to było silne i jedynie prawdziwe.

Z cudzoziemców, odwiedzających Puławy należy wspomnieć lorda Russel, syna księcia Bedford, który ścisłą przyjaźnią ze Stanisławem Zamojskim złączony, przybył do Puław głównie dla zwiedzenia biblioteki. Rzeczywiście całe dwa tygodnie w niej przepędził, tyle tylko wychodząc, ile dla koniecznego posiłku było to potrzebnem. Mówił bardzo mało i tylko po angielsku, to też o przyszłych wielkich zdolnościach jego nikt nie wiedział i znano go tylko jako zapalonego bibliografa i bibliofila.

Również Pozzo di Borgo, agent anglo-austro-rosyjski, po kilkakroć po kilka tygodni tu bawił. Wiecznie polityką zajęty i osobisty Napoleona nieprzyjaciel, choć także Korsykanin, zawsze przeciwko Napoleonowi występował, a spotykając tu i cudzoziemców i Polaków, starał się na nich wpływy swe wywierać. Trzymając się strony Paolego, wraz z nim Korsykę Anglikom oddał, ale we własnej swej ojczyźnie znienawidzony, uczepił się lorda Elliot, który podówczas był posłem w Wiedniu i od r. 1795 zaczął prowadzić awanturnicze życie, służąc jako tajny agent Austryi, Prusom, Anglii i Rosyi. Ciągłe jego podburzanie Niemców przeciwko Francyi i deklamowanie przeciwko tyranii Bonapartych skłoniły wreszcie Napoleona, że w warunkach Tylżyckiego pokoju wymienione było żądanie, żeby Pozzo di Borgo, przestał być agentem rosyjskim. Ten warunek był właściwie

podstawą fortuny awanturnika, gdyż Aleksander I przypomniawszy sobie później, jak Napoleon oddalenia Pozzo di Borgo się domagał, przywołał go na swoje usługi z Konstantynopola, gdzie bez zajęcia pozostawał. Umieszczono go w sztabie, mianowano generałem i obwieszono orderami, a gdy jeszcze w 1813 r. wymógł on na sprzymierzonych, żeby Paryż zajęli i gdy się impreza ta udała, znaczenie jego jeszcze więcej podniosło. Mianowany posłem należał odtąd do wszystkich kongresów. W 1830 r. popadł w niełaskę, bądź że nie umiał zapobiedz lipcowej rewolucyi, bądź że dowiedziano się o ogromnym kilkumilionowym prezencie, jaki od Ludwika Filipa otrzymał. W 1837 r. wrócił do Paryża i tu mieszkał aż do końca życia, to jest do 1842 r. Zostawił dwanaście milionów majątku. Stanowi on rzadki przykład dziwaczności losu. Bez nauki, bez szerszych na rzeczy poglądów, bez talentów, zapomocą zręczności jedynie doszedł do majątku, najwyższych godności i urzędów. Burbonowie mianowali go hrabią, a jedynem marzeniem jego było zostać parem Francyi i ministrem spraw zagranicznych.

Pani Krüdener przez kilka tygodni bawiła także w Puławach, a nie chcąc w oficynie przyjąć mieszkania, kwaterowała w oberży. Mnie księstwo przeznaczyli, żebym był jej adjutantem, a obowiązki moje polegały tylko na tem, żem wypytywał o wszystkie jej życzenia co do życia i wygód, rzeczy żądanych dostarczać kazał, rano przyprowadzał ją lub przywoził do pałacu, a wieczorem odprowadzał na kwaterę.

Pani ta, imieniem Walerya, z domu Wittingraff

czy Vittinghof, była wnuczką słynnego marszałka Münicha, a żoną pana Krüdener, Kurlandczyka, który piastował urząd posła w Berlinie. W r. 1802 napisała romans *Valerie*, który w piękny, egzaltowany styl ujęty zwrócił powszechną uwagę. Że zaś imieniem go swem zatytułowała, przeto wielu myślało, że własnego tam życia opisuje wypadki.

Wtenczas kiedy w Puławach była pani Krüdener liczyła około lat czterdziestu. Blada była, mizerna, o rysach regularnych i blado-błękitnych oczach, zupełnie pozbawionych wyrazu. Mówiła gładko i płynnie, ale w najpotoczniejszej nawet rozmowie nie mogła się od egzaltacyi powstrzymać. Z obowiązku, jaki mi przy niej był naznaczony, uważałem za potrzebne nauczyć się na pamięć kilku ustępów z jej Waleryi, które wyrecytować nieomieszkałem. Szczęśliwa wielce była z tego, bo wogóle bardzo lubiła pochlebstwo. Kiedy raz w piękną noc księżycową odprowadzałem ją do austeryi, prosiła mnie, żebym się zatrzymał i uklęknąwszy na stopniach katolickiego kościoła, który się wówczas budował, więcej jak pół godziny się modliła. Wstawszy, powiedziała mi, że nigdy przy nikim obcym się nie modli i uczyniła to tylko w towarzystwie mojem, ponieważ do mnie ma zupełne zaufanie.

W literackiej jej działalności po „Waleryi“ nastąpiły rozmaite pisma i broszury o ludzkości, gdzie pogrążając się w mistycyzm, jako prorokini się przedstawiała. Od r. 1806 aż do 1814, bez względu na słabe zdrowie i wycieńczone siły, zaczęła przebiegać pieszo Rosyą, północne Niemcy, Holandyą i Francyą

i zgromadzała naokoło siebie słuchaczy, rozdając im pieniądze i broszury. Zasady jej nauki, tak powtarzanej w pismach, jak i rozpowszechnianej żywem słowem polegały na wprowadzeniu w życie zasad pierwotnego kościoła chrześcijan i na zaniechaniu bojów i wojen. Nadto, usunięcie kary śmierci, zwrot swobody ujarzmionym narodowościom i ścisłe wykonywanie miłosierdzia chrześcijańskiego dopełniały ten filantropijny system. Wzniosłe i piękne te myśli, które kiedyś przeważą zapewne w przekonaniach, w epoce działalności pani Krüdener nie wielu liczyły zwolenników. Cała Europa wydawała się jednym obozem, a Napoleon, z jednej, angielskie intrygi z drugiej strony do gruntu ją burzyły. Każdy myślał o marszałkowskich buławach, księstwach, dotacyach, któremi Napoleon obficie szafował i kiedy jedni do ciągłych podbojów wzdychali, inni tymczasem myśleli jakby skruszyć napoleońskie jarzmo. Jej więc apostołowanie, mogące tam tylko mieć przystęp, gdzie orły francuskie nie dotarły, nie bardzo do przekonań trafiały. Widząc, że drogą perswazyi do celu nie dojdzie, zaczęła prorokować i wróżyć upadek *anioła czarnego* (Napoleona), którego zwalczy *anioł biały* (Aleksander).

Wskutek tego Aleksander chciał ją poznać, a wyznać trzeba, że odpowiadało to po części jego skłonnościom do rzeczy tajemniczych, w życiu bowiem tego monarchy wiele podobnych przykładów da się przytoczyć. Kiedy z wojskami wszedł do Paryża pierwszą wizytę słynnej pannie Lenormand złożył i od niej kabały zażądał. Słynna ta kabalarka zaczęła ta-

sować karty i podawszy mu je do zebrania, wręczyła także ołówek, żądając, żeby na papierze dowolną ilość kresek położył. Cesarz nakreślił ich jedenaście i rzekł: Może już będzie dosyć. — Jako najważniejsza część kabały wyszło twierdzenie, że cesarz Aleksander będzie jeszcze jedenaście lat panować i że następca jego umrze wśród niepokojów i ciężkich zawikłań.

Do Paryża niebawem przybyła i p. Krüdener i spotkanie jej z cesarzem Aleksandrem nastąpiło. Aby dojść do swego ideału i o ile możności usunąć przyczyny wojen, podała ona wtedy główne zasady św. przymierza. Cesarz plany jej akceptował i sam główny ich program podług jej teoryi skreślił. Ten swój program wręczył następnie p. Alopeusowi i polecił mu porozumieć się w tym względzie z ks. Metternichem. Wiadomo powszechnie, że Metternich względem zamiarów cesarza Aleksandra stanowił żywą opozycyą, a żądanie wcielenia Saksonii do Prus, a księstwa Warszawskiego do Rosyi było tego głównym powodem. Dopiero powrót Napoleona z Elby politykę austryacką zmienił. Chwycono się św. przymierza, rachując, że za pomocą niego potęgę Rosyi skrępują i choć na kongresie wiedeńskim główne jego zasady położono, wszakże rozwinięto je dokładnie na kongresie w Aix-la Chapelle, w r. 1818.

Przez cały przeciąg tych lat czterech p. de Krüdener ciągle pracowała nad cesarzem Aleksandrem, o ustaliwszy wpływy przeważnie nad jego umysłem, popychała go do mistycyzmu, religijności i odstąpienia od zasad liberalnych. Później udała się do Krymu, gdzie zajęła się nawracaniem Tatarów i tam 1825 r.

w tymże samym czasie, co i cesarz Aleksander, umarła.

Chcąc właściwie ocenić tę prawdziwie wyższą istotę, trzeba jej darować nadmiar egzaltacyi i zrozumieć, że ta cecha jej charakteru wiodła ją do błędów. Mając wzniosłe i moralne cele przed oczyma, dążyła do nich z namiętnością i nad wybieraniem środków zastanawiać się nie umiała.

W Puławach także w 1806 czy 1807 r. oglądałem słynnego kapitana okrętu Kruzensterna, który między 1803 a 1806 r. odbył podróż naokoło świata i wydał kilka dzieł wielce szacownych. W Puławach przejazdem bawił tylko dni kilka i miłe wspomnienie po sobie zostawił.

Z innych cudzoziemców, o rodzinie gubernatora Geisrucka już wspominałem. Po nim objęli ten urząd naprzód hr. Urmeny, a później Maylath. Ostatni został później kanclerzem węgierskim. Lubił on niepospolicie flaki i skoro tylko do Puław przybył, zaraz o tę potrawę prosił. Obadwaj zawsze w węgierskich narodowych strojach, rozmawiali z księciem feldmarszałkiem po węgiersku i szczególniej mego współucznia Hallera pieścili.

Dalej bawiła tu czas jakiś ks. Solms, wdowa po bracie króla pruskiego za ks. Solms wydana i pani Bagration. Ta ostatnia, żona słynnego wodza, który zginął pod Możajskiem, była wówczas w kwiecie swej młodości i piękności, choć może nie dosyć była wysoka w miarę swej tuszy. Pochodziła podobno z jakiejś familii litewskiej i po śmierci męża ciągle mieszkała w Paryżu, czasami tylko na lato do Baden-Ba-

den wyjeżdżając. Kiedy była jeszcze młodą, stała na czele elegancyi paryskiej i z panią Récamier i ks. Liven o lepsze walczyła. W miarę wieku znikał jej piękny rumieniec i cera stawała się bladą. To stało się przyczyną, że miała szczególniejszą antypatyą do osób rumianych i na ich widok wpadała w spazmy i pokazywać się lubiła częściej w nocy, aniżeli we dnie. Wskutek tego prawdziwie nieznośną była dla swej służby, a szczególniej dla kucharzy, gdyż w wyborze potraw wielce wybredna, coraz żądała czegoś nowego, a zwłoką się niecierpliwiła. Wyszła za mąż za Anglika, p. Carradock, więcej znanego pod nazwiskiem lorda Hampden, tego, który jest teraz posłem w Madrycie. Wskutek bankructwa bankiera Tharneissen straciła majątek, wpadła w rozpacz i ze zgryzoty umarła 1857 r. W czasie pobytu w Puławach towarzyszyła jej piękna księżniczka Zubów i obie one przez kilka tygodni do ożywienia zabaw wielce się przyczyniały.

Chociaż wyliczając wspomnianych tutaj cudzoziemców, chciałem na nich zamknąć szereg figur, które przed oczyma mojemi w Puławach się przesunęły, niepodobna mi jednak nie wrócić jeszcze do kilku swojskich postaci. Tak naprzykład wspomnieć tu trzeba o rodzinie Nagórskich, Litwinów, jadących do Rzymu, którzy tu na parę tygodni się zatrzymali. Byli to brat i siostra rodzeni, którzy się ze sobą pożenili i jechali do Ojca św. pozwolenie i błogosławieństwo uzyskać. Czy celu swego dopięli nie wiem, bo późniejsze wypadki zupełnie mi o nich zapomnieć kazały.

Z dziecinnemi wspomnieniami mojemi także silnie się łączyła postać ks. Piramowicza, gdyż on pierwszej spowiedzi mnie słuchał. Naprzód proboszcz w Kurowie, później w Międzyrzeczu, jak go zapamiętam, był już w wieku bardzo posunięty. Stracił wzrok, ale się do tego nie chciał przyznawać. Listy sam zawsze pisywał i nie uważał tego, że kreśli niezrozumiałe hieroglify i że najczęściej większa połowa listu zostaje na stole. Wzrostu nizkiego, otyły, żywy, ruchliwy, oczy miał małe, nos gruby i prosty, usta duże. Życie jego poświęcone było naukom. Oprócz kazań i mów rozlicznych tłómaczył on Dykcyonarz starożytności i jako członek Komisyi edukacyjnej i Towarzystwa do ksiąg elementarnych, wypracował poezyą i wymowę dla szkół narodowych. Lwowianin, pochodzący z ormiańskiej rodziny, wraz z bratem swoim Stanisławem, który później po nim objął probostwo kurowskie, wstąpił w młodych leciech do zakonu Jezuitów. Po kasacyi zakonu Eustachy Potocki, generał artyleryi, użył go za mentora do swych synów Ignacego i Stanisława. Z nimi odbył podróż po Francyi i Włoszech w r. 1775 do ojczyzny powrócił. Szczególnym trafem i uczniowie i ich profesor znaleźli się znowu razem w Komisyi edukacyjnej, której Piramowicz był sekretarzem. Umarł w końcu r. 1801.

Również często odwiedzał Puławy ks. Aleksander Lubomirski, dziedzic Opola, w którem podobnie jak w Puławach był drugi punkt zborny szlachty lubelskiej. Książę Aleksander ciężkie poniósł straty przez bankructwo Teppera i innych bankierów warszawskich i wtedy w pozostałych mu dobrach Opol-

skich i Józefowskich zajął się szczerze gospodarstwem, odznaczając się rządnością. Folwarki pojedyńcze w porządne budowle zaopatrzył i na każdym z nich dom mieszkalny dla siebie wystawił, tak że wszędzie mógł bawić tyle, ile mu się podobało. Wzrostu więcej jak średniego, postawy poważnej, nosił się zawsze w stroju francuskim, w peruce tapirowanej i pudrowanej. Żonaty z Chodkiewiczówną, stracił swą żonę w Paryżu, w czasie rewolucyi francuskiej. Pani ta bawiąc w Paryżu w czasie ścierania się jakobinów z żyrondystami, przez Mostowskiego, kasztelana raciąskiego wprowadzona została do salonu p. Roland, której mąż, także żyrondysta, zgromadzał u siebie głównych przedstawicieli tego stronnictwa. Książęca jej godność i zaprzyjaźnienie się z panią Roland stały się dla Robespierra powodami wystarczającymi do uwięzienia jej i oddania pod sąd po upadku żyrondystów. Niebawem skazano ją na śmierć, a przyjaciele jej doradzali, żeby ratując się, zeznała, iż jest w stanie poważnym, coby na kilka miesięcy, zanim inne środki ratunku się nie znajdą, życie jej przedłużyło. Lecz Lubomirska, z krwi Chodkiewiczów, nie chciała splamić się kłamstwem, tem więcej, że przez takie zeznanie cnotę swą podałaby w podejrzenie. I tak, na kilka miesięcy przed upadkiem Robespierra, pod gilotyną życie swe zakończyła. Książę Aleksander powtórnie się nie ożenił i do śmierci wdowcem pozostał. Córka jego Rozalia później za Wacława Rzewuskiego wydana, w młodych swych latach z ochmistrzynią często Puławy odwiedzała, a po śmierci ojca dłuższy czas tutaj bawiła aż do swojego do Wiednia wyjazdu.

Oprócz niego często tu bywał ks. Fryderyk Jabłonowski, *tirbouchon* zwany, ks. Pelagia Sapieżyna, wówczas żona ks. Franciszka, familia Bystrych, bardzo poważna, Olędzkich, z Czartoryskimi spokrewnionych, książę Sanguszko, wojewoda wołyński, pan Pokutyński i ks. de Fleury, emigrant. Ci dwaj ostatni wiecznie ze sobą grywali w karty i bilard, niemiernie drogo bo po 50 luidorów partya.

Co do emigrantów francuskich zabawną między nimi figurą był ksiądz Balivier, a właściwie Balievre. Był on wielkim jałmużnikiem dworu Ludwika XVIII, ale z pozoru nie wyglądał wcale na księdza. Jedyną oznaką duchownego jego stanu była czarna chustka na szyi kiedy inni nosili jedynie białe. Zresztą inne suknie podług ostatniej mody, fraki kolorowe, buty palone, z ostrogami, a w ręku zamiast laski nosił zawsze szpicrutę, której główka drogimi kamieniami była ozdobiona; konno jeździł wybornie, do dam się przymilał i wieczorami na gitarze hiszpańskiej serenady pod oknem pani Mierowej wygrywał. Wszystko to gniewało ogromnie mego guwernera ks. Laville, który nie mógł strawić, że Ludwik XVIII takiego jałmużnika sobie wybrał. Ile razy ks. Balivier do Puław przyjechał, on się zawsze u siebie zamykał i na pokoje nie wychodził.

Ścisłą przyjaźń z ks. Czartoryską zawiązała pani Wincentowa Tyszkiewiczowa, rodzona siostra ks. Józefa Poniatowskiego i często także pomiędzy nami bawiła. Średniego wzrostu, blondynka, byłaby bardzo piękną, gdyby nie to, że straciwszy nie wiem z jakiego wypadku oko, zastąpiła je szklannem. To rysy

jej twarzy szpeciło. Nigdy jej inaczej nie widziałem ubranej jak w amazonce i kapeluszu męskim na głowie. Nosiła też długie pukle włosów, które z pod kapelusza na czoło spadając, oko jej trochę zakrywały. W kilka lat potem, kiedy Talleyrand, książę Benewentu, zamieszkiwał w Warszawie, zawiązała się między nimi szczególniej ze strony pani Tyszkiewiczowej tak silna przyjaźń, iż opuściła Warszawę i brata i za Talleyrandem do Paryża się przeniosła i bądź w tej stolicy, bądź w zamku Valençay przemieszkiwała. Talleyranda pieściła, dogadzając wszelkim jego fantazyom ze szkodą własnego majątku. Codziennie, między innemi dawała mu woreczek z 500 frankami, które tenże przyjmował i do gry wieczornej w karty ich używał. Stosunek ten tem był dziwniejszy, że Talleyrand choć słynął z dowcipu, wdziękami wcale się nie odznaczał. Kulawy, o rysach twarzy nieprzyjemnych, oprócz rozumu nie posiadał nic takiego, coby serce kobiety podbić zdołało. Żonaty, z żoną nie żył i ta okoliczność stosunki jego z Tyszkiewiczową ułatwiała. Jemu też całe swe życie poświęciła i bawiąc ciągle w tych miejscach, gdzie on przebywał, w Paryżu życia dokonała. Dziwnym zbiegiem okoliczności, kiedy ona przeważnie w wązkim gustowała stroju, mąż jej, jak Ludwik XVIII, w spódnicy chodził. Opowiadała mi o niej pani Gutakowska, że kiedy w młodości swej w zamku mieszkała, wybiegła raz do gościnnych komnat i tu spotkawszy Szydłowskiego, starostę mielnickiego, długo z nim na rozmowie się zatrzymała. Usłyszawszy odgłos nadchodzących, z obawy

przed guwernantką w piec się schowała. Nieobecność panny Poniatowskiej wkrótce wykryto; ale napróżno jej szukano i dopiero szelest sukien w piecu, pobyt jej tam wydał. Wleźć jednak przez wązki otwór do pieca było łatwo, ale wynijść ani podobna i musiano aż mularzy sprowadzać, którzy kafle porozbierali.

Księżna Wirtemberska, rozwiedziona z mężem także najczęściej przesiadywała u rodziców, zajmując się wychowywaniem swego synka Adama, a kiedy książę Ludwik, jego ojciec, matce go odebrał i kiedy cesarzowa wdowa umieściła go w pułku huzarskim gwardyi rosyjskiej — księżna Wirtemberska zimy spędzała w Wiedniu, a na lato przejeżdżała do Puław.

Hrabia Stanisław Zamojski, ożeniwszy się z księżniczką Czartoryską, przez dwa lata po Francyi i Anglii podróżował, 1802 r. wrócili do kraju ze służbą całkiem z Anglików i Francuzów złożoną. Po powrocie zajął się stawianiem pałacu w Klemensowie, w ordynacyi i urządzaniem małego domku wiejskiego w Maciejowicach. Tu ogrodnik Francuz, biegły pomolog p. Le Gras założył piękne sady, które dotąd słyną z dobroci i obfitości fruktów. Z powodu bliskości Maciejowic często pp. Zamojscy przesiadywali w Puławach. On całe ranki trawił tu na grze w piłkę, na bieganiu do baryery i na jeżdżeniu konno. W piłkę grywano zapomocą bębenków, ją nimi podbijając w górę. Potrzeba było do tego pewnej zręczności i ks. Poirsenau tak w tej grze, jak i w bieganiu celował.

Jazdy konne zbierały zawsze osób kilkanaście, a ponieważ Zamojski piękne wierzchowce angielskie posiadał, zwykle więc każda przejażdżka kończyła się wyścigami, do których błonie pod Włostowicami wyborne przedstawiało pole.

VIII.

Prawdziwa świetność puławskiego dworu i towarzystwa tutaj się zgromadzającego trwała właściwie od 1797 do 1806 r. W tym czasie wojna i powstanie księstwa warszawskiego powoli i młodzież i dojrzałych mężów zaczęły rozpraszać. Pierwsi opuścili nas Szumlański i brat mój stryjeczny Konstanty Dembowski.

W r. 1804 przejeżdżał przez Puławy pułkownik Witt, szef pułku kirysyerów. Ten zaprzyjaźnił się z Szumlańskim i namówiwszy go, żeby wstąpił do wojska rosyjskiego, stopień mu majora wyjednał. Szumlańskiego długo do tego namawiać nie było potrzeba. Przed dziesięciu laty służył on w wojsku polskiem, a później do legionów przeszedł. We Włoszech ranny w twarz pałaszem, zachował na zawsze szeroką kresę na twarzy, ale ta bynajmniej bardzo pięknego jego oblicza nie szpeciła. Następnie wysłany z depeszami do Egiptu do generała Bonapartego, pojmany został przez turecką flotę i w Stambule w strasznem więzieniu przebywał. Wyrwawszy się stamtąd wrócił do Puław tak wynędzniały i zbiedzony, że widok jego litość obudzał.

Wstąpiwszy na nowo do wojska rosyjskiego, niedługo w niem przebywał i po kampanii austryackiej w stopniu pułkownika przeszedł do armii księstwa Warszawskiego. Ugrzeczniony, bywalec, dowcipny i przystojny, pozyskał sobie szczególne względy pani de Vauban i ta w spazmy wpadała, skoro go nie widziała na zebraniach w swoim salonie. Za jej staraniami zaliczony do sztabu, bez żadnego wyraźnego zajęcia, za jedyny obowiązek utrzymywanie konwersacyi na zebraniach uważał. Po r. 1812 osiadł w Galicyi, ożenił się majętnie i przywdział strój polski, w którym mu jeszcze więcej było do twarzy. Córka jego wyszła za ministra Rewitzky'ego.

Konstanty Dembowski, kiedy po ukończonej w Puławach edukacyi o dalszym losie przemyśliwał, za poradą ojca mego wstąpił do wojska. Wszedł więc jako junkier do Izmaiłowskiego pułku gwardyi i stąd wkrótce w stopniu podporucznika przeniesiony został do pułku ułanów w. ks. Konstantego. W bitwie pod Austerlitz wzięty został do niewoli. Trzeba wiedzieć, że wówczas ani komunikacye nie były łatwe, ani nie było wielkiej mnogości gazet, a i te, co istniały, z wielką trudnością dochodziły. W pierwszych więc jeszcze dniach stycznia 1806 r. powszechnie mniemano, że sprzymierzone pod Austerlitz siły otrzymały świetne zwycięstwo i zmusiły Napoleona do przyjęcia uciążliwego pokoju. Szumlański, który wracając z tej wyprawy, do Puław wstąpił, jako oficer gwardyi pogłosce o powodzeniu oręża sprzymierzonych zaprzeczać nie chciał i o bitwie samej bardzo dwuznacznie się wyrażał. Nadto przywiózł wiadomość, że Kon-

stanty Dembowski poległ na placu boju. Opłakiwaliśmy go wszyscy a szczególniej siostra jego Rozyna w żalu utulić się nie mogła. Aż tu zaledwie Szumlański do Petersburga wyjechał, wpada w ułańskim swoim mundurze nasz Konstanty. Ten dopiero o austerlickiej bitwie dokładnie nas uwiadomił i losy swoje tak opowiedział. Wzięty do niewoli, odprowadzony został do Berna, gdzie komendantem fortecy zastał Zajączka, dawnego znajomego swojego ojca. Ten rannego do swej kwatery przyjął, leczeniem jego się zajął i po zawarciu pokoju uwolnił, środkami na drogę zaopatrzył i do ojczyzny odesłał.

Konstanty Dembowski w r. 1809 opuścił służbę rosyjską i wstąpił do huzarów Umińskiego i tu w tym pułku bitnym lecz niekarnym do r. 1812 zostawał. W 1813 przeznaczony do sztabu marszałka Oudinot w randze pułkownika, po skończonych wojnach już nie wszedł do formującego się wojska polskiego, ale na wsi osiadł, ożenił się majętnie ze swoją kuzynką Witosławską i umarł 1856 roku.

W tymże samym r. 1804 opuścił także Puławy książę Dominik Radziwiłł, zabierając z sobą Łopota, Teodora i Marcina Michałowskich i Jana Narbutta. Przed odjazdem jego wszakże odbyłem jeszcze razem z nim dwie wesołe wycieczki — jedną do Podzamcza, drugą na Zielone Świątki do Warszawy.

Zamojski wyjednał dla miasteczka Maciejowic jakieś nowe jarmarki i na pierwszy z nich całą puławską młodzież, a także i dojrzalszych zaprosił. Że zaś pałacyk w Podzamczu był niewielki, goście więc zajęli stodoły i przez kilka dni wesołośmy się tutaj

bawili. Stół, usługa, desery, wina wyśmienite, a uprzejmość gospodarstwa nie do opisania. Co do samego jarmarku, najlepiej na nim zyskali dworscy służący, którzy pozakładali sklepiki z piłkami, bębenkami, laseczkami i szpicrutami i niemiłosiernie drogo je sprzedawali. Ponieważ każdy uważał za obowiązek na jarmarku coś kupić, przeto prędko ten towar rozchwytano.

W towarzystwie naszem znajdował się p. Julian Ursyn Niemcewicz i tu, o ile mógł spamiętać, okazywał nam i objaśniał plac słynnej bitwy, w której wraz z Kościuszką dostał się do niewoli. Że jednak od lat dziesięciu pozakładano tu klomby, postawiono budowle i parkany, przeto dokładne uprzytomnienie szyku bojowego było dość trudne. Płynie tu mała rzeczułka Okrzeja, środkiem bagnistej łąki, zarośniętej rzadką olszynką i ona prawie okala maleńką wzniosłość, którą teraz niemal całą dworskie budynki zajmują. Te wzgórza zajmowała szczupła siła wojska polskiego, a rozmieszczenie jego było takie, jak załączony planik podług wskazówek Niemcewicza nakreślony przedstawia.

Dwie głównie przyczyny smutny rezultat spowodowały. Dywizya księcia Ponińskiego, pod Żelechowem zostawiona, na czas nie przybyła i rachunek, że po bagnistej łączce nie przejdą działa rosyjskie okazał się mylny. Poniński tak, jak Grouchy pod Waterloo, opóźnieniem swojem katastrofę spowodował, ale czy jego była w tem wina, dziś rozsądzić to trudno. Z początku głos publiczny o to go obwiniał, ale jeśli rzeczywiście Poniński nie otrzymał rozkazu, to

wina naczelnika, że myśląc o walnej bitwie potrzebnych sił do niej nie ściągnął.

Wycieczka na Zielone Świątki do Warszawy odbyła się z całą swywolą księciu Dominikowi właściwą. Wyruszyliśmy dwoma powozami. W jednym siedział książę, ja i Łopot, w drugim dwaj Michałowscy i Narbutt. Ponieważ po dukacie tryngielta dawano, ośmnaście więc mil piasków w przeciągu jednego dnia przebyliśmy. Po drodze wyprawiano rozmaite figle po karczmach i pocztach i sowicie za wszystko płacono. W Warszawie stanęliśmy w pałacu Radziwiłłowskim, dziś namiestnikowski zwanym. Ogromny ten gmach był zupełnie pusty, a burgrabia na przyjęcie pryncypała ani łóżek, ani materaców przygotować nie zdołał. Na sianie więc założyliśmy obóz a po pustych komnatach na wyścigi biegali. Zresztą nie można było tracić czasu na oglądanie tej rezydencyi, bo książę zajęty był przygotowaniem wystąpienia na Bielanach. Skupowaliśmy więc konie, zaprzęgi, powozy i w poniedziałek Łopot, Narbutt i ja paradowaliśmy powozem, a książę z Michałowskimi konno. Na Bielanach nie mięszaliśmy się do wyższego towarzystwa, ale opanowaliśmy karuzele i dyabelskie młyny, a książę hojnie traktując rzemieślników, całkiem ich względy pozyskał.

Wieczorem będąc w teatrze, spostrzegliśmy w loży księżnę Bagration z panną Zubów. Załóż się, rzekł do mnie książę, że nie będziesz miał odwagi pójść do loży i przez cały jeden akt rozmową swoją bawić damy. Powiedzenie to ubodło moją ambicyą i zakład przyjąłem. Kiedym jednak do loży wchodził, serce

mocno mi biło, a rumieniec na twarz wystąpił. Księżna była osoba dobra i właśnie przed kilkunastu dniami dopiero Puławy opuściła, tam ją widywałem często i nawet parę razy z nią tańczyłem, ale zawsze dla piętnastoletniego wyrostka, zadanie to nie lada bawić tak dostojne damy. Panie przyjęły mile moje odwiedziny, a ja chcąc lepiej się postawić, na wstępie skłamałem. Powiedziałem, że dopiero co z Puław przybywszy, mam polecenie od ks. Czartoryskiej złożyć im uszanowanie i oświadczyć wiele ich pobyt w Puławach wspomnień miłych pozostawił; że zaś nie wiedziałem ich mieszkania, korzystam z tej okoliczności, iż je dostrzegłem w teatrze. Księżna podziękowała mi wdzięcznie i na obiad do siebie na dzień następny zaprosiła. Oprócz więc dziesięciu pomarańcz w zakładzie wygranych, zyskałem jeszcze, że przez cały czas pobytu w Warszawie, codzień po parę godzin u księżnej przepędzałem.

Za poprzedniej mojej jeszcze z ojcem w Warszawie bytności, miałem sposobność widzieć po kilkakroć Tadeusza Czackiego, z którym ojciec mój jakieś układy zawierał. Nie wiem dlaczego, ale ile razy go spotykałem, zawsze on był ubrany w galę, z orderem i wstęgą Orła białego.

Za tamtej także bytności, pani Sołtykowa kasztelanowa, Sapieżanka z domu, zaprosiła mojego ojca i mnie na podwieczorek dawany w Foksalu dla młodzieży mojego wieku. Ogródek ten niewielki, na Nowym Świecie położony, składał się z jednej alei lipowej, na której końcu znajdował się usypany kopiec, dający piękny widok na Saską Kępę i zawiślańskie

okolice. Moda ówczesna, władczyni towarzyskich stosunków, obrała maleńki ogródek Foksalu za ulubione miejsce schadzek i kiedy Łazienki, Ogród Saski i Krasińskich pustkami stały, tu ścisk był niepojęty. Wieczorem zwykle muzyka grzmiała i ulice iluminowano. Po podwieczorku, piątym już zdaje się z kolei, podzieliliśmy się na dwa stronnictwa. Jedno, w którem Ludwik Kicki i ja znajdowaliśmy się, miało bronić kopca, drugie pod dowództwem Romana Sołtyka miało go atakować. W liczbie zdobywających szczególną natarczywością odznaczał się książę Agenor de Grammont, żywy i zapamiętały Francuzik. Ten pomimo że kilka razy od kopca był odepchnięty, wdzierał się nań ciągle na nowo z takąż samą natarczywością. Ludwik Kicki, choć młodszy ode mnie, ale krępy i silny, nie wiedząc jak się pozbyć napastnika, wziął go wpół i rzucił nim jak piłką. Francuz potłukł się trochę, ale uraził się jeszcze bardziej i wyzwał natychmiast Kickiego na pojedynek. Ze dwudziestu malców, z których najstarszy czternaście lat liczył, zaprzestało natychmiast zabawy, poprzysiężono tylko wypadek w tajemnicy zatrzymać i co ważniejsza, sekretu dochowano. W istocie nazajutrz pojedynek miał miejsce na pałasze i książę Agenor został lekko zadraśnięty.

W Warszawie także widziałem Ludwika XVIII z ks. Augoulême i ks. Berry. Król francuski bardzo otyły, toczył się raczej wahając, aniżeli chodził. Książę Augoulême chudy, a książę Berry barczysty, czerwony i pokryty krostami na twarzy. Pozostając w Warszawie, prowadzili życie skromne i bez żadnej

wystawy, nie uczęszczając do towarzystw i nie przyjmując u siebie. Mieszkali na Krakowskiem Przedmieściu obok Bernardynów w domu Wernera i u siebie podobno etykiety przestrzegali surowo. Po niedługim pobycie tutaj, przenieśli się naprzód do Mitawy, a następnie do Anglii.

W tym także roku opuścili Puławy Maksymilian Fredro, Joachim, Stanisław, Józef i Antoni Hemplowie, Mogilnicki i Białopiotrowicz, do legionów wstępując. Jan Goltz ożenił się z panną Czempińską, kupił dobra Komarno na Podlasiu i tam osiadł, Kruszyński i Deboli wstąpili na drogę urzędniczej karyery.

Przysłano także po Hallera, żeby go zabrać do Węgier. Przez czas trwania jego edukacyi często go odwiedzali rodzice, ale o to jakie pobiera nauki nie bardzo się troszczyli i nigdy o to nie zapytywali. Dopiero przysłany po niego, jakiś zabity madziar wziął Emiego na surowy egzamin i po zadanych kilku pytaniach zadecydował, że wychowanie jego jako Węgra zupełnie chybione. Aczkolwiek rodzice na czas pobytu w Puławach dodali synowi swemu Węgra Janusza, który miał z nim po węgiersku i po łacinie rozmawiać, jednak, jak to często się dzieje, Haller z Januszem mało się nawet widywał. Teraz dopiero okazało się, że Emi po węgiersku bardzo źle mówi, praw węgierskich nie zna, a po łacinie wyraża się wprawdzie biegle językiem Horacego i Tacyta, ale nie rozumie łaciny *culinaris*, w powszechnem użyciu u Węgrów będącej. Pamiętam, że w puławskiej bibliotece znajdowały się mowy Cycerona, drukowane w Budzie i tłómaczone na *łacinę węgierską*, dla posługiwania

się niemi w czasie obrad i sejmów. Tem wszystkiem szczerze się zmartwił poczciwy ksiądz Laville, a i księstwu nie było to bardzo miłem. Z tem wszystkiem, po powrocie do ojczyzny, młody, Haller, oddany do akademii, prędko nabył wiadomości, których mu Puławy dostarczyć nie mogły i w dalszym ciągu swego życia powszechnie szanowany, był bardzo godnym obywatelem.

Niedługo potem bo około r. 1806 i pensya pani Januszewskiej pustoszeć zaczęła. Oprócz wydanych za mąż panien Poświatowskiej i Drużbackiej, powychodziły za mąż panny Dembickie, panna Tańska i wreszcie panna Weronika Dzierżanowska, którą w Puławach powszechnie za brzydką uważano. Była ona blondynką o wiele jaśniejszą od siostry, oczy miała duże ale wytrzeszczone, co jej wyraz głupowaty nadawało. Szpeciła ją nadto długa szyja i jakaś niezgrabność figury. Nazywano ją pospolicie to *łabędziem*, to *gęsią* i na balach nikt z nią tańcować nie chciał, tak, że książę i księżna napędzali do niej tancerzy. Aż między towarzystwem warszawskiem, Puławy odwiedzającem, zjawił się Rautenstrauch, podówczas kapitan przy sztabie księcia Józefa. Był on synem obywatela warszawskiego, posiadającego fabrykę skór wyprawnych i safianów w okolicy Zaliborza. Nim do wojska wstąpił, był domownikiem pod Blachą, nosił mundur Jabłonny i mimo, że natura obdarzyła go szczególną brzydotą twarzy, przez swoje staranne wychowanie, dowcip i ubieranie się wyszukane, zdobył miejsce w gronie drugorzędnych elegantów warszawskich. Otóż on odkrył w pannie Weronice wdzięki,

jakich nikt w Puławach nie zgadywał. Oświadczył się o jej rękę i z wielką radością księstwa, a podziwieniem nas wszystkich, z nią się ożenił. Po kilkomiesięcznym pobycie w Warszawie i przy starannej Rautenstraucha edukacyi z panny Weroniki zrobiła się sławna i rzeczywista piękność. Ale okoliczność ta, zamiast stanowić szczęście męża, owszem stała się jego zmartwień powodem. Pani Rautenstrauch mnóstwem wielbicieli otoczona, męża porzuciła i potrzeba było podać się o rozwód. Mieszkała później w Klewaniu, od siostry swej pensyę pobierając.

W Puławach w tym roku były w modzie gonitwy piesze i zabawa zwana *zabójcza*. Gonitwy odbywały się w ulicy, prowadzącej z Włostowic do Parchatki — meta bardzo odległa. W Parchatce damy oczekiwały zwycięzcy i tu otrzymywał on z rąk księżnej Wirtemberskiej wstęgę koloru swej damy. Gonitw takich kilka się odbyło, lecz gdy wskutek nich jedni mdleli, drudzy się pochorowali, zabawę tę zastąpiono inną, polegającą na braniu szturmem domu na wzgórzu w Parchatce. Całe towarzystwo dzieliło się na zdobywających i broniących. Pozycya obrońców była dość łatwa, bo góra z trzech stron była wielce stroma, prawie prostopadła, z czwartej zaś strony tylko przez ciasny mostek dostać się tu można było. Zatknięcie sztandaru na górze oznaczało zdobycie fortecy. Zabawa miała długie powodzenie i polegała głównie na podstępach, zapomocą których twierdzę wziąść można było. Następujący po batalii suty podwieczorek i długie po ślicznych górach parchackich spacery, sprawiały, że do rozrywki tej powracano z zapałem.

Wspomnieć także należy o zaszłej w tym czasie mistyfikacyi Nosarzewskiego. P. Nosarzewski, elegant warszawski, choć w dojrzalszym wieku, później szef biura przy księciu Bassano, zakończył życie we Francyi. Był on bardzo przystojny, dowcipny, a przedewszystkiem zawsze wesoły. Pani Aleksandrowa Potocka rozmawiała raz z nim długo wieczorem o strachach i w końcu zrobiła zakład, że o północy do kaplicy na Parchatce pójść nie będzie miał odwagi.

Zakład stanął, a Nosarzewski znając usposobienie pani Potockiej, że niezmiernie z ludzi drwić lubiła, przewidywał, że zechce go straszyć. Postanowił więc ją uprzedzić i wcześnie z Puław do Parchatki się wybrał. Przybywszy na miejsce, ulokował się w kaplicy i odziany długiem prześcieradłem, z przyprawioną brodą i twarzą okrytą płótnem nasmarowanem fosforem cierpliwie oczekiwał. Parchatka położona jest na stoku wzgórz, które z jednej strony ciągną się pod Kazimierz i Dobre, z drugiej poza Lublin aż do Wąwolnicy. Wioska pobudowana u stoku wzgórz i z niej rozliczne ścieżki prowadzą na wyniosłości. Na połowie góry wybudowany ładny domek gotycki z cudownym widokiem na Puławy, Kazimierz i Janowiec, dalej domek, o zdobycie którego tyleśmy się razy kusili, wreszcie rozdół, na którym rzucony śmiały mostek i poza mostkiem zaraz rozwaliny kaplicy. Koło jedenastej w nocy przybyła pani Potocka w towarzystwie służebnych, niosących pakiety zapewne do przebrania służyć mające. Przebyły szczęśliwie mostek, ale z kaplicy naprzeciw nich wyszła straszna postać przebranego Nosarzewskiego. Przestraszone kobiety,

rzuciwszy co niosły z sobą, w popłochu do powozu stojącego we wsi uciekły, a Nosarzewski ze zdobyczą tryumfujący do Puław powrócił.

W tym roku także przyjechał do Puław świetny młodzieniec p. Stanisław Grabowski. Świetnym nazwały go całe Puławy, gdyż rzeczywiście głębokością posiadanych wiadomości i obcych języków wszystkich oczarował. Wracał on z Włoch, z kampanii odbytej przeciw bisurmanom. Rodzina jego zabiegała usilnie, żeby mógł dostać komandoryą maltańską, czyniącą około 24.000 złp. rocznego dochodu, a płatną z dóbr ordynacyi Ostrogskiej. Choć więc obowiązki zakonu maltańskiego stały się już w tym czasie czczą formą, trzeba było im zadość uczynić i Grabowski, w mundurze maltańskim się noszący, odbył tak nazwaną kampanią, która była prostem zwiedzeniem Katanii, Messyny, Palermo i wierzchołka dymiącej Etny i złożeniem uszanowania wielkiemu mistrzowi. Grabowski wracając z tej ekspedycyi, zabawił kilka tygodni w Puławach i tu ogólne zyskał pochwały. I do uczonej dysputy i do towarzyskiej zabawy ochoczy, tańcował zawsze wiele a w tańcu głowę na lewą stronę pochylał. Z Puław wybrał się do Petersburga, a zdaje się, że powodem tej jego wyprawy były starania o Krzywowierzbę. Król Stanisław August w ostatnich latach swego panowania te dobra stołowe nadał Grabowskiemu. Czyniły one około 40.000 złp. intraty, a ponieważ znajdowały się o parę mil od Włodawy i do Litwy się liczyły, w posiadłość ich wprowadzał Grabowskiego ks. Repnin, podówczas generał-gubernator wileński. Lecz w kilka miesięcy ustanowiono

ostatecznie granice trzech dworów i Krzywowierzba odpadła do nowej Galicyi. Rząd austryacki nadanie królewskie uznał za nieważne, królowie bowiem polscy dóbr swych stołowych nie mieli prawa rozdawać, odebrano więc Grabowskiemu ten majątek i teraz on zamierzył, wsparty protekcyą dworu rosyjskiego, na nowo starania rozpocząć.

Współcześnie w okolicy Puław pozachodziły ważne zmiany. Kurów, dobra po marszałku Potockim na żądanie wierzycieli sprzedane, nabył p. Kuczyński, obywatel majętny z Podlasia. Był to człowiek zacny, lecz słabego zdrowia i tetryk. Kilka lat przedtem, gdy się raz znajdował w towarzystwie w Lublinie, nastawano na niego czemu się nie żeni. Odpowiedział, że w przywiązanie kobiet nie wierzy i przez żart dodał, że z tąby się chyba ożenił, która nie zważając na ludzkie języki, żeby mu dać dowód przywiązania, oknem w biały dzień do mieszkania jegoby weszła. W towarzystwie między innemi znajdowała się p. Moraczewska, żona adwokata lubelskiego i matka dwóch córek. Ta nazajutrz w samo południe na Krakowskiem Przedmieściu do domu Henowej, gdzie właśnie mieszkał Kuczyński przez okno wlazła, wybierając czas, w którym najwięcej ludzi na ulicy się znajdowało, lub do restauracyi wchodziło. Szlachcica wzięto za słowo i cofać się nie było podobna. Rozpoczęto rozwód, p. Moraczewski za 10.000 złp. praw swych małżeńskich odstąpił i Kuczyński ożenionym się ujrzał. Niedługo jednak swojem szczęściem się cieszył, bo prędko potem na kuracyi w Reinertz umarł, żonie Kurów i dobra na Podlasiu zapisując. Familia Ku-

czyńskich długo ją o nieważność testamentu procesowała, ale w końcu nastąpił układ, z mocy którego Kurów i większa część majątków przy wdowie pozostała.

Markuszów nabył hr. Tarnowski, ale rzadziej tutaj, częściej w Drążgowie mieszkał, żona jego jednak wkrótce owdowiawszy, w Markuszewie osiadła i często Puławy nawiedzała. Ugrzeczniona i z dobrem sercem, ale zanadto dumna i pełna etykiety. Syn jej Władysław, jedynak, chrzestny syn cesarzowej Katarzyny II, jeszcze w czasie zjazdu Kaniowskiego zakochał się w pannie Rożnieckiej, siostrze generała, matka atoli uważając związek ten za niestosowny, wysłała go na wojaż za granicę pod opieką księdza Koźmiana. Ksiądz ten, później surowy biskup kaliski, był w owej epoce labusiem elegantem, strojącym się w kolorowe fraki i za rozrywkami goniącym.

W tym także roku dłużej w Puławach bawiła księżna Solms, o której już wspominałem, a która nie odznaczała się niczem osobliwem, tylko wysokim wzrostem, ubiorem bogatym i tą szczególnością, że pożerała ogromną masę kartofli.

Przez Lublin przejeżdżali arcyksiążę palatyn węgierski, który poślubił siostrę cesarza Aleksandra i w. ks. Konstanty. Na ich powitanie wyjechał z Puław do Lublina książę feldmarszałek, a z listów przez księżnę do mojej matki pisanych mogę wnosić o wrażeniu, jakie spotkanie to na nią wywarło. Oboje księstwo zgadzają się, że palatyn przyjął ich z całą dumą i sztywnością niemiecką i wysiadłszy z powozu, głową kiwnął, ale w dłuższą rozmowę się nie wdawał. Prze-

ciwnie książę Konstanty zachowywał się z wyszukaną uprzejmością, która tak staruszka księcia feldmarszałka omamiła, iż wyraża się nawet, że jest to bardzo piękny młodzieniec. Podobno tylko on jeden z księżną Łowicką opinią tę podzielał.

Kiedy myśmy w Puławach bawili się i szaleli, książę feldmarszałek tymczasem męczył się platoniczną miłością, która i dla żony jego i dla całej rodziny były zabawy przedmiotem. Nie wiem gdzie poznał jakąś panią Leżyńską, podobno w Wiedniu czy w Krakowie. Ani w Puławach, ani w Sieniawie, ani w Bardyowie nigdym jej nie widział i tylko ojciec mi opowiadał, że była to osoba młoda, otyła, ale nieosobliwej piękności. Przy pierwszym spotkaniu podbiła staruszka zupełnie i od tej pory bezustannie pisywał do niej strzeliste listy, prosząc żeby albo do Puław zjechała, albo naznaczyła mu miejsce, gdzieby mógł do niej przybyć. Do listów dołączane zawsze bywały sute prezenta, na które szły sumy niemałe. Pani Leżyńska ani do Puław przybyć nie chciała, ani miejsca pobytu swojego nie wskazywała, kręcąc się ciągle między Lwowem, Warszawą, Krakowem i Wiedniem. Gdziekolwiek tylko ruszył się książę o biletach, bukietach i podarkach dla damy swego serca nie zapomniał. Księżna Wirtemberska pisze z Wiednia do mojej matki, że od rana do nocy chodzi z ojcem po sklepach, wybierając prezenta dla znajomej damy. W Warszawie obowiązek ten włożony był na p. Borysławskiego, a bukiety z Puław p. Boczkowski odwoził, co zaś do wyboru kwiatów długie zawsze odbywały się narady. Kilka lat trwały te zabawne marzenia i ogra-

niczyły się tylko na korespondencyi, ani razu bowiem książę swej Dulcynei nie spotkał.

W tym roku także wrócił z Paryża p. Żaboklicki, który zwykle bardzo często i długo w Puławach przesiadywał. Ostatnia jego bytność w Paryżu nabrała wielkiego rozgłosu, kiedy bowiem prezentowano go Napoleonowi, ten niezmiernie głośno, tak że wszyscy zebrani słyszeli, zaczął przed nim tłómaczyć stanowisko swe względem Ludwika XVIII i protestować przeciwko licznym koalicyom, jakie mocarstwa przeciw niemu wiążą. Żaboklicki, Bogu ducha winien, nic nie odpowiedział i długo nie mógł wyjść z osłupienia, ku wielkiej uciesze francuskich dworaków.

IX.

W Warszawie kolonia puławska stale zamieszkiwała w pałacu Błękitnym, dziś stanowiącym własność Ordynatów Zamojskich. Członkowie jej odwiedzali Puławy na wszystkie familijne święta, to jest 25 marca, 15 maja, 15 sierpnia, 19 listopada i 24 grudnia, za każdym przyjazdem zwykle przez miesiąc cały tutaj bawili. Byli jednak między nimi tacy, którzy z powodu podeszłego wieku lub terminowych zajęć od obowiązków tych byli zwolnieni. Do takich należeli: pani Rynarzewska, Czaplic, stary Borysławski ze swoim synem, pułkownik Rogaliński, Michał i Józef Szymanowscy, Kurdwanowski, przezwany *le Marquis bien jambé* i inni.

Pani Rynarzewska, staruszka wielce szanowna ale precedencyi jej nie wiem. Czaplic, czasami gubernatorem, czasami łowczym tytułowany, był to pan wielkiego tonu, przytem poeta, w 1766 roku marszałek sejmowy i po kilkakroć poseł na sejmach za Stanisława Augusta. Jemu to w owych czasach jeden ze słynnych warszawskich *bibulusów* zrobił figla, który później niesłusznie na inne osoby składano. Czaplic,

przestrzegając dawnych obyczajów eleganta, codziennie brał zrana kąpiel, kiedy właśnie do niej się wybierał, wszedł ów ktoś. Gospodarz chcąc mu dać zajęcie zanim się wykąpie, prosił, żeby spróbował i ocenił wino w jadalnym pokoju na wieczorne przyjęcie przygotowane. Gość z polecenia sumiennie się wywiązał i kiedy Czaplic z łazienki wyszedł zaraportował mu, że wina są wyborne i może śmiało z tych samych sklepów kazać je przynieść, on bowiem próbki znajdujące się w sali jadalnej wykosztował. Było zaś win rozmaitych dwa kosze, czyli dwadzieścia cztery butelki.

Młody Borysławski, imieniem Antoni, był w szczególnych łaskach u ks. Konstantego Czartoryskiego. Pułkownik Rogaliński nosił się zawsze w zielonym, materyalnym fraku i w trzewikach. Nos miał potężny i duże wyłupiaste oczy. Fizyonomia jego zupełnie czaplę przypominała i jak ona też ryby lubił namiętnie. Żaboklicki, kawaler maltański, także do tego grona się zaliczał.

Pałac Błękitny nie miał takiego jak dzisiaj pozoru. Od ulicy, zamiast kraty żelaznej, oddzielały go mury wysokie, wewnątrz których kordegardy się mieściły. Architekturą swą przypominał pałac Lubomirskich, dziś Stanisława Potockiego.

Warszawa do r. 1815 zupełnie inaczej jak dzisiaj wyglądała, chociaż przestrzeń przez budowle zajęta była prawie dwa razy tak duża jak dzisiaj. Praga, aczkolwiek ucierpiała przez szturm Suwarowa, liczyła jednak 12.000 ludności i bardzo obszerne stanowiła przedmieście. Znieśli ją w 1806 r. Francuzi. Napo-

leon, który wówczas w środkach obrony był jeszcze bardzo przezorny, nie omieszkał i tu się zabezpieczyć i most na Wiśle szańcem o pięciu bastyonach zasłonił. Roboty te, tylko z ziemi i palisad dokonane, spowodowały rozrzucenie większej ilości domów i tylko mała ich część przy samym moście została. Następnie cała część miasta aż do Marymontu, chociaż oprócz Żoliborza nie wiele posiadała gmachów, zajmowała ogromną przestrzeń. Oczyszczano ją z domków po r. 1841, zajmując plac pod cytadelę.

Jakkolwiek Warszawa i dzisiaj w porównaniu do innych miast obcych wielką czystością i porządkiem nie celuje, wówczas niewypowiedzianie była brudną. Żydzi po wszystkich mieszkali ulicach i to nie żydzi cywilizowani, jakich się dzisiaj spotyka, ale tacy, jakich mnóstwo jeszcze po małych miasteczkach. Dopiero r. 1808 król saski a książę warszawski wzbronił im mieszkać przy pryncypalnych ulicach.

Pałace wszystkich miały dachy piramidalne o ogromnych rozmiarach, a murami tak były otoczone, że widzieć je i ocenić ich architekturę było niepodobna. Potrzeba obrony w nich z dawnych czasów jako pamiątka została.

Do Zamku samego dopierały ciasne i ciemne uliczki Starego Miasta i z Podwala na Ś-to-Jańską prowadziła brama, obok której znajdowała się słynna kawiarnia włoska, gdzie na czekoladę Włosi i warszawscy napoju tego amatorowie się schodzili i gdzie się kuły rozmaite plotki i wnioski polityczne.

W środku rynku znajdował się poważny ratusz, budowa ogromna, cały rynek zawalająca. Plac około

Zygmunta był także bardzo ścieśniony, bo zajmował go klasztór Bernardynek i inne kamienice, które aż pod Blachę sięgały. Najmniej może zmieniło się samo Krakowskie Przedmieście, bo choć nie było arkad obok Bernardynów i od pałacu Tarnowskich aż do Wizytek małe drewniane domki przestrzeń zajmowały, wszakże szerokość ulicy była taż sama. Dziedziniec Saski zamknięty był trzema bramami osadzonemi w kratach żelaznych, z których jedna stała naprzeciw kamienicy wizytkowskiej, druga przy oficynie pałacu Brylowskiego prowadziła na ulicę Wierzbową, a trzecia naprzeciw dzisiejszego domu Malhomma. Pałac Saski, dawniejsza dzielnica Morsztynów składał się z mnóstwa zabudowań wpuszczonych w ogród, a ogród sam o wiele mniejszy dokoła był otoczony drewnianymi przeważnie domami z bramą żelazną pośrodku. Granice jego dawniejsze dokładnie oznaczają aleje lipowe, dotąd istniejące, w miejscu gdzie jest *le rond point*, wysypana górka i na niej glorietta z cukiernią Lessla, sławną podówczas tak samo jak i dzisiaj.

Za Żelazną Bramą ulice Grzybowska, Żabia i inne, wpośród niesłychanych brudów i wiecznego błota oprócz koszar Mirowskich, pałacu Krasińskich i ks. wojewody wileńskiego, tudzież pana Gutakowskiego, innych murowanych budynków nie posiadały. Grzybów miał swoją własną juryzdykcyą miejską, którą pełnił starosta warszawski i dlatego pośród trójkątnego placu wznosił się tu ratusz z małą wieżą i zegarem.

Na ulicy Rymarskiej był pałac Ogińskich w miejscu, gdzie bank dzisiaj, ale ten tak wysokim murem

był otoczony, że go z ulicy widać nie było. Leszno, ulica Długa i Bielańska, jakkolwiek na miejscu drewnianych domów murowanymi dzisiaj przyozdobione gmachami niewielkim uległy zmianom, ale inaczej się stało z ulicami Senatorską i Nowosenatorską. W miejscu, gdzie dziś hotel rzymski, istniały ruiny jakiegoś pałacu, zwanego Rydzyną, a dalej rozciągał się słynny Pociejów, mieszkanie żydów i główny punkt ich tandeciarskiego handlu. Stek wszystkich śmieci i brudów, łachmanów i rupieci na publiczny wystawionych widok, przykre obudzał wrażenie.

W miejscu, gdzie dziś teatr i plac ratuszowy, widać było ogromny gmach zwany Marywil, stawiany w arkady z czworoboczną wieżą — siedziba PP. Kanoniczek. Gmach ten później zabrano na skład towarów jarmarcznych, a wreszcie rozrzucono. Nowy-Świat prócz pałacu Branickich, książąt Jabłonowskich, domu Petrego i Oliera nie miał murowanych domów. Gdzie dziś znajduje się gmach loteryi, wznosił się kościół OO. Dominikanów Obserwantów, słynny grobami książąt Szujskich. Kiedy ojciec mój był jeszcze paziem przy królu Stanisławie Auguście, mieli paziowie kwaterę swą w domu Karasia, oddzielonym od klasztoru Dominikanów małą uliczką. Jednego dnia spotrzegli oni, że z okna Dominikanin jakiś daje znaki pełne rozpaczy i jakby wzywające ratunku. Zaciekawieni chłopcy wynaleźli sposób bliższego z nim porozumienia się i dowiedzieli się, że księdza tego żywcem w jego celi zamurowano. Doniesiono o tem zaraz królowi i ten nakazał zakonnika oswobodzić. Później kościół ten był zamknięty i znajdował się pod inter-

dyktem z powodu samobójstwa popełnionego przy ołtarzu przez księdza w czasie odprawiania nabożeństwa i to posłużyło za powód jego zburzenia. Ksiądz Staszic z własnych funduszów ruinę zakupił, wystawił gmach do dzisiejszego dnia istniejący i darował go Towarzystwu Przyjaciół Nauk, po którego zniesieniu dyrekcyą loteryi tu umieszczono.

Warszawa taka, jak ją tu przedstawiamy za Księstwa Warszawskiego, mało się odmieniła. Bieda powszechna nie dozwalała ani rządowi, ani miastu, ani osobom prywatnym myśleć o budowaniu gmachów, jednakże zyskała na przeniesieniu żydów z Pociejowa, który rozrzucić kazano. Dopiero od roku 1815 zaczęła się epoka właściwego jej upiększania, a pierwsze usiłowania w tej mierze należą księciu Zajączkowi i Mostowskiemu.

Teatr polski znajdował się na placu Krasińskich, gdzie obecnie skład wełny i Bogusławski wówczas na swoje ryzyko prowadził to przedsięwzięcie, nie uzyskując żadnego ze strony rządu pruskiego zasiłku, to też w usiłowaniach utrzymania sceny narodowej ponosił ciężkie straty. Znajdujący się współcześnie i teatr włoski zadanie jego wskutek konkurencyi robił jeszcze trudniejszem.

Bogusławskiego trupę po raz pierwszy widziałem we Lwowie, kiedym tam z matką przepędzał zimę i pamiętam, że dawano Axura, Drzewo Dyanny, parę oper i jakąś sztukę, której tytułu nie pamiętam, nieosobliwie moralną, księża bowiem Dominikanie tańcowali w niej ochoczo w klasztorze. Tam także widziałem Krakowiaków i Górali i Bogusławski sam

w niej występował, chociaż już był w wieku, a cała postać jego miała w sobie coś majestatycznego. Owsiński wtedy także jeszcze grywał, ale już ten talent był przy schyłku, a deklamacya jego dla braku zębów stawała się wielce niewyraźną. W Warszawie zaczęły już pojawiać się młode talenta, które później ogromne uzyskały powodzenie. Był to początek wystąpień nieocenionego w rolach komicznych Alojzego Żółkowskiego, który także i literackim swym dowcipem zasłynął; wydawany bowiem później przez niego humorystyczny *Momus* ogólnie się podobał. Obok niego panie Ledóchowska i Aszperger i panna Piękweska, z którą się ożenił Ludwik Dmuszewski, słusznie uchodziły za primadonny. Szymanowski, Kudlicz, Szczurowski zwiększali ten szereg prawdziwych zdolności.

Jeśli jednak w talenta trupa Bogusławskiego była bogata, to za to kostyumów i dekoracyi zupełny był niedostatek. Baletu nie było wcale i utrzymywały się tylko podania o słynnym balecie za Stanisława Augusta, w którym pomiędzy mężczyznami odznaczał się Michałek, tancerz tak zgrabny, że ze sceny do loży pierwszego piętra wskakiwał.

W tymże roku 1805 przybyli do Puław panowie Brochocki, Okołów, Zaleski, administratorowie dóbr ks. Dominika Radziwiłła, żeby złożyć rachunki z administracyi, książę bowiem pełnoletności dochodził i sam zarząd miał objąć na siebie. Książę feldmarszałek uznał za stosowne, żeby młody Radziwiłł wybrał się do Petersburga, złożyć tamtejszemu dworowi swoje uszanowanie. Matuszewicz podjął się być jego opie-

kunem i przewodnikiem, a nieodłączni dwaj bracia Michałowscy, Narbutt i Łopot towarzyszyli mu także.

Ten Łopot był roku poprzedniego z Witosławskim w Pyrmoncie, ale kiedy pierwszy leczył się i kąpał, drugi z nudów pojechał do Hamburga. Tam namówiono go, żeby zwiedził Lubekę. W Lubece jeden z towarzyszów przy *table d'hôte* poradził mu, żeby pojechał do Kopenhagi. Witosławski rady tej usłuchał i dotarł do duńskiej stolicy. Kiedy jednak chciał nazad powracać, wzniosły się wiatry przeciwne i ponieważ parowców jeszcze nieznano, wypadło cztery tygodnie w Kopenhadze czekać. Pan Ignacy więc nudził się fatalnie nie umiejąc ani słówka po duńsku i tak jak nic po niemiecku. Co gorsza pieniądze wyszły do ostatniego grosza, a listy kredytowe, jakie miał w Pyrmoncie u Łopota zostały. Dobiwszy się nakoniec do Pyrmontu, towarzysza już swego tutaj nie zastał, ten bowiem do Paryża pojechał. *Per pedes apostolorum* więc musiał pan Witosławski dalszą odbywać drogę, żeby z Łopotem się złączyć.

Ten wypadek przypomina mi inne zabawne zdarzenie. Bywał w Puławach Gordon, pułkownik wojsk polskich. Familia ta angielska Huntleyów Gordon, książąt Hamiltonów wydaliła się z Anglii z ostatnim Stuartem, a kiedy córka Sobieskiego wydaną została za znanego pretendenta Stuarta, osiedlili się Gordonowie w Polsce, koło Mniszewa majątki ziemskie nabywszy. Z najlepszymi rodami później się spokrewnili, a z Morsztynami i Ołędzkimi w najczęstszych bywali stosunkach i zupełnie się spolszczyli, o angiel-

skim swoim rodzie zapominając. Druga gałąź Gordonów pozostała w Anglii, oddziedziczyła po kądzieli księstwo Hamilton i spokrewniła się ze Stuartami i hrabiami O'Atthal. Owóż dziad wspomnianego pułkownika, szlachcic z ogoloną głową i w kontuszu się noszący, odbiera wiadomość, że linia Gordonów w Anglii, posiadaczów księstwa Hamilton i majoratu Huntley wygasła i że na niego cały ten olbrzymi majątek przechodzi. Potrzeba tylko, żeby przybywał do Anglii i wykonał przysięgę wierności, jedyny warunek do objęcia spadku, inaczej bowiem dziedzictwo przejdzie na najbliższego krewnego.

Stękając wybrał się poczciwy Polonus w drogę i dojechał do Hamburga, ale tu, skoro zobaczył wzburzone morze, zawołał:

— A, *Deus me avertat*, żebym ja dla tytułu i majątku robił podobne głupstwo i życie swe ryzykował. Wszak i w Osiemborowie mam, chwalić Boga, chleba kawałek dla siebie i dla braci szlachty.

I rzeczywiście do Osiemborowa swego powrócił, o sukcesyi już ani myśląc a szlachta z całej okolicy się zjechała, żeby za ten afekt sąsiedzki podziękować.

Z tych to Gordonów, z którymi po kądzieli i Lubomirscy i Rzewuscy są spokrewnieni, wynikł ów ciekawy trzydziesto-dwu-herbowy rys genealogiczny pani Rozalii Rzewuskiej, w którym nietylko Stuartów, Attholów i Hamiltonów, ale także Balzaców, Chateaubriand'ów i innych sławnych francuskich napatrzyć się można nazwisk.

BIBLJOTEKA
Podoficerów zawodowych
26 pułku ułanów Wlkp.
№

X.

Z wiosną 1805 r. powrócił do Puław Stanisław Grabowski ze swojej wycieczki do Petersburga, ale nic tam nie wskórał oprócz komandorskiej pensyi maltańskiej; że jednak fundusz z ordynacyi ostrogskiej rząd rosyjski pobierał, w miejsce więc należnych 24.000 złp. płacił 3.600 rs., a że wypłata odbywała się na ruble asygnacyjne, przeto stanowiło to zaledwie 7.000 złp. po strąceniu kosztów przesyłki. Natomiast stracił całe swoje mienie, składające się z dóbr Krubki w Galicyi i 40.000 dukatów w gotowiźnie. Zapoznał się w Petersburgu z pułkownikiem Wittem i ten go wprowadził w grono oficerów gwardyi, posiadającej bajeczne majątki. Grabowski chcąc im dotrzymać placu prędko całą swoją fortunę przeszastał. Jaki zbytek zresztą podówczas panował w tej stolicy, można wnosić z tego, że najstarszy syn słynnego Szczęsnego Potockiego płacił swemu kucharzowi Daniel, Francuzowi, 500 dukatów miesięcznie. Siostra moja podbiła serce Grabowskiego i dlatego bawił on naprzód u Kickich w Rykach, a później na stałe przeniósł się do Puław.

Matka jego, generałowa Grabowska, mieszkała w Warszawie. Zjednawszy sobie serce króla Stanisława, zawarła z nim związki małżeńskie, co się potwierdza i Pamiętnikami Michałowskiego i tablicami chronologicznemi panny Korzeniowskiej, które podobno Lelewel układał. Oba tylko źródła nie zgadzają się na to, kto ślub dawał i w jakim kościele. Panna Korzeniowska twierdzi, że błogosławił tę parę biskup Albertrandi, Michałowski zaś, który się świadkiem ślubu mieni, powiada, że dawał go ksiądz Wargocki w kaplicy zamkowej, a jako świadków, oprócz siebie wymienia księcia eks-podkanclerzego, brata królewskiego i Szydłowskiego, starostę mielnickiego, brata pani Grabowskiej. Zdaje się, że związek ten miał miejsce około r. 1785. Pani Kicka opowiadała mi, że jednym ze świadków był także biskup Naruszewicz.

Pani Grabowska miała trzech synów i dwie córki. Najstarszy Kazimierz pojąwszy w małżeństwo pannę Monikę Sobolewską, siostrę Walentego Sobolewskiego, osiadł na Litwie i tam prawie całe życie spędził. Trudnił się trochę literaturą i wydał parę powieści z angielskiego tłómaczonych.

Drugi syn Michał, mężczyzna niezmiernie przystojny, o rysach twarzy regularnych, brunet, średniego wzrostu, należał do najwybitniejszych elegantów warszawskich i był prawdziwą ozdobą salonów. Związany ścisłą przyjaźnią z ks. Józefem Poniatowskim i panią Aleksandrową Potocką, z domu Tyszkiewiczówną, przez tę ostatnią namówiony został, żeby zaczął starania o rękę panny Laury Potockiej. Rozpoczęte konkury byłyby zapewne pomyślnym uwieńczyły się skut-

kiem, gdyby nie wojny, jakie w owym czasie nastąpiły. W 1806 r. mianowany pułkownikiem odbył Grabowski kampanią z tegoż roku i z następnego i posunięty na stopień generała brygady, objął dowództwo pułków polskich, składających garnizon gdański. Wreszcie w 1812 r. poległ przy szturmie Smoleńska.

Najmłodszy z braci Stanisław, nietyle przystojnością ile niewyczerpanym zasobem wiadomości encyklopedycznych błyszczał w salonach. Namiętnie lubił czytywać, a czytywał niepojęcie wiele. Zwykle cztery tomy, oprócz dzienników, stanowiły codzienną jego konsomacyą, a posiadał tak szczególną pamięć, że to, co raz przeczytał, pozostawało na zawsze w jego głowie.

Jedna z córek pani Grabowskiej wyszła za Krasickiego, druga za Walentego Sobolewskiego.

Król Stanisław, który tak był hojny dla poprzednich swoich kochanek, gdy np. starościnę Opeską (!) obdarzył starostwem 200.000 złp. rocznej intraty czyniącem, który również pamiętał o swych faworytach, dając Branickiemu starostwo białocerkiewskie, zapomniał zupełnie o losie swej małżonki, matki licznego potomstwa. Nadał jej wprawdzie starostwo dembskie pod Mińskiem, ale to tylko 8.000 złp. rocznie czyniło. Zaniedbanie to posunął aż do końca życia, bo gdy dla siebie w układach z dworami zastrzegł pensyą i tytuł królewski, dla żony ani feniga nie wyjednał i nie miał przezorności testamentem losu jej zabezpieczyć, albo przynajmniej opiece dworów polecić. Jedyną pamiątkę po drugim mężu stanowiło dla niej Dembe, piękny portret królewski, pędzla Bacciarellego

i parawan z chińskiej laki. Utrzymywała się jedynie ze swych szczupłych starościńskich dochodów i z procentu od 11.000 dukatów, u księcia Czartoryskiego lokowanych. Jakoż po jej śmierci nie miała się familia czem dzielić.

Moja siostra nie była bardzo piękną. Czarne oczy i młodość stanowiły jej wdzięki jedyne. Lecz Opatrzność, wynagradzając poskąpienie w przyrodzie, ozdobiła ją nieocenionymi przymiotami duszy. Nieporównana łagodność, przywiązanie bez granic do rodziny, rzadki rozsądek, zimna krew, biegłość w obcych językach i kilka talentów, aż nadto wynagradzały niezbyt świetną urodę. Pan Michał Grabowski, który częściej w Puławach bywał, odkrył te cenne w kobiecie przymioty i chcąc brata swego przed zbytnią rozrzutnością uchronić, postanowił go z moją siostrą ożenić. Pan Stanisław skoro ją poznał także się do niej szczerze przywiązał i konkury zaczęły się z wiosną, a ślub nastąpił w jesieni.

Moja siostra miała poprzednio kilku adoratorów i ci postępowali drogą, przez puławskie obyczaje uświęconą. Księżna Wirtemberska zaprowadziła ten zwyczaj, że każda panna miała swego *cavaliere servante*, którego obowiązkiem było wybraną damę otaczać szczególniejszą atencyą i uszanowaniem. Mając takiego sługę panna pewna była, że jej na balu nie zabraknie tancerza, że przy podwieczorkach, przy majówkach dojdą ją frukta, konfitury i lody, co przy takim ścisku jaki bywał często w Puławach, nie było rzeczą małej wagi, nie było obawy, że na spacerze się zaziębi, bo jej kawaler miał zawsze na pogoto-

wiu szal, lub salopę. Prowadziło się także zawsze damę swoją do stołu i wieczorem odprowadzało lub odwoziło do domu. Za tę służbę dostawał się czasami wdzięczny uśmiech, czasami dewiza, zawsze przyjaźń, a czasami miłość, która się kończyła małżeństwem. Choćby jednak do tego nawet i nie przyszło, zawsze ten obyczaj zaszczepiał w młodzieży grzeczność i rozbudzał *un esprit de galanterie chevaleresque.*

Podobnego cavaliere servante siostra moja miała w księciu Puzynie, który się tak do niej przywiązał, iż ze szczególnym zapałem jej służył, narażając się często na słuszne zarzuty dam innych, żeby bowiem być zawsze na każde jej żądanie gotowym, nie zważał na innych, zebranych w pośpiechu roztrącał i w towarzystwie nikogo więcej od panny Cecylii nie widział.

Ja w dziecinnym jeszcze wieku zaciągnąłem się na usługi panny Maryanny Dzierżanowskiej i przez cały czas mojego pobytu w Puławach jej nie opuściłem. Piękna ta osoba miała poważniejszego adoratora w Białopiotrowiczu, że jednak wiek nasz był prawie równy i żeśmy się wychowali razem, przeto ja miałem nad nim pewną wyższość. Choć nie mogę powiedzieć, żebym był w niej zakochany, jednak wspólna przyszłość, ukoronowana małżeństwem często mi się marzyła, a zdawało mi się, że ja i ona biedni, będziemy stanowić odpowiednią parę. Los, jak to się okaże niżej, zrządził inaczej, niemniej przeto wzajemną przyjaźń dochowaliśmy sobie na zawsze.

Podobne związki, w takich jak je opisuję towarzyskich stosunkach, zawiązywały się łatwo i zrywały

bez żadnych trudności, a ani o Werterowskich cierpieniach, ani o jakich nieprzystojnych zabiegach nie mogło być w nich mowy.

Parą laty przedtem ustanowiono mundur puławski. Składał się on dla kobiet z sukni z kazimierku ciemno-piaskowego z haftem złotym u kołnierza, dla mężczyzn z fraka podobnego koloru *en habit habillé* z takimże haftem. Mundur damski okazał się zupełnie niepraktyczny, w lecie bowiem był za gorący, a na balach zupełnie niestosowny, to też go prędko zarzuciły, a za niemi poszli i mężczyzni.

Kiedy te formy zewnętrzne coraz więcej nabierały znaczenia, księżna Wirtemberska wybrała siedmiu młodzieży na swych rycerzów, rozdając im dewizy i złote pierścienie z odpowiednim napisem. Mnie dostała się gwiazda ze słowami: „Niech cię zawiedzie do szczęścia i sławy“. Niestety — nie wypełniła tego zadania i ani do jednego, ani do drugiej mnie nie zawiodła. W każdym razie, żeby być na wysokości swego zadania, posprawialiśmy hełmy, tarcze, lance i jak w słynnym romansie Abdel-Malek, wyprawialiśmy turnieje na cześć naszej damy.

Ponieważ wspomniałem o tym czytanym przez wszystkich romansie, może nie od rzeczy będzie nadmienić, jaka literatura wówczas cieszyła się największym powodzeniem. Powieści czyli romanse, obecnie w naszej literaturze zajmujące takie pokaźne stanowisko, podówczas nie istniały prawie wcale. Krasicki w Doświadczyńskim i panu Podstolim pierwszy zaczął próby w tym rodzaju. W jego ślady poszli księża Krajewski i Kossakowski, a Jezierski, Niemcewicz

i Anna Mostowska wyczerpują podobno powieść ówczesną. Więcej posiadaliśmy tłómaczeń, ale i te nie wyrównywały produkcyi dzisiejszej.

Za granicą podobnież, chociaż Anglia, Francya i Niemcy wiele w tym kierunku wydawały, chociaż wychodziło nawet pismo specyalne *Bibliothéque des Romans*, rozbiorom powieści poświęcone, jednak ilość ich była znacznie mniejsza jak dzisiaj.

O ile zapamiętam najdawniejsze romanse, które ogólną rozbudziły ciekawość, były: *Vie du Chevalier Faublas*, żyrondysty Louvet'a i nie pamiętam już jakiego autora *Les Liaisons dangereuses*. Płody te rewolucyi francuskiej po mistrzowsku pisane, ale obrażające przyzwoitość i moralność. Faublasa wszyscy czytali, chociaż nikt do tego przyznać się nie chciał i z jednego ustępu tej powieści zrobiono operę *Lodoiska*, gdzie występował Polak *Metusco*. W towarzystwie puławskiem imię to nadano Matuszewiczowi. Po tych dwóch romansach zajął wszystkich nowy: *Le Moine*, gdzie mnich światowiec rozpustny wyrządza psoty płci pięknej zapomocą szatana, póki go dyabli jak swoją własność do piekła nie zabrali. Duch rewolucyi francuskiej, ohydą duchowieństwo katolickie okrywający, także się tu silnie odbija.

W końcu wieku ubiegłego i na początku bieżącego wpadły w łaski czytających dwa zupełnie różne rodzaje — romanse angielskie pani Redcliffe, osnute na dziejach starych zamków, na podaniach o strachach, upiorach i rozbójnikach i pani de Genlis, najczystszą tchnące moralnością, chociaż trochę mdłe i bezbarwne.

Około r. 1803 ukazała się Valerie, pani Krüdener, która pięknością stylu i siłą uczucia zawsze celować będzie, oraz dzieła pani Cottin, a na ich czele Abdel-Malek, który tyle łez płci pięknej wycisnął, że z nich obfity strumyk mógłby się stworzyć. Niemcy w tym czasie obdarzyli nas romansami Lafontaina, a prostota ich i naiwność językiem potocznym wypowiedziane, kwadrowały z gustem ówczesnym do sielanki. Za Napoleona we Francyi pod brzmieniem surmy bojowej literatura przycichła i romanse tylko ukazywały się od czasu do czasu, Pigault le Brun w swoich powieściach bostońskich (w rodzaju Pawła Kock) rozśmieszał i bawił, Botle swoim *Les barons de Felsheim* także przyjemnie rozrywał. Jednak ponad wszystkich zabłysła p. de Staël. Jej Delfina i Corinna niesłychane uzyskały powodzenie, a najlepszym dowodem ich wartości może być to, że Korynnę po półwiekowej przerwie na polski przełożono język. Wreszcie w zupełnie innym rodzaju pisała pani de Souza, w powtórnem małżeństwie Flahault zwana. Żona adjutanta cesarza Napoleona tworzyła obrazki z życia towarzyskiego wielce sympatyczne.

Z romansu Abdel-Malek, holenderska królowa Hortensya ułożyła hymn *Partons pour la Syrie*, który za Napoleona III stał się powszechnym w całej Europie.

Wszystkie te utwory zepchnięte zostały ze szczytu przez romanse historyczne Walter-Scotta, a później Dumas, Sand, Sue, Soulié Standhal i Féval czytelników ku sobie pociągnęli.

U nas, jakkolwiek żyli jeszcze poeci epoki sta-

nisławowskiej, wszakże były to już gasnące gwiazdy, którzy bądź wiekiem, bądź ogólną niedolą przyciśnięci, pisali mało i nie zmieniali barwy w literackiej swojej karyerze przyjętej. Nie rzadko to już mi spostrzegać się dawało, że dzisiejsza generacya o poetach stanisławowskich wyraża się z lekceważeniem i niemal z pogardą. Jest to sąd niesłuszny. Pominąwszy drugorzędnych ówczesnych poetów jak naprzykład Benedykta Hulewicza, tłómacza Owidyusza i takich wieszczów jak Dyzma Tomaszewski, są tam przecież i inni, którzy godnie reprezentują nasz Parnas. Czyż wszechstronny Krasicki może zasługiwać na zarzut bezmyślnego rymotwórcy, czyż Naruszewicz w satyrach, Zabłocki w komedyi małe położyli zasługi? Jeżeli zaś sielankowi autorowie jak Karpiński i Kniaźnin, lub niesielankowi jak Trębecki i Węgierski czasami pochlebstwem się skazili, to wina w tem bardziej wieku, aniżeli ich własna, każdy piszący i biorący za pióro ma dwa cele: jeden uzyskanie sławy i pochwał, drugi wywalczenie sobie środków do życia. Jak jedno tak drugie osiąga się, jeżeli się trafia w gust epoki. Otóż za panowania Stanisława Augusta miłość, galanterya, pochlebstwo górowały i bądź przykład panującego, bądź obyczaje dworu Ludwika XV, wiodły na tę drogę. Temu kierunkowi przypisać należy rodzaj twórczości poetów i przyznać im, że bez względu na wady w duchu epoki leżące, pisali językiem czystym, wdzięcznym i niepospolitego dowiedli talentu.

W okresie, któremu byłem współczesny, literatura w mniej świetnych znajdowała się warunkach jak za Stanisława Augusta, Franciszek Dmochowski

wydawaniem „Pamiętnika Warszawskiego“ siaki taki ruch wywoływał, Bogusławski chociaż z trudem pracował dla sceny narodowej i bądź tłómaczeniami, bądź oryginalnemi sztukami ją zasilał, Linde słownik swój układał, a Czacki Tadeusz dzieło o prawach polskich i litewskich ogłaszał.

Między poetami ówczesnymi trudno pominąć pułkownika Molskiego, którego wena pochlebstwu poświęcona, hołdowała zasadzie wygłoszonej przez Kandyda, że niema na świecie nic, coby szczęścia i uciechy nie przyniosło. Pochlebiał wszystkim, a stąd i na niego satyryczne skomponowane wierszyki, zanadto znane, żebym je tu powtarzał.

Najważniejszym jednak objawem naszej działalności naukowej i literackiej, było założenie w 1800 roku Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Troska o przechowanie ojczystego języka, któremu germanizm zagrażał, była głównym powstania tego towarzystwa powodem a zatwierdzenie jego od króla Fryderyka Wilhelma uzyskano dopiero 1802 r. Pierwszym prezesem towarzystwa wybrany był pełen zasług biskup zenopolitański ksiądz Jan Albertrandi. Był to prawdziwy muł pracowitości a podówczas już starzec zgrzybiały. Chudy, mizerny, zmarszczkami okryty, tak był nizkiego wzrostu, że mało co dwunastoletniego chłopczyka przewyższał. Urodzony 1731 r. początkowo Jezuita, następnie zarządzał księgozbiorem Załuskich i na mentora Feliksowi Łubieńskiemu dodany odbył z nim kilkoletnią wycieczkę za granicę. Po powrocie mianowany lektorem Stanisława Augusta, wysłany został następnie do Szwecyi i Rzymu aby wypisywać

potrzebne do historyi polskiej materyały z tamtejszych zbiorów. Tych wypisów zebrał sto dziesięć tomów z bibliotek i archiwów rzymskich, a siedmdziesiąt ze szwedzkich. Dokumenta te darowane przez króla Czackiemu, następnie z Porycka przeszły do księgozbioru puławskiego. Znany nadto jako historyk. Familia ta mieszczańska warszawska, wydała także w młodszym bracie biskupa Albertrandiego, cenionego malarza.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk podzieliło się na cztery wydziały: 1) Fizyczny i matematyczny. 2) Historyczny. 3) Wydział literatury i 4) Sztuk wyzwolonych.

Towarzystwo składało się z sześćdziesięciu członków czynnych i nieograniczonej liczby członków honorowych i korespondentów. Do roku 1812 z pomiędzy grona założycieli nielitościwa śmierć zabrała już dwudziestu ośmiu członków. Przedniejsi między nimi: książę biskup Krasicki, Józef Szymanowski, ksiądz Józef Osiński, ksiądz Grzegorz Piramowicz, ksiądz Pilchowski, ksiądz Reptowski, Chreptowicz Joachim, Franciszek Dmochowski, Poczobut, Ignacy Potocki, książę Aleksander Sapieha, ksiądz Kołłątaj i w. i.

Pierwsze początki w każdym zawodzie zwykle trudne i postęp bywa powolny. Jakkolwiek więc Towarzystwo zawiązało się w roku 1800, pierwsze posiedzenie odbyło się w maju 1801 r. i prezydujący zadał każdemu wydziałowi rozmaite kwestye do opracowania. Metodę tę jednak zmieniono później i na następnych dwóch posiedzeniach w październiku i grudniu odbytych naśladowano coraz więcej Akademią francuską, wygłaszając mowy pochwalne na cześć

członków ubyłych. W roku następnym dwa posiedzenia miały miejsce i na pierwszem z nich Jan Śniadecki, czyniąc zadość żądaniu położonemu na pierwszem posiedzeniu, złożył swą rozprawę o Koperniku. W roku 1803 dwa posiedzenia w maju i grudniu były w naukowe prace obfitsze i odtąd zwyczaj upowszechnił odbywanie dwóch tylko posiedzeń publicznych. Później wojna w 1806 i 1807 r. przerwała szereg prac Towarzystwa i dopiero z ustaleniem Księstwa Warszawskiego r. 1808 energia i czynność jego odżyły nanowo.

Materyalny stan prowincyi do Prus włączonych wiele się różnił od innych. Zaprowadzono tu hypotekę i może rząd pruski, znając polską naturę, że lubi pożyczać na mały procent, choć pieniędzy nie potrzebuje, zamierzał wyzuć posiadaczy z własności ziemskiej. Agenci bankowi przebiegali kraj, zachwalając dogodności pożyczek i rzeczywiście wszyscy właściciele bądź w banku berlińskim, bądź w tak zwanej kompanii morskiej obdłużyli się po uszy. Że jednak podówczas ciągle wojny miały miejsce pomiędzy Francyą, Anglią i Niemcami, zboże więc płaciło się wysoko i dochody z majątków były ogromne, tak że nikt ciężaru długów bardzo nie uczuwał. W Galicyi dobra czyniły także bajeczne dochody, nietylko z powodów tych samych co w Prusiech, ale także i z tej przyczyny, że kraj nie posiadał żadnych innych pieniędzy jak papiery *banknotami* zwane i najpodlejszą monetę cwancygiery, czyli czterdziesto-groszówki. Srebro istniało tylko nominalnie i talara przedstawiała bronzowa sześćdziesięciokrajcarowa sztuka, ta-

kież mniejsze po 30 i 15 krajcarów i tak zwane *Siebnery*, miedziane, posrebrzone, kurs tych znaków wymiany arcynizkiej wartości zgromadzał w ręku właścicieli ziemskich pakiety papierów i wozy miedziaków. Obok tego system prohibicyjny co do towarów zagranicznych pozwalał korzystnie sprzedawać własne nędzne wyroby, a obcych produktów dostarczała obficie kontrabanda. Nietylko więc, że tu majątki się nie obdłużały, ale owszem składano znaczne kapitały bez wartości, które spowodowując złudzenia, sprowadzały liczne bankructwa.

Począwszy od roku 1795 historya miejscowa łączyła się z dziejami państw, do których nas wcielono, a niezależnie dalsze tradycye pielęgnowała mała liczba wychodźców, która się osiedliła we Francyi.

Po Maciejowickiej przegranej generał Dąbrowski zaproponował radzie wojennej, aby zanim armia Suwarowa do stolicy się zbliży, z całą siłą, która składała się jeszcze z 40.000 wojska, z 200 dział i z 10,000.000 gotówki, z królem i rządem narodowym opuścić kraj i przedrzeć się do Francyi. Właśnie pod tę porę Pichegru podbił Niderlandy, Jourdan zdobył Kolonią, a Kleber oblegał Moguncyą. Siły króla pruskiego były rozdwojone. Część ich nad Renem broniła Moguncyi, a druga, która przed sześciu tygodniami opuściła Warszawę zdziesiątkowana chorobami, przytłumiała wielkopolskie powstanie. Plan Dąbrowskiego uznano za zanadto zuchwały i nie przyjęto go, on więc przeprowadził go w inny sposób. Z Radoszyc każdy jak mógł i którędy mógł przerzynał się ku Renowi, a między emigrantami oficerów było dosyć,

ale żołnierza mało, cywilnych zaś najszczuplejsza liczba. Jednych Suwarów do Petersburga wysłał, innych zaś, którzy się do Puław i Galicyi chronili rząd austryacki powięził. Tego losu doznali: Stanisław Potocki, Piatoli i Kołłątaj; z magnatów dwóch tylko Polskę opuściło: Michał Ogiński, który osiadł w Wenecyi i Potocki, starosta szczyrzecki.

W Paryżu Barsa uważano jako dyplomatycznie reprezentującego Polskę i konwencya nawet półurzędownie go na tem stanowisku uznała. Obok niego zgromadzili się: Wybicki, Prozor, Wojczyński, Józef Wielhorski, Jan Dembowski, Turski, Mniewski, Dmochowski Franciszek, książę Giedrojć Romuald, Taszycki, Niemojowski, Maruszewski, Kocieł, Liberadzki, Broniec Adam, Zabłocki, Jasiński, Mejer, Prusiński, Łazniński, Nagurski, Wysogird, Jezierski, Węgliński, Kołysko i Stanisław Sołtyk. Jak zwykle w takiem zebraniu, pozbawionem przewodnictwa, bywa, emigracya ta zaczęła swoje działanie od kłótni i niezgód. Najwięcej intryg knuto przeciw Barsowi, któren z urzędu swego już naczelne powinien był objąć stanowisko, utworzono komitet, mający zastępować Kościuszkowski Rząd narodowy i Barsa obalono, a na jego miejsce Wyszkowskiego dyplomatą obrano. Jednakże emigracya ta do żadnych nie mogła przyjść rezultatów i jedni wstąpili do legionów, drudzy wrócili do kraju, a inni bezczynnie w Paryżu siedzieli.

Wśród podobnych wypadków Dąbrowski trzy lata strawił na ustalaniu rozmaitych związków i szukaniu protekcyi. Pozyskał wreszcie poparcie generałów Jourdana, Championneta i Bernadotta. Tymcza-

sem upadła konwencya i zastąpił ją dyrektoryat, nowej więc tej władzy przełożył Dąbrowski projekt, aby z błąkających się rozbitków polskiego wojska sformować narodowy legion, wzmocnić go ochotnikami, którzy z kraju przybędą i użyć go w walce o wspólną sprawę. Dyrektoryat myśl tę przyjął i wykonanie jej generałowi Bonaparte powierzył. Wódz ten okrył się właśnie nieśmiertelną sławą, gdyż w roku poprzednim rozproszył liczne armie austryackie, kapitulacyą Mantui i poddaniem się armii Wurmsera godnie dopełnił liczby wawrzynów. Wskutek tych zwycięstw sformowano rzeczpospolitą lombardzką, a później cisalpińską.

Z tem nowem państwem z polecenia generała Bonapartego zawarł Dąbrowski następujący układ:

1) Oddziały wojska polskiego, które się mają utworzyć nazywać się będą Legie polskie, pomocnicze Lombardyi.

2) Zatrzymają organizacyą, mundur i komendę własną.

3) Nosić będą kokardę francuską i pobierać żołd taki, jaki dla wojska francuskiego jest naznaczony.

4) Nominacye na stopnie zawisłe od rządu lombardzkiego, zatwierdzane będą przez generała Bonapartego.

5) Rzeczpospolita lombardzka uważać będzie legionistów za braci i udzieli im prawa obywatelstwa u siebie.

W dwanaście już dni po podpisaniu tej umowy okazał Dąbrowski dwa bataliony gotowe do boju. Użyto zaraz tych sił w bitwie pod Rimini i przed

pokojem w Leoben w kwietniu 1797 r. liczba legionistów wzrosła do 5.000, a w końcu tego roku wynosiła głów 7.146. Żądał Dąbrowski, aby przy negocyacyach w Campo-Formio reprezentant polski do traktowania był przypuszczony, ale mu tego odmówiono. Mimo to legiony się zwiększały i wskutek napływu ochotników dwa sformowano. Użyto ich do podboju Stanów papieskich i królestwa neapolitańskiego, z których utworzono krótkotrwałe rzeczypospolite: rzymską i partenopejską. Gdy jednak narzucone te rządy nie podobały się ludności i gdy umysły podburzone zostały przez angielskie intrygi i pieniądze, wtedy południowe Włochy powstały. Kniaziewicz szturmem zdobywa miasta Fabricia i Fallari, łącznie z Cisalpinami dzielnie się broni pod Civita Castellana i Neppi i tu z siłą 6.000 rozbija 40.000 powstańców i do niewoli bierze 3000 i dział 16. Współcześnie Championnet, zdobywszy Rzym, posuwa się do Kapuy i w r. 1798 mają miejsce krwawe bitwy pod Tralti, Sezza, Coslanna i Terracinna. W ostatniej bitwie zginął Tremo, który wraz z Amilkarem Kosińskim najdzielniejszą był Dąbrowskiemu pomocą w formowaniu legionów. Zdobyte w tylu walkach chorągwie odesłał Championnet dyrektoryatowi przez Kniaziewicza.

Odwróciło się jednak szczęście od francuskich zastępców. Anglia i Niemcy, potężnem Rosyi ramieniem wsparte, zabierały się odebrać Włochy. Suwarow wkroczył z armią potężną i 25 marca 1799 r. legia polska napróżno broniła przejścia Adygi, a w bitwie pod Magnano, gdzie poległ zacny Rymkiewicz, znacznie uszczuplona, przeznaczona została jako gar-

nizon do Mantui. Potem zaraz Suwarów coraz więcej zajmuje kraju i ani Scherer, ani Moreau oprzeć mu się nie zdołają. Neapolitańska armia Macdonalda także do opuszczenia tego kraju zmuszona. W licznych bitwach pod Trebią, Grattano, Tidone, Rivalto i następnie pod Novi, druga legia polska ucierpiała tak, że już jej szczątki złożyć oddzielnej całości nie zdołały. Jak niegdyś Spartanie pod Termopilami zginęli prawie wszyscy.

Legia stanowiąca osadę Mantui poddać się musiała 28 lipca 1799 r. i cała załoga do niewoli została zabrana.

Dopiero po 18 Brumaire'a, kiedy Bonaparte jako pierwszy konsul zagarnął prawie samowładnie rządy, zniesiono prawo przez konwencyą wydane, że niewolno jest w służbie francuskiej zagranicznych utrzymywać pułków i współcześnie polecono Dąbrowskiemu utworzenie siedmiu batalionów polskich, na żołdzie Francyi pozostawać mających. Organizować nową legię włoską zaczęto w Marsylii, a Kniaziewicz ze szczątków z pod Novi pozostałych formował legią dunajską nazwaną.

Legia Dąbrowskiego brała udział w bitwach pod Marengo i Montebello i do ośmiuset ludzi straciła, ale wzmocniona ochotnikami z wojsk cesarskich wzrosła znowu do 5.000 i na czele jej Dąbrowski zaszczytnie odznaczył się pod Calvacallo, a Chłopicki przy oblężeniu Peschiery.

Legia dunajska okryła się sławą pod Hohenlinden i Moreau, oddając jej sprawiedliwość, w raporcie swoim się wyraził: „Szczęśliwy rezultat osiągnięty

w tym pamiętnym dniu w znacznej części zawdzięczamy dzielności generała Kniaziewicza, którego wojsko pierwszy raz w ogniu się znajdowało".

Jak wiadomo zaraz po tej bitwie pokój z cesarzem zawarto i obie legie polskie w Lombardyi otrzymały kwatery. Wynosiły one wtenczas 15.000 ludzi i rzadki to zapewne wypadek w dziejach wojskowych, żeby armia nie zmniejszała się w tak licznych bitwach, ale owszem powiększała się szybko napływem nowych ochotników.

Razem z upadkiem dyrektoryatu upadła i cywilna reprezentacya interesów polskich i z natury rzeczy przeszła na Dąbrowskiego. W czasie kampanii 1800 r. chciał się on z legionami swojemi przedrzeć do Galicyi i tam na własną rękę rozpocząć wojnę. Przychylał się do tej myśli główny wódz armii włoskiej Massena, ale nie zgodził się na nią Napoleon i niebawem pokazał czego się po nim można było spodziewać. Większa część legionów, która nad Po i Dunajem zwycięstwo na stronę francuską przechylała, wysłana została do San Domingo, gdzie prawie cała wyginęła, bo zaledwie tylko kilkadziesiąt z niej osób zdołało uratować życie. Reszta oddana została w służbę rzeczypospolitej cisalpińskiej. Wówczas wielu oficerów przeszło do służby francuskiej, jak naprzykład Zajączek, który porzucił armią cisalpińską i przeszedł do armii neapolitańskich i tu go zastały wypadki 1806 r.

Z pomiędzy polskich żołnierzy najpiękniejsza karyera zdawała się uśmiechać generałowi Sułkowskiemu. W wojsku polskim służył jako porucznik w kampanii

BIBL. WOJSK. 26 p. Ul.

targowickiej i odznaczył się odwagą i zimną krwią w obronie mostu pod Zelwią. Wyszedłszy za granicę, udał się do Francyi, a później do Stambułu i to oddalenie było przyczyną, że nie wziął udziału w kampanii 1794 r., następnie wstąpiwszy do służby francuskiej przy sztabie generała Bonapartego zostawał. Posiadając języki wschodnie, z którymi wówczas Francuzi byli mało obeznani, towarzyszył wyprawie do Egiptu i oprócz wojskowych zajęć zamianowany został członkiem uczonej komisyi, w której Denou, Monge i inni poznaniem Egiptu się zajmowali. Ranny nad brzegami morza Czerwonego, zginął w powstaniu w Kairze. Zostawił po sobie napisany po francusku pamiętnik, odnoszący się do kampanii targowickiej. Lubiany i ceniony wielce przez Napoleona, miał przed sobą otwartą najświetniejszą przyszłość i gdyby nie zginął przed r. 1806 w kwiecie wieku, mając dopiero lat dwadzieścia ośm, prawdopodobnieby losy Księstwa Warszawskiego wzięły całkiem inny obrót. Żaden z Polaków, a nawet żaden z Francuzów, nie posiadał w tak wysokim stopniu zaufania Napoleona.

Cypryan Godebski, adjutant Rymkiewicza, godzien także wspomnienia, gdyż napisał Dekady polskich legionów. Grabiński generał należał do wyprawy egipskiej, a umarł w r. 1806 pod Bolonią, w majętności, którą tam nabył. Opowiadają o nim, że nie umiejąc dobrze po francusku Napoleona na paradzie raz w ten sposób przywitał: *Vous en Italie, moi en Italie, Vous en Egypte, moi en Egypte — Vous consul, moi rien.* Michał Wielhorski generał jeden z najgorliwszych organizatorów legionów, Jabłonowski Władysław gene-

rał, który umarł na San Domingo i wielu innych dzielnych, których tu trudno wymieniać.

Generał Dąbrowski spisał dzieje legionów i złożył je w darze warszawskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk.

Napoleon z konsula tymczasowego na dożywotniego się zamieniwszy, wkrótce głowę swą koroną cesarską ozdobił i pod silne berło poddał tę Francyą, która od lat kilkunastu tak często rządy zmieniała. Wojownik z rzemiosła, geniuszowi swemu i odwadze niepojęte wywyższenie zawdzięczając, do zwycięstw przywykły, coraz śmielej zagarniać począł pod ręką leżące kraje.

Zaraz po koronacyi swej dokonanej przez papieża w 1804 r. postanowił rzeczpospolitą zamienić na królestwo włoskie. Za pośrednictwem arcy-kanclerza Cambacerès i rezydenta włoskiego Marescalli rozpoczęto układy z panem Melzi, wice-prezesem rządu włoskiego i tamtejszą konsultą. Włosi chętnie na zmianę rządu zezwalali, żądali tylko, żeby uwolniono ich od haraczu płaconego Francyi i żeby tron ich oddano Józefowi lub Ludwikowi Bonapartemu. Odmowa ze strony Józefa była zdaje się prostą komedyą, boć później nie wahał się przyjąć korony neapolitańskiej i hiszpańskiej i brat musiał się zastosować do wyraźnej woli Napoleona, który sam chciał we Włoszech panować. Choć więc kładąc na swą głowę żelazną Włoch koronę, w Monza przechowywaną, Napoleon zapewnił, że władzę obejmuje tymczasowo, jednak rzadko ktoś się wyrzeka tronu, a zwłaszcza on, który brata z Holandyi wypędził,

byle tylko kraj ten wcielić do Francyi. Nadto oprócz tej zmiany Genuę wcielono do Francyi, a księstwo Lukki oddano Elizie, siostrze Napoleona. Współcześnie w Boulogne przygotowywała się wyprawa na Anglią.

Lecz i przeciwnicy nie zasypiali i zagrożona Anglia starała się do planów swoich wciągnąć Rosyą. Starań w tym względzie wielkich nie była potrzeba, gdyż cesarz Aleksander I urażony już był zabraniem Piemontu i odmówieniem zań wynagrodzenia królowi sardyńskiemu i zajęciem Hanoweru. Niebawem też nakazano posłowi rosyjskiemu p. Oubril zerwać stosunki dyplomatyczne i Paryż opuścić.

Thiers utrzymuje, że projekt medyacyi przymusowej, jaka w tej chwili na scenę polityczną występuje ułożony był i podany cesarzowi Aleksandrowi przez Piatolego. Piatoli, o którym niżej obszerniej będę mówić, znajdował się wówczas w Petersburgu, gdzie się zajmował interesami księżnej kurlandzkiej i bardzo dobrze był widziany przez księcia Adama Czartoryskiego, syna, pełniącego podówczas zastępczo obowiązki ministra spraw zagranicznych. Czartoryski go cenił, boć Piatoli był współpracownikiem Ignacego Potockiego i Kołłątaja w konstytucyi 3 maja, niemniej przeto dwór rosyjski nie mógł go uważać zbyt dobrze, bo zarzucano mu opinie rewolucyjne. Wszakże gdyby pomysł medyacyi, jak chce Thiers, był jego robotą, nie upoważnia to historyka nazywać Piatolego awanturnikiem.

Jakkolwiek-bądź zatrudniano się w Petersburgu ogólną pacyfikacyą i warunki jej podstawowe ułó-

żono, Nowosilcow wysłany został do Anglii i do Francyi, żeby usposobienia tych dwóch dworów wyrozumiał. W Anglii wszechwładny Pitt objawił gotowość przystąpienia do tych planów i zgodzenia się na ustępstwa, dodał jednak poufnie, że na ustępstwa dobrowolne ze strony Napoleona liczyć nie można, że medyacyą należy odrazu uczynić przymusową i do koalicyi wciągnąć koniecznie Prusy. Lord Goover, późniejszy lord Granville upoważniony został do podpisania warunków z Rosyą. Wskutek takiej odpowiedzi wysłano p. Wintzingerode do Berlina. Dwór pruski, jakkolwiek był przychylny planowi, oświadczył jednak zarazem, że mając pod bokiem siły francuskie w Hanowerze, występować otwarcie nie może, Francuzi bowiem wprzódy państwo pruskie zaleją, zanim się siły na odparcie ich znajdą. W Austryi nie było żadnej trudności, cesarz bowiem, wystraszony nowymi dowodami samowoli Napoleona we Włoszech, chętnie wiązał się z każdym kto przeciw Francyi występował. Przy takiem usposobieniu Europy, książę Czartoryski i lord Goover podpisali umowę, której punkta były następujące:

a) Każde mocarstwo ma prawo przystąpić do tego traktatu.

b) Celem jego jest odzyskanie niepodległości Szwajcaryi i Holandyi.

c) Uwolnienie od zajęcia militarnego państw: Neapolu i Hanoweru.

d) Zwrot Piemontu domowi sabaudzkiemu wraz z Genuą.

e) Niderlandy mają być przyłączone do Holandyi, a Lombardya do Austryi.

f) Francya ma być ścieśniona w dawnych granicach.

g) Po zakończeniu wojny, gdyby ta okazała się konieczną, zwołany kongres europejski ustali prawidła federacyi między państwami i położy podstawy trwałego pokoju.

h) Gdyby dla doprowadzenia do skutku tego traktatu trzeba było wziąć za oręż, Anglia zobowiązuje się każdemu państwu wypłacić 15.000 funtów szterl. za każde 6.000 ludzi wysłane do boju.

Do traktatu tego przystąpiła naprzód Szwecya, a następnie Austrya i w dziesięć lat później posłużył on do głównych stypulacyi traktatu wiedeńskiego.

Ogłoszenie się przez Napoleona królem włoskim i samowolne postąpienie jego z Genuą i Lukką, przekonały także Rosyą, że tylko siłą można na nim ustępstwo wymódz. Rosyjskie więc siły w trzech oddziałach z głębi państwa ku zachodowi posuwać się zaczęły. Najliczniejszy 80-tysięczny korpus, pod wodzą Beningsena stanął nad Niemnem, 50-tysięczny pod Michelsonem w Brześciu i 40-tysięczny pod Kutuzowem na Podolu.

Choć uzbrojenia te tajono, nie mogły one jednak ujść uwagi wodza tak bacznego jak Napoleon. Wszystko zresztą wydał porywczością swą król szwedzki. Zaczął on przeprawiać żołnierzy swych do Stralsundu, Napoleon więc chociaż nie lękał się garstki Szwedów, bał się jednak, żeby oni nie złączyli się z Prusakami. Dlatego królowi pruskiemu oświadczył, że jeśli Szwe-

dzi do Stralsundu przeprawiać się nie przestaną, on podwoi załogi w Hanowerze i nie pozwoli zgwałcenia neutralności północnych Niemiec. Dwór pruski wysłał do Szwecyi z prośbą zastosowania się do woli Napoleona, król szwedzki jednak w odpowiedzi zwrócił ordery, jakie posiadał od króla pruskiego, oświadczył, że nie chce nosić oznak tych, jakie współcześnie Prusy *ciemiężcy narodów* udzieliły, że jest panem u siebie, że Stralsundu opuszczać nie myśli, a ani Prus, ani Napoleona się nie lęka, bo ma zapewnioną pomoc Anglii i Rosyi. Ta wyniosła odpowiedź odkryła istnienie koalicyi.

Mimo to Napoleon w sierpniu jeszcze nie porzucał swego zamiaru wylądowania w Anglii i przybywszy do Boulogne, robił przegląd zebranych tu 125.000 wojska, oczekując na flotę, która pod dowództwem Villeneuve'a i Gravin'a miała osłaniać statki kanonierskie i przewozowe. W Holandyi także 25.000 wojska gotowego do wyprawy się znajdowało. Ale flota, wracając z Antyllów, stoczyła niepomyślną utarczkę z angielskim admirałem Colder i zamiast do Boulogne, zdążała do Kadyksu, żeby uniknąć spotkania z Nelsonem, który ścigając ją od Antyllów, ślady jej utracił.

Chcąc na lądzie także być spokojnym z Boulogne wysłał Napoleon do Berlina Duroc'a, ofiarując królowi pruskiemu Hanower, jeśli ten zawrze z nim traktat zaczepno-odporny i wojska swe ku Czechom posunie. Król pruski znajdował się między młotem i kowadłem i wiedząc, że Napoleon wojną będzie niedługo zaskoczony, za radą Hardenberga, swego mi-

nistra, postanowił temporyzować i Duroc'a posłuchanie o ile możności odkładać. Napoleon wszakże, dowiedziawszy się tymczasem o ruchu swojej floty i o tem, że Austryacy nad Innem i Adygą znaczne siły gromadzą, poczytał wojnę za niewątpliwą i 27 sierpnia wydał rozkaz, żeby wojsko pod Boulogne zgromadzone forsownym marszem nad Ren się przeniosło. Pułki gotowe w Holandyi i te, które zajmowały Hanower, miały się zgromadzić w Würtzburgu nad Menem. Bernardotte, dowodzący wojskami w Hanowerze dla pośpiechu obrał drogę przez Anspach i przez to neutralność Prus zgwałcił.

XI.

Kiedy te ważne wypadki przygotowywały się w Europie, tymczasem p. Stanisław Grabowski oświadczył się o rękę mojej siostry, został przyjęty, nastąpiły zaręczyny i wzajemna wymiana podarków. Przyszedł list do generałowej Grabowskiej oświadczający radość jej z wyboru syna i rodzice z odpowiedzią umyślili wysłać mnie do Warszawy. Jakkolwiek miałem dopiero lat szesnaście, nie wątpiłem jednak, że z tej dyplomatycznej misyi dobrze się wywiążę, na dworze bowiem puławskim przywykły byłem do życia wielkoświatowego.

Wybór w drogę był niedługi i przybywszy do Warszawy prezentowałem się najprzód pani generałowej. Chociaż już w wieku, posiadała ona płeć dziwnie świeżą, a na twarzy pozostały wyraźne ślady wielkiej piękności. Blondynka, oczy miała duże niebieskie, nos mały i kształtny, tylko otyłość przy nizkim wzroście, zgrabność figury zniszczyła. Towarzystwo jej, oprócz licznej rodziny, składało się także z niejakiej pani Lnińskiej, której mąż gdzieś tak się zawieruszył na świecie, że o nim nigdzie języka powziąść nie mogła, z małą więc córeczką, którą generałowa bardzo

kochała, przy niej osiadła. Zaproszony zostałem na dzień następny na obiad, a tegoż dnia jeszcze w towarzystwie Żaboklickiego pooddawałem inne prezentacyjne wizyty familii, w którą siostra moja wchodziła. Stanowili ją bracia rodzeni i siostry, o których już wspomniałem i bracia pani generałowej, Szydłowscy, starosta mielnicki i ksiądz opat. Pierwszy elegant niegdyś ogromny i ścisły króla, a więc i Rosyi partyzant, słynął z doskonałego strzelania z pistoletu. Odstrzeliwał żonie korki od trzewików i pieniążki trzymane przez nią w palcach nad głową. Nie wiem czy z tych szczególnych egzercycyi, czy też z innych powodów żona jego popadła w nerwową słabość, która jej do końca życia nie opuściła. Ksiądz opat Szydłowski mieszkał na Starem Mieście. Był to bardzo miły i grzeczny staruszek, lubił pasyami Włochów i ciągle po włosku mówił i na czekoladę do kawiarni przy bramie ś-to-Jańskiej uczęszczał, żeby tam z nimi się spotykać. Nakoniec do blizkiej rodziny należał także Ludwik Gutakowski, miły starzec, u którego później byłem prawie domownikiem. W młodości swej musiał być nadzwyczajnie piękny, bo i teraz oprócz dziwnej przyjemności oblicza, regularne rysy zachował. Ożeniony był w powtórnem małżeństwie z Zabiełłową, wdową po Zabielle, którego w 1794 roku wskutek wyroku sądowego życia pozbawiono. Odwiedzałem także dom ks. Pelagii Sapieżyny, znajomej mi z Puław i pani Bagration, która jadąc do wód, dłużej się w Warszawie zatrzymała.

Za powrotem do domu nie zastałem już mojej matki, która w części dla wyprawy, w części dla ku-

racyi wyjechała do wód w Lubieniu, gdzie później przybyła także księżna Czartoryska. Książę feldmarszałek wybrał się do Bardyowa.

W początku września przybył niespodzianie do Puław p. Hoppe, komisarz cyrkułu lubelskiego i wezwawszy p. Nestorowicza, mandataryusza i Belkie marszałka, oznajmił im, że za dni kilka przybędzie tu czterdziestotysięczny korpus rosyjski i że główna kwatera ma się osiedlić w Puławach. Dlatego prosił żeby dwie oficyny z gości tymczasowych uwolnić W niebytności księcia zwrócono się do mojego ojca. Ten wysłał zaraz sztafety do Bardyowa i do Lubienia, zawiadamiając zarazem, o czem p. Hoppe pod sekretem powiedział, że rzecz jest prawdopodobna, że cesarz Aleksander Puławy odwiedzi.

Lecz nim gospodarze przybyć zdołali, ściągnęli Rosyanie. Zjechał na ich przyjęcie gubernator Urmeni z konsyliarzem Baumem, zrobił się ścisk nie do opisania i przez kilkanaście dni taki rwetes, jakiego nigdy później w życiu nie widziałem. W miastach łatwiej pomieścić liczne sztaby, ale na wsi jest to zadanie bardzo trudne. Wprawdzie konieczność zmusza wtedy do ograniczania wymagań i w Puławach po trzech i czterech generałów w jednej izbie kwaterowało, ale niemniej ambaras był ogromny. Wynoszono na łeb na szyję wszystkich zwykłych Puław mieszkańców z ich rzeczami i tłomokami i lokować się na strychach musieli. Całe dnie i noce zajeżdżały fury, składano rzeczy, a tragarze uwijali się z kuframi, pakami i tłómokami. Każdy o niczem innem nie myślał, tylko gdzieby się podziać i gdzie ulokować.

Przybyła też i główna kwatera i naczelny dowódzca generał Michelson. Był to starzec już siedmdziesięcioletni, silnej budowy ciała, łysy, z twarzą ogromną i rysami wydatnemi, pochodził ze sfer dosyć nizkich i wywyższenie swe zawdzięczał tej okoliczności, że udało mu się ująć słynnego Pugaczewa. Nie mówił żadnym innym językiem tylko po rosyjsku i trochę po polsku, że zaś hr. Urmeni, zabity madziar tylko znał język swój rodzinny i kochaną łacinę, przeto porozumiewali się przez pośrednictwo Bauma, konsyliarza, Niemca sprytnego, który mówił wybornie po niemiecku, po łacinie, po polsku i po francusku.

Armia Michelsona — o ile wiem — składała się z dwóch korpusów o kilku dywizyach piechoty i jazdy. Gwardyami dowodził — pod zwierzchnictwem w. księcia Konstantego — ks. Bagration, lecz ten z wojskiem swojem w Lublinie pozostał. Po Michelsonie głównymi dowódcami byli Buxhevden i Langerau. Pierwszy nizki, gruby, gwiazdami — jak to u Rosyan we zwyczaju — okryty, małomówny i dla podwładnych wielce surowy. Drugi cienki, chudy, wysoki, Francuz z pochodzenia i emigrant, nosił przy szpadzie zbiór wstążek różnokolorowych — dary od rozmaitych pań otrzymane. Dla wszystkich a szczególnie dla dam wyszukanie grzeczny, był trochę gaduła, ale gaduła przyjemny, bo wykształcony i dowcipny. W niższych stopniach znajdowali się generałowie, którzy później do najwyższych doszli godności, jak: Sacken i Wittgenstein, obaj później książęcymi tytułami i stopniem feldmarszałków udarowani, Lam-

bert, Wintzingerode, Gogiel, Czaplic, Giżycki, Miłoradowicz i wielu innych.

Organizacya wojska odmienna była od dzisiejszej. Pułki liczyły po dwa bataliony i każdy oprócz pułkownika miał właściciela, szefa w stopniu generał-majora. Toż samo miało miejsce i w jeździe. Mundury mało krojem różniły się od tych, jakich używano jeszcze przed 1854 r. i tylko generał-majorowie nosili mundury swych pułków. Piechota miała *czako* u góry szersze jak u dołu z wysokimi na dwanaście cali pióropuszami splecionymi z włosienia, spodnie opięte i kamasze po kolana. Niektóre jednak pułki jak grenadyerski, fanagoryjski ks. Suwarowa zachował dawną organizacyą i mundur. Liczył 4.000 ludzi, a ubiór jego był rzeczywiście oryginalny: szerokie szarawary czerwone, buty palone, kaszkiety nizkie blaszane okryte szerścią włosianą, nakształt szczotki przystrzyżone. Kilka pułków zachowało także wysokie na kształt głowy cukru piramidalne blaszane czapki, przez cesarza Pawła wprowadzone.

Jazda liczyła najwięcej pułków dragońskich. Kozacy wcale nie mieli przepisanych mundurów i każdy ubierał się jak mu się podobało. Prawie wszyscy nosili ogromne brody, szerokie szarawary i najrozmaitsze czapki. Niektóre pułki miały jeszcze muzyki rogowe i często generał Langerau dla zrobienia przyjemności, kazał orkiestrom tym grywać. Efekt tej muzyki był szczególny, coś jakby koncert na puzonach o rozmaitej skali.

Ogólnie mówiąc wojsko rosyjskie przedstawiało się korzystnie. Ludzie wszystko rośli, silnie zbudo-

wani i dobrze odziani. Jeden tylko zarzut możnaby mu zrobić, że prowadziło ono za sobą nieskończoną ilość taborów i powózek. Przez most postawiony na Wiśle, wskutek tej nadzwyczajnej ilości bagażów zaledwie jeden pułk w krótkim dniu październikowym przez dzień cały mógł się przeprawić. Wadę tę dostrzegł cesarz i naznaczono ilość podwód, jakie pułk może ciągnąć za sobą i od tej pory adjutant cesarski liczył za każdym pułkiem powózki i zawracał te, które przenosiły oznaczoną liczbę.

Wszyscy generałowie, pułkownicy i urzędnicy przez dni czternaście zbierali się w salach pałacowych na obiady i kolacye. Później zaczęły przybywać kancelarye rozmaitych ministeryów: najliczniejsza dyplomatyczna, 4 października nakoniec przybył i sam cesarz Aleksander. Już wtedy księstwo byli z powrotem, a także i moja matka, której na kwaterę przeznaczono jeden pokój na dole, do sali ze słupami przytykający. Zabrała ona do siebie swoją bratową, Wojciechową Narbuttową, hr. Tarnowską z Drążkowa, Bentkowską z Ułęża i pannę Laurę Potocką, a wieczorami zbierała się tu masa osób, cesarz bowiem nie jadając kolacyi przychodził na herbatę do pokojów księżnej w towarzystwie tych tylko osób, które sam przeznaczył. W czasie jego pobytu tutaj śpiewacy nadwornej kaplicy cesarskiej w owej sali ze słupami, wykonywali cudowne chóry.

Ponieważ dwór cesarski, sztaby, biura i ogromna masa gości w Puławach bawiąca podejmowana była kosztem księstwa, dołożono więc wszelkich starań, żeby przyjęcie było uczciwe. Pan Zamojski oddał do

pomocy całą swą służbę, brykami zewsząd sprowadzano drób i zwierzynę, sztafetami dostarczano ostrygi i codziennie o mil kilkanaście pocztą wyjeżdżało mnóstwo posłańców dla sprowadzania rozmaitych prowizyi. Fruktów dostarczały ogrody puławski i maciejowicki, a w niedostatku Kock i Warszawa. Oprócz tego gruszki, winogrona, arbuzy, melony, figi wytworne przywozili codzień feldjegrzy z cesarskich cieplarni, a także sterlety i inne rosyjskie frykasy, w Polsce nieznane.

Stół podzielono na cztery oddziały. Pierwszy dla osób dwór składających i młodzieży płci obojej o godzinie 12 pod olbrzymimi namiotami na ten cel rozbitymi. Drugi o godzinie 2 dla części sztabu, generałów niższego stopnia, gości i osób poważniejszych w Puławach stale mieszkających. Ten dawano na sali górnej jadalnej. Trzeci o godzinie pół do czwartej dla urzędników, dyplomatów i wojskowych wyższego stopnia, którzy nie byli zaproszeni do stołu cesarskiego. Ten obiad podawano w sali złotej. Czwarty o piątej wieczorem, obiad cesarski na trzydzieści nakryć, do którego zapraszano osoby z woli Najjaśniejszego Pana wybrane i przez ks. Wołkońskiego wzywane. Ten podawano w sali białej. Przy pierwszym stole gospodarza zastępował marszałek, przy drugim mój ojciec, przy trzecim książę Konstanty.

Jeśli stół pierwszy obyczajem puławskiego dworu był dosyć skromny, za to drugi i trzeci, a osobliwie czwarty nic nie pozostawiał do życzenia. Dla cesarza gotowali Francuzi, kucharze Zamojskiego, a puławscy i maciejowiccy cukiernicy wysadzali się na coraz

nowe koncepta. Pan major Orłowski marszałkował przy stole cesarskim. Serwisy były srebrne, albo szczerozłote i *en vermeille*, środkiem cudne ornamenta srebrne z rzeźbami z figur starożytnych, dzieło najsłynniejszych paryskich artystów, własność Zamojskiego. Dalej stół ozdabiały bukiety z najcudniejszych kwiatów w kryształowych naczyniach i kosze srebrne do wina, misternie rzeźbione.

Podczas dwudziestodniowego pobytu cesarza Aleksandra, wbrew przyjętym tutaj obyczajom nie było ani fet, ani balów, ani teatrów. Zwiedził tylko cesarz ogród, nieskończony jeszcze Domek gotycki i Sybillę, do której darował kopułę szklanną i dwa sfinksy z ingryjskiego marmuru. Mieszkanie cesarskie znajdowało się w pałacu na pierwszem piętrze, obok sali złotej i jadalnej. Składało się z jednego obszernego pokoju przepierzonego, drugiego wybitego zielonym adamaszkiem i z małego gabinetu. Codziennie o dziesiątej rano monarcha udawał się do apartamentów księżnej Czartoryskiej, tam bawił pół godziny i wychodził na dziedziniec na paradę i zaciąg warty. Warta ta z jednej kompanii złożona, między pałacem a oficyną ogrodową, pod gołem niebem straż trzymała. Szyldwachów żadnych ani w pałacu, ani przy komnatach cesarskich nie rozstawiano. Na paradę codzień przybywał coraz nowy batalion piechoty, a przy nim oficerów od 9-ej godziny oczekujących bez liku. Ponieważ lokalność dziedzińca, w którego środku znajdowała się sadzawka wiekuistemi lipami obsadzona, nie dozwala na obroty dowolne, batalion więc szykował się tylko wzdłuż oficyny ogrodowej i następnie

rozmaitymi rodzajami marszów przed cesarzem defilował. Parada kończyła się zwykle o 12 i od tej pory aż do obiadu cesarz zwykle z ministrami u siebie pracował. Czasami jednak dla rozmaitości po ogrodzie spacer odbywał. Między szóstą a siódmą obiad się kończył, a o ósmej na herbatę do apartamentów księżnej przychodził. Ponieważ kolacyi nie dawano, przy herbacie więc roznoszono ciasta i rozmaite zimne specyały. Reszta towarzystwa zbierała się do sal górnych, gdzie także stołów nie zastawiano, ale roznoszono herbatę i przekąski. Te zebrania były niezmiernie ciekawe, oprócz tego bowiem, że dwór i sztab cesarski był bardzo liczny, codziennie oprócz tego przybywały rozmaite nowe osoby z rozmaitych stron Europy, deputacye, poselstwa nawet z głębi Azyi. Ścieranie się zdań rozmaitych, opisy nieznanych miejscowości, projekta na przyszłość rozogniały młodzieńczą moją imaginacyę.

Cesarz Aleksander liczył wówczas lat dwadzieścia ośm i był w całej sile wieku i piękności. Wysokiego wzrostu, zgrabny, o kształtnej figurze, oczy miał niebieskie, włosy blond i twarz okrągłą. Podówczas jeszcze nie łysy, płeć miał delikatną, prawie kobiecą. Największego uroku dodawała mu łagodność na twarzy rozlana i dobrotliwy uśmiech prawie nigdy z niej nie schodzący.

Tymczasem starcie sił francuskich z austryackiemi stawało się nieuchronnem. Według otrzymanych w końcu sierpnia rozkazów poruszyły się wojska Napoleona z Hanoweru i Holandyi dążąc ku Menowi, z Boulogne zaś skierowały się na Strasburg i Mo-

guncyą. W końcu września pozycye wskazane zostały już zajęte, a 26 Napoleon przybył do Strasburga i naczelne objął dowództwo.

W Berlinie i Monachium dyplomacya działała czynnie. Oba te państwa znajdowały się mniej więcej w podobnem położeniu, stanowiąc bowiem przegrodę między Francyą z jednej, a Rosyą i Austryą z drugiej strony, mogły przypuszczać, że starcie się tych dwóch potęg neutralności zachować im nie dozwoli. Bawaryą naciskał dyplomata francuski Otto, skłaniając ją do połączenia się z Napoleonem. Elektor po długiem wahaniu przymierze to przyjął, aliści zjawia się poseł austryacki ks. Schwarzenberg i oświadcza, że za przystąpienie do koalicyi Austrya ofiaruje Bawaryi Salzburg i część północną Tyrolu. Trudno było dla korzyści tych zawartego z Francuzami przed jedenastu dniami przymierza odstąpić, ale może być, że elektor byłby to uczynił, zwłaszcza że i królowa i panowie radni do tego go skłaniali, gdyby nie wiadomość, że Austryacy bez pytania przekroczyli pograniczną rzekę Inn. Ten ich samowolny postępek oburzył kraj cały i elektor potajemnie w nocy stolicę opuścił i do Würzburga przybywszy, z Francuzami się złączył.

Inaczej rzeczy miały się w Berlinie. Oddawna już polityka dworu pruskiego polegała na tem, żeby traktaty zawierać i zawartych dotrzymywać tylko o tyle, o ile to korzyści dla państwa przyniesie. W ten sposób państwo to sformowało się i wzrosło i nie miało wcale zamiaru tradycyjnych obyczajów odstępować. I teraz więc przybyłego Duroc'a z dnia

na dzień przetrzymywano, wyczekując skąd zawieje wiatr pomyślniejszy. Kiedy wojska francuskie z Hanoweru wyszły i kiedy Bernadotte, przechodząc Anspach, neutralność pruską naruszył, pruskiemu dworowi nastręczyła się inna perspektywa. Myślał on, że opuszczony przez Francuzów Hanower łatwo wojskami swemi zajmie i bez względu na to jaki obrót przyjmie wojna, władzę tam swoją ustali. Odpowiedziano więc Duroc'owi, że ponieważ Francuzi nietykalność granic pruskich zgwałcili, przeto Prusy nie mogą dziś wzbraniać przejścia wojskom rosyjskim i same, niechcąc się mieszać do wojny, sił swych zbrojnych użyją do zajęcia Hanoweru, gdzie wskutek wyjścia Francuzów wybuchnięcie nieporządków jest nieuniknione.

Żeby dokładnie matactwa te dyplomatyczne zrozumieć, potrzeba jeszcze dodać, że w planie medyacyi zbrojnej, podług Thiersa przez Piatolego wypracowanym, leżało ustanowienie Królestwa Polskiego, mającego się składać z prowincyi zabranych przez Rosyą złączonych z tem, co wzięły Prusy w drugim i trzecim rozbiorze. Liczono, że Prusy do koalicyi nie przystąpią i koalicya Napoleona zwyciężywszy, karząc je za upór, prowincye te odbierze. W sformowanem tem państwie miał panować cesarz Aleksander i podobno projektowi temu był on wielce przychylny. Duszą tego pomysłu był książę Adam Czartoryski, ale w politykach rosyjskich, lękających się, że takiego rodzaju postąpienie Rosyą na ciągłe narazi wojny, spotykał licznych przeciwników.

Te zamiary tłómaczą nam postępowanie armii

rosyjskiej. Kiedy Kutuzow wkroczywszy do Galicyi, głęboko już w państwie austryackiem się posunął, Michelson tymczasem nieporuszony stał ciągle nad Wisłą. Naprożno Urmeni o pośpiech naglił, dowódca rosyjski to zbytniem znużeniem wojska, to oczekiwaniem na gwardyą się wymawiał i poprzestał na wysłaniu kilku oddziałów kozackich nad Pilicę. Współcześnie dwaj oficerowie polscy: Sałacki i Buńczukiewicz, dostawszy po 500 dukatów na drogę, wysłani zostali do Prus południowych, żeby przejrzeć jakie są siły pruskie i czy rzeczywiście Prusacy Łowicz i Łęczycę fortyfikują. Kiedy zaś przybył do Puław cesarz i kiedy Urmeni nanowo o pośpiech naglić począł, odpowiedział Aleksander, że zostawiwszy państwo swe bez osłony, nie może się zbytnio angażować, dopóki dokładnie się nie przekona, co zamyślają Prusy i współcześnie wysłał do Berlina dyplomatów Alopeusa i Dołgorukiego, obudwóch projektowi ks. Czartoryskiego nieprzyjaznych.

W Berlinie toczyły się z Duroc'iem układy i poseł francuski otwarcie oświadczył, że Napoleon za przymierze Prus ofiaruje 80 tysięcy wojska dla obrony Prus od Rosyi. Misya Alopeusa była daleko treściwsza. Rosya kategorycznie od Prus żądała przystąpienia do koalicyi, grożąc w przeciwnym razie wkroczeniem w granice pruskie całej siły rosyjskiej. Król pruski zwołał radę i zamiast odpowiadać na żądanie posłów, uchwalono naprzód zwiększenie armii do 80 tysięcy i jak najprędsze ściąganie sił zbrojnych. Ten krok przezorny wydał rezultat. Alopeus doniósł cesarzowi Aleksandrowi, że żadną miarą gwałtownie na

Prusy naciskać nie można, bo jeśli one z taką siłą na stronę Napoleona się przerzucą, położenie koalicyi nie będzie bardzo wygodne.

Wśród tego wszystkiego wojska austryackie zalały Bawaryą i doszedłszy do Ulmu, przygotowywały się do dalszego ku Renowi pochodu. Bernadotte 27 a Marmont 29 września stanęli w Würzburgu, główne zaś siły francuskie 25 i 26 września przez Ren pod Strasburgiem się przeprawiły. 1 października Napoleon objął dowództwo i wysławszy część swych wojsk w góry Czarnego Lasu, aby ukryć główny swój pochód, zabawiał Austryaków w Bawaryi i z tyłu od Dunaju ich zachodził. 7 października przeprawił się przez Dunaj pod Donauwerth, a kiedy generał Mack, głównodowodzący austryacki wysłał tam kilka batalionów, rozbił je i opanował Augsburg. Od tej chwili los armii austryackiej był już prawie rozstrzygnięty. Ściskano ją coraz ciaśniejszą obręczą koło Ulmu, 9 nastąpiła bitwa pod Günzburg a 12 Bernadotte zajął Monachium.

Jakkolwiek rozwiązanie tej tragedyi jeszcze nie nastąpiło, skutki jednak osaczenia Macka już się dawały przewidywać. Wiadomość o zajęciu Monachium w Wiedniu najsmutniejsze wywarła wrażenie i natychmiast kuryerem do Puław przybiegł poseł austryacki książę Auersperg, błagając cesarza Aleksandra, aby Kutuzow spieszył na ratunek zamkniętego pod Ulmem Macka i żeby wojska z nad Wisły raczyły osłonić Wiedeń, który z sił ogołocony i odkryty, bardzo łatwo mógł być zajęty. Równocześnie jednak z ks. Auersperg przybył od Alopeusa z depeszami z Ber-

lina ks. Dołgoruki. Napróżno wtedy książę Adam Czartoryski używał wszystkich swych wpływów i dowodził, że chwila działania nastąpiła. Napróżno przekonywał, że wojska pruskie rozproszone po leżach oprzeć się nie zdołają, że oficerowie rosyjscy do Prus wysłani przywieźli jak najpomyślniejsze raporty, że uporanie się z Prusami wynagrodzi sowicie straty całej armii Macka, napróżno żądał, żeby Aleksander nie czekając, zaraz królem polskim się ogłosił. Wszystko zostało bez skutku i cesarz nagle cały zamiar zmienił. Wojska rosyjskie za Wisłę cofać się zaczęły, a do Berlina po raz drugi wysłano Dołgorukiego nie z groźbą wojny, ale z oświadczeniem, że dla bliższego porozumienia się cesarz Aleksander sam do Berlina przyjedzie. Thiers podaje, że król pruski lękał się tej wizyty i osobistych nalegań cesarza, ale królowa i ministrowie przemogli i zaprosiny na ten ważny w historyi zjazd wysłano. To mogę tylko stanowczo panu Thiers zaprzeczyć, że zjazd ten nie mógł się odbyć — jak on podaje — w pierwszych dniach października, gdyż cesarz Aleksander 22 tego miesiąca Puławy opuścił.

Gwardye z księciem Konstantym na Rachów ruszyły, Michelson dla organizowania rezerw wysłany do Wilna a Buxhevden objął komendę jego korpusu.

Po wyjeździe cesarskim cisza straszna i jakaś pustka zapanowała w Puławach, mimo to że się zwykłe towarzystwo tu zostało, ale była to mała garstka w porównaniu do tej masy różnonarodowej, jaka się tak długo przewijała. Do rozlania jakiegoś uczucia smutku przyczyniła się zapewne ta okoliczność, że

zamiary cesarskie nie mogły się zupełnie utaić, a imaginacya stanowiąca jedną z charakterystycznych cech naszej natury i tu przeszła miarę robionego projektu. Nie wierzono, że Królestwo Polskie ma tylko z prowincyi należących do Rosyi i z tego, co w drugim i w trzecim rozbiorze zabrały Prusy się składać, ale liczono, że będzie do niego włączona i Galicya, a Austrya łatwo kompensaty bądź w Belgii, bądź we Włoszech uzyska. Nadzieje te rozwiewały się z wyjazdem cesarskim i nic dziwnego że wszystkie głowy pochyliły się pod brzemieniem smutnych myśli.

Nastąpiło też w Bronicach w końcu października wesele mojej siostry. Cały dwór puławski, sąsiedzi z okolicy i kilku Polaków w służbie rosyjskiej zostających hulali przez trzy dni i po tym terminie siostra moja wraz z mężem wybrała się do Warszawy dla zaprezentowania się pani generałowej, która na wesele przyjechać nie mogła. W darze weselnym dostała ona od księżnej Czartoryskiej prezent zostawiony jej przez cesarza Aleksandra, sznurek pereł z fermoarem topazowym.

Dotknąwszy pobieżnie wypadków naszych prywatnych, trzeba nam przenieść się na scenę, gdzie się rozwijały dzieje Napoleona, mające z naszą historyą tak ściśle się połączyć. Zostawiliśmy generała Macka okolonego i ścieśnionego pod Ulmem. Miasto to nad Dunajem położone dopiera do ostatniego krańca Schwarzwaldu, do góry Michelsberg zwanej, która panuje nad miastem i całą płaszczyzną. Pierwszem staraniem Napoleona było odciąć wojskom austryackim komunikacyą z Tyrolem. W tym celu Berna-

dotte, spędziwszy Kinmajera zajął Monachium, Napoleon — Augsburg, gwardye i Ney — Weisenharn, Lannes i Murat — oba brzegi Dunaju koło Günzburga, Soult — Landsberg, a Davoust stanął między Monachium a Augsburgiem. Generał Mack dopiero w ośm dni po takiem uplacowaniu się Francuzów odebrał wiadomość od pułkownika Colloredo, że Francuzi przeprawili się przez Dunaj. Dopiero bitwy pod Günzburg i Landsberg przekonały go, że jest otoczony i że z całą armią będzie miał do czynienia. Dlatego postanowił bronić się w Ulmie, wszystkie siły tutaj zgromadzał i w 60.000 ludzi Michelsberg obsadził.

Jedenastego października generał Dupont, dowódzca dywizyi z korpusu Neya, posuwając się od Dunaju z oddziałem sześciotysięcznym znalazł się u stóp Michelsbergu, a zobaczywszy tu taką masę żołnierza, nie śmiał iść dalej tylko postanowił pozycyi swej bronić. Arcyksiążę Ferdynand pod Helsach napadł z 25.000 na tę drobną garstkę, ale Francuzi cudów waleczności dokazawszy z pozycyi spędzić się nie dali i wzięli nawet parę tysięcy niewolnika. To niepowodzenie skłoniło Macka, że postanowił Ulm opuścić i do Tyrolu się przedrzeć. Jako pierwszą pikietę posłał generała Spangen w 5.000 ludzi, na Meiningen skierował 10 tysięczny korpus Jelaczicza, a dla wzmocnienia pozycyi pod Helsach generał Riesse zajął klasztor Elchingen. Wszakże 14, Ney przeprawiwszy się przez Dunaj klasztor ten zdobył, a Soult generała Spangen do kapitulacyi zmusił. Generał Jelaczicz także się poddał, a arcyksiążę Ferdynand bojąc się,

aby do niewoli nie został wzięty, w kilka tysięcy koni ku Czechom uciekał. Murat nie dawał mu wytchnienia i zanim do granic czeskich dotarł, 1.700 niewolnika mu zabrał.

15 października Napoleon zaatakował Michelsberg i Mack osłabiony poprzedniemi bitwami, tudzież odłączeniem się arcyksięcia nie mógł się bronić i kapitulacyą podpisał, tak w dziewięciu dniach kampania ta skończona została bez walnej bitwy, niszcząc całą armię austryacką.

Cesarz Aleksander przybył do Berlina 25 października i przyjęty był z serdecznością przez króla, a z uniesieniem przez mieszkańców, kilka dni pobytu wystarczyło mu do zjednania dworu całego na swoją stronę, nie zdołał jednak wymódz na królu pruskim formalnego przystąpienia do koalicyi. Warunkowo tylko w umowie z listopada zobowiązywał się król pruski do związku przystąpić, jeśli Napoleon nie zgodzi się na wynagrodzenie za Piemont, na ustąpienie części Włoch Austryi po rzekę Mincio i na uznanie niepodległości Holandyi, Szwajcaryi i Neapolu.

Obie podpisujące strony obiecywały sobie z tego układu wielkie korzyści. Cesarz Aleksander był pewny, że król pruski już do koalicyi należy, można bowiem było być pewnym, że Napoleon, szczególniej po doznanem szczęściu warunków tych nie przyjmie. Król pruski znowu liczył, że Napoleonowi koniecznością przyjęcia umowy, kiedy miał już nóż na gardle, się usprawiedliwi, przekonać go wszelako potrafi, że dotrzymać jej nie miał zamiaru. Duroc, który dotychczas w Berlinie siedział, starając się napróżno o przedmio-

cie układów dowiedzieć, opuścił pruską stolicę i do głównej kwatery podążył.

Napoleon w ostatnich dniach października przeprawił się przez Inn i wkroczył do posiadłości austryackich. Generał Kutuzów złączył się w tej okolicy z Kinmajerem i Merfeldem z Czech przybyłym i sformował siłę koło 70.000 wynoszącą. Nie ośmielił się jednak iść na obronę Wiednia, ale prawie pod okiem wojsk francuskich przez Dunaj pod Krems się przeprawił. Korpus Mortiera pod Dornstein zastąpił mu drogę i tu nastąpiły dwie mordercze bitwy w dniach 11 i 12 listopada. Oba wojska dały dowód cudów męstwa i korpus Mortiera prawie zupełnie został zniszczony. Jednakże wskutek cofnięcia się Kutuzowa do Moraw, Wiedeń został odkryty i Murat wraz z Bertrandem pomimo obrony ks. Auersperga, tego samego, który był w Puławach, zajęli mosty na Dunaju. Lannes tymczasem i Oudinot ściskali Kutuzowa koło Berna, 19 listopada Napoleon rozkwaterował się w zamku Dietrichsteina Nikolsburgu i z okien salonu widząc dokładnie gościńce wiedeński i berneński kazał tu zatoczyć działa. Z trudem, po rozebraniu lawet dało się to uskutecznić, a Napoleon pewny, że z Austryakami sprawa już skończona, spał wygód niepomny pomiędzy kanonierami. Giulay i Stadion, dyplomaci austryaccy przybyli ofiarować mu pokój. Warunki były bardzo trudne. Napoleon żądał zupełnego ustąpienia królestwa włoskiego i weneckiej prowincyi, a gdy wysłani posłowie rozmaitymi bronili się sposobami, niechcący wymknęła się im pogróżka, że król pruski przystąpił do koalicyi i że wygrana Napoleona

nie jest jeszcze kompletna. Cesarz Francuzów posłów do Talleyranda do Wiednia odesłał, a sam nad tą wiadomością rozmyślać począł.

Cesarz Aleksander z Berlina udał się do Ołomuńca, gdzie zastał Kutuzowa z Buxhewdenem złączonego. 18 listopada zaczęto się ku Bernu posuwać, gdzie Napoleon swoje siły gromadził, spotkano się 2 grudnia pod Austerlitz u stoku gór wśród płaszczyzn poprzecinanych stawami, klucz pozycyi ze strony sprzymierzonych stanowiła wzgórzysta wyniosłość Pratzen; tu zgromadzono wszystkie siły. Że jednak postanowiono odciąć Francuzów od traktu wiedeńskiego, oddzielono więc w tym celu korpus Buxhewdena z dywizyami Kinmajera, Langerona, Przybyszewskiego i Dochturowa. Było to właśnie w miejscu, gdzie rozciągały się stawy. Napoleon, żeby nieprzyjaciela łatwiej do zasadzki zwabić, słabo obsadził wioskę, a gdy korpus naprzeciw stawów się znajdował, uderzył na niego całą siłą i napędził go na błoto, gdzie działa i mnóstwo ludzi poginęło. Współcześnie zaatakowano Pratzen i siły sprzymierzonych nie były wstanie się oprzeć.

Na drugi dzień po bitwie nastąpiło osobiste widzenie się cesarzów Franciszka i Napoleona w młynie Paleny. Kiedy pierwszy upraszał o zawieszenie broni i pokój, Napoleon za główny warunek układów położył wycofanie się wojsk rosyjskich z Austryi. Armia więc rosyjska do swych granic wracała, a pertraktacye pokojowe rozpoczęły się naprzód w Bernie a następnie w Preszburgu.

Chociaż Napoleon odniósł świetne i zupełne

zwycięstwo, armia jego jednak była bardzo osłabiona. Uzyskawszy ogromne powodzenie i zwycięstwo jedynie dzięki niesłychanej szybkości ruchów, wpadał w drugie niebezpieczeństwo głodowe. Wojsko nie miało magazynów i żywiło się rekwizycyami. Gdzie armia przeszła, wszystkie zapasy zostały zjedzone, bydło wyrżnięte, stodoły popalone i zostawała zupełna pustka, nie mogąca drugi raz dostarczyć żadnego pożywienia. Wojna w 150.000 rozpoczęta, po dwóch miesiącach zostawiała armią nie wynoszącą więcej jak 60.000. Wprawdzie po dołączeniu do tego korpusu Neya w Tyrolu 10.000 i Masseny we Włoszech 40.000 było tu jeszcze dość wiele, ale po odtrąceniu koniecznych załóg, na plac boju nie mogło wyjść więcej jak 90.000. Przeciwko temu Austrya po bitwie austerlickiej posiadała jeszcze: szczątków rozbitej armii 15.000, armie włoska i tyrolska 100.000, siły rosyjskie pozostałe z pod Austerlitz 35.000 i armia Beningsena na Szląsku 40.000 czyli wszystkiego razem 250.000 Napoleon przez uzyskanie odwrotu Rosyan wielką otrzymał przewagę, niespokojny jednak co do tego, co zamierzają Prusy, przeniósł swą kwaterę do Schönbrunu i tutaj p. Haugwitz bawiącego w Wiedniu wezwał. Poseł pruski nie wspomniał o zawartej z cesarzem Aleksandrem umowie, a ponieważ Napoleon propozycyi robionych Prusom przed wojną nie cofał, przeto zawarto między Prusami a Francyą zaczepno odporne przymierze. Hannower przyłączono do Prus, księstwo Kliwii i Neufchatel dostały się Francyi, a Anspach oddano Bawaryi.

Jeżeli orężem w przeciągu dwóch miesięcy Na-

poleon odniósł wielkie korzyści to w porównanie z niemi iść nie mogą zyski osiągnięte na drodze dyplomatycznej, uzyskane w dniach trzynastu. Wojska rosyjskie cofały się do siebie, król pruski od koalicyi na francuską stronę przeciągnięty i Austrya pozostawiona na łasce zwycięzcy.

Musiała się więc zgodzić na następujące upokarzające warunki:

1) Książęta badeński i elektorowie wirtemberski i bawarski do godności królewskiej wyniesieni i Austrya traci wszystkie posiadłości w Szwabii, Ortenau i Brisgau.

2) Dla królestwa włoskiego odstąpiła Wenecyą — dla Francyi Istryą i Dalmacyą.

3) Dla Bawaryi odstąpiono Tyrol.

4) Za to wszystko dostawała tylko Salzburg, którego książę na króla wirtemberskiego został przeznaczony.

Pokój ten 26 grudnia podpisano w Preszburgu. Napoleon powrócił do Paryża, a wojska francuskie cofnęły się do Bawaryi.

Cesarz Aleksander ujrzał rozbitą koalicyę i dlatego z cesarzem Franciszkiem, który sobie obrał kwaterę na zamku w Haliczu chłodno się rozstawał. Do Petersburga wracał na Lublin, gdzie go w przejeździe witał książę feldmarszałek, ale o wojnie, ani o polityce w czasie tego widzenia się, ani cesarz, ani otaczający jego nie wspomnieli ni słówka. Wojska wracały także powoli jedne przez Galicyę, drugie przez Prusy.

Mówiono, że między Wadowicami a Krakowem

u powozu cesarskiego złamało się koło. Aleksander pieszo udał się do najbliższej wsi i zaszedł do proboszcza. Ksiądz staruszek nie wiedząc o godności gościa, zaprosił go na kawę i rozpoczął polityczną rozmowę.

— Oj młody człowiek ten cesarz — mówił — młody, rad wojować a sam nie wie po co, krew słowiańską przelewać za Niemców? A niech ich tam Francuzi tłuką i niech Bóg im dopomaga.

Do pokoju wszedł adjutant, donosząc, że powóz naprawiony. Proboszcz zmiarkował z kim ma do czynienia, ale nie tracąc fantazyi ekskuzował się:

— Nie wiedziałem, że mnie dziś takie spotkało szczęście mieć w swem domku potężnego władcę północy. Mówiłem śmiało, ale mówiłem co myślałem. Proszęż mi darować.

Cesarz śmiejąc się odpowiedział:

— Mówiłeś do oficera rosyjskiego, a nie do cesarza, ale może i cesarz z tego skorzysta. I zdjąwszy z palca pierścionek ofiarował go, dodając:

— Proszę za doznaną gościnność przyjąć tę pamiątkę.

Myśmy rok ten w Puławach skończyli w tem przekonaniu, że Napoleon został zwyciężony i że sprzymierzeni zaszczytny pokój zawarli. Dopiero przybycie Konstantego Dembowskiego, który pod Austerlitz wzięty był do niewoli, objaśniło nas o rzeczywistym obrocie wypadków.

BIBLJOTEKA
Podoficerów zawodowych
26 pułku ułanów Wlkp.
No

XII.

Rok 1806 rozpoczął się dla nas w Puławach jak zwykle zabawami. Żeby dać o nich krótką wzmiankę przytaczam wyjątek z listu Grabowskiego:

„Puławy 18 maja 1806 r. Gorąco tu niesłychane, a rwetes coraz większy; nikt dotąd z gości nie wyjechał i prawdopodobnie wyjechać nie myśli. Dziś ma się agitować Marya Ludwika (feta, dwór tej królowej we współczesnych strojach reprezentująca). Wczoraj było wesele szóstej już panienki z pensyi p. Januszowskiej (Kruszyńskiego z panną Barbarą Poświatowską). Zosia (Matuszewiczówna) na czele pozostałych panienek, wszystkie, ubrane w białe sukienki, pannę młodą poprzedzały i wyglądały ślicznie. Kruszyński był bardzo rozczulony tak jak i ja, kiedym sobie Bronice przypomniał. Proboszcz zwyczajem swoim grymasił, nie chciał przyjechać i z godzinę na sali wszyscyśmy z państwem młodem czekali. Po ślubie nastąpił podwieczorek pod lipami, potem spacer na wodzie, później objechano kępę aż do Włostowic i wrócono na bal suty, wesoły i do białego dnia trwający. Onegdaj był chrzest jednej panny zrana i Zosia

z ks. Radziwiłłem, a p. Zamojska z ks. Jabłonowskim jej kumowali. Połowa towarzystwa potem pojechała do Celejowa, a połowa, w której ja się znajdowałem, udaliśmy się do Parchatki, ale balu nie było. Na św. Zofią naprzód znajdowaliśmy się u księżnej, później przeszli na śniadanie do sal górnych i tam zatrzymali się aż do obiadu, który był strojny, suty i długi bez końca. Po obiedzie koło godziny szóstej ruszyliśmy do Sybilli. Muzyka grała śpiew: „Nad szumnym Dniestrem“ — a skorośmy do świątyni doszli, z wnętrza jej wyszły procesyonalnie panny w białych sukniach i białych welonach, jedna tylko Zosia na czele ich idąca ubrana była w ponsową tunikę. Niosła ona na poduszce szkarłatnej, złotem haftowanej, złote klucze od świątyni i zbliżywszy się do księcia feldmarszałka, jemu je ofiarowała. Ta muzyka, ten widok zebranych polskich pamiątek, myśl o przeszłości, powaga obrządku i uroczyste milczenie, które po ustaniu muzyki nastąpiło, miało w sobie coś świetnego, ale zarazem tkliwego i żałośnego. Łzy się gwałtem cisnęły do oczu i niejeden myśląc o przeszłości, szczerze zapłakał, książę był mocno wzruszony i wszyscy przejęci a zasmuceni wracali. Bal wieczorem był liczny, ale niesłychane gorąco nie dozwoliło długo tańcować i około 2 godziny po północy rozeszliśmy się.

Jutro mamy jechać do Buńki, gdzie wieczorem będzie maskarada dziecinna. Pojutrze feta w Celejowie, we środę gramy *Le Mariage sécret*, a panna Ewa Kicka, pani Wincentowa Tyszkiewicz, mój brat (Michał), Rautenstrauch, ks. Konstanty i ja bierzemy w nim udział. We czwartek mamy przedstawić *Les*

Metamorphoses, a pani Wincentowa Tyszkiewicz, która do tych zabaw wielkiego nabrała gustu, obszerne na przyszłość robi projekta".

Ponieważ o zabawach już mowa, muszę wspomnieć, że mieliśmy liczne bale rozmaitego rodzaju, zwykłych co niemiara i kostyumowe, ulubione szczególniej przez damy, które na rozliczne i różnorodne stroje się sadziły. Rzeczywiście przedstawiały garderoby bardzo piękny widok, tak z powodu ich różności, jak i bogactwa. Maskarady znowu dziwactwem swojem śmiech obudzały. Nie chodziło tu bowiem jedynie o przywdzianie domina i maski, ale o ukrycie się w jakimś przedmiocie tak, żeby osoby ukrytej widzieć nie można było. Pamiętam, że na jednej z takich maskarad książę Puzyna ukryty był w ogromnym bucie, ja w trzewiku, a p. Khitel w wieży. Na maskaradach tych można było odbyć dokładny kurs historyi naturalnej, tyle się tu bowiem zbierało rozmaitych zwierząt i ptaków. Niewygoda wszakże podobnych przestrojeń sprawiała, żeśmy je po godzinie rzucali i bal w zwykłych odbywał się ubiorach".

Polityka w tym roku w ważne bardzo wypadki była obfita. Napoleon, powodzeniem zachęcony, w grudniu jeszcze ozwał się z zamiarem, że chce z tronu neapolitańskiego usunąć dynastyą Burbonów. Zdobywcze jego zamiary, powstające co chwila, trudno nawet bardzo zrozumieć, boć i tłómaczenie to jakie podał później na wyspie św. Heleny, nie objaśnia ich dokładnie. W pamiętnikach swych przyznał się, że zamiarem jego było utworzenie trzech mocarstw federacyjnych pod zwierzchnictwem Francyi. Hiszpania

i Portugalia złączona w jedno, Włochy i Francya stanowić miały tę trójcę romańską. Zwróciwszy jednak uwagę na to, że nie bardzo granice tych państw szanował i szczególniej wiele ziem od Włoch do Francyi przyłączał, powątpiewać można, czy to wyznanie jest szczere. Dla tej szczególnej gorączki podbojów sam na największe narażał się niewygody. Kiedy w młynie pod Austerlitz z cesarzem austryackim się spotykał, przyjął go przy ogniu rozłożonym pod gołem niebem i rzekł jakby z wyrzutem te słowa: „Przyjmuję cię, cesarzu, w kwaterze, którą z twojej łaski od dwóch miesięcy jedynie posiadam“. W czasie kampanii na lada chacie poprzestawał i żądał tyle tylko miejca, żeby plany topograficzne i mapy rozłożyć się dały. Nieodstępny jego towarzysz Baeler d'Albe, nad mapami temi czuwał i z rozkazu Napoleona na nich szpilkami, na których uczepione były etykiety noszące nazwiska dywizyi, wytykał pozycye. Kiedy plan dalszych ruchów był ułożony, przewoływano Berthiera, naczelnika sztabu i jemu wykonanie powierzano. W czasach w których podburzone przeciw Napoleonowi umysły, rozmaite na niego wymyślały oszczerstwa, kiedy go o brak odwagi, a nawet o tchórzostwo posądzano, utrzymywano także, że wszystkie jego wojenne talenta w głowie p. Baeler d'Albe się mieszczą. Jest to przesada wyraźna, bo choć Baeler był doskonałym malarzem, rysownikiem i topografem, przy Napoleonie pełnił funkcye ślepej maszyny, wypełniającej wszystko, co jej polecą. Posiadam roboty jego widok z kampanii szwajcarskiej i hiszpańskiej, bitwy pod Arcole i Austerlitz i cenne mapy Włoch·

W czasie kampanii Napoleon ze szczególną także bystrością umiał chwytać wszelkie wskazówki udzielane przez ludzi miejscowych i nie wahał się zniżyć do wypytywania nawet najnędzniejszego chłopaka Wielkie jego czarne oczy zdawały się tajemnicę z głębi serca dobywać, a oprócz tego wzrok ten pewne zaufanie budził. Obok szybkości pojęcia posiadał on niepojęty dar wynajdywania odpowiednich środków i energią, tak że czyny u niego zdawały się biedz z takąż samą szybkością jak i myśli.

Skoro tylko w 37 bulletynie wielkiej armii ogłoszono, że dynastya Burbonów, przestaje w Neapolu panować, zaraz w pierwszych dniach lutego Massena zajął te kraje a 30 marca 1806 r. Józef Bonaparte królem neapolitańskim został ogłoszony. Podobnież Holandya, wierna aliantka Francyi, dotąd jako rzeczpospolita się rządząca została królestwem i Ludwik Bonaparte 5 czerwca objął jej berło, 12 lipca na gruzach upadłego cesarstwa niemieckiego utworzono konfederacyą reńską i królowie: bawarski, wirtemberski, książęta badeński, hesko-darmsztadzki, bergski, nassauski i wielu innych drobnych weszli do niej i zwierzchnictwo Francyi nad sobą przyznali. W tydzień potem Franciszek II, złożył od czasów Karola W. piastowany tytuł cesarza niemieckiego, a nazwał się cesarzem austryackim.

Te wszystkie zmiany zaniepokoiły umysły, a i pokój mimo świeżo zawartych traktatów nie zdawał się zbyt trwałym. Austrya ociągała się z oddaniem Dalmacyi, a Napoleon zatrzymał jej twierdzę pograniczną Braunau. Nadto w czasie, kiedy Napoleon zwyciężał

pod Ulmem, Nelson pod Trafalgerem zniszczył prawie doszczętnie flotę francuską, zwycięstwo to sam przypłacając życiem, a Rosya, z którą wojna urzędowo zakończoną nie została, poleciła admirałowi swojemu Sieniawinowi zająć Cattaro. Napoleon, który do miasta tego, jako graniczącego z Turcyą szczególną przywiązywał wagę, zagroził Austryi, że jeśli Rosyi do opuszczenia zajętego miasta nie skłoni, on na nowo kroki wojenne rozpocznie.

Równie trudne było położenie Prus. Haugwitz do Berlina z przymierzem zaczepno odpornem powróciwszy doznał jak najgorszego przyjęcia. Królowa, rodzina królewska, wojska i lud czuli się upokorzonymi, że dozwolili pognębić współbraci swych Niemców, że nie tylko zerwali traktat zawarty co dopiero z Rosyą, ale nadto zawodzili Anglią, z którą Hardenberg w grudniu zawarł o subsydya umowę. W gruncie rzeczy było tam zapewne najwięcej obawy o los swój własny i żal za utraconemi Anspach, Neufchatel, księstwem Bergu i Kliwii, których Hanower nie wynagradzał w zupełności, tem więcej, że o niego prawdopodobnie potrzeba było jeszcze z Anglikami prowadzić wojnę. Zwołano wielką radę cywilno-wojskową i na niej postanowiono umowę ratyfikować dopiero po porozumieniu się powtórnem.

Pan Haugwitz pojechał więc do Paryża, ale tu zamiast uzyskać jakich korzyści musiał poczynić nowe ustępstwa. Wkładano na Prusy uznanie nowego królestwa neapolitańskiego i zamknięcie dla angielskiego handlu ujść Elby i Wezery. Posłowi za powrotem z Paryża wszystkie okna wybito, a Hardenberg podał

się do dymisyi. Przyjęto jednak przymierze zaczepno-odporne i współcześnie do Petersburga wysłano ks. brunswickiego, tłómacząc się, że traktat z Francyą nie ma nic więcej na celu jak zapewnienie neutralności, że Hanower zajęto dlatego, żeby z północnych Niemiec oddalić wpływy francuskie. Rząd rosyjski otwarcie zaproponował Prusom zawarcie tajnego przymierza, przyrzekając, że jeśli król pruski wojnę Francyi wypowie, Rosya całą swą potęgą podtrzymywać go będzie. Ks. brunświcki tłómaczył się, że nie ma odpowiednich pełnomocnictw, a i w Berlinie władza pomiędzy różnymi prądami się chwiała.

W tym roku także umarł w styczniu (23) Wiliam Pitt i następca jego Fox okazał się skłonnym do układów. Poufnie wybadywano rząd francuski i Napoleon oświadczył, że gotówby był zwrócić Anglii oddany dopiero co Prusom Hanower, gdyby Anglia ze swej strony zwróciła Francyi, lub sprzymierzeńcom jej, zajęte posiadłości. W tym czasie także ks. Adam Czartoryski, widząc, że wszystkie jego plany co do zbrojnej medyacyi upadły, podał się do dymisyi, a dowiedziawszy się o tem w Paryżu bawiący Oubril podpisał traktat, w którym warunki pokoju w Preszburgu i późniejsze zabory Napoleona w imieniu Rosyi zatwierdził. Aleksander wszakże ratyfikacyi odmówił, nie mógł bowiem zgodzić się na opuszczenie zupełne Burbonów i na myśl, że Rzesza niemiecka ma pozostać pod wpływami Francyi. Nadziei pokoju jednak nie odepchnął, oświadczył tylko, że traktować będzie razem z Anglią.

W Berlinie, depesze posła pruskiego Lucchsi-

niego donoszące, że Napoleon gotów Hanower oddać Anglikom, jak największe wywołały oburzenie, królowa, książę Ludwik pruski i Haugwitz, który teraz najgwałtowniejszym reakcyonistą się zrobił, krzyczeli na nieposzanowanie traktatów i gwałtem domagali się wojny. Zaczęły się dyplomatyczne objaśnienia i rząd francuski lojalnie oświadczył, że nic jeszcze w tym względzie nie postanowiono i że gdyby przyszło do oddania Anglikom Hanoweru, zrobi się to jedynie za wiedzą Prus i po odpowiednich kompensatach. Mimo to Haugwitz odwołał z Paryża margrabiego Lucchesiniego i na jego miejsce posłał Knobelsdorffa, żądając, aby wojsko francuskie za Ren cofnięto. Napoleon żądaniu temu byłby się prawdopodobnie nie opierał, ale, dowiedziawszy się, że cesarz Aleksander ratyfikacyi podpisanego przez Oubrila traktatu odmówił, przypuścił, że nowa koalicya przeciwko niemu już zawiązana i że układy angielskie są tylko prostem łudzeniem, aby go nieprzygotowanego można było zaskoczyć. Dlatego żądaniom pruskim odmówił i już w początkach października wojska swe nad Menem gromadzić począł. Król pruski także wyjechał do obozu, który wzdłuż Saali w okolicy zwanej Thüringer-Wald rozciągał.

Na starcie niedługo potrzeba było czekać. Współcześnie zaszła potyczka pod Schleitz i ośmiotysięczny oddział ks. Ludwika pruskiego 10 października przez generała Lannes pod Saalfeld rozbity został. Sam ks. Ludwik, obiecujący wielkie nadzieje, tu poległ. Klęska ta zamiast ostudzić, obudziła raczej ducha w wojsku pruskim. Król objął naczelne dowództwo i armią

do 150.000 żołnierza liczącą na dwie podzielono części, jednej przywodził ks. brunświcki, drugiej ks. Hohenlohe. Niżsi generałowie: marszałek Mölendorff, Rüchel i Kalkreuth i pomiędzy sobą i z główną komendą niezgodni, nie ułożyli żadnego innego planu, jak tylko ciągle iść naprzód, w nadziei może, że jeszcze nieprzyjaciela przygotowanego nie zastaną. Niestety nie długo osiągnięto pewność, że armie Napoleona do zaczepnego boju gotowe i marszałkowie Davoust i Bernadotte skierowali się do Naumburga, Lannes i Augereau ku Jenie, a Soult i Ney pozostali w średniej między temi masami pozycyi.

Prusacy w pierwszej chwili byli, zdaje się, zdecydowani bronić wybrzeżów Saali, ale ks. brunświcki przestraszony zajęciem Naumburga i obawiając się, żeby go nie odcięto od Berlina, zamierzył cofać się wzdłuż Saali ku Elbie i ks. Hohenlohe polecił powstrzymać Francuzów przy Jenie. Generał Rüchel miał służyć za rezerwę i ściągnąć do siebie ks. Weymarskiego, który poprzednio wysłany był w góry Turingeńskie.

13 października ks. brunświcki w stronę Naumburga wyruszył, a Napoleon podstąpił pod Jenę. Miasto to położone jest w głębokim rozdole, w środku którego płynie rzeka Saala, ani zbyt bystra, ani zbyt głęboka, żeby obrotom wojennym mogła przeszkadzać. Dolina rzeki aż po Weissenfeld jest wszędzie wązką, a oba jej wybrzeża pasmem niezbyt wysokich gór są otoczone. Droga ku Weimarowi zamknięta jest stromą górą Mühlthal i tę Prusacy silnie obsadzili. Nad samem miastem Jeną wznosi się najwyższa góra

Landsgrafenberg i u jej podnóża znajdował się pruski generał Tauentzien ze swym oddziałem. Dywizya Suchet'a z drugiej strony postępując, opanowała wierzchołek tej góry, a Napoleon postanowił wprowadzić na nią gwardye i korpus generała Lannes. W nocy przy pochodniach sapery przy osobistym nadzorze Napoleona drogę kuli tu dla dział i przed świtem artylerya była na stanowisku.

Kiedy główne siły francuskie tak blizko Prusaków obozowały, ks. Hohenlohe przekonany, że armie nieprzyjacielska od Naumburga ku Lipskowi się skierowała, przypuszczając, że co najwyżej dwa korpusy z pod Saalfeld mogą się tu znaleźć, generała Tauentzien zostawił pod Jeną, a sam na trakcie ku Weimarowi się wyciągał. Rankiem zagrzmiała kanonada i kiedy głównodowodzący posiłki Tauentzienowi chciał posłać, odebrał od ks. brunświckiego rozkaz, aby, unikając walnej bitwy pod Dornbergiem, o dwie mile niżej śpieszył.

Tymczasem korpus Lannes'a jak lawa spadając z góry już o 9 rano korpus Tauentziena rozbił, zabrał działa i mnóstwo niewolników. Ks. Hohenlohe na pomoc mu się rzucił, ale napotkał korpus Neya i z nim utarczkę zwieść musiał, kiedy zaś pierwsze tylko zaczynały się szarmycle, nagle Lannes z przodu, Augereau i Soult otoczyli go z boków. Generał Rüchel, który już był pod Weimarem, na głos strzałów przybywa, ale przybywa zapóźno i sam na polu walki ginie. Popłoch zrobił się nie do opisania, na wszystkie strony zaczęto uciekać, a tu tymczasem Murat rozpuścił swoją kawaleryą, która na wszystkie strony

zabierała jeńca. Bitwa pod Jeną zniszczyła zupełnie całą tak zwaną armię szląską, z Prusaków i Sasów złożoną.

Nie lepszego losu doznała i druga jej połowa, chociaż tylko z marszałkiem Davoust miała do czynienia, kiedy Davoust zajął Naumburg i posuwał swe eksploracye na drugą stronę rzeki do Kösen, schwytani jeńcy donieśli mu, że ks. brunświcki tu dąży. Ponieważ posiadał tylko 26.000 żołnierza i na otwartem miejscu z 70 tysięczną armią mierzyć się nie mógł, w nocy więc obsadził wąwóz Kösen i uszykował się poza nim na wzgórzach. Ks. brunświcki wyruszył z Auerstädt i wojska pruskie wązkim gościńcem postępowały gęsiego. Najpierwszy na plac boju przybył Blücher z jazdą i Schmetau ze swym korpusem. Porwały się te dwa korpusy na przełamanie francuskiej linii, ale dokonać tego nie mogły. Przybyła dywizya Wartenslebena nie zdołała jeszcze przeważyć szali, a tu tymczasem generał Schmetau ranny, ks. brunświcki śmiertelnym strzałem w twarz ugodzony i pod królem konia zabito. Przybywa z kolei ks. Oranii, ks. Wilhelm pruski na czele 10.000 jazdy, bitwa krwawa, ale Francuzi nie opuszczają pozycyi. Pozostał jeszcze nietknięty korpus Kalkreutha i wszelkie szanse przewagi były po stronie pruskiej, król jednak nie chciał słuchać Blüchera, domagającego się złamania linii francuskiej i postanowił cofnąć się, aby się połączyć z Hohenlohem. Cofanie odbyło się w porządku, ale kierując się ku Erfurtowi i Magdeburgowi najgorszą wybrano drogę. Spotkano się tu z niedobitkami z pod Jeny i nieporządek a zamęt powstał

jak największy. Odbiegano dział, wozów amunicyjnych, a Francuzi bez trudu zabierali jeńców.

15 października Napoleon ogłosił, że elektor Hessen-Kasselski przestał panować. Monarcha ten posiadał ogromne bogactwa, zebrane głównie z opłat za pozwolenie Anglikom rekrutowania w swojem państwie. Kiedy marszałek Mortier do Kassel się zbliżał zmuszony był uciekać i nie wiedząc co ze skarbami swymi począć, pozostawił je w depozyt frankfurckiemu negocyantowi Rotszyldowi. W 1815 r. Rotszyld sumę mu powierzoną elektorowi zwrócił z procentami, ale zyski przy nim pozostały i to było początkiem fortuny Rotszyldów.

Dalsze zwycięstwa były już tylko zabawką i Francuzi bez trudu pozostałe korpusy rozbrajali i zabierali fortece. Najdłużej trzymał się Blücher, ale i ten zagnany aż za Lubekę i przyparty do błot i morza poddać się musiał, a kiedy Kistrzyn i Magdeburg wzięto, Napoleon stał się panem całych Prus oprócz Szląska.

25 października marszałek Davoust zajął Berlin i Napoleon założył tu główną kwaterę, oczekując póki resztki pruskich niedobitków niezostaną wyłowione. Tu przyszły mu na myśl naturalne szczególnych zwycięstw tych skutki. Starcie z Rosyą stawało się nieuniknione, a kwestya na tem tylko polegała, czy nad Odrą wojsk rosyjskich czekać, czy rzucić się naprzód i spotkać się nad Niemnem i Wisłą. W obu przypadkach nastręczały się niemałe trudności. Przedewszystkiem nie można było dowierzać Austryi, tem więcej, że wszystkie warunki pokoju preszburskiego

nie były jeszcze wypełnione i że Austrya gromadziła wojsko w Czechach. Za zbliżeniem się wojsk rosyjskich i połączeniem ich z niedobitkami pruskimi można było napewno spodziewać się odżycia koalicyi. Wówczas to powstał w umyśle Napoleona projekt wyzyskania usposobienia i uczuć Polaków. Po raz pierwszy tu, ten, który we własnym kraju republikańskie rządy zdusił i woli swojej nigdy szranków nie zakładał, udał się do środka poruszania mas przez ukazanie widma wolności.

Przywołano z Neapolu generała Dąbrowskiego, z Paryża Wybickiego i jednocześnie zaproponowano Austryi, czyby za odstąpienie obu Galicyi nie zdecydowała się przyjąć Szlązka. Austrya odmówiła i był to najlepszy dowód, że z koalicyą myśli się połączyć, a Napoleon nie chcąc rozkiełznywać narodowego zapału, w połowie postanowienia swego się zatrzymał. Niemniej przeto wezwano Kościuszkę, aby objął dowództwo nad siłami z Polaków mającemi się utworzyć, ale Kościuszko, składając się wiekiem, słabością i danem w Petersburgu słowem się wymówił. Tymczasem Dąbrowski i Wybicki podpisali 3 listopada odezwę do narodu i natychmiast swoim rodakom ją rozesłali.

Davoust wkroczył w Poznańskie i 9 listopada przybył do Poznania. Po drodze ludność przyjmowała Francuzów z największym zapałem, znoszono najrozmaitsze zapasy, traktowano oficerów i żołnierzy, a serdeczność była tak ogromna, że nawet marszałek Davoust zwykle surowy, ponury i wcale nieulegający egzaltacyi wpadał w zapał i najpochlebniejsze swemu

monarsze zdał raporty o usposobieniu Polaków. Do Poznania przybył także Radzymiński, wojewoda gnieźnieński, starzec łysy zupełnie, z małym wiankiem siwych włosów, z sumiastym wąsem i w kontuszu, który już tak rzadko wtedy się spotykał. Jemu Dąbrowski i Wybicki powierzyli zarząd cywilny ziemi wielkopolskiej. Powstania formowały się wszędzie, ale powstawać było łatwo przy nieobecności wojsk pruskich i ograniczono się tylko na wypędzeniu władz pruskich i pozrzucaniu herbów i orłów.

Nowy wojewoda ogłosił tak zwane pospolite ruszenie i do niego obowiązany był stawać każdy szlachcic osobiście lub przez zastępcę z jednym szeregowcem. W miejsce pruskich magistratur zaprowadzono tak zwane Izby administracyjne, których obowiązkiem było dostarczać dla wojsk francuskich żywności i podwód i zbierać pieniądze na rynsztunki i mundury tworzącej się siły narodowej. W Kaliskiem, chociaż żaden oddział francuski się nie ukazał, sformowała się takaż sama Izba administracyjna, toż i w Bydgoszczy, którą zajął generał Lannes. Ten, bądź że złe drogi w zły humor go wprawiły, bądź że był mniej na serdeczne przyjęcie czuły, zdał Napoleonowi o Polakach bardzo nieprzychylny raport i wszelkie szersze względem nich projekta odradzał.

Rosyjskie wojska gromadziły się dopiero koło Niemna i tylko kozaków dla powzięcia języka za Wisłę wyprawiono, wojsko więc francuskie od Odry aż do Wisły żadnej nie spotykało przeszkody.

Do Puław w końcu października zaczęły dochodzić jakieś niepewne i niewyraźne wieści. Ponieważ

imieniny księżnej Czartoryskiej przypadły 19 listopada, przeto Grabowski i ja, niby dla sprawienia garderoby, a właściwie dla dowiedzenia się czegoś szczegółowiej wymknęliśmy się do Warszawy. Jednak i tu, mimo kilkudniowego pobytu dowiedzieć się wiele nie było można. Mówiono, że pod Jena Prusacy przegrali, ale utrzymywano, że tam tylko mała część armii była w boju, że reszta jej nietknięta silną pozycyę nad Elbą zajęła. Prusacy byli wprawdzie jacyś pomieszani ale rozgłaszali wieści, że lada dzień ogromna siła rosyjska wkroczy do Polski.

Nie dowiedziawszy się więc nic, wróciliśmy do Puław 9 listopada, a niebawem też i goście ściągać się poczęli. Rozpoczęły się jak zwykle bale, fety i teatra i pamiętam 17 listopada w najlepsze tańczono, kiedy na Złotej Sali, zjawił się ulubiony przez wszystkich ks. Stanisław Jabłonowski. Po pierwszych z gospodarzem powitaniach, dobył z zanadrza jakiś papier i zaczął go czytać, a gromadka ciekawych zabrała się dokoła. Tańczący także tany rzucili i koło przybyłego zaczęli się kupić. Była to odezwa wydana przez Dąbrowskiego i Wybickiego. Nie jestem w stanie odmalować wrażenia, jakie słowa tej odezwy wywołały u wszystkich. Nie była to radość, boć cieszyć się jeszcze nie było z czego, ale jakieś osłupienie, jakieś zdumienie i jakaś gorączka czynów. O tańcach mowy być więcej nie mogło, bal ustał i każdy udał się do siebie na spoczynek, a właściwie na rozmyślanie nad tą ważną chwilą. Niebawem inne dokładniejsze przychodziły wieści, to, że wojewoda gnieźnieński pospolite zwołał ruszenie i *antiquo more* punkt zborny

niedaleko od Gopła naznaczył, to, że Francuzi z Poznania wybierają się do Warszawy. Goście tymczasem nie rozjeżdżali się, ale owszem zjeżdżali się coraz nowi. Ścisk był straszny a oczekiwanie wszystkich milczącymi i ponurymi zrobiło, lecz kiedy 20 listopada przyszła wiadomość, że Francuzi do Warszawy przybyli, jak za dotknięciem różczki czarodziejskiej wszystko się z Puław rozleciało. Młodzież cała do Warszawy się przeniosła i jedni do wojska się zaciągali, drudzy do służby cywilnej wstępowali. Wielka świetność Puław tu koniec znalazła i kiedy na św. Adam, na dzień 24 grudnia zjechali się goście, nie było balów, bo nie było młodzieży do tańca. Panie, które tu bawiły z córkami porozjeżdżały się także, nowych uczenic na edukacyą nie przyjmowano, ks. Wirtemberska i państwo Zamojscy przenieśli się do Warszawy, ks. Konstanty objął dowództwo swego pułku i książę feldmarszałek, widząc coraz większą dezercyą do Sieniawy się przeniósł. Ja przeniosłem się do rodziców do Bronic i tylko już gościem w dawnem miejscu swojego pobytu bywałem.

W poznańskiem za impulsem danym przez Radzimińskiego i za staraniami Izby administracyjnej, w której szczególniej rej wodził Ksawery Działyński, a także wskutek gorliwości Piotra Bielińskiego w kaliskiej, a Gliszczyńskiego w bydgoskiej Izbie, w kilku dniach zebrało się kilka tysięcy ludzi. 16 listopada cztery pułki piechoty już zapełnione miały kadry. Ks. Antoni Sułkowski swoim kosztem zaczął sztyftować pułk piechoty, a w Kaliszu organizacyą sił zbrojnych zajął się generał Zajączek. Wojska te początkowo na

pamiątkę legionów włoskich także legionami zwano, a Zajączek swój, do którego sformowania dopomógł mu wielce ks. Michał Radziwiłł, nazwał *legionem północnym*. Imię to z czasem wyszło z użycia i korpus ten poprostu nazywano piątym pułkiem.

Z Poznania ks. Murat na czele jazdy do Warszawy dążył, za nim posuwał się korpus Davoust'a. Za zbliżeniem się ich Prusacy tak wojskowi jak i cywilni, tudzież urzędnicy rejencyi miasto opuścili i ks. Józefowi Poniatowskiemu z wyraźnego polecenia królewskiego władzę powierzyli. Przyjął ją książę Józef z tem wyraźnem zastrzeżeniem, że tylko do przyjścia Francuzów ją zatrzyma, że Warszawy nie opuści i za popędem narodowego uczucia pójdzie. Utworzył też zaraz straż miejską i ta przez trzy dni warty zaciągała i odbywała patrole.

28 listopada po południu od ulicy Elektoralnej pokazali się strzelcy konni generała Milhaud i dragoni generała Beaumont, przednią straż korpusu Murata tworzący. Przyjęto ich z oznakami największego entuzyazmu. Wszystkie okna mimo zimna przejmującego i spóźnionej pory dnia otworzono, powywieszano w nich dywany i makaty, tłum na ulicę się cisnął, a krzyki: — Niech żyją Francuzi, niech żyje cesarz! — napełniły powietrze. Rzucano kwiaty, na jakie tylko w tej porze roku można było się zdobyć, a gdy tych zabrakło, obłamywano doniczkowe rośliny, splatano z nich wieńce i pod nogi gościom miotano. Przed bramy wynoszono wino, wódkę, najrozmaitsze jedzenia i tłum zrobił się tak zwarty, iż wojsko za-

trzymać się musiało, a i oficerowie i żołnierze do jedzenia i do picia zabierać się poczęli.

W wigilią dnia tego stoczono małą, nic nie znaczącą potyczkę z kozakami pod Utratą, a tłum w swoim zapale uważał ją za olbrzymie zwycięstwo. Następnego dnia z całym korpusem przybył Murat, a zastawszy most na Wiśle przez Prusaków zniszczony, co najprędzej zabrał się do jego naprawy, nie dozwalając roboty przerywać nawet i w nocy. W dwa dni z piechotą przyszedł Davoust a z równą czułością, z równym zapałem przez lud witany. Thiers opisując zajęcie Warszawy, zarzuca, że wysoka szlachta zapału ludu nie dzieliła i w przyjęciu udziału nie brała. Jest to zarzut niesłuszny. Prawda, wielu tak zwanych magnatów i gasnącej już arystokracyi nie posiadało w części kraju przez Francuzów zajętej wiele posiadłości. Czartoryscy, Zamojscy, Sanguszkowie, Tarnowscy, Lubomirscy, Jabłonowscy, Ogińscy, większa część Sapiechów i Potockich, tudzież część Radziwiłłów, musiała się oglądać na swoje rządy i zachować się biernie. Ci wszakże, którzy wtenczas w Warszawie się znaleźli, nie zważali na skutki i dali się pociągnąć ogólnemu zapałowi. Książę Józef Poniatowski, ks. Antoni Sułkowski, ks. Aleksander Sapieha, Stanisław i Aleksander Potoccy, Działyński, Krasiński, Bieliński, Małachowski i tylu innych najlepszym są tego dowodem.

Ks. Murat obrał kwaterę w pałacu pod Blachą, na wzór Wielkopolski ukształcono zaraz Izbę administracyjną, na jej czele stanął Ludwik Gutakowski, a Michał Kochanowski i Tadeusz Dembowski weszli na jej członków. Pierwszemu powierzono wydział wojny, dru-

giemu skarbowy. Książę Józef tak jak Dąbrowski w Poznaniu i Zajączek w Kaliszu, zaczął formować legie, a ochotnicy z pośpiechem do zaciągu stawali i wezwanie do pospolitego ruszenia zastosowano tu także. Towarzystwo warszawskie wyścigało się z dawaniem wieczorów, obiadów i świetnych balów.

Napoleon z gwardyami i innemi wojskami, którym cokolwiek w Berlinie wypocząć pozwolono, przybył do Poznania 25 listopada. Tu go powitały deputacye izb: poznańskiej, bydgowskiej i kaliskiej. Wojewoda gnieźnieński stanął na ich czele, a było to już ostatnie jego publiczne wystąpienie, nowe bowiem izby od działalności go usunęły. Czy wskutek raportów marszałka Augereau i listów Lannes'a, czy wskutek głębszego rozmysłu, Napoleon już był znacznie oziębiony w zamiarach swych co do Polaków i pragnął jedynie, aby silne ich powstanie poparło jego wojownicze plany.

W Poznaniu bawił Napoleon dni kilkanaście. Tu 11 grudnia zawarł pokój z elektorem saskim, podniósł go do godności królewskiej i do związku reńskiego przypuścił. W zamian zapłacić kazał 25 milionów kontrybucyi i 6.000 Sasów do wojsk swych przyłączył. 18 grudnia przybył do Warszawy i stanął kwaterą w zamku. W humorze był gorzkim i najpierwej połajał Murata, iż się stroi, bawi, baluje, do Polaków się umizga a o wojnie zapomina. Na drugi dzień stawiła się deputacya warszawska i ta gorzej jeszcze przyjęta została.

— Cóż to jest — rzekł do niej — francuski garnizon w Warszawie częstujecie, rozpajacie, przy-

zwyczajacie go do zbytków, a w magazynach po drodze pustki i żołnierze na linii bojowej mrą z głodu. Tańcujecie tylko i balujecie, a o tem co należy, nie myślicie.

Zaobserwował na to Kochanowski, że wszystkiego, czego dotąd żądano — dostarczono, a co zażądanem będzie — dostarczy się także.

Napoleon wyjął z kieszeni złożony papier, a oddając go Kochanowskiemu rzekł:

— Oto wykaz potrzeb, które jeśli we dwadzieścia cztery godzin nie będą dostawione na miejsca wskazane, będziesz waszmość rozstrzelany.

To mówiąc dobył tabakierkę, otworzył ją i włożył palce po niuch tabaki. Kochanowski lubił także zażywać, a widząc otwartą tabakierkę, sięgnął do niej machinalnie i zimną krwią zażył.

Napoleon się rozśmiał.

— *Voila un singulier diable d'homme* — rzekł cesarz — *je lui dis, que je le ferai fusiller en 24 heures et il me prend une prise en guise des rémerciments.*

Kochanowski tymczasem podany wykaz przejrzał i pokręciwszy głową oświadczył, że w 24 godzin tego spełnić nie może, ale że w trzy dni wszystko będzie dostawione.

— *Eh bien soit* — odpowiedział Napoleon krótko i deputacyą pożegnał.

Ostatnich dni listopada i w początku grudnia przeprawili się Francuzi w wielu punktach przez Wisłę. Davoust prawie za przybyciem do Warszawy zajął Pragę i gdy most postawiono, cały korpus jego tu się rozlokował, sięgając aż do Jabłonny. Lannes

pozostał w Warszawie, Augereau posunął się na pół drogi do Błonia, a Ney zajął Toruń. Rozpoczęto zaraz sypać szańce przedmostowe w Pradze i rozbierać domy nietylko na pomieszczenie trzech bastyonów, dwóch półbastyonów i dwóch półksiężyców, ale i na stoki. Marszałek Davoust następnie się ruszył i przebywszy Narew, a raczej Bug pod Okoninem, wystawił tamże most i szańcem go opatrzył. Napoleon udał się zwiedzić granice Austryi nad Narwią, które wązkim klinem dopierały do Wisły i zadecydowawszy, że pozycya między rzekami Wisłą, Narwią, Bugiem i Wkrą jest nader silna, postanowił działanie zaczepne rozpocząć.

Kiedy Francuzi wkraczali w Poznańskie, rosyjskie siły przeprawiały się przez Niemen, a król pruski z Berlina przeniósł się do Królewca i generał jego Lestoc, zostawiwszy małe załogi w Grudziążu i Gdańsku z 15.000 osłaniał Warmią. Połową sił rosyjskich dowodził Beningsen, drugą Buxhewden, a każdy z tych oddziałów liczył po cztery dywizye piechoty, oprócz jazdy. Wojska te zajęły linią między rzekami Wkrą, Narwią i Bugiem, a ponieważ z ogromnemi siłami francuskiemi mierzyć się nie mogły, przeto hr. Tołstoja postawiono w Czarnowie przy ujściu Wkry do Buga, o trzy ćwierci mili dalej zajmował pozycyą generał Siedmioradzki, Sacken trzymał się koło Zegrza między Łopacinem a Nowem Miastem, a w Pułtusku ks. Golicyn założył główną kwaterę. Generał Buxhewden dwie dywizye umieścił w okolicach Popowa, między Bugiem a Narwią, a drugie dwie w Makowie i Ostrołęce. Koło 20 grudnia objął naczelne wojsk

tych dowództwo generał Kameński, wsławiony w wojnach tureckich i wojska pod nim wszystkiego liczono 100.000, chociaż znacznie mniej być musiało, bo ciężkie choroby dziesiątkowały szeregi.

23 grudnia Napoleon zostawiwszy w szańcu Pragi polskie pułki ks. Józefa i dywizyą dragonów francuskich i mianowawszy gubernatorem Warszawy generała Gouvion St. Cyr, przeniósł swą główną kwaterę do wsi Okonina, nad Bugiem, pomiędzy Nowym Dworem a Górą położonej. Tu zamieszkał w prostej chłopskiej chacie, w której później właściciel wsi Gutakowski, tablicę marmurową przybić kazał. Czy ona dotąd istnieje, powątpiewać można. Tegoż dnia sam osobiście zlustrował brzegi Wkry, po drabinach wdrapywał się na stodoły dla obserwowania pozycyi, wieczorem kolumny korpusa Davousta rozstawiał i myślał w nocy atakować generała Tołstoja.

Znacznie później już bo w 1818 r. — kiedym odbywał drogę do Warszawy — przypadł mi nocleg w karczmie Brzeska, za Górą Kalwaryą leżącej. W szynkownej izbie gawędziło kilku ludzi, a stary żandarm i huzar z pułku grodzieńskiego między nimi rozpowiadali rozmaite wypadki częstującemu ich rybakowi. Chłop słuchał ich cierpliwie, ale potem stawiając nową kwartę, rzekł:

— Moi panowie, wyście wielcy wojacy, ale zawsze bez pomocy naszej ani rusz i to samo mi powiedział wielki Napolion — i juści.

Oba wojskowi na tę wzmiankę wypytywać poczęli, gdzieby rybak Napoleona widział.

— Ano tak — odpowiedział zapytany — sam

Napolion, bo i cóżby on poradził i coby Francuzi poczęli w Toruniu, kiedy tu na Wiśle strzyż, Prusacy z lądu strzelają, a oni się pchają przez lody. Berlinkarze Niemcy pobrali drągi, co która łódź dopływa, oni odpychają. My jak to zoczyli — dalej chłopcy! — rzekę do swoich, pomóżmy im i wzięliśmy wiosła. Berlinkarzy jak zaczniemy młócić po plecach, uciekli kartoflarze. Prusacy strzelać nie przestawali, coś tam nawet naszych skaleczyli, ale ja cały wyszedłem. Otóż jak berlinkarzy odegnaliśmy, zaczęliśmy łodzie ciągnąć hakami i takeśmy Francuzów sprowadzili do Torunia — a cóżby bez nas zrobili?

— To dobrze — zrobiono uwagę — ale gdzież Napolion?

— Napolion, ba! — rzekł zapytany — toć on na łodzi nie siedział, juści, że nie. Ja z Torunia wracałem do domu i szło się wolno, bo choć zimno, ale błoto było przeklęte, a nad Wisłą pełno wojska — to Francuzi, to Ruscy, a każdy myśli że szpieg, więc i markotno człowiekowi. Przed samemi jednak świętami jakoś się zawędrowało do Nowego Dworu, a tu Francuzów jak maku, gdzie stąpisz to i Francuz. Już było po południu, siedziałem se i medytowałem jak się tu do Pragi docisnąć, kiedy na rynek wpada pułkownik Szymanowski. Woła niby o burmistrza, choć wtenczas takich nie było, bo ich inaczej nazywano. Skoro przyszedł wezwany, krzyczy nań pułkownik: — Daj przewoźników, a żywo. — A co wielmożnemu panu po przewoźnikach? — zapytałem nieśmiało. — A co pytasz durniu? — on mi na to — co ci do tego? — Choć ja i dureń rzekę, z przeproszeniem

łaski pańskiej, ale przewoźnik. — A znasz Narew? — Znam. — A znasz Wkrę? — Znam. — To chodź-że ze mną — i dalejże do Okonina on pędzi, ja biegnę, szczęściem że niedaleko. Stanął przed chałupą, zlazł z konia, którego żołnierz odprowadził, kiwnął na mnie i wchodzim do chaty. Siedział tu nizki, dosyć gruby człowiek w szarawym surducie i ja myślałem, że to pewnikiem jaki generał, ale postrzegłem, że zwyczajny szlachcic, bo bez munduru. To i dobrze myślę sobie i duch we mnie wstąpił, bo słyszałem zawsze, że ci generałowie to ludzie bardzo gniewliwi, że łatwo od nich po skórze oberwać, a czasem i co gorszego. Poświegotali coś ze sobą po francusku i tyle tylko zrozumiałem, że ten szlachcic powiedział: *bon.* — Ha to i dobrze myślę sobie i czekam. Ale oni nic do mnie nie gadają, tylko ciągle gromada oficerów to wychodzi, to wchodzi do chałupy. Zniecierpliwiło mnie to nakoniec i rzekę do pułkownika:

— Toć w chałupie przewozić się nie będziemy.

Poszwargotał coś znowu ze szlachcicem i kazał mnie być cierpliwym.

Już też i ściemniać zaczynało i wtedy dopiero szlachcic wstał, wyszedł i wszyscy za nim. Przeszedł piechotą most na Bugu, a wszyscy za nim i dalejże wyłazić na chałupy na stodoły, na kominy i ja za nim, bo mnie tak kazano. Czyniłem to i małom kilka razy nie zleciał, a w duszy sobie myślałem, że to musi być jakiś wielki pan, kiedy za nim tylu oficerów jeździ i kiedy on sam ustawia wojsko. Dziwiło mnie tylko, że szlifów nie ma i ludzi nie znieważa.

Nagle pułkownik Szymanowski na mnie zawołał i pokazując ręką, pyta:

— A co to naprzeciwko?

— Kępa.

— A za kępą?

— Drugie ramię Wkry.

— A szerokie?

— Węższe o połowę.

— A głębokie?

— Można się utopić.

A ponieważ gęsta kra szła na rzece, pyta więc czy można się przeprawić, stanąć na drugiej stronie kępy i jak prędko da się to zrobić? — A można — rzekę — tylko nie tak prędko jak zwykle. A byli już przewoźnicy inni i kilkunastu żołnierzy z wiosłami, co mnie niepokoiło, bo żołnierz do fuzyi dobry, ale do wiosła partacz. Kra idzie, jak któren się przechyli, a wiosłem szturgnie, to i po łódce. Pomiarkowałem, że ten pan chce, żeby w kilkadziesiąt łódek kępę okrążyć i na drugiej stronie czekać. Ukłoniłem mu się też i powiedziałem:

— Wielmożny panie, o przewoźników proszę, ale żołnierzy nie potrzebuję, bo to na dyabła się nie zda, a czółna potopią.

Szlachcic zapytał pułkownika, co ja gadałem i śmiać się począł. Mnie to trochę uraziło, boć jakże można przypuszczać, żebym ja, co się na wodzie wychował, nie znał się lepiej na tem rzemiośle od żołnierza.

Ale wsiadamy w łódki, a tu tymczasem żołnierze krzyczą: *Amperer*. — Pytam gdzie on? pokazują, pa-

trzę przez Boga, a toć to ów szlachcic. Serce mi się ścisnęło i myślę sobie: — aj dudku, dudku! gadałeś z nim, aniś mu się ukłonił, ani szacunku oddał, a byłby cię pewno uczciwie obdarzył, kiedy tak potrzebował. Płyniemy — aż tu i noc. Co myśmy się tej nocy nabiedowali — Chryste Jezu. — Calusieńką noc i przewóż i przewóż, a tu kra, a tu ciemno, a tu kule świszczą ponad głowami. Kiedy się rozwidniło, patrzę, aż tu o paręset kroków most. — Tfu! — myślę sobie — czy mi się śni, czy mi się marzy, boć tu mostu nigdy nie bywało. Ale taki most, most rzeczywisty, tylko na jakichś skórzanych klocach oparty. Już nas też i nie potrzebowali, a dali tylko dziesięć dużych dukatów i na drogę kartkę, zapomocą której bezpiecznie do domu się dostałem.

Rzeczywiście przeprawienie się przez Wkrę, niezbyt szeroką ale przez lody pokrytą, dokonane w nocy mogło znienacka zaskoczyć Tołstoja, ale on o tym ruchu Francuzów się dowiedział i ku Pułtuskowi się cofnął. 24 Napoleon z Davoustem posunęli się do Nasielska, tu małą utarczkę z aryergardą rosyjską stoczono i w miasteczku się zatrzymano. Tegoż samego dnia marszałek Augorau pod Sąchocinem a Soult w samym Sąchocinie przez Wkrę się przeprawili i skierowali się do Nowego Miasta. Ku wieczorowi nastąpiła nagła odwilż, zaczął padać deszcz ze śniegiem, a w pierwsze święto Bożego Narodzenia zrobiła się jeszcze większa flaga. Mało skrzepnięta ziemia rozmiękła i zrobiło się straszne błoto, utrudzające marsze, przewóz artyleryi i amunicyi. Ponieważ armia francuska nie posiadała takiej lekkiej konnicy jak są

kozacy, nie mogła więc pełnić ani służby flankierskiej ani odbywać rekonesansów. Kiedy Davoust posuwał się do Nasielska, Lannes przeprawiwszy się pod Okoninem głównym traktem ku Pułtuskowi dążył.

W tym czasie korpus Beningsena zebrał się prawie cały w Pułtusku i ściągnął od Buxhevdena parę brygad Bagawuta i Doktorowa. Lannes 26 o świcie przybył pod Pułtusk. Miasto to nad Narwią poprzedzone jest równiną, do lasu dopierającą. Równinę tę zajął Beningsen i jedno skrzydło oparł o rzekę, drugie o las, jazdę między piechotę umieścił i cały front liczną artyleryą okrył. Lannes miał pod sobą 18.000 żołnierza, a na lewem skrzydle pozostało jeszcze 7.000, te jednak z powodu złej drogi, zaledwie na wieczór ściągnąć na linią bojową mogły. Siły rosyjskie wynosiły około 40.000, a co im szczególną dawało przewagę, to ta okoliczność, że Francuzi w błotach pozostawiali ciężkie swe działa i tylko lekkiemi, małego kalibru rozporządzali. Nastąpiła bitwa nader krwawa, trwająca dzień cały i choć Rosyanie od strony Pułtuska cokolwiek z zajmowanej pozycyi ustąpili, nie byli jednak nigdzie złamani. Przed samym zmierzchem przybyła dywizya Gudin i bój z nową zaciętością się odnowił, wypadek wszakże jego nie był szczęśliwy, bo nowa dywizya została odparta, a lewe skrzydło okolone. Noc atoli ciemna i wielka burza bez ustanku trwająca, koniec wszelkim ruchom położyły. Wygraną obie strony przepisywały sobie, a na drugi dzień Rosyanie Pułtusk opuścili, przeszli Narew i most za sobą spalili.

Tegoż dnia Napoleon pod Gołyminem spotkał

dywizyą Doktorowa i dwie brygady z korpusu Beningsena pod Pułtusk spieszące. Zastąpił im drogę i bez względu na wygodną dla Rosyan pozycyą Gołymina, położonego wśród bagien, do ustąpienia ich zmusił.

Soult zajął Ciechanów nie spotkawszy Rosyan, a Ney i Bessières spędzili z pozycyi generała pruskiego Lestoca i zdobyli zajmowany przez niego Działdów. Próżno Prusacy aż do północy szturm do tego miasta przypuszczali — już go odzyskać nie mogli.

W czterodniowej tej kampanii Napoleon wbrew swemu zwyczajowi, po raz pierwszy rozciągnął swe linie przez całą szerokość Płockiego od Modlina do Działdowa i stąd wynikło, że jeden korpus nie spotkał wcale nieprzyjaciela, dwa zadały Prusakom klęskę, ale bez rezultatów i wobec najliczniejszych wojsk rosyjskich znalazł się oddział najmniejszy. Z drugiej strony trudno zrozumieć, co znaglało Francuzów do tych szybkich ruchów w czasie takich wielkich błot i roztopów. Artyleryi swojej przez to nie mogli rozwinąć, a położenie Rosyan trzymających się odpornie było wygodniejsze. Pomimo więc znacznej straty ludzi, armaty z popsutemi lawetami były jedynemi trofeami i oprócz rannych, żadnego innego nie wzięto niewolnika.

Jakkolwiekbądź czy wskutek gwałtowności ruchów francuskich, czy stosownie do dawniej powziętego planu cofnęli się Rosyanie z Płockiego, zamierzając teatr wojny przenieść do Prus wschodnich i zachodnich. Nie ścigał ich nikt i Francuzi ulokowali się

między Wisłą a Warmią, rozstawiając jazdę lekką ku Ciechanowowi, a ciężką za Wisłą.

Napoleon 28 przybył do Pułtuska i dni następnych przyjął deputacyą, wysłaną od utworzonej Izby administracyjnej płockiej. Kiedy członkowie jej z powozów wysiadali, gwardya przy kwaterze straż trzymająca, buty im z nóg pościągała. Deputaci w skarpetach i zabłoconych sukniach myśleli udawać się gdzie po jakiekolwiek obuwie, ale adjutant cesarski zastąpił im drogę i rozkazał, żeby się przed cesarza stawili. Próżno tłómaczyli się swoim przymuszonym negliżem, odpowiedział im, że to wojna i etykieta żadna nie może przeszkadzać do spełnienia obowiązku. Napoleon przyjął ich śmiejąc się i rzekł:

— To są skutki wojny i waszych błot przeklętych. Łatwiej sobie dacie rady bez butów jak moja gwardya, która w waszych bagnach trzewiki pogubiła.

Rzeczywiście niezwykły u nas w tej porze stan pogody wywarł na armią francuską wpływ bardzo niekorzystny, popadła ona w jakąś rozpacz i przeklinała Polskę.

— Cóż to za kraj? — mówiono. — Trzeba być żabami, żeby tu żyć potrafić. Choroby zaczęły trapić wojsko i mnóstwo żołnierzy szło do lazaretów.

XIII.

Na sam początek 1807 roku, bo na 1 stycznia powrócił Napoleon do Warszawy i zabawił tu teraz stale blizko przez cztery tygodnie. Urządzono mu wówczas coś w rodzaju dworu, a książę Aleksander Sapieha, ten sam który później podróżował po Bośnii i Albanii i podróż swoją drukiem ogłosił, został naczelnym szambelanem. Darowano mu dobra Preny i jedyna to dotacya z liczby tych, które nadane przez Napoleona, odebrane następnie nie zostały.

Jeszcze kiedy Napoleon w Poznaniu bawił, brat jego, książę Hieronim, na czele kontyngensów związku reńskiego, z których utworzono 9-ty korpus, rozpoczął zdobywanie twierdz szląskich. Te choć dość liczne posiadały garnizony, brakło w nich wszakże żołnierza starszego, a szczególniej kanonierów. Amunicyi też niewielkie były zapasy, nie spodziewano się bowiem w Prusiech, aby teatr wojny tak prędko mógł się przenieść nad Odrę. Jeszcze więc 2 grudnia roku poprzedniego poddał się Głogów, a Wrocławia w styczniu także dobyto, choć ks. Anhalt Pless, zebrawszy masy chłopstwa, usiłował mu przyjść na pomoc.

Równie w styczniu Brzeg otworzył swe bramy, a w ciągu dalszych miesięcy poddały się Koźle, Świdnica, Nissa i Kladzko (Glatz). W lutym Bawarczyków, jako już do działania tutaj zbytecznych, odesłano do Warszawy. Mortier tymczasem oblegał Stralsund i zajmował Berlin. W styczniu utworzono nowy 10-ty korpus marszałka Lefebvre. Oprócz kilku pułków francuskich z kraju przybyłych, złożyli go Badeńczycy i dwie polskie legie, to jest ośm batalionów Dąbrowskiego, sformowanych w Poznaniu i tyleż Zajączka, wystawionych w Kaliszu. Siły te skierowano ku ujściu Wisły, w Gdańsku bowiem generał pruski Kalkreuth stał z dosyć znacznem wojskiem.

Generała tego pamiętam dobrze, nabył on bowiem dobra w Lubelskiem — Łęcznę i ile razy ją odwiedzał, zawsze do Puław na kilka dni wstępował. Urodzony 1737 r., należał on do szkoły Fryderyka II-go i w czasie wojny siedmioletniej pierwszą swą praktykę wojskową odbywał. Później pełnił obowiązki adjutanta przy bracie królewskim, ks. Henryku i posuwając się po stopniach, został generałem i grafem. Głównie zasłynął w kampanii francuskiej — zdobył Moguncyą i pod Kaiserslautern odparł Francuzów. Po pokoju bazylejskim wojskami w Pomeranii dowodził.

Wysokiego wzrostu, chudy, kościsty, z żoną bardzo do siebie podobną, tworzył on wraz z nią prawdziwą parę koczkodanów. Generał kawaleryi Kalkreuth nie stosował się do przyjętego w armii munduru, ale *antiquo more* nosił krój sukien z czasów Fryderyka II. Frak tedy błękitny z szerokiemi polami, do surduta

się zbliżający, niziutki przy nim czerwony kołnierz i takież wązkie rabaty, sięgające do bioder. Guzy przy fraku olbrzymie, kamizelka kanarkowa niepospolitej długości, spodnie łosiowe i buty palone z ogromnemi ostrogami. U boku szabla prosta na pasie rzemiennym czarnym, który spięty klamrą szmelcowaną, kamizelkę przecinał. Łysy zupełnie, z bocznych włosów splatał cieniutki harcap, który mu się aż do pasa zwieszał. Pani generałowa w kornetach łokciowych i w sukniach krojem z pierwszych lat panowania Ludwika XVI, ani na krok nie opuszczała staruszka i zawsze przy jego boku dreptała. Syn ich — poeta niemiecki.

Warszawa tymczasem wskutek pobytu tutaj Napoleona ożywiła się znacznie. Przybywały do niej rozmaite znakomitości: książę Talleyrand ze swem biurem, ks. Bassano i z nim cały sekretaryat stanu, główna intendentura armii, sztaby i liczny garnizon. Ciągłe bale i wieczory nie ustawały prawie, a i Napoleon także w zamku przyjmował. W tym to czasie zapoznał się on i zaprzyjaźnił z panią Walewską, z domu Łączyńską, świeżą i piękną blondynką. Znajomość ta jednak w tej epoce nie przekraczała poza granice towarzyskiej zalotności.

Współcześnie pomyślano o ześrodkowaniu i uporządkowaniu władzy, pięć bowiem miejscowości: Poznań, Bydgoszcz, Kalisz, Warszawa i Płock, gdzie potworzono izby administracyjne, żadnej w postępowaniu nie zachowywały łączności i rządziły się dotychczas podług własnej chęci. Ustanowiony więc został główny zarząd na zasadzie instrukcyi, dnia 26

stycznia 1807 r. przez Napoleona podpisanej. Był to rodzaj dosyć ciekawej kolegialnej dyktatury. Wszystkie postanowienia wydawano w imieniu Napoleona Wielkiego, cesarza i króla a władza tej magistratury była zarazem i prawodawcza i wykonawcza, z tą różnicą, że prawa według paragrafu 8 nazywano *wyrokami*, a przepisy wykonawcze *uchwałami*.

Komisya ta rządząca składała się z siedmiu osób. Prezesem mianowany został były marszałek Stanisław Małachowski, a członkami: Ludwik Gutakowski prezes warszawskiej Izby administracyjnej, Stanisław Potocki, Wybicki emigrant, Piotr Bieliński, Działyński — prezesi izb kaliskiej i poznańskiej i Walenty Sobolewski były starosta warszawski. Sekretarzem naznaczono Jana Łuszczewskiego, a za herb i pieczęć przyjęto Orła białego, nadając takież same znaki i innym dykasteryom.

Ministeryów ustanowiono pięć i na naczelników ich, zwanych dyrektorami, zamianowano: Feliksa Łubieńskiego dyrektorem sprawiedliwości, ks. Józefa Poniatowskiego dyrektorem wojny, Tadeusza Dembowskiego dyrektorem skarbu, Brezę — spraw wewnętrznych i Aleksandra Potockiego z Koniecpola — policyi. Wszyscy oni razem w pięciu składali gabinet *direktorium* zwany.

Izby administracyjne zatrzymano i nadal, za warunek tylko położono, żeby działały kolegialnie w komplecie dwunastu członków. Prowincye, któremi Izby te zarządzały, nazwano departamentami. Landratów skasowano, a na ich miejsce ustanowiono Izby powiatowe, z czterech członków złożone i także kolegialnie

działające. Miastom przywileje ich zatwierdzono i zachowano prawo mianowania prezydentów i magistratów. W miastach prywatnych nominacyą burmistrzów w ręce właścicieli oddano.

Zaprowadzono sądy pokoju patrymonialne do sądzenia spraw włościan z dziedzicami, miejskie, graniczne, ziemiańskie, sąd apelacyjny i trybunał najwyższy. Oddzielnych sądów kryminalnych nie ustanawiano.

Wychowanie powierzono Izbie edukacyjnej. Co do duchowieństwa, zwierzchność nad nim oddano Dyrekcyi spraw wewnętrznych i nakazano modlić się za Napoleona. Bulle papieskie bez pozwolenia rządu ogłaszane być nie mogły, a nominacye biskupów i kanoników także od rządu zawisły.

Chociaż Warszawa balami i zabawami świetniała, obraz tego, co się działo w kraju, rozdzierał serce każdego. Napoleon uwalniając prowincye polskie od kontrybucyi, jakie z Prus ściągano, w zamian bezpłatne żywienie swojej armii zastrzegł. System rekwizycyjny zastosowano w całej rozciągłości, a armia cała, za wyjątkiem 8, 9 i 10 korpusów, tudzież Bernadotta, skoncentrowana na Kujawach i w Płockiem, wymagała nietylko nadzwyczajnych ilości furażu, ale jeszcze rzeczy zagranicznych takich, jak: ryż, wino i t. p. Nadto niezliczona ilość podwód, do ciągłych transportów konieczna, niszczyła i zabijała sprzężaj. Tworzenie siły zbrojnej miejscowej całą gotowiznę pochłonęło, wojska i system kontynentalny handel przyprawiły o ruinę, a ponieważ za produkta nie płacono gotówką, tylko do późniejszej koekwacyi bony

dawano, pieniądz więc stał się prawdziwą rzadkością. Tam gdzie wojsko przechodziło, bez litości zabierano wszystko, szukano nawet po lasach zakopanego zboża, administracya zaś ze swej strony nakładała coraz nowe podatki i rekwizycye. Komisarze mianowani wypłat pilnowali, a podług rozkazu z 5 marca 1807 r. polecono: „Cokolwiek wykaże się po folwarkach i chałupach wiejskich zbywającego od istotnych potrzeb gospodarskich, ma być zajęte na rzecz publiczną".

Pospolite ruszenie, nakazane przez wojewodę Radzimińskiego na 1 stycznia 1807 roku, dla którego punkt zborny pod Łowiczem wyznaczono, następnie zmienione trochę zostało. Z masy, którą zbierać mieli ustanowieni generałowie wojewódzcy, zaczęto formować regularne pułki jazdy, dodając je do piechoty, która umundurowana, w ewolucyach wojskowych trochę wyćwiczona i karabinami z Berlina uzbrojona, składała się z 12 pułków, wstępujących na linię bojową. Z pospolitego ruszenia dodano do niej trzy pułki ułanów, broni we francuskiem wojsku nieznanej i trzy pułki strzelców konnych.

Uregulowanie powinności dostawy ludzi oznaczyła Komisya rządząca postanowieniami swojemi z dnia 20 stycznia, 12 i 24 lutego 1807 r. i na mocy ich siły te oddano pod rozporządzenie dyrektora wojny. Jeszcze zaś w miesiącu poprzednim zaczęto za zezwoleniem Napoleona formować pułk ułanów. Ten wzięto odrazu na żołd francuski i później do gwardyi cesarskiej wcielono. Dowódcą jego naznaczono Wincentego Krasińskiego; o pomieszczenie tutaj najpierwsza młodzież polska się ubiegała.

Te wszystkie wysilenia kraj zubożyły okropnie i szczególniej po wsiach nastąpiła tak straszna nędza, że wyobrażenia o niej nawet zrobić sobie trudno.

Przy Komisyi rządzącej komisarzem czyli rezydentem francuskim zamianowany został p. Vincent, a szczególnym zbiegiem okoliczności tak samo się nazywał austryacki rezydent do Warszawy przysłany. Austrya nadto oprócz swojego p. Vincent poleciła hr. Neupergowi, dowódcy tak zwanych *Kaiser-Husaren,* w Okuniewie konsystujących, stale w Warszawie przemieszkiwać.

Po bitwach pułtuskiej i gołymińskiej dowództwo nad wojskami rosyjskiemi Kameńskiemu odjęto i naczelnym wodzem zamianowany został Beningsen. Ten ściągnął do siebie dwie dywizye, które bezczynnie nad Bugiem w Popowie stały i idąc ku Tykocinowi, w końcu stycznia wkroczył w głąb Prus Wschodnich. Nad rzeką Omulewem zostawił dwie dywizye świeżo z Litwy przybyłe pod Essenem, a Francuzi, których czaty koło Ostrołęki były wyciągnięte ani przypuszczali, widząc kręcących się kozaków, że strony te przez główne siły rosyjskie są już opuszczone. Marszałek Ney, który za furażowaniem głęboko do Warmii się zapuszczał, pierwszy dowiedział się o tych ruchach i o wielkiej sile Rosyan 26 stycznia do Warszawy doniósł. Cesarz przypuszczając, że nowe walki blizkie, 30 stolicę opuścił i wszystkie korpusy z zimowych leż poruszył. Warszawę zajęli Bawarowie, komendantem zamianowany został adjutant cesarski Lemazois, a Pragę obsadzono polskimi zaciągami.

5 korpus marszałka Lannes, który chorobą zło-

żony od miesiąca w Warszawie przebywał, oddano generałowi Savary, późniejszemu księciu Rovigo i nad Omulewem go zostawiono, inne ku Allensteinowi w Warmii zbierać się miały, Bernadotte zaś nad dolną Wisłą obozujący, miał się cofać aż ku Toruniowi. Tak w dniach kilku front wojska całkiem zmieniono i z kierunku wschodniego zwrócono ku północy, wkraczając w kraj żyzny, w miasta obfity i klęskami wojny dotąd nie wyczerpany. Zima ustaliła się także, lekki śnieżek utarty zrobił drogi wyborne i dawnych błot ani śladu nie było.

Napoleon 30 go nocował w Przasnyszu, a 31 z Wielbarka wysłał rozkaz do Bernadotta, zalecając mu ruch już wspomniany. Nieszczęściem, oficera, wiozącego depeszę, kozacy ujęli i Beningsen dowiedział się nietylko o przeznaczeniu Bernadotta, ale i o położeniu innych korpusów i całym planie Napoleona. Przypuszczaćby było słusznie, że po wypadkowem odkryciu zamiarów rzuci się naprzód na Bernadotta i korpus jego rozbije. Beningsen jednak postanowił zatrzymać się na miejscu, aby pojedyńcze nadchodzące korpusy chwytać. Tymczasem wojska francuskie 2 i 3 lutego w Allensteinie spoczywały, a wieczorem tegoż dnia Soult most pod Bergfried zdobył. 4-go zajęto Gutstad, 5-go Ney, przerzuciwszy się pod Deppem przez Pasargę, spotkał się z generałem Lestoc, ten jednak bitwy nie przyjął, ale uratował się, dając na zniszczenie cały oddział do zasłaniania jego przeznaczony. 6-go Rosyanie opuściwszy Hellsberg, stanęli w Landsberg i zajęli Hoff z mocnym zamiarem nie oddania tej pozycyi. Spędzeni stąd atoli

cofnęli się do Preussisch-Eylau, Beningsen tu stanął 7-go, przednie czaty zostawiwszy w Ziegelhoff pod wodzą Bagawuta i Barclaya de Tolly. Wieczorem kawalerya Murata i korpus Soulta zaatakowały tę wioskę, a spędziwszy awangardę, zajęły miasto Eylau. Rosyanie uporczywie go bronili, tak, że prawie każdy dom i ulicę zdobywać było trzeba, a nie mogąc gwałtownemu atakowi Francuzów się oprzeć, ustąpili za miasto i zaraz za nim obóz rozłożyli. Widząc to, Napoleon wysłał do marszałków Neya i Davousta rozkazy, ażeby coprędzej tu dążyli. Davoust znajdował się o mil trzy pod Bartensteinem i odpowiedział, że z pewnością zrana się stawi, co do Neya, ten stoczywszy bitwę z Lestokiem, był w owej chwili pod Kreuzburgiem i nie mógł wcześniej jak na wieczór przybyć. Tym sposobem Napoleon rozporządzał swemi gwardyami, kawaleryą Murata, korpusami Soulta i Augéreau. Wszystko to razem stanowiło jedynie 54, a z Neyem 68 tysięcy wojska, które zmniejszonem zostało znacznie, gdyż z powodu forsownych marszów wiele zostało maruderów. Rosyanie z Prusakami liczyć się mogli razem na 85.000, ale po kilku wspomnionych bitwach zredukowani byli do 75.000. W artyleryi wszakże mieli wielką nad Francuzami przewagę.

Rano 3 lutego uszykowały się wojska wśród równiny na której jedyną wyniosłość zajmowało miasto, z większym wzgórkiem, gdzie znajdował się kościół i cmentarz obmurowany. Rosyanie uszykowali się w dwie linie niezbyt od siebie odległe, na czele ustawiono trzysta dział, w tyle po skrzydłach stanęły

dwie ścieśnione kolumny piechoty, a w środku za liniami znajdowała się rezerwa artyleryi i część jazdy, której reszta rozdzieliła się między dwa skrzydła. Napoleon sam ze sztabem stanął na cmentarzu, Soult zajął miasto, dotykając jedną stroną młynów, drugą cmentarza, a jedna jego dywizya rozlokowała się poza cmentarzem wiosce Rothenen. Zanim marszałek Augereau, a dalej jeszcze w tyle gwardya i kawalerya. Działa także na froncie były uszykowane. Rozpoczęła się bitwa straszliwa. Dział 500 na nierozległej stosunkowo przestrzeni ustawionych sprawiało huk taki, iż wszystko trząść się zdawało, a miasto Eylau i wioska Rothenen ogniem się zajęły. Obydwa wojska stały nieporuszone, choć straszne spustoszenia w szeregach ich działa sprawiły. Pierwsi Rosyanie w ściśniętej kolumnie uderzyli na koniec prawego skrzydła, ale odparci zostali. Koło 9-ej dały się słyszeć strzały karabinowe, to Davoust przybywał, atakując prawe skrzydło pozycyi rosyjskich. Napoleon wysunął korpus Augéreau i kazał mu także na toż prawe skrzydło uderzyć. Nieszczęśliwy ten korpus w wykonaniu tego ruchu przez zamieć śnieżną otumaniony, podsunął się pod rosyjskie baterye, a skorzystał z tego Beningsen i sypnął kartaczami z 72 armat. Większa połowa jego odrazu poległa, a w tejże chwili kolumna jazdy silnie nań natarła. Cofał się marszałek Augereau na cmentarz, a sam ranny, surowo wyrzucał cesarzowi, że stał się powodem tak dotkliwej straty. Chwila była krytyczna, wszyscy otaczający cesarza zadrżeli, bo przez usunięcie tego korpusu z placu boju siły Francuzów stawały się po kilkakroć mniejsze i całej armii gro-

ziła zupełna porażka. Napoleon jednak krwi zimnej nie stracił i kazał kawaleryi Murata wstrzymać atak rosyjski. 84 szwadrony zaledwie zdołało odeprzeć tłoczącą się kolumnę. Tak gdy ciągle zwycięstwo się waży, przybywa Rosyanom w pomoc Lestoc. Zguba Francuzów zdawała się nieunikniona, kiedy nagle zjawia się marszałek Ney i świeżemi swemi siłami, oraz przytomnością umysłu wszystko ratuje. Rosyanie nie ośmielają się więcej atakować, ale owszem, cofają się i za Preglem ustawiają się na nowo. W strasznej tej bitwie obie strony przypisywały sobie zwycięstwo, ale właściwie żadna nie zwyciężyła. Na placu legło około 40.000 trupa i kilkanaście dział rosyjskich zdemontowanych zostało. Książę Rovigo w pamiętnikach swych twierdzi, że rzeczywiście żadna strona nie zwyciężyła, ale jeżeliby oceniać skutki bitwy, to Francuzi przegrali, gdyż nie byli wstanie uskutecznić żadnego ruchu i gdyby Rosyanie odnowili atak, znieśliby ich zupełnie. Nie skorzystał z tego Beningsen i czekał dwa dni póki Bernadotte nowemi siłami osłabionej armii nie wspomógł.

W każdym razie bitwa Eylauska miała te dla Napoleona zyski, że mógł się on rozłożyć wzdłuż Pasargi w kraju żyznym i był pewny, że osłabieni Rosyanie długo go atakować nie będą. Kwaterę swą główną założył w Ostrudzie, a później w wiosce Finkelstein. Korpus Augereau z powodu poniesionych strat rozwiązać musiano.

1807 My tymczasem w Puławach, nie rozrywając się jak dawniej zabawami, całą uwagę zwróciliśmy na polityczne wypadki i chciwie łowili wszelkie nowiny.

Dawniej wiele osób z naszego kółka na przejazdy do Warszawy posiadało paszporty roczne lub na komorze w Mniszewie było pewnem, że przy ustalonych z urzędnikami zapomocą datków stosunkach, można zawsze uzyskać kilkodniowe pozwolenie przejazdu. Teraz wszakże, skoro teatr wojny zbliżył się do granic Galicyi, roczne paszporty skasowano a za przepuszczenie na komorach jak najsurowszą zagrożono odpowiedzialnością. Ci więc co do wojska mieli zamiar wstąpić przekradali się potajemnie, a o paszport starania trzeba było czynić w Wiedniu.

Mój ojciec z Grabowskim po długich trudach w drugiej połowie stycznia pozwolenie uzyskał i w końcu tego miesiąca ruszyliśmy do Warszawy. Najważniejszy interes zobaczenia choćby zdaleka Napoleona, musiał spełznąć na niczem, bośmy go już w stolicy nie zastali. Kiedy jednak słońca na horyzoncie już nie było, trzeba się było kontentować obserwowaniem mniejszych gwiazdek, które niemniej były ciekawe.

Pierwszą znakomitą osobą, którą poznać miałem sposobność, był książę Ludwik bawarski, następca tronu, który później otoczywszy się artystami, założył najznakomitszą szkołę malarstwa i rzeźbiarstwa niemieckiego i stołeczne swoje Monachium cudnie pięknymi gmachami ozdobił. Wtenczas jednak, kiedym go poznał, nie można było się domyślić tych utajonych artystycznych zdolności, nawet skłonność do wierszopisarstwa, którą później objawił, nie była w tym czasie widoczna. Dowodził on dywizyą Bawarczyków, ale tylko nominalnie, bo właściwie obowiązki te pełnił

generał Wrede. Książę hołdował wtedy wdziękom panny Teresy Kickiej i ustawicznie usiłował się tam znajdować, gdzie się ją zastać spodziewał. W domu też Kickich go poznałem i kilka razy byłem z nim i z generałem Wrede na obiedzie. Średnio wysoki, szczupły, przystojny, blondyn, mowę miał utrudnioną, bo się dosyć jąkał, niemniej przeto z powodu wykształcenia interlokutorem był przyjemnym. Wrede, późniejszy książę i feldmarszałek, rodem z Badeńskiego, był średniego wzrostu, dosyć otyły i bardzo małomówny.

Zaproszeni także zostaliśmy na wielki bal dawany przez Stanisława Małachowskiego, prezesa komisyi rządzącej. Mieszkał on w swym pałacu na Krakowskiem Przedmieściu, który dziś do Krasińskich należy. Apartamenta jego górne i dolne zaledwie pomieścić zdołały wielką masę gości, a wszystkie znakomitości wojskowe i cywilne można tu było spotkać. Wrażenia moje były tak silne, że choć od tego czasu upłynęło już pół wieku, jednak wszystko jakby wczorajsze dokładnie mi się zarysowuje w pamięci.

Sam gospodarz nizki, chudy, łysy, z twarzą zmarszczkami pokrytą, wśród której tylko ogromny nos orli — rodowa cecha Małachowskich — się wyróżniał, był już bardzo przyciśnięty wiekiem. Łysina opudrowana i z rzadkich resztek włosów spleciony cieniutki harcap. W stroju francuskim *en habit habillé* z jednym rzędem kameryzowanych guzików, mało mówił i mało się ruszał. Liczył już wtedy siedmdziesiąt dwa lata.

Na krótką chwilę przybył na bal marszałek Mas-

sena, słynny wojownik i po Napoleonie do kierowania wielkiemi masami wojsk za najdolniejszego powszechnie poczytywany. Od podoficera zaczął on swoją karyerę wojskową, a wieleż w tem pełnem rozmaitości życiu prawdziwie bohaterskich czynów? Pomiędzy innemi dosyć wspomnieć słynne w roku 1800 w Genui oblężenie, które wytrzymał i Napoleonowi niem tryumf pod Marengo przygotował. Garnizon po wyjedzeniu wszystkich koni, psów, kotów i szczurów przez trzy dni rozgotowanymi trzewikami się żywił. Obecnie wracał z Neapolu, gdzie oblężeniem Gaëty kierował. Opowiadano, że Napoleon zazdrościł jego talentom, wierzyć jednak temu trudno i prawdopodobniejsze jest, że Massena zwykle w zdaniu uparty, narażał się często, nie chcąc cesarzowi w wielu razach ustąpić. Obecnie miał lat pięćdziesiąt. Twarz śniada, podłużna, znakami ospy trochę poznaczona, włosy długo zapuszczone. Oczy małe, ale bystre, wzrost średni, figura szczupła, ale kształtna. Mundur marszałkowski, jaki miał na sobie, różnił się trochę od później zaprowadzonego. Był to rodzaj fraka granatowego, na kołnierzu, klapach i kieszeniach bogato zahaftowanego złotem. W pasie przepasany był szarfą. Nie zdołałem go mówiącego słyszeć, raz dlatego, że go tłum wielki otaczał, a powtóre, że bardzo krótko bawił na balu.

Podobnież i marszałka Lannes zaledwiem zauważyć zdołał. Ten bowiem tylko co powstał z choroby, wysoki był, blady, zmęczony i zaledwie się na salonach pokazał, zaraz odjechał do siebie. Za to książę Telleyrand, książę Bassano, p. Vincent, hr.

Neuperg, poseł perski, towarzysze poselstwa tureckiego: p. Serpos i książę Maurocordato, zapełniali salony. Bal rozpoczęto polonezem a później tańczono same tylko kadryle francuskie, za przybyciem dopiero Francuzów wprowadzone. Dawniejsze bowiem zbliżały się więcej do dzisiaj tak nazywanych *les lanciers* i nowy taniec dla odróżnienia od dawniejszego nazwano *contredanse*. Na wzór Francuzów skakano w nich, wyprawiano piruety i *entrechats* i nie każdy miał odwagę w ten taniec się puszczać. Grecy z poselstwa tureckiego, w białe zawoje i bogate kaftany przybrani i wybornie po francusku mówiący, najlepszymi byli tancerzami. Na tym balu także poznałem pułkownika Legrand, który miał więcej jak lat sześćdziesiąt, a żadnego tańca nie pominął. Ożeniony jeszcze przed rewolucyą, szesnaście lat nie był w kraju i w Warszawie się dowiedział, że córka jego, której prawie nie znał, wydana za mąż powiła mu wnuka.

W kilka dni potem dawał bal Stanisław Potocki. Towarzystwo było mniej liczne i w górnych apartamentach przyjmowano. Marszałkowie francuscy na zaproszenie się nie stawili, ale za to był sam poseł turecki, który się różnił wiele od członków swej ambasady, o których wyżej wspomniałem. Mężczyzna średniego wieku, rysów regularnych, z długą czarną brodą i potężnymi wąsami, ubrany w orzechowy żupan i takąż szatę, wszedł do salonu wsparty na ramionach dwóch olbrzymich janczarów, nikomu się nie ukłonił, nikogo nie powitał, tylko skierował się prosto do przygotowanej dla niego kanapy, gdzie usiadł, skrzyżowawszy pod sobą nogi. Janczarowie stanęli

z dwóch stron jakby na straży, a obok dragoman. Podano mu fajkę i tytoń i ten przez cały czas milcząc palił, nie odpowiadając nawet na zwrócone do niego zapytania. Przeciwnie poseł perski nie miał tak licznej ambasady, tylko jednego tłómacza Francuza. Przechadzał się po salonie, fajki nie palił i chętnie rozmowę za pośrednictwem tłómacza prowadził.

Książę Stanisław Jabłonowski zaprzyjaźnił się z p. Joubert, radcą stanu, który do misyi francuskiej w Teheranie należał i razem z posłem perskim do Warszawy przybył, on więc mnie i mego szwagra posłowi zaprezentował. Mieszkał poseł perski na Podwalu w pałacu, który od ulicy Miodowej, czyli jak ją wówczas zwano ulicy Napoleona, w filary jest ubrany. Stawiliśmy się o godzinie jedenastej. Poseł siedział na taborecie ze skrzyżowanemi nogami, paląc nargil, a przy nim stał tłómacz. Oprócz tego taboretu innych żadnych sprzętów w komnacie nie było. Sam wysoki, cienki, brunet z brodą śpiczasto ostrzyżoną, w śpiczastej czapce, ubrany był w rodzaj szlafroka z szafirowej materyi, złotem przetykanej. P. Joubert przedstawił nas i dragoman każdemu powiedział parę komplementów. Następnie podano nam taborety i na srebrnej tacy przyniesiono wodę różaną, miednicę i flaszki z pachnidłami. Powiedziano nam, że trzeba wodą się umyć i pachnidłami oblać. Kiedyśmy tej czynności dokonywali, poseł zacytował jakieś wiersze, których treścią było życzenie, jak nam dragoman wytłómaczył, żeby życie nasze było tak czyste jak woda, a przyjemne jak wonności. Poczem podano fajki z tytoniem i aloesowem drzewem i w filiżankach z pięk-

nej porcelany w srebro oprawnych kawę ugotowaną razem z fusami i bez cukru. Szczęściem, że specyału tego było nie wiele i że na załagodzenie jego smaku podano sorbety i konfitury wyborne. Pokazywano nam następnie prezenta, jakie poseł wiózł dla cesarzowej Józefiny, a które składały się z portretu panującego szacha, z przepysznych szalów i z mapy krajów europejskich, znakomicie sztychowanej. Najzabawniejszem ze wszystkiego był portret perskiego monarchy. Widać tylko było, że szach nosił śpiczastą brodę, niezmiernie długą i musiał mieć duże oczy, bo je artysta zrobił długiemi przez całą szerokość twarzy. Poseł utrzymywał, że portret jest nadzwyczajnie podobny. Służba cała poselska ubrana była w białe kontusze z niebieskimi żupanami i w śpiczaste czapki.

Po mieście całem wszędzie widzieć można było francuskich żołnierzy, a najwięcej rekonwalescentów, którzy ze szpitali wychodzili. Oryginalnie wyglądały ich płaszcze najrozmaitszych kolorów. Z sukna zebranego w magazynach i u kupców pruskich porobiono im zimowe ubranie, nie zważając wcale na barwę i stąd po ulicach można było spotykać żołnierzy w płaszczach kanarkowych, pomarańczowych, czerwonych, fioletowych i czarnych. Niezmiernie ciekawy byłem widzieć w szeregu i w wojskowych ćwiczeniach tego żołnierza, przed którym drżał świat cały. Zdarzyła się do tego sposobność, bo świeżo do Warszawy przybyły pułkownik Coustard, odbywał na Saskim placu rewię swojego 65 pułku. Wydziwić się i uwierzyć nie mogłem, żeby sławnymi bohaterami mogli być ludzie mali, chudzi, wynędzniali, ubrani

niejednostajnie w nizkich, przyklepanych kapeluszach stosowanych, trzewikach i kamaszach.

Mimo ucisku, jakiego kraj cały, a więc i Warszawa doznawały, duch publiczny, wróżbą lepszej przyszłości podniesiony, utrzymywał się na swej wyżynie i oddawano z chęcią ostatnie ziarno, płacono potrójne podatki, a drobna nawet Francuzów uprzejmość była dostateczną nagrodą. Wesołość panowała, choć właściwie nikt nie był pewny tego co posiada, bo go co chwila rekwizycya wszystkiego pozbawić mogła. Z pomiędzy licznych tego rodzaju wypadków nadmieniam o jednym. Mieszkał wówczas w Warszawie w narożnej kamienicy Ryksa obok Karmelitów na Krakowskiem Przedmieściu niejaki p. Husarzewski, staruszek zamożny i dosyć oryginalny, choć oryginalność jego nikomu nie szkodziła. Owszem za uprzejmość swą był wszędzie wraz z małżonką mile witany i przyjmowany, a delikatność posuwał tak daleko, że kiedy szedł do teatru, rękawy płaszcza wewnątrz wciągał, żeby nikogo nimi nie zawadzić. Lubił grywać na skrzypcach i w karecie jego znajdował się zawsze ten instrument i pulpit z nutami, a wierzch karety był podnoszony. Skoro mu więc ochota przyszła, otwierano na wszystkie strony karetę i Husarzewski spacerując po mieście, dawał koncert bezpłatny. Posiadał on także konia, niekształtnego wprawdzie, ale maści oryginalnej, bo na białem tle pocentkowany był łatami gliniasto-czerwonemi. Ponieważ życie uregulowane miał podług zegarka, na tym więc koniu codziennie o jednej i tej samej godzinie wyjeżdżał w Ujazdowskie aleje. Owóż przyszła nieszczęsna

chwila rekwizycyi i staruszka zawiadomiono, że jego wierzchowiec ma być do armii zabrany. Napróżno udawał się do magistratu, napróżno składał znaczną sumę pieniędzy i obowiązywał się kupić innego konia, urzędnicy zbyli go sucho i odprawili z kwitkiem. W tem trudnem położeniu postanowił p. Husarzewski wyrzec się swoich stałych przejażdżek i dla ocalenia ulubionej szkapy, w jakikolwiek sposób ją ukryć. Po schodach z wielką biedą wprowadził ją w nocy na strych, tam uwiązał i sam nosił jej wodę, owies i siano, bo bał się, żeby go kto ze służby nie wydał. Rano masztalerz doniósł panu, że konia w stajni nie masz. Rozeszła się pogłoska, że konia Francuzi ukradli i kiedy za rekwizycyą przyszła policya, wszyscy mieszkańcy domu kradzież tę poświadczyli, a ponieważ posądzenie na Francuzów padało, wszystkiemu więc dano pokój. W kilka jednak dni potem koło południa koń z więzi się urwał, przyszedł do dymnika, szturchnął głową w znajdujące się tu okno i, wybiwszy je zaczął na ulicę wyglądać. Pierwsi spostrzegli go przechodzący żołnierze francuzcy. *Voilà camarade,* rzekł jeden do drugiego, *voyez donc le coucou?* Zebrał się tłum, przybył i policyant, o ukryciu konia się dowiedziano i natychmiast go zabrano. P. Husarzewski ze zmartwienia ciężko się rozchorował, a żona jego widząc, że wszystkie leki nie skutkują, udała się z płaczem i prośbą o ratunek do pani de Vauban. Dopiero ks. Józef po złożeniu wartości, konia kazał oddać i p. Husarzewski odrazu uzdrowiony, zwykłe swoje przejażdżki na nowo rozpoczął.

Po kilkutygodniowym w Warszawie pobycie,

udaliśmy się z powrotem do Puław, żegnając ze łzami dawnych swoich towarzyszów, których większość w wojskowych już mundurach po ulicach się uwijała. Największy nacisk był do pułku ułanów i najrozmaitszych używano protekcyi, żeby choć na prostego żołnierza do wojska tego się dostać. Nadzieja walczenia pod okiem Napoleona i strojny mundur, były zapewne głównym tego powodem. Ułani nosili kurtki białe, z wypustkami i rabatami karmazynowymi. Na ułańskiej karmazynowej czapce złota blacha z literą N. w środku słońca, rajtuzy karmazynowe.

Marszałek Massena, objąwszy dowództwo, ruszył nad Narew i Omulew. Wojsko bawarskie i część legii polskiej mu towarzyszyły, a dowództwo nad nią objął Zajączek. Książę Józef bowiem, jako dyrektor wojny, zajęty organizacyą sił nowych, w Warszawie pozostać musiał. Pałac pod Blachą stał się głównem dyplomatów i wojskowych siedliskiem, a ks. Talleyrand, pieszczony już przez p. Wincentową Tyszkiewicz, królował tutaj, rozsypując iskry żywego dowcipu i utrzymując w Polakach ducha gotowości do ofiar. W tym czasie na jego żądanie Komisya rządząca mianowała przy jego boku swoim dyplomatycznym agentem p. Aleksandra Batowskiego. Czynność jego ograniczała się do protekcyi w udzielaniu posad i na rozpuszczaniu pod sekretem różnorodnych wieści od Talleyranda pochodzących, które miały na celu rozbudzanie nadziei i przyśpieszanie uzbrojeń i pieniężnych datków. Batowski, od kilkunastu lat we Francyi zamieszkały i z Francuską ożeniony, tym okolicznościom zawdzięczał względy Talleyranda.

Broń dla formującego się wojska dostarczyły magazyny pruskie. Karabinki były małe i lekkie z niepospolicie długim bagnetem, połowę długości broni wynoszącym. Bagnety te cienko i delikatnie wykute, w użyciu okazały się niepraktyczne, gięły się bowiem i łamały i powoli zaczęto je zastępować innymi. Komisya rządząca podatki przeznaczyła na formowanie wojsk nowych, a rekwizycye oddawano Francuzom. Fundusz wszakże jaki w gotowiznie się zbierał, na umundurowanie nie wystarczał; przyjmowano więc ochotników, wkładając na nich obowiązek mundurowania się własnym kosztem i za dostawianie gotowych szeregowców, kompanii, a nawet i pułków, udzielano oficerskie stopnie.

Z legii księcia Józefa oddziały nad Omulewem rozłożone świetny chrzest pod Mewe (Gniew) i Dirschau (Tczew) odbyły i dowiodły, że nie ustępują starym żołnierzom. Ruchy jednakże początkowe i bitwa pod Ostrołęką, jaką zwiódł z Rosyanami Savary, nie wydały ważniejszych rezultatów. Główną czynnością było zdobycie Gdańska. Miasto to, przed dwunastu laty do Polski należące, położone jest od północy, wschodu i południa na płaszczyźnie; od zachodu dopiera do pasma wzgórz aż do klasztoru oliwskiego się ciągnących. Fortyfikacye posiada trojakie. Miasto samo otoczone jest małemi głębokiemi fosami, które woda z Motławy napełnia. Szczyt góry Bischofsberg uzbrojony w cytadelę, osłoniętą przez fort Hagelsberg, a nakoniec nad morzem przy ujściu Motławy znajduje się mała forteczka Weichselmünde zwana. W Gdańsku dowodził Kalkreuth załogą 18 tysięcy

liczącą. Po bitwach pod Gniewem i Tczewem, 10 korpus marszałka Lefebvre rozpoczął w marcu przykopy do Hagelsberga. Odznaczył się tu zaszczytnie ziomek nasz kapitan Sokolnicki, a także legion północny przez ks. Michała Radziwiłła dowodzony. Kiedy już równoległe były gotowe i kiedy wyspę Helen zajęto, 18 maja kilka tysięcy Rosyan w Weichselmünde wylądowało i uderzyli oni wraz z Prusakami na francuskie baterye. Współcześnie korweta angielska usiłowała kanałem od Weichselmünde do Gdańska się dostać. Rosyanie jednak zostali odparci, a korweta rudel złamawszy na piasku osiadła i musiała się poddać. 26 maja Francuzi zajęli Gdańsk a Kalkreuth uzyskał pozwolenie wyprowadzenia swego garnizonu, który do 7.000 się zmniejszył.

Kiedy oblężenie Gdańska przez trzy miesiące armię zajmowało, tak Rosyanie jak i Anglicy tymczasem starali się nakłonić Austryę do czynnego wystąpienia przeciw Napoleonowi. Przedstawiano w Wiedniu, że po eylauskiej bitwie armia francuska jest zupełnie zniszczona, że cesarz może teraz Napoleona od Francyi odciąć i wszystkie swe straty terytoryalne powetować. Jednak hr. Neuperg, który stale w Warszawie przemieszkiwał i wkradłszy się w łaski pani de Vauban, przez nią dokładnie zawsze o wszystkiem był objaśniony, od zaangażowania się podobnego rząd swój wstrzymywał. Talleyrand nadto o pokojowem usposobieniu Austryi przez p. Vincent zapewniony, uspokajał Napoleona, że z tej strony żadne niebezpieczeństwo nie grozi. Napoleon odpowiedział mu szorstko w tych słowach: „Jesteś łatwowierny i tyle

skłonny do obałamucenia, ile zręczny do łudzenia innych. Pochlebiając ci, zawsze oszukać cię można. P. Vincent karesując cię, w pole wyprowadza. Austrya może mnie się bać, ale mnie nie cierpi. Uzbraja się, aby napaść, skoro mnie tylko szczęście opuści. Ofiaruj p. Vincent Śląsk, a niech zawrze alians". Na uczynioną propozycyę p. Vincent odpowiedział, że upoważnienia nie posiada i do hr. Stadiona, ówczesnego austryackiego kanclerza się odniósł. Stadion odpowiedział, że Śląska nie przyjmie, w układ nie wejdzie, gdyżby to Austryę na wojnę z Rosyą i Anglią naraziło, lecz że ofiaruje medyacyę. — Napoleon odpowiedź tę wziął za objawioną chęć przystąpienia do koalicyi przeciwko niemu i postanowił z większą energią prowadzić wojnę, żeby sobie odpowiedni pokój wywalczyć.

Do głównej kwatery Beningsena w Bartenstein, gdzie się znajdował król pruski, przybył cesarz Aleksander i nowe pozawierano konwencye. Postanowiono nie składać oręża, dopóki Niemcy, Holandya i Włochy z pod jarzma francuskiego wyswobodzone nie będą i z 15.000 Szwedów, 20.000 Anglików i 10.000 Prusaków sformować nową armię, któraby tyły Napoleonowi zajęła. Austrya o połączenie się wzywana nie chciała dać stanowczej odpowiedzi.

Te odświeżone układy dodały ruchom więcej energii i podobnie jak Napoleon chciał działać pośpiesznie, postanowił także Beningsen zaczepne rozpocząć ruchy. Siły jednak teraz były nierówne. Rosyanie wraz z Prusakami na całej linii bojowej od Narwi do morza Baltyckiego mieli 140.000 wojska.

Siły francuskie wraz z garnizonem Gdańska wynosiły około 250.000, z których rozporządzalnych i pod ręką Napoleon miał 155.000.

Mimo to wódz rosyjski postanowił uderzyć na prawe skrzydło marszałka Neya, rozłożone w okolicy Gutstadt. W tym celu na całej linii miały nastąpić fałszywe ataki, żeby posiłkowaniu przeszkodzić. Jakoż 5 czerwca Bagration rozpoczął zaczepne działania pod Altkirchen, a w innych miejscach współcześnie niepokojono francuskie komendy. Podstęp ten jednak się nie udał, bo Ney sił swych nie rozrywając, cofnął się w porządku do Heilsberga. Tu zaszła krwawa bitwa i obie strony, nie osiągnąwszy stanowczego rezultatu, koło 5.000 poległych na placu zostawiły. 11 czerwca Rosyanie zaczęli cofać się wzdłuż Alli ku Bartenstein, Napoleon 13 zajął Eylau, część swej armii wysłał do Królewca, a marszałkowi Lannes poleciwszy obserwować obroty rosyjskie, sam posuwał się w środkowej pozycyi. Beningsen pod Friedland przez Allę się przeprawiwszy, zdawał się mieć zamiar posuwać się do Niemna, kiedy nagle, dowiedziawszy się o ruchu Francuzów na Królewiec, nazad zawrócił i znowu pod Friedland rozpoczął przeprawę. Napoleon przeszkadzać mu nie kazał i wpuszczał wojska rosyjskie na ciasną płaszczyznę, ograniczoną z jednej strony łukiem zakreślonym przez Allę, z innej lasami. Kiedy przeprawieni w czworoboki szykować się zaczęli, o trzeciej rano wypuścił na nich marszałka Lannes i jazdę Grouchy'ego, sam ukrywając się w okolicznych lasach i tylko od czasu do czasu wysyłając posiłki. Beningsen lekceważył ten atak, ale kiedy o sió-

dmej pojawił się Napoleon z gwardyami i korpusy Bernadotta i Neya, poznali Rosyanie, że prawie z całą armią francuską będą mieć do czynienia. Ustawili się więc w szachownicę i potężną artyleryę umieścili na froncie. Ney z narażeniem się na największe niebezpieczeństwo, przy pomocy dywizyi Dupont zdobył miasto Friedland i choć go stamtąd wyparował Gorczakow, stanął jednak tak, że działa przystępu do mostu nie dozwalały. Tymczasem na prawem skrzydle artylerya francuska straszne w szeregach rosyjskich czyniła spustoszenie i po wytrzymaniu kilku ataków, bitwę za stanowczo przegraną uważając, postanowił Beningsen się cofnąć. Tu nowa nastręczyła się trudność. Ney do mostów nie puścił, a do przeprawiania się wpław nie prędko bród znaleziono. W bitwie tej stracili Rosyanie mnóstwo dział, a oprócz poległych i rannych, oddali 5.000 niewolnika.

Polacy pod Dąbrowskim w asekuracyi dział w czasie bitwy tej się znajdowali. Zarzucono Francuzom i słusznie, że 44 szwadrony kawaleryi swej w nieczynności trzymali i gdyby ją wypuścili w porę, dalekoby większą jeszcze klęskę przy przeprawie zadali. Niemniej przeto zwycięstwo było zupełne i Francuzi zajęli zaraz Królewiec, a 19 czerwca do Niemna pod Tylżą przybyli.

Tu po raz pierwszy okazały się w przednich czatach pułki Baszkirów i Kałmuków, w strojach narodowych, ze swemi oryginalnemi czapkami i za jedyną broń pałasze i łuki mających. Wypuszczono strzał kilka, które raniły kilku żołnierzy i Francuzi z podziwienia wyjść nie mogli.

Tegoż dnia do księcia Murata przywiózł list Beningsena Bagration, w którym dowódca rosyjski prosi o zawieszenie broni. Propozycyę przyjął Napoleon i ks. Łobanow, który świeżych posiłków przyprowadził około 20.000, a między nimi owe narody wschodnie, został upoważniony do zawarcia umowy. Podpisano ją 22 czerwca, a obowiązywała ona armię francuską tylko względnie do rosyjskiej; w parę dni wszakże i Prusacy armistycyum przez generała Kalkreuth uzyskali. Za linię demarkacyjną przyjęto bieg Niemna aż do Grodna, stąd Biebrzą do Narwi i Narwią do Wisły. Tym sposobem do księstwa Warszawskiego przybywał szósty departament, łomżyński, ale do zajęcia jego z powodu braku czasu za trwania zawieszenia broni nie przystąpiono. Massena posunął się nad rzekę Biebrzę, a Dąbrowski zajął pośrednie między nim a Gumbinem stanowisko.

24 czerwca do kwatery Napoleona przybył znowu Łobanow, proponując osobiste panujących spotkanie i porozumienie się co do warunków pokoju. Napoleon się zgodził i nazajutrz na tratwie, w środku Niemna sznurami umocowanej rozpięto dwa namioty, mające służyć za miejsce schadzki monarchów. O pierwszej po południu przypłynął do tratwy cesarz Francuzów, w towarzystwie książąt Murata, Berthier, marszałków Bessières i Duroc i koniuszego Caulaincourt. Współcześnie z drugiej strony zbliżał się Aleksander, mając obok siebie w. księcia Konstantego, generałów Beningsena, Łobanowa, Uwarowa i Lievena. Ponieważ Napoleon pierwszy na tratwie stanął, oczekiwał więc przybijającego Aleksandra i skoro ten ze statku wy-

siadł, obaj monarchowie uściskali się serdecznie. Potem weszli do jednego z namiotów i tam przeszło godzinę rozmawiali. Rezultatem najpierwszym tej rozmowy było, że kwatera cesarza Aleksandra przeniesioną została do Tylży i miasto to za neutralny punkt uznane, miało być obsadzone wspólnymi garnizonami.

Następnego dnia cesarz Aleksander zajął mieszkanie w Tylży, a Napoleon na tej samej tratwie niemeńskiej przyjmował króla pruskiego. Tym razem rozmowa była krótsza i nie trwała dłużej nad dwadzieścia minut. O piątej złożył Napoleon wizytę Aleksandrowi w mieście, zaprosił go na obiad i wymógł przyrzeczenie, że przez cały czas swego tutaj pobytu stale u niego obiadować będzie.

W kilka dni później przybył król pruski i książę Talleyrand i układy się rozpoczęły. Mniej zważając na króla pruskiego najczęściej Napoleon lubił rozmawiać i przesiadywać z Aleksandrem, ale rozmowy te odbywały się zawsze sam na sam i jedno tylko słówko podchwycił p. Meneval, kiedy mu kazano przynieść mapę Turcyi. Napoleon wskazał wtedy na Stambuł i wyrzekł: „Tego nigdy“. Te układy trwały do 6 lipca i powszechnie tylko się uskarżano, że Napoleon bardzo twardym się okazywał. Tego dnia przyjechała królowa pruska i zdaje się, że rachunek na wdzięki, jakimi silnie na cesarza Francuzów działała, był jednym z głównych przybycia jej powodów. Napoleon zaraz wizytę jej złożył, na obiad zaprosił i u podwojów domu, w którym mieszkał, przyjął. Powiadają, że za bukiet róż, który mu na pamiątkę darowała, domagała się także pamiątki, a tą były Prusy królewskie.

7 lipca podpisano traktaty tylżyckie przez ks. Talleyranda z jednej, a książąt Łobanowa i Kurakina z drugiej strony. Zawierały one:

1) Zwrot Prusom zajętej prowincyi Brandeburskiej po Elbę, Pomeranii, Śląska, Prus Wschodnich i Prus Królewskich, z wyjątkiem Gdańska z paromilowym obwodem.

2) Utworzenie dla księcia Hieronima Bonapartego królestwa Westfalskiego.

3) Oddanie utworzonego księstwa Warszawskiego królowi Saskiemu.

4) Uznanie Ludwika i Józefa Bonapartych za królów Holandyi i Neapolu.

5) Uznanie związku reńskiego i zwrot krajów zabranych książętom Meklemburskiemu i Oldenburskiemu.

Oprócz tego zawrzeć miano dwie umowy sekretne. Pierwsza z nich obejmowała:

1) Oddanie Francuzom Cattaro i wysp Jońskich.

2) Obietnicę zwrócenia Prusakom kraju ku Magdeburgowi, zawierającego do 400.000 ludności w razie, jeśli w zawartym z Anglią pokoju Hanower przy królestwie Westfalskiem się utrzyma.

3) Wynagrodzenie pieniężne książąt Heskiego, Nassauskiego, Brunswickiego za kraje do Westfalii wcielone.

Co do drugiej umowy, choć mnóstwo dzieł do tego się odnoszących posiadamy, nie można nic stanowczego powiedzieć. Z pamiętników ks. Rovigo i z korespondencyi Napoleona przypuszczać można, że Francya zezwalała Rosyi na zajęcie Finlandyi, Multan,

Wołoszczyzny i Rumelii po Bałkany, a Aleksander zgadzał się na zamienienie hiszpańskich Burbonów przez Napoleonidów i na zajęcie przez Francuzów Bośni i Albanii.

Jakkolwiek pokój ten dla Rosyi był korzystny, bo dawał jej białostocki obwód i otwierał widoki na Finlandyę i tureckie prowincye, cesarz Aleksander wszakże niemile przyjął stworzenie księstwa Warszawskiego, które się sprzeciwiało jego co do Polski zamiarom. Z drugiej strony w tych poufnych a niby przyjacielskich czternastodniowych rozmowach utwierdził się cesarz rosyjski w przekonaniu o niepohamowanej ambicyi Napoleona i rosnącej z każdym dniem chęci zagarniania coraz nowych krajów. Zwierzając się, rzucił podobno nawet Napoleon projekt podziału całej Europy na Wschodnią i Zachodnią. Pierwsza miała należeć do Rosyi, druga do Francyi. Ale i tu już przy projekcie samym spory o ujście Bosforu się rozpoczęły.

Artykuł 5 tylżyckiego pokoju nadawał księstwu Warszawskiemu byt polityczny. Wszakże nadzieje Polaków sięgały o wiele dalej. Szczególniej odłączenie prowincyi białostockiej niemiłe wywarło wrażenie. Opowiadano sobie, że cesarz Aleksander nie rad z upadku swego alianta, wielkiej chęci na kraj ten nie miał: a kiedy zabrano go Prusakom, czemuż odłączono od księstwa? Podobnież wieść o zamianie bukietu róż na Prusy Królewskie goryczą napełniała serca.

Co do wprowadzonego na tron domu Saskiego, dziwnem się to także Polakom wydało, spodziewano

się bowiem powszechnie, że ks. Murat księciem warszawskim będzie. Że jednak osoby wówczas najwpływowsze należały do stronnictwa, które za sejmu czteroletniego koronę polską domowi Saskiemu ofiarowało, przeto wiadomość tę przyjęto z radością.

Sprawa polska przez osoby otaczające Napoleona bardzo rozmaicie była uważana. Ks. Murat, Davoust, Savary i z cywilnych ks. Bassano radzili, aby Napoleon przez silną organizacyę tego kraju zapewnił sobie bezpieczną w tej stronie podstawę. Nietylko więc chcieli dołączenia doń Białegostoku, ale Prus Królewskich z Warmią, Gdańska i Śląska. Żądali także, aby nabytą Dalmacyę i Istryę z Austryą na Galicyę wymieniać, te do państwa nowego dołączyć i rządy jakiemu księciu francuskiemu powierzyć. Ks. Talleyrand, oraz Berthier i Lannes byli zupełnie innego zdania. Twierdzili oni, że państwo takie, zaledwie tylko Prusy zrównoważy, a nie będzie dość silne, żeby się Rosyi i Austryi o nie kuszącym oprzeć. Że Francya dla utrzymania jego narazi się na ciągłe wojny i że ustalenie jego, zamiast pokoju, ciągłą niezgodę spowoduje.

Nasz reprezentant p. Aleksander Batowski, skoro tylko ks. Talleyrand opuścił Warszawę, doradzał Komisyi rządzącej, a nawet naglił na nią, żeby francuskiemu dyplomacie ofiarowała upominek od 7 do 10 milionów wynoszący, zapewniając, że podarek ten będzie mile przyjęty i jak najlepsze z niego wypłyną skutki. Czy do propozycyi podobnej miał upoważnienie, nigdy to na jaw nie wyszło, zdaje się jednak, że bez ośmielających go do tego insynuacyi nigdyby

rzeczy podobnej nie proponował. Komisya rządząca atoli, złożona z ludzi prawych, nieugiętych i możności przekupstwa nie pojmujących, żądanie to puściła mimo uszu. Zresztą skarb zostawał w niedostatku i zebranie sumy takiej było prawie niemożliwe. Później kiedy stosunki moje ze Stanisławem Potockim blizkimi się stały, po kilkakroć słyszałem od niego opowiadaną tę okoliczność, a utyskując, że nie posłuchano rady Batowskiego, zwykle tak kończył:

— Tak, tak, panie (było to jego przysłowie): mielibyśmy i Prusy Królewskie i Warmię, panie, i Gdańsk i Białystok i Śląsk, panie, a później i obie Galicye. A z takim krajem, panie, mając, panie, 200.000 wojska i fortece, bylibyśmy, panie, przez całą Europę poważani.

To także pewna, że książę Talleyrand, zaledwie opuścił Warszawę, wystąpił z całą do nas nienawiścią. Kiedy przejeżdżając przez Królewiec, dowiedział się od Savary'ego, że ten pontony na Niemen posyła, powiedział mu:

— Daj pokój, nie śpiesz się. A cóż my za Niemnem poczniemy? Czegóż tam będziemy szukać? Potrzeba, żeby cesarz zaniechał myśli o Polsce. Naród to do niczego nie zdatny, z nim nieład tylko wieczny i żadnego porządku.

9 lipca wymieniono ratyfikacye. Napoleon dostał order św. Andrzeja, a Aleksander legii honorowej i tegoż dnia cesarze do swych stolic się wybrali; Davoust z 3 korpusem zajął księstwo Warszawskie, Ney i Mortier Śląsk, a Napoleon w przejeździe zatrzymał się w Dreznie, tu przywołał członków Komisyi rzą-

dzącej i oddał im podpisaną przez siebie konstytucyę, składającą się z 89 artykułów.

Podług niej religia katolicka uznaną została za panującą, a inne wyznania miały zapewnioną wolność. Ustanowiono jedno arcybiskupstwo i pięć biskupstw, wszyscy w obliczu prawa uznani zostawali za równych i wszelka niewola zniesiona *(l'ésclavage est aboli)*. Rząd sprawuje król i przy nim pozostaje władza wykonawcza i porządkowanie praw. Ma on moc zlać władzę swą na wice-króla, lub prezesa rady ministrów. Zwołuje sejmy, sejmiki i prezyduje w senacie. Uposażenie króla wynosi 7 milionów złotych polskich rocznego dochodu w połowie w dobrach, w połowie w gotowiźnie. Zamek i pałac Saski są jego własnością. Ministeryów ustanawia się sześć: sprawiedliwości, spraw wewnętrznych, wojny, skarbu, policyi i sekretaryatu stanu. Rada stanu składa się z ministrów, radców stanu i referendarzy. Układa ona projekta do praw, sądzi spory jurysdykcyjne, zaszłe między władzami i stanowi sąd kasacyjny.

Sejmy odbywają się co dwa lata w Warszawie i trwają dni piętnaście, składając się z Izby senatorskiej i poselskiej. Uchwalają one prawa skarbowe, cywilne i kryminalne. Projekta do praw wnosi rada stanu do Izby poselskiej. Tu sekretnemi kreskami odrzucone lub przyjęte, idą pod zatwierdzenie senatu. Senat składa się z sześciu biskupów, tyluż wojewodów i kasztelanów, mianowanych dożywotnio przez króla. Senat nie może odmówić zatwierdzenia prawa przez Izbę przyjętego, chyba w takim razie, jeśli się okaże, że kreskowanie było nierzetelne, lub że uchwa-

lone prawo sprzeciwia się konstytucyi. W podobnym przypadku król prawo odsyła do powtórnego w Izbie poselskiej rozważenia i jeśli poprawka wprowadzoną nie jest, Izbę rozwiązuje. Izba składa się z sześćdziesięciu posłów i czterdziestu deputowanych. Jak jedni tak drudzy na lat dziewięć wybrani, co lat trzy w jednej trzeciej się odnawiają. W Izbie prezyduje marszałek przez króla mianowany. Izba wybiera piętnastu komisarzy do praw skarbowych, cywilnych i kryminalnych i ustanowione z nich komisye naradzają się z radą stanu, nad samymi projektami praw. Rada stanu z prawem głosu zasiada w Izbie, a tylko radcy stanu i komisarze mają prawo głos zabierać. Sejmiki składają się ze szlachty, zgromadzenia gminne z właścicieli ziemskich nie-szlachty, z rękodzielników, kupców, artystów, profesorów, proboszczów, wikarych, oficerów, podoficerów i żołnierzy, którzy zaszczytnie się odznaczyli. Aby być wyborcą, dosyć być pełnoletnim.

Pod względem administracyjnym księstwo podzielono na sześć departamentów, którymi zarządzają prefekci. Obok nich jest Rada prefekturalna, stanowiąca władzę administracyjną z sądem administracyjnym. Składa się ona z dwudziestu czterech członków i ci wybierają się na sejmikach. Rozkłady ciężarów i opinia o administracyi do niej należą. W miastach powiatowych na czele admistracyi stoją podprefekci, z Radą powiatową, takież jak departamentowa mającą obowiązki. Miasta rządzone są przez prezydentów i Rady municypalne, które układają etaty i słuchają

rachunków. Kodeks Napoleona będzie prawem cywilnem dla księstwa, a postępowanie ma być publiczne.

W każdym powiecie ustanowiony jeden sąd pokoju, a w każdym departamencie jeden trybunał. Na dwa departamenty jeden sąd karny, a dla całego księstwa jeden sąd apelacyjny. Rada stanu ma pełnić obowiązki sądu kasacyjnego. Wojsko składać się będzie z 36.000 ludzi.

Konstytucya ta zupełnie nowe zaprowadzała przepisy, dotąd w żadnym monarchicznym kraju nie istniejące, sankcya bowiem praw nie panującemu, ale senatowi została powierzona. Wprawdzie do króla należało początkowanie, ale ponieważ nie miał on prawa nawet rozwiązać Izby, przeto w praktyce i ten przywilej mógł mu być wydarty. Zresztą administracya kraju, oparta wyłącznie na wyborach, dawała silne podstawy prawdziwie autonomicznemu rządowi; konstytucya ta wszakże za krótko istniała, żeby mogące z niej wyjść następstwa mogły wartość swą okazać w praktyce.

Pod względem finansowym księstwo doznało także pewnego ucisku. Prawda, że Napoleon nie nałożył nań kontrybucyi i w rachunku opłat przez Prusy wnoszonych przyjął tak zwane *sumy bajońskie*, to jest długi jakie zaciągnięto na hypoteki z banków berlińskich; ale do 17 września 1807 r. kazał utrzymywać kosztem kraju całą armię, intendenturę i szpitale i nadto na sumę 30 milionów złp. zabrał dóbr narodowych do swego rozporządzenia. Koszta żywienia armii były olbrzymie, a i od naznaczonego terminu płacono albo bonami, albo likwidowano jakieś od-

wieczne pretensye. Co do dóbr narodowych, przy ówczesnej deprecyacyi ziemi, wzięto je na sumę daleko większą, a choć za podstawę przyjęto kontrakty dzierżawne, nie bardzo jednak tej zasady przestrzegano. Nadto zaszła jeszcze druga trudność. Rząd pruski ze względów administracyjnych zamykał dobra narodowe w tak zwane *amty* i często nomenklatury prywatne wchodziły do takich amtów. Stąd wyrodziły się długie spory. Tak naprzykład marszałek Davoust, któremu nadano Łowicz, wykreślił sobie granice o wiele przechodzące własność narodową. Z Polaków obdarowano Dąbrowskiego, Zajączka, Krasińskiego, Sapiehę i kilku innych.

Od nowego pana bardzo długo czekano znaku życia i dopiero 23 września król saski ogłosił proklamacyę do narodu; snać posyłał ją do zatwierdzenia do Paryża. 5 października rozwiązano Komisyę rządzącą a zaprowadzono Radę ministów, 20 zaś listopada nowy monarcha przybył do Warszawy. Przy okopach oczekiwał nań magistrat, cechy z chorągwiami, rabin z kahałem i wiceprezydent wręczył mu klucze. Przy kościołach duchowni w szatach uroczystych występowali, a Rada stanu, świeżo uorganizowana, czekała w zamku przy bramie Marszałkowską zwanej. Wojska francuskie i polskie po ulicach tworzyły szpalery, a wystrzały działowe i dzwony dawały znać ludowi o przybyciu panującego.

Zajęto się zaraz czynnie wprowadzeniem w życie nowej konstytucyi. Utworzono senat, w którym prezesem mianowany Stanisław Małachowski, senatorami: Wybicki, Bieliński, Działyński, Stanisław Po-

tocki, Radzimiński, Sobolewski, ks. Stanisław Jabłonowski, Onufry Kicki i inni. Następnie mianowano Radę ministrów: prezesem został Ludwik Gutakowski, ministrem sprawiedliwości Feliks Łubieński, spraw wewnętrznych Łuszczewski, skarbu Tadeusz Dembowski, wojny książę Józef Poniatowski, policyi Aleksander Potocki, sekretarzem stanu Breza. Naznaczono także kilku radców stanu i referendarzy. Między pierwszymi mianowani byli: Michał Kochanowski, Linowski, ksiądz Woronicz, Łuba, Rządkowski; referendarzami: ksiądz Staszic, Wojda, Horodyński i Szaniawski.

Prawie wszyscy, współpracownicy sejmu czteroletniego, byli wielbicielami Napoleona, przywiązani doń, wierzący i całą nadzieję w nim pokładający. Rząd ten wszakże w szczególnem znajdował się położeniu. Zgromadziwszy się około króla, zdawał się wodze władzy brać w ręce, a tymczasem Davoust i rezydent francuski p. Serra, na miejsce p. Vincent przybyły, rządzili wszystkiem i nic nie mogło stać się bez ich woli. Księstwo Warszawskie wydawało się jakby prowincyą francuską. Nadto konstytucya nowa obalała z gruntu dawne zwyczaje, przywileje, prerogatywy i prawodawstwo. Rządy pruskie, po których procedura karna została, przyczyniły się jeszcze do większego zamieszania, a jeśli zważymy, że bardzo mała liczba znajdowała się ludzi, którzyby gruntowne odbyli nauki, lub w służbie cywilnej odbyli praktykę, to doprawdy dziwić się trzeba, że wśród tego nie powstał okropny chaos i tem więcej oceniać trzeba niezmordowaną gorliwość osób, które stały na czele.

Oni to z epoki sejmu czteroletniego lub insurekcyi Kościuszkowskiej siaką taką praktykę wyniosłszy, dla pomocników swoich stali się formalnymi profesorami. Bieglejsi z nich i do pióra sposobni poczęli drukiem ogłaszać *listy* w materyach ekonomicznych, skarbowych, prawnych i administracyjnych. Kalasanty Szaniawski, Horodyński, Rembieliński, Gliszczyński, Rembowski, Mioduski i Dominik Kuczyński główny w nich przyjęli udział, a obok twierdzeń ze zbyt bujnej wynikających imaginacyi, listy te wiele dobrego zrobiły. Rozdawano je darmo, a młodzież ciekawie je czytała. Drugą powagą, która ówczesne sfery rządzące kierowała, był przez p. *Fleurigeau* spisany zbiór urządzeń administracyjnych, skarbowych i etykietalnych, obowiązujących we Francyi. Bez względu, że kodeks ten zaraz na wstępie zawierał bardzo fałszywą definicye: *Administrer c'est agir*, był on powagą w kraju, który świeżo z zamętu rewolucyi wyszedł i u nas więc musiał się stać ostateczną wyrocznią.

Dla wojska dozwolił Napoleon użyć oficerów francuskich i jeżeli we wszystkich broniach było ich wielu, to w inżynieryi, artyleryi i sztabach nimi tylko wyłącznie się posługiwano. Takimi między innymi byli: Pelletier, Malet, Bontemps, Daret, d'Hauterive, d'Alfonce i inni.

Zaraz po przybyciu legionów w granice księstwa, między wodzami rozpoczęły się rozmaite nieporozumienia. Książę Józef nie miał właściwie nad nimi zwierzchnictwa, tylko Davoust książę d'Auerstädt i jego sztab rozkazy wydawał. Poniatowski mianowany ministrem wojny nie mógł takiego stosunku

uznawać i we wszystkie szczegóły organizacyi z urzędu mieszać się musiał. Że zaś i Dąbrowski i Zajączek do impozycyi generałów francuskich nawykli, we wszystkiem do kwatery ks. Auerstädt się odnosili, powstały więc stąd waśnie, a kwasy, ciągnące się aż do r. 1809, kiedy wspólne niebezpieczeństwo o nieporozumieniach zapomnieć kazało.

Do wybuchu nieporozumień pierwszy dał powód generał Zajączek. Ten nie chcąc ani munduru, ani kokardy francuskiej porzucać, korzystał także z przywilejów francuskiego wojska i koszta kwatery i żywności wkładał na tych, u których się znajdował. W Kaliszu koszta te ponosiło miasto i po ogłoszeniu konstytucyi zgłosiło się z prośbą do ministra wojny, aby przynajmniej przez czas pokoju od tych ciężkich ekspensów je uwolnił a żądanie to minister spraw wewnętrznych całym swym wpływem popierał. Rada ministrów przychyliła się do prośby i poleciła Zajączkowi, żeby do jej decyzyi się zastosował. Ten w sposób szorstki odpowiedział, że gdyby go o to proszono, możeby dla ulżenia ziomkom poświęcenie to zrobił, ale ponieważ mu rozkazują, oświadcza więc wyraźnie, że jako francuski generał dywizyi nie przyjmuje rozkazów od nikogo, tylko od cesarza, księcia Neufchâtel, lub księcia Auerstädt.

Generał Dąbrowski, który nie we francuskiej ale neapolitańskiej zostawał służbie, odrazu mundur polski przywdział i białą kokardę przypiął. Szanowany i prawie ubóstwiany przez naród, który w czasie ucisku germańskiego jedynego reprezentanta lepszej przyszłości w nim widział, znany osobiście i ceniony

od lat jedenastu przez cesarza, uczuł się niemile dotkniętym, skoro formowanym w Warszawie pułkom dano numera pierwsze, aniżeli jego, który ze swoimi wystąpił już, kiedy w Warszawie o rekrutowaniu ani myślano. To go odrazu zniechęciło, a nadto do księcia Józefa miał żal, datujący się jeszcze właściwie z czasów dawniejszych.

Król saski zabawił w Warszawie przez cały grudzień. Przepisał organizacyę rady stanu i rady ministrów, podzielił kraj na powiaty i zgromadzenia gminne, naznaczył stolicę każdego, wydał przepisy o obywatelstwie i zasadnicze punkta usamowolnienia włościan. Rozdał dla generałów dywizyi krzyże komandorskie, dla niższych oraz dla pułkowników i majorów kawalerskie i wyznaczył ich pewną ilość dla zasłużeńszych żołnierzy.

Myśmy po powrocie z Warszawy częścią w Puławach, a częścią w Bronicach przesiadywali. Książę feldmarszałek nie rad w tym roku zbytnio od domu się oddalać, nie pojechał jak zwykle do Bardyowa, ale kuracyi używał w Nałęczowie, dobrach podówczas do Małachowskich należących i graniczących z Bronicami. Wody nałęczowskie byłyby bardzo skuteczne, dużo bowiem posiadają żelaza, ale znaczna ilość części wapiennych czyni je do picia mniej zdatnemi i do kąpieli stosowniejszemi. Ponieważ w Nałęczowie o pomieszczenie trudno, pałac bowiem zajmował także na kuracyi będący Cieciszowski, biskup łucki, przeto książę Czartoryski u nas zamieszkał i codziennie do kąpieli jeździł. W tym roku także z wielkim żalem wszystkich umarła na suchoty w drodze do Włoch

Aniela Czartoryska; a siostra moja powiła pierwszego syna Leona Grabowskiego, dzisiejszego kamerjunkra dworu rosyjskiego.

Naprzód we wrześniu a później w grudniu na parę dni z ojcem Warszawę odwiedziłem, ale z krótkiego tego pobytu nie mam nic ważniejszego do zanotowania. Mój ojciec dowiedział się, że król saski postanowił wysłać do Paryża deputacyę, złożoną ze Stanisława Potockiego, Bielińskiego i Działyńskiego, aby ona wyjednała u Napoleona, żeby przejęte przezeń sumy bajońskie nie były odrazu egzekwowane, ale podzielone na raty. Po odbytej z księciem feldmarszałkiem i panem Ignacym Potockim naradzie, stanęło na tem, abym swoim kosztem przy boku Stanisława Potockiego tę podróż dla rozejrzenia się po świecie odbył. Udzielono mi potrzebne fundusze, a ks. feldmarszałek zaopatrzył mnie w listy rekomendacyjne i przez kilka godzin codziennie objaśniał, co i gdzie mam oglądać. Jednej rzeczy tylko brakowało — paszportu. Okoliczność ta jednak mnie nie przestraszała i postanowiłem, jak wszyscy do legionów się wybierający, drogę odbyć na Ryki, Żelechów, Parysów, Siennicę, Rudę, do wsi Cisia, w okolicy Okuniewa wśród lasów położonej. W wiosce tej mieszkał Zaleski, człowiek niezmiernej poczciwości, Nemrod niezmordowany i wielki Napoleona wielbiciel. On to, byle tylko armii żołnierza przysporzyć, całą młodzież przez kordon austryacki przemycał.

Wioska Cisie wśród sapów, piasków, błot i lasów położona, miała domek szczupły, tak jak wszystkie prawie u ówczesnej szlachty uboższej stawiano.

Po jednej stronie sieni wielka izba i alkierz: to mieszkanie dziedzica; po drugiej izba czeladna i kuchnia. W pańskiej połowie przy drzwiach krzyż, a pod nim przybite naczynie ze święconą wodą. Z jednej strony drzwi ogromny kanciasty komin, a obok piec olbrzymi z ławami dokoła, z drugiej szafa kredensowa. Na środku stół okrągły dywanem przykryty, pod oknem stolik z regestrami gospodarskimi i kalendarzami, dalej kanapa i przy ścianach porozstawiane krzesła. Alkierz służył za sypialnię i schronienie dla żony i dzieci. W domach takich żadnego przepychu, stołki twarde i ciasnota ogromna, ale gościa otaczano takiem wylaniem serca, służbę jego i konie tak karmiono obficie, że lepiej tu było, aniżeli w złoconych pańskich komnatach.

Pan Zaleski nigdy innego nie przywdziewał stroju jak kurtę zieloną, spiętą rzemiennym pasem, szaraczkowe szarawary i buty juchtowe. Za pasem tkwił nieodstępny batożek, zapomocą którego utrzymywał porządek w licznych swoich sforach. Stada psów całe zalegały wązki, gospodarskimi budynkami obstawiony dziedziniec, a ogary, charty, gończe, wyżły, pijawki, wszystkie słowem rasy miały tu swoich przedstawicieli. Na ścianach domu rozmaite myśliwskie trofea porozpinane: sępy, orły, jastrzębie, rarogi, jelenie rogi, kły dzicze i łby wilcze. Na kominie ciągły ogień i to nie z drobnych polanek, ale kłód całych, szczęściem że mokrych.

Szlachcica tego zupełnie nie znałem, ale miałem do niego polecające listy i szczęśliwym trafem zasta-

łem go w domu. Listy przeczytał i zaraz mnie jak starego przyjaciela serdecznie uściskał.

— Dobrze — rzekł — będziemy w Warszawie, ale mi trzeba jutrzejszy dzień przeczekać, żeby się dowiedzieć kto na komorze, kto na straży wojskowej? — Ale — dodał — więc waść nie do wojska, jak widzę, cóż więc poczniesz, skoro ci wrócić wypadnie?

Nad trudnością tą nie myślałem dotąd, co prawda, i zresztą zapewniłem go, że mam pewność, iż do Paryża pojadę.

— Co tam pewność? — przerwał mi — jak będziesz w Paryżu, to dopiero będzie pewność. Słyszałem i ja, że król jest w Warszawie i deputacyę wysłać zamierza, ale hr. Neuperg mówił mi wczoraj, że Napoleon jakoby w hiszpańskie sprawy mieszać się zaczyna, może więc ci panowie nie do Paryża, ale do Madrytu pojadą.

Na uwagi te straciłem trochę fantazyę i p. Zaleski tak sprawę zadecydował:

— Pojutrze pojedziesz ze mną do Warszawy. Konie, rzeczy, służących tutaj zostawisz i jeśli na pewno się dowiesz, że JW. Potocki wyjeżdża, to ci rzeczy odeślę. Jeżeli nie, wrócisz ze mną nazad.

Stosownie do tego programu stanęliśmy w dniu oznaczonym w Warszawie około jedenastej rano. Nie tracąc ani chwili czasu, przebrałem się i do Potockiego pobiegłem. Ten listy przeczytał i zaraz zapytał:

— A paszport masz?

Opowiedziałem mu w jaki sposób do Warszawy się dostałem.

BIBL. WOJSK. 26 p. Ul.
BIBLJOTEKA Podoficerów zawodowych 26 pułku ułanów Wlkp.

— Hm — rzekł — możebym wreszcie paszport wyjednał od ministra policyi, mego krewnego, ale wydać się to może i Austryacy gotowi ojcu twojemu skonfiskować Bronice. Zresztą my sami nie wiemy, kiedy i gdzie jedziemy. Być może, że w Paryżu wcale nie będziem. Napoleon jest podobno teraz w Medyolanie i czekać będziemy na wiadomość, kiedy i gdzie widzieć go będzie można. Dlatego radzę ci, wracaj nazad tym samym sposobem, jakeś tu przybył.

Victus rationibus, wróciłem do domu i tak się ten mój projekt pierwszej wycieczki w świat ulotnił.

Tymczasem pokój tylżycki, wciągając Rosyę do przymierza z Napoleonem, wywołał na dworze petersburskim liczne zmiany. Stronnictwo przychylne Anglikom upaść musiało i Nowosilcow, hr. Lieven, Strogonow, Tołstoj i Wołkoński ministeryum opuścili, a wraz z nimi usunął się także ks. Adam Czartoryski. Ponieważ od tej chwili często o nim wspominać będę, notatka więc, odnosząca się do jego przeszłości nie zawadzi. Urodzony w 1770 r. otrzymał staranną edukacyę pod zwierzchnim nadzorem pułkownika Ciesielskiego. Koło roku 1787 z matką udał się za granicę i najdłużej w Anglii, bo półtora roku, przebywał. Po powrocie do kraju krótko jako ochotnik służył w kampanii Targowickiej. Kiedy w 1795 r. dobra należące do ks. generała skonfiskowane zostały, Repnin dał do zrozumienia, że odzyskać się one dadzą, jeśli Czartoryscy obudwóch swych synów na dwór petersburski odeślą. Księcia Adama, skoro tam bracia przybyli, dodano do towarzystwa w. ks. Aleksandrowi i tu pomiędzy młodzieńcami zawiązała się serdeczna przy-

jaźń. Po śmierci Katarzyny cesarz Paweł przeznaczył ks. Adama na posła przy dworze sardyńskim, bawiącym podówczas w Cagliari. Tu przebywał on aż do wstąpienia na tron Aleksandra, który go zaraz do siebie przywołał i we wszystkich swoich projektach i planach rady u niego szukał. Kiedy projekta przez ks. Adama podawane upadły i Aleksander w Tylży traktat z Napoleonem zawarł, książę Czartoryski wystąpił ze służby dyplomatycznej, pozostał wszakże radcą tajnym, członkiem Rady państwa i wziął na siebie pełnienie obowiązków kuratora okręgu naukowego wileńskiego.

Uczucia, jakie ożywiały Księstwo Warszawskie, nie miały prawie żadnego odgłosu na Litwie. Wiedziano tu powszechnie o zamiarach z jakimi się nosił cesarz Aleksander i więcej w nim jak w Napoleonie pokładano nadziei, gotowość do ofiar i przywiązanie do Francuzów szałem nazywając. Warunki zresztą miejscowe nie były zbyt uciążliwe. W języku polskim wykładano nauki w Wilnie i Krzemieńcu, zachowano statut litewski i urzędy sądowe zostawiono dla krajowców, pozwalając nawet przez wybory je obsadzać. Część urzędów administracyjnych także w polskich była rękach, a na najwyższe godności cesarz zwykle zaszczytnie znanych obywateli powoływał. Szlachta od podatków uwolniona z litością wzruszała ramionami, słysząc o ciężarach, jakie Napoleon w Księstwie ponakładał. Tym sposobem jakby na dwa stronnictwa kraj zostawał rozbity.

Przy samym schyłku roku, Napoleon coraz wyraźniej zaczął stwierdzać przekonanie, że pokój pod

panowaniem jego niemożliwy. W lipcu jeszcze a nawet cokolwiek przedtem dwory hiszpański i portugalski ściągnęły na siebie niezadowolenie cesarza Francuzów. Pierwszy — ponieważ się wahał z wysłaniem posiłkowego, trzydziesto-tysięcznego korpusu, drugi — ponieważ nie zamknął portów swych dla angielskiego handlu. Niebawem też trzydziestotysięczny korpus, pod dowództwem generała Junot wybrał się do Portugalii. Mimo trudów, niewygód i braku żywności, armia zbliżała się do Lizbony, a przestraszona familia królewska i znakomite rodziny ratowały się ucieczką. To ułatwiło opanowanie i zajęcie kraju, a kiedy Junot w Portugalii gospodarował, Napoleon u stóp Pireneów sztyftował drugą i trzecią armię. 27 października podpisano w Fontainebleau traktat, mocą którego Portugalia uległa podziałowi. Część jej w zamian za Toskanię miał dostać król Etruryi, część przeznaczona była księciu Pokoju, pierwszemu ministrowi i faworytowi króla i królowej hiszpańskiej. Królewski dom Bragancyi został ogłoszony za pozbawiony tronu, a kraj musiał wypłacić Francyi sto milionów franków.

Kiedy podpisywano w Fontainebleau traktat co do Portugalii, w Hiszpanii tymczasem w rodzinie królewskiej wybuchły familijne niesnaski, które wmieszanie się Napoleona w sprawy tego królestwa wielce ułatwiły. Król Karol V kazał aresztować następcę tronu Ferdynanda, księcia Austryi, zabrać jego papiery i przed Napoleonem skarżył się, jakoby syn wyrodny myślał o zabójstwie matki i zrzuceniu z tronu ojca. Współcześnie do dworu francuskiego udawał się także Ferdynand, zarzutom zaprzeczał, prosił o pro-

tekcyę i o rękę jakiej księżniczki francuskiej. Zdaje się, że ks. Pokoju, wszechwładny minister hiszpański i osobisty wróg księcia Austryi, intrygę tę uknuł. Bądź co bądź wszakże, Napoleon odebrawszy te listy nakazał, żeby armia do Hiszpanii wkroczyła. Nim jednak ruchy wojskowe się rozpoczęły, doniesiono, że zgoda na dworze hiszpańskim się ustaliła.

Wspominaliśmy już, że w pertraktacyach tylżyckich myśl Napoleona podzielenia Europy na wschodnią i zachodnią rzuconą była, a choć — jak to się z dalszego toku wypadków okaże — nie chciał on Rosyi zupełnej swobody na Wschodzie dozwolić, dla swoich wszakże widoków podburzał ciągle dwór petersburski do przedsiębrania wojen. Tak wysłany generał Savary skłaniał Rosyę do odjęcia Szwedom Finlandyi, tak samo też zawikłano ją w wojnę z Turcyą. Z drugiej strony generał Sebastiani, poseł francuski przy sułtanie Selimie III, nakłonił go do odebrania władzy hospodarskiej książętom Ypsilanti i Moruzzi w Mołdawii i Wołoszczyźnie dlatego tylko, że byli stronnikami Rosyi. Destytucya ta sromotna, wbrew traktatowi zawartemu w Jassach, była powodem, że generał Michelson na czele 40.000 wojska wkroczył do Turcyi i zajął Chocim i Bender. Współcześnie zaś admirał angielski Dukwart, wraz z Sieniawinem, zniszczył flotę turecką i Selima III z tronu zrzucono. Po pokoju tylżyckim Rosya na swoją rękę musiała kampanię prowadzić i niedługo też zawarto zawieszenie broni. Do pokoju jednak nie przychodziło, bo Napoleon słuchając podszeptów generała Sebastiani i po-

dając ucha radom, aby upadającą Turcyę dla Francyi zhołdować, rozmaite stawił przeszkody.

Jeszcze w roku poprzednim, zaraz po wygranej pod Jena, wydał Napoleon dnia 21 listopada 1806 roku dekret w Berlinie, stanowiący, że:

1) Wyspy Wielkiej Brytanii są uznane w stanie blokady. Zabronione z niemi wszelkie stosunki handlowe a nawet listowne.

2) Każdy Anglik za jeńca ma być uważany.

3) Wszelka własność do Anglika należąca, tak ruchoma jak nieruchoma, poczytuje się jako zdobycz wojenna.

4) Również za zdobycz uważane będą wszelkie wyroby z fabryk angielskich pochodzące.

Ustawy te weszły w wykonanie we Francyi, Holandyi, Północnych Niemczech, krajach Związku Reńskiego, Szwajcaryi i całych Włoszech. W listopadzie zaś na mocy traktatu tylżyckiego przystąpiły do nich Rosya i Prusy, po traktacie w Fontainebleau Portugalia i Hiszpania, a po doznanem bombardowaniu Dania. Tak więc handel dla Anglii otwarty był tylko w Szwecyi, Turcyi i Austryi. Z dwoma pierwszemi jednak Anglia prowadziła wojnę aż do traktatu w Tylży, a w Austryi i tak towary angielskie były zabronione. Podczas pobytu swojego w Medyolanie Napoleon jeszcze więcej surowość blokady tej obostrzył. Nakazano mianowicie konfiskatę każdego okrętu, bez względu na jego flagę, jeśli do brzegów angielskich przybijał i tego któryby się rewizyi odbywanej przez flotę angielską poddał. Pochodziło to stąd, że Anglia porty francuskie w stanie blokady

ogłosiwszy, wszelkiego do nich dowozu bez rewizyi i opłacania podatku nie dozwalała. Jako odpowiedź na postanowienia Napoleona w Medyolanie ogłoszone, zabroniła Anglia dowozić do portów, dla jej handlu zamkniętych, towarów kolonialnych. Trudno sobie wyobrazić dzisiaj jakie skutki wynikły z takiego gnębienia stosunków handlowych. Jeszcze wówczas nie znano w Europie innego cukru, jak z Antyllów w melasie dostarczanego i na rafineryach europejskich oczyszczanego. Herbaty nie dowożono także przez Rosyę, oprócz tego farby do fabryk, specyfiki aptekarskie, bawełnę przędzoną, watę, wszystko to dostarczała Anglia i kiedy z początku nastąpiło tylko tych przedmiotów podrożenie, później, kiedy wyczerpano zapasy, okazał się brak dokuczliwy. Jeszcze bez przedmiotów zbytku można się było obejść, ale najgorsza sprawa okazała się z lekarstwami. Starano się je zastępować rozmaitymi surogatami, jak: chinę — korą wierzbową, opium — ekstraktem z maku i liści szaleju i t. d., ale w skutkach okazało się to zgubnem, a właściwe rezultaty wyszły na jaw właściwie dopiero w latach 1812 i 1813.

W lecie tegoż roku, przed pokojem jeszcze tylżyckim, przybył do Bronic Jan hr. Krukowiecki, Lwowianin i chociaż już nie pierwszej młodości, bo około czterdziestu lat wtedy liczył, wyszukany elegant. Służył on poprzednio w wojsku austryackiem i dymisyę, zdaje się w stopniu porucznika otrzymał. Charakteru popędliwego, miał wiele pojedynków i to prawdopodobnie jego wystąpienia ze służby było powodem. Z ojcem mym, który corocznie na kontraktach lwow-

skich bywał i zwykle po sześć tygodni tam bawił, dawną miał znajomość, prosił więc jak jego, tak i mego szwagra o listy rekomendacyjne do ks. Józefa i generała Michała Grabowskiego, żeby go do wojsk Księstwa Warszawskiego przyjęto. Bez żadnej trudności je uzyskał, a że oficerów brak był wielki i że książę Józef wskutek dawnej służby swojej w wojsku austryackiem, wielką miał dla oficerów stamtąd sympatyę, został więc zamianowany szefem batalionu w pułku Michała Grabowskiego.

I ojciec mój i szwagier żałowali później, że się tego umieszczenia jego stali powodem, bo chociaż to był odważny, waleczny i dobry oficer, jednak z powodu jego charakteru kłótliwego miał Grabowski mnóstwo nieprzyjemności. Krukowiecki nawet właściwie był powodem śmierci Grabowskiego pod Smoleńskiem. Kiedy bowiem Grabowski szykował swe kolumny do szturmu i objeżdżał szeregi, Krukowiecki podówczas już pułkownik ozwał się:

— Generale, pokaż nam, stanąwszy na czele, jak się bez drabin i wyłomu na te mury wydostać. Nie garnizon to w Gdańsku, nie czekają nas jak tam ostrygi i wygodne bety niemieckie.

— Rozumie się, że na waszem czele — odpowiedział generał — dalej za mną! — i od pierwszego poległ strzału.

W kilka godzin zginął tu także powinowaty jego generał Rozen.

XIV.

Z początkiem roku 1808 siostra moja z mężem wyjechała do Warszawy trochę dla zabawy, o którą już w Puławach było trudno, a więcej dlatego, iż Grabowski, widząc byt Księstwa ustalony, postanowił umieścić się w służbie rządowej. Żeby dać wyobrażenie o ówczesnych zabawach w stolicy, oraz o toaletach, jakie najwięcej były w modzie, przytaczam niektóre wypisy z jej listów:

11 stycznia.

Wczoraj u pani Stanisławowej Potockiej *nous avons arrangé des tableaux.* Ja i panna Laura (Potocka) wszystkośmy ustawiały, przygotowywały i dyrygowały i wszystko się wybornie udało. Składała się ta żywa galerya z sześciu obrazów. Najpierwszy: *une femme de Rubens* — wyobrażała ją p. Antoniowa Potocka (późniejsza Branicka). Dalej leżąca bachantka z winnem gronem w ręku, którą z pomiędzy kwiatów śledzi Satyrek. Bachantką była p. Aleksandrowa Potocka, a Satyrem Ludwik Kicki. Trzecim obrazem była Sybilla Dominichina, przedstawiona przez p. Sobolewską. Nieszczęściem ubrała się ona niestosownie, i zbytnia mieszanina kolorów zanadto czyniła strój

jej krzyczącym. Następnie p. Antoni Potocki przedstawiał Van Dycka i prześlicznie wyglądał. Dalej *une discussion de Carace* przedstawiony przez Ewusię (panna Kicka) i pana Michała (Grabowski) ze wszystkich najpiękniejszy. Sala tak była urządzona, że każdy obraz przegrodzony był posągami ustawionymi z żywych osób: Lorcia *en danseuse d'Herculanum,* pani Gabryela (z Gutakowskich Zabiełłowa) *en Psyché,* ja *en Vestale*, a panna Teresa (Kicka) *répresentait une femme faisant danser le Cupidon.* Resztę sali upiększono starymi wazonami, kandelabrami i rozmaitymi artystycznymi drobiazgami. Fetę tę dawano dla Francuzów. *Ils paraissaient enchantés,* a zapewne przez grzeczność mówili, że i w Paryżu nic podobnie pięknego spotkaćby nie można. Po obrazach nastąpiła kolacya, a towarzystwo raz w dobry humor wprawione przepędziło resztę czasu wesoło na przebieraniu się w rozmaite stroje. Jutro bal u pani Antoniowej, a pojutrze u pana Stanisława Małachowskiego. O umieszczeniu mojego męża nic jeszcze nie masz pewnego, — dziś jadę do p. ministra Dembowskiego, który go łaskawie proteguje i może czego się dowiem. Tymczasem awantury tu się dzieją między Tarnowskimi, Różnieckimi i p. Stanisławowstwem Potockimi. Pan Władysław (Tarnowski) ożenił się. Matka jak się dowiedziała, zemdlała i wpadła w spazmy. Najwięcej na tem ucierpi Lorka, bo ciotka bezustannie na nią się krzywi....“

15 stycznia.

„Wczoraj w wieczór odbywał się u Ś-go Krzyża ślub Ewuni (Kickiej z ks. Antonim Sułkowskim)

z wielkiemi ceremoniami. Grenadyerzy otaczali ołtarz, ludu masa i ścisk tak wielki, że panna młoda zaledwie się mogła przecisnąć. Kolacya u pani Kickiej była bardzo wesoła. Panna Naglé, staruszka, dawna panien Kickich guwernantka, uszczęśliwiona, z radości sobie trochę podpiła i przednie nam prawiła historye. Lecz najzabawniej wydawali się p. Żaboklicki i ks. Stanisław Jabłonowski, *le combat de l'amour et de la vertue sur leurs visages.* Ewusia miała białą, atłasową suknię, garnirowaną u dołu krepą, a trochę wyżej bukietami z róż białych. Na głowie wieniec z mirtu i długi bukiet świeżych kwiatów, spadający na bok. Bardzo jej w tym stroju było do twarzy i przy ślubie była rezolutna — nic nie płakała; za to matka jej i Teresa od płaczu się zanosiły. Opisuję ci także moją toaletę. Miałam suknię żółtą *avec collier monté,* na głowie do łańcuszka mojego złotego przyczepiłam wszystkie dyamentowe gruszki i pióro czaple. Mówiono mi, że w tym stroju bardzo mi było do twarzy, a pani Gutakowska ci zaświadczy, że się dobrze ubieram, jak Staś, że zdrowie szanuję. Poznałam panią Morand (z domu Parysównę), żonę generała dywizyi Morand, *qui est une beauté parfaite.* Już ma tak piękny nos, że w życiu mojem podobnego nie widziałam. Cała figura zręczna, a zgrabna, a rysy niezmiernie regularne. Spodziewam się, że w albumie swego brata zaliczoną będzie do najpierwszych piękności. *Les affaires de Staś vont se débrouiller, à ce que me dit M. Gutakowski.* Pani Aleksandrowa Potocka namawia mnie, żebym z nią grała pantominę — *je dois figurer une esclave grecque....*“

Dopisek Grabowskiego: „*Nous avons plein de noces et de bals. Tarnowski s'est marié, ce qui est un gibier pour les commères de Varsovie, qui ne parlent d'autre chose. Morand est ivre de sa femme, ne la quitte pas, danse evec elle et s'en occupe exclusivement. La noce d'hier a été très belle et fértile en evénements. Żaboklicki et prince Jabłonowski faisaient des mines épouvantables* i pili z desperacyi — mój brat i guwernantka także sobie podochocili dobrze. Jutro Pac dla generałowej Morand daje bal wielki, a Witt bukietowy we czwartek. *Nous courrons de fête en fête*, bo i dla p. Ludwika Małachowskiego, który ślub bierze w poniedziałek, różne szykują festyny".

18 stycznia.

„Pan Stanisław Potocki wczoraj wyjechał. Żona i syn odprowadzali go do Nieborowa. Głośno tu mówią o rozwodzie Napoleona i dodają, że ma się żenić z siostrą imperatora — *ce qu'il-y-a de plus sur*, że Savary *ne tarit pas en fait d'éloges*. Pisały pewne osoby, że Napoleon jak najlepiej dla nas jest usposobiony i że deputacya uzyska wszystko, czego tylko żądać będzie. Księżna Wirtemberska przyjechała onegdaj w wieczór i dziś się do niej wybieramy. Onegdaj mieliśmy bal u Paca, arcywspaniały, a dziś u pana Witta, gdzie Staś *in gratiam* dawnych petersburskich znajomości będzie gospodarzem u jednego stołu..."

26 stycznia.

„P. Gutakowski mówił mi, że tymczasowo Stasia umieszczają jako radcę nadetatowego przy p. Łuszczewskim i to niedługo. Jakkolwiekbądź bowiem potrzebuje wprawy, a dopiero po odbytej aplikacyi zo-

stanie prawdopodobnie audytorem przy Radzie stanu. P. Stanisław Potocki pisał z Poznania, donosi, że zdrów jest zupełnie i drogę odbywa dobrze. Wczoraj udano się szlichtadą do Bażantarni, tam śniadanie, jak powiadają, zastawione było przedziwne, a na obiad składkowy wrócono do Gąsiorowskiego. Pani Aleksandrowa zabawę tę odłożyła, ale na niej nie byłam, bo ks. Wirtemberska zabrała mnie do siebie na obiad. Extra dla mnie grzeczna i dobra tak jak i dawniej bywało. Mówią tu, że p. Matuszewicz oświadczył się (o rękę p. Cecylii Beydale) i że mu odmówiono. Nie śmiem o to księżnej zapytywać i proszę cię donieś mi, czy to prawda? Generał Morand wyjeżdża z żoną do dziadka mieszkającego w Pacanowie, który ma być wielkim dziwakiem. Co do generałowej Morand, kiedy ją księżnie prezentowano, pierwsze słówko, jakie do niej wyrzekła, było: *Comment trouvez-vous mon mari? — Mais très bien. — En effet quand on le voie* — dodała — *il faut en devenir folle.* I ona także jest rzadką pięknością, jednak Wieronisia (Rautenstrauchowa) ma daleko większą partyę i większy tłum wielbicieli. *Elle fait ici grand bruit et son mari en devient de plus en plus jaloux.* Mówią tu, że generał Andreossi, poseł francuski w Wiedniu, stara się o rękę panny Karoliny Jelskiej. *Cela met de mauvaise humeur Madame Severin qui lui en veut à cause de cela.* Może to jednak wszystko plotki, o które tutaj bardzo łatwo...“

29 stycznia.

„Wczoraj był bal bukietowy u p. Bronikowskiej. Pośród balu weszły naprzód pani Łubieńska, Broni-

kowska, Aleksandrowa i Antoniowa Potockie, ubrane *en Arabes*. Spódnice białe, ponsową materyą i złotem obszyte, tuniki półokrągłe, naszywane także ponsowem i złotem i otoczone w pasy frendzlą z korali i pereł. Na tem katanki tureckie ponsowe, a na głowie rodzaj turbanów z welonami, podpiętymi pod brodę. Dyamentów moc wielka, a rękawy spinane szerokiemi bransoletami. Drugi orszak składał się z pani Anastazowej i Adamowej Walewskich, z pani Cichockiej i Maryi Dzierżanowskiej *en femmes de Bagdad*. Miały na głowie turbany seledynowe, dyamentami ozdobne, białe spódnice i seledynowe tuniki srebrem obszyte. Trzeci: pani Wincentowa Krasińska, panna Sobańska, Stasiowa Potocka i panna Komarówna *en Morlaques*. Miały na głowie dyademy bogate, na tem zarzucone białe woalki, spódnice białe, katanki długie ponsowe, oblamowane złotem, fartuszki okrągłe, haftowane złotem w poprzek. Ten szereg najpiękniej się wydawał. Pani Aleksandrowa, Ignacowa Sobolewska, Zabiełłowa i panna Teresa Kicka były także *en costume*, ale przyznam się, nie można było wiedzieć, co to za ubiór. Szczególniej p. Aleksandrowa jakiś turban potężny wsadziwszy na głowę, zdawała się upadać pod tym ciężarem. Pani Ignacowa miała strój turecki, panna Teresa hiszpański, a pani Zabiełło *un costume de fantaisie*. Bawiono się doskonale i ja wyjeżdżając o czwartej bal w najlepszem ożywieniu jeszcze zostawiłam...“

30 stycznia.

„W tych dniach ze sztabu Napoleona przyjechał tu Falkowski z poleceniem do Rożnieckiego, aby

podał plan, w jakiby sposób można zabrać część Galicyi, żeby mieć z jednej strony Karpaty, a z drugiej dobrą linię obronną. Po co te plany i co to są za zamiary, tajemnica to, a domysłów rozmaitych krąży mnóstwo. Już to wojsko jest u nas zawsze do boju gotowe i tu sprawa idzie jak najlepiej, ale cywilność w prawdziwym odmęcie. Pełno partyi, nikt nie wie co ma robić i powszechnem jest życzenie, żeby p. marszałek (Ignacy Potocki) objął naczelną władzę. Na pana Stanisława krzyki ogromne, choć prawdziwie nie wiem o co. Marszałka Davoust, o którego wszystkie te komeraże się opierają, niezmiernie to nudzi i męczy. Z księcia Józefa wszyscy generalnie niekontenci i może nawet odejmą mu ministerstwo. *Mais que cela reste entre nous.* Przejeżdżał tędy generał Savary i piorunował na księcia Adama (Czartoryskiego), że wyprawił wielki obiad dla posła angielskiego. Natychmiast w gazetach wydrukowano rozmaite artykuły i nazywają go w nich służalcem Anglii. Szpiegostwo, do któregośmy nie nawykli, rozwinięto tu okropnie. P. Sobolewski ostrzegł mnie, żeby się mieć na baczności, każde bowiem słówko wyrzeczone, dochodzi do wiadomości władzy.

Rożniecki ze Stasiem, na żądanie Davousta opisali stosunki krajowe przed bitwą Austerlicką i wymienili powody, dla których ks. Adam zostawał na dworze petersburskim. Marszałek przeczytawszy, niezmiernie tem zdziwiony został, że Polacy mogli na Rosyę rachować i pismo to przesłał Napoleonowi. P. Mostowski z Paryża donosi, że dla nas najlepsze są nadzieje...“

2 lutego.

„Bale trochę ustały, ale natomiast następują *assemblées*. W niedzielę byłam pod Blachą z p. Stanisławową Potocką, która nieskończenie dla mnie jest łaskawą i grzecznościami mnie obsypuje. Widziałam także paradę na dziedzińcu Saskim, które tu codzień się odbywają. Około 200 żołnierzy defiluje, a w środku gra muzyka. Ewusia wyjechała. *On dit que l'affaire de l'échange de Galicie est en train.* Napoleon pogodził się z Lucyanem...“

6 lutego.

„Czy mego Leonka wakcynować? Lafontaine arcy tej innowacyi jest przeciwny i mówił mi, że gadał długo z doktorem, który umyślnie jeździł do Londynu, aby ten wynalazek zbadać. *Il lui a dit que c'est une lubie des médicins anglais.*

Onegdaj mieliśmy wielką paradę. Rozdawano krzyże żołnierzom. Pierwszy raz widziałam nasze orły. Pana Michała regiment ustawiono pod koszarami litewskiemi, a Stasia Potockiego na dziedzińcu Saskim. Orły ich salutowały, a książę Józef przypiąwszy krzyże, każdego żołnierza całował. P. Michał miał mowę, poczem krzyczano: Niech żyje cesarz! — Bale ustały i miejsce ich zajęły herbaty tańcujące. Na ostatniej z nich u p. Małachowskiego powtórzono kadryle kostiumowe, ale jakoś nie szykowało tym razem. Jutro p. Michał daje wielki obiad dla ks. Józefa, generałów i dekorowanych żołnierzy, którzy u tegoż samego stołu siedzieć będą. Znaczna część litewskiej naszej familii także się tu zjechała,

p. Stefan Grabowski, pani Biszpingowa i p. Siecheń, ten co był w Puławach...“

9 lutego.

„Wszyscy nas tu zapewniają, że Staś wkrótce dostanie miejsce. Dobrze jest widziany przez marszałka i przez Rożnieckiego, a ta droga prędzej do celu dowiedzie, aniżeli protekcya krewnych, którzy chociaż dobrze mu życzą, dosyć są marudni i boją się, żeby ich nie posądzono o nepotyzm. Pani Aleksandrowa pojechała do Białegostoku, bo pani Krakowska jest bardzo chora, a nawet niektórzy mówią, że już umarła. My wyjeżdżamy także za dni parę, a towarzyszyć nam będzie p. Michał dla widzenia panny Laury, do której szczerze jest przywiązany....“

Puławy tej zimy były zupełnie puste, gdyż książę feldmarszałek bawił w Sieniawie, książę Konstanty we Włoszech, a księżna Wirtemberska w Warszawie. Pan Stanisław Potocki przed wyjazdem swoim z deputacyą, zawiadomił brata, że w Paryżu nie będzie, gdyż Napoleon wezwał ich do Bajonny. Tak więc nadzieja mojej podróży rozwiała się i do późniejszego odłożyła czasu.

Rosya widząc, że zawarte z Turcyą zawieszenie broni pokoju nie wyda, rozpoczęła dalszą wojnę i wojna ta trwała cztery lata aż do 28 maja 1812 r., to jest do pokoju zawartego w Bukareszcie, a spowodowanego głównie najściem Napoleona na Rosyę, bez tej bowiem przeszkody Rosya-by niezawodnie Konstantynopol zabrała. Na mocy traktatu do Rosyi odpadała cała Bessarabia z Chocimiem, Braiłowem i Izmaiłowem.

W końcu roku poprzedniego na mocy traktatu Tylżyckiego zawezwano Szwecyę, aby dla okrętów angielskich zamknęła morze Baltyckie. Ponieważ Szwecya odpowiedziała, że wtedy to uczyni, kiedy Francuzi wybrzeże Baltyku opuszczą, wysłano więc w marcu 1808 r. korpus Buxhevdena do zajęcia Finlandyi. 23 marca poddało się Abo, a wkrótce potem i Sweaborg, ów Gibraltar północny. Cała kampania trwała dziewięć miesięcy i wojska rosyjskie doszły aż do Torneo i następca Gustawa IV, który koronę złożył, odstąpił Rosyi Finlandyę.

Napoleon korzystając ze sporów w hiszpańskiej rodzinie królewskiej jeszcze w listopadzie 1807 r. wysłał do tego kraju korpus generała Dupont, liczący 27.000 ludzi. Miały to być niby rezerwy dla generała Junot i wojsko to rozłożyło się w Valladolid i Salamance. 9 stycznia 70.000 wojska wprowadził marszałek Moncey do Biskai, a 9 lutego takaż sama siła pod wodzą Duhesme zajęła Katalonią. Książę Pokoju, który na to przejście wojsk francuskich zezwolił, zaczął rozumieć, że dla Portugalii sił tych za wiele, a lud przyszedł do tego przekonania, że niecny ten intrygant Hiszpanię Napoleonowi za obiecany mu tron Algarvii zaprzedaje. Wzburzone więc tłumy napadły na Aranjuez, księcia Pokoju pokaleczonego do więzienia zamknęły, a wymógłszy na Karolu IV abdykacyę, Ferdynanda królem ogłosiły. Murat, który podówczas znajdował się w Burgos, zajął Aranjuez i Madryt i więźniów wziął pod swoją obronę.

Abdykacya Karola nie przypadła go gustu Napoleonowi. Znał on słabość jego charakteru i liczył,

że z nim łatwo plany swe przeprowadzi. W Ferdynandzie nie wiedział jeszcze, jakiego będzie miał przeciwnika. Dla wybadania gruntu wysłał do Madrytu generała Savary'ego. Rozmowa, jaką miał z nim na odjezdnem, jest z tego względu dla nas ważną, iż dowiadujemy się z niej, że byt Polski, o jakim Napoleon wprzódy szczerze myślał, został przez niego zaniedbany zupełnie, skoro nabrał nadziei, że cesarza Aleksandra będzie mógł użyć przeciwko Anglii. Ważniejszymi mu się teraz wydawały jego widoki w Hiszpanii, a ks. Talleyrand, idąc za jego chęciami, pisał:

„Tyle ganiona polityka Ludwika XIV, iż dla osadzenia swojej dynastyi w Hiszpanii wplątał się w długie wojny, była jednak pożyteczną i dla dobra Francyi i wynikała z położenia Hiszpanii. Kraj ten morzami oblany, czyni go zawisłym od Anglii i potrzebuje tylko króla wojownika, żeby zagrozić Francyi, jak to było za Karola V i Filipa II. Panowanie nadto Bonapartych we Francyi zawsze wątłe, dopóki Hiszpanią rządzą Burboni. Nie o północy więc Francyi myśleć należy, nie o Polsce, ale o Hiszpanii. Jeśli dla nieujętej jakiejś utopii zapuścilibyśmy się w głąb Litwy, Hiszpanie tymczasem i Austryacy stanęliby prędzej w Paryżu, aniżelibyśmy my zdołali wrócić do Renu".

Savary, zręcznie łudząc Ferdynanda, nakłonił go do widzenia się z Napoleonem w Bajonnie, ale, kiedy nowy król hiszpański przybył do Vittoryi, doradcy jego dalej go puścić nie chcieli. Napoleon wtedy zagroził, że nie jego, ale jego ojca za króla

uważa. Pod grozą tego warunku przybył Ferdynand do Bajonny, a sprowadzono tu także jego ojca. Natychmiast zaproponowano Ferdynandowi zrzeczenie się korony hiszpańskiej, ofiarując w zamian królestwo Etruryi, a gdy ten się oparł, Karol ogłosił się królem na nowo, wydał proklamacyę, w której ks. Murata naznacza swoim namiestnikiem i zażądał, żeby wnuków jego, infantów: Don Antonia i Don Francisca przysłano do Bajonny. Lud przeczytawszy tę proklamacyę infantów wydać nie chciał i załogi francuskie z Madrytu chciał wypędzić. Wojsko jednak się oparło i infantów pod eskortą wojskową wysłano. Napoleon odebrawszy o tem wiadomość, rozgniewany przywołał Ferdynanda i zapowiedział, że jeśli korony nie złoży, każe go natychmiast oddać pod sąd wojenny. Nie mając środka oparcia się abdykował na następujących warunkach. Przyznano mu dobra Nowarrę, milion franków rocznej pensyi i po 400.000 fr. rocznie dla każdego infanta. Tegoż dnia Karol odstąpił Hiszpanię Napoleonowi, zastrzegając, że żadna prowincya od Hiszpanii oderwaną nie będzie, że religia katolicka pozostanie w niej panującą, że dobra Chambord i Compiégne będą mu przyznane, że on 7,500.000 fr. rocznej pensyi, a inni członkowie rodziny królewskiej wystarczające utrzymanie otrzymywać będą. Zanim zamek Compiègne mógł być wyrestaurowany, miał król zamieszkiwać w Valencyi u żony Talleyranda. W ten nikczemny dość sposób wyrzucił Napoleon z Hiszpanii Burbonów, opuścił Polskę i naraził się na wojnę z ludem broniącym swojej niepodległości, która upadek jego przyśpieszyła.

Deputacya polska, złożona ze Stanisława Potockiego, Bielińskiego i Ksawerego Działyńskiego, przybyła, stosownie do polecenia Napoleona, do Bajonny dość wcześnie, ale ponieważ sprawy hiszpańskie się agitowały, musiała więc czekać kilka miesięcy i dopiero 6 maja uzyskawszy posłuchanie, pod datą 10 maja otrzymała następujące ulgi:

1. Cesarz Francuzów, z mocy traktatu Tylżyckiego, właściciel sum pozaciąganych przez obywateli księstwa Warszawskiego z banków pruskich, kas rządowych, kompanii morskiej i kasy wdów i inwalidów, odstępuje też sumy ryczałtowo na własność królowi saskiemu za umówioną kwotę, na którą obligacye król saski wyda i ratami spłacać ją będzie.

2. Trzy pułki piechoty polskiej, wezwane do armii hiszpańskiej, przechodzą na żołd francuski, równie jak i pułk ułanów gwardyi Napoleona.

Dwa polskie pułki piechoty, stanowiące garnizon gdański, pobierać będą żołd i żywność z kas francuskich.

Przytem nie omieszkano posłów nakarmić jak najpiękniejszemi nadziejami, któremi przejęci, powrócili do Warszawy we wrześniu po ośmiomiesięcznej nieobecności.

Do Hiszpanii poszedł pułk 4-ty Feliksa Potockiego, starościca szczerzeckiego, 7-my Sobolewskiego i 9-ty ks. Antoniego Sułkowskiego. Oprócz tego pułk gwardyi ułanów pod Wincentym Krasińskim, cztery pułki piechoty na żołdzie francuskim, zwane legionem nadwiślańskim i dwa pułki jazdy ułanów. Wszystko to razem tworzyło blizko dwie dywizye samych Po-

laków, które w mnogich bitwach, jak to na swojem miejscu przywiodę, sławą się okryły.

W garnizonie gdańskim zostały: pułk 10-ty Mielżyńskiego i 11-ty, zdaje mi się Niemojewskiego, 4-ty pułk ułanów Kwaśniewskiego zabrany został jako garnizon do Drezna. Ten Kwaśniewski, żołnierz starego autoramentu i języków obcych wcale nie posiadający, miał szczególniejszą nienawiść do Niemców. Że zaś wojska nasze na wzór francuskich własność rolnika za swoją uważały, przeto kiedy stanęły nad Elbą w okolicy Pilnitz, żołnierze wycinali kapustę, kopali kartofle, zrywali zielone jabłka i gruszki i zbierali poziomki, które Sasi tak starannie w winnicach hodują. Mieszkańcy na nadużycia te skarżyli się ciągle pułkownikowi, ale ten śmiał się i odpowiadał:

— Cóż tam za wielka szkoda! — przyjdź Niemcze do nas, całą ćwierć poziomek dam ci darmo a nawet i więcej, bo możesz je w lecie zbierać wiele ci się podoba.

Sasi widząc, że u pułkownika żadnej satysfakcyi nie znajdą, udali się do króla. Ten Kwaśniewskiego wezwać kazał, a wiedząc, że po niemiecku nie umie, po polsku polecił, żeby szkody były wynagrodzone.

— Najjaśniejszy panie — zareplikował pułkownik — co Niemców żałować? Tyle lat nas dusili, toć im trochę dokuczyć nie zawadzi.

Temi licznemi wysyłkami legia druga zredukowana została do jednego pułku piechoty i dwóch jazdy, co znowu generała Dąbrowskiego ubodło i nieukontentowanie jego zwiększyło.

W maju zaprowadzono system poboru czyli

konskrypcyi. W zasadzie różnił się on od obecnego, a był bardzo prosty i działał szybko. Do popisu należeli mężczyźni od 20 do 28 roku życia i dzielili się na cztery klasy, każda obejmująca po dwa lata wieku. Urzędnicy zostający w służbie, duchowni, profesorowie i nauczyciele od powinności wojskowej byli zwolnieni, o zdolnościach zaś popisowych wyrokowała Rada popisowa, z prefekta, dwóch radców, jednego oficera i chirurga złożona. Ci wydawali świadectwo osobom z powodu zdrowia w wojsku służyć nie mogącym i wykreślano ich z listy popisowych a przenoszono do rezerw. Rada urzędowała ciągle i każdy do wojska niezdatny zgłaszał się sam do niej, aby świadectwo uzyskać, reszta bez świadectw uchodziła za zdrowych i skoro czas poboru nadszedł zwoływano ich do miasta, wkładano w naczynie tyle gałek białych, ile rekrutów wziąść należało, ci zaś, co wyciągnęli gałki czarne, dostawali uwolnienie na całe życie. Przed odbyciem powinności wojskowej żenić się nie było wolno.

Ustanowiono współcześnie komisye egzaminacyjne dla urzędników i likwidacyjne dla koekwacyi ciężarów wojennych, nakoniec we wrześniu zapadł ważny dekret, regulujący prawa wyborców i wybieralnych, tudzież urządzający postępowanie na sejmikach i zgromadzeniach gminnych.

Włościan porównano z resztą mieszkańców w obliczu prawa, przypuszczono ich w wyjątkowych razach do listy wyborców, otwarto możność kształcenia się i awansowania tak w wojskowej jak i w cywilnej służbie. Lud przyjął to z radością, wstrząśnie-

nia żadnego wszakże nigdzie nie było i odrabianie powinności inwentarskich nigdzie nie zostało przerwane. W Płockiem tylko prefekt Rembieliński skłaniał tak dziedziców jako i włościan, żeby porzuciwszy przestarzałe inwentarze, zawierali notaryalne umowy, w kształcie kontraktów dzierżawnych, a wielu znalazło się takich, którzy poszli za jego radą. To wszystko dowodzi dokładnie, że stan poprzedni nie był tak straszny, jak go sobie wyobrażano, i że *esclavage* w konstytucyi wspomniane u nas nie istniało. Stosunek był wogóle patryarchalny i w wyjątkowych a bardzo rzadkich wypadkach uciskiem nacechowany.

Stosunki szlachty z mieszczaństwem były dosyć dalekie i aż do przyjścia Francuzów mieszczan do szlacheckich towarzystw nie przypuszczano. Od tej chwili i to się zmieniło i niektórzy mieszczanie, jak naprzykład Wojda do wysokich godności powołani zostali. We Francyi w tym czasie nowa szlachta cesarstwa nie ugruntowała się jeszcze i ślady wyobrażeń z 1793 r. się nie zatarły. Obalenie przywilejów i tytułów tak silnie w umysłach tkwiło, że tytułami obdarzeni, niechętnie się do nich przyznawali. Marszałek Davoust nie podpisywał się nigdy książę d'Auerstädt i przykrość mu robił, kto go w towarzystwie księciem tytułował. Żołnierze i podoficerowie, jeśli ich stopień wykształcenia był wyższy, do towarzystw byli zapraszani i nierzadko zdarzyło się widzieć żołnierza prostego, siedzącego obok generała. Mundurów używano zwykle tylko do parad i służby, na balach zaś, wieczorach, obiadach i zebraniach wy-

stępowano we frakach, a książę Józef przykład do tego dawał.

Język francuski, tańce francuskie zapanowały wszechwładnie. Obiady zaczęto jadać o piątej i zaprowadzono nieznane u nas *dejeuners à la fourchette.* Kuchnia nawet francuska rugowała polską i barszcze, kapuśniaki i bigosy w kąt się pochowały. W umeblowaniach greczyzna i rzymskość więcej aniżeli kiedy wzięły górę. Kanapy, stoły, fotele, kantorki bez orłów, lwich łap i tym podobnych oznak obejść się nie mogły, a stoły na trójnogach koniecznie wspierano. Herkulanum i Pompeja do wszystkiego dawały wzory i modele. Stroju polskiego ostatnie ślady zupełnie znikły i w Warszawie zaledwie kilka osób kontuszom wiernych pozostało. Między nimi zawsze po polsku się nosił notaryusz Skorochód-Majewski, znakomity języków wschodnich badacz.

Książę Józef otoczył się świetnym sztabem. Biurom ministeryum przewodniczył generał Hebdowski, a Rautenstrauch i Fergis, tudzież kilku starych wojskowych, do oręża niezdatnych, jak naprzykład pułkownik Żeleński, spełniali tu obowiązki stosownie do swoich zdolności. Sztab generalny składał się z generała Fiszera, inspektora piechoty, generała Rożnieckiego, inspektora jazdy, Kamienieckiego, Szumlańskiego, kwatermistrzów i innych władz wojskowych. Adjutantów miał książę kilkunastu. Z tych Marceli Potocki, brat pani Czosnowskiej, Antoni Potocki, Miączyński, Błeszyński, Ludwik Kicki, Kamieniecki i Teodor Szydłowski nosili mundur karmazy-

nowy huzarski ze srebrem, inni granatowy z niebieskimi kołnierzami.

Król także urządził dwór swój warszawski. Wielkim marszałkiem czyli podkomorzym zamianowany został Jan Nepomucen Małachowski, łowczym Aleksander Batowski, Żaboklicki szambelanem, Adam Broniec marszałkiem dworu. Jeden tylko Broniec pobierał pensyi 20.000 złp. i miał w zamku mieszkanie, innych obowiązki były honorowe, to też Batowski do Francyi się przeniósł i rzadko do Warszawy zaglądał. Miał także król swoich adjutantów, z których jedni tytuł tylko posiadali i jako jego oznakę mieli prawo nosić na ręku białą przepaskę, otoczoną złotą frendzlą. Inni pełnili służbę adjutantów rzeczywistych i takimi byli pułkownicy Paszkowski i Błeszyński.

Przepisano mundury obywatelskie dwojakiego rodzaju: jedne granatowe z karmazynowymi kołnierzami i mankietami, zahaftowanemi srebrnym haftem, liście i owoce drzewa oliwnego wyobrażającym, drugie dla pozostałych stanów takiegoż koloru i kroju, ale bez haftu. Urzędnicy szczególnych mundurów nie mieli i tylko siedmiu członków pierwotnej Rady rządzącej miało prawo nosić mundur koloru *pius* z haftami złotymi.

Ponieważ Napoleon w tym czasie rozpoczął swe kłótnie ze Stolicą Apostolską, Ankonę arbitralnie do królestwa Włoskiego włączył i Rzym zajął garnizonem francuskim, przeto papież uważał się za więźnia, a nieprzyjazny tu stosunek odbił się na stanie duchownym wszędzie. Już przez kodeks Napoleona duchowieństwo znalazło się w niemożności pogodzenia

obowiązującego prawa z przepisami kościelnymi. Akta cywilne, małżeństwa cywilne, rozwody nie zgadzały się z postanowieniami Soboru Trydenckiego, a choć małżeństwo pozostało sakramentem, rozwiązanem być mogło bez wdania się władzy kościelnej. Oprócz zasad samych przybyły i inne grawamina z nieznanych u nas naprzód zwyczajów wypływające. Tak naprzykład Francuzi wprowadzili obyczaj, że wojsko znajdujące się w miejscu, gdzie się odbywało nabożeństwo, winno było podnosić ważność jego paradą. Wszędzie gdzie stał garnizon szykowali się w czasie mszy żołnierze w dwa szeregi z bronią, muzyką, bębnami i tambour-majorem. Broń swą nieustannie to prezentowali, to brali na ramię, to do nóg spuszczali, to bębnili; a wszystko za głośną komendą oficera. Bębniono przy ewangelii, a przy podniesieniu zamiast przyklęknienia broń prezentowano. To wszystko, podług twierdzenia biskupów, tak miało mieszać księży, że żaden z nich nie mógł mszy poczciwie odprawić. Ja co prawda tego nie dostrzegałem i zdaje mi się, że duchowieństwo obyczaj ten chwytało tylko jako jeden więcej do żalów pretekst.

Arcybiskup Raczyński ciągle szturmował do króla, do ministrów, żale rozpościerał, ostro pisał, zwierzchnictwa Dyrekcyi spraw wewnętrznych nie uznawał i przeciw zajmowaniu klasztorów protestował. Najwięcej go jednak bolało ciągłe mieszanie się niższych władz administracyjnych do czynności duchownych — jak regulowanie opłat za pogrzeby, obwieszczenia i t. p. Szczególny zaś gniew wywierał na ministra sprawiedliwości i spraw wewnętrznych,

kiedy ci proboszczów, jakby zwyczajnych urzędniczków karami okładać się poważyli. Niesnaski te ciągnęły się przez czas całej egzystencyi Księstwa i większej nabierały cierpkości w miarę pogorszającego się stosunku Napoleona z papieżem. Król saski, gorliwy katolik i duchowieństwu przychylny, chętnie stronę arcybiskupa i kleru trzymał, ale wiele poradzić nie mógł. Ślad tych kłótni może znaleść czytelnik w dziełku wydrukowanem przez arcybiskupa Raczyńskiego, a noszącem tytuł: „Sześcioletnia korespondencya i t. d.“

Z porady lekarzy księżnę Czartoryską wysłano na kuracyę do Teplitz, a choć to podróż nie daleka, nie chciała jej sama odbywać, a do towarzystwa i ja, mający już wówczas lat ośmnaście, zaliczony zostałem. Ruszyliśmy z Puław d. 18 czerwca we cztery powozy. W koczu czterokonnym jechała księżna, moja matka i Zosia Matuszewicz, w drugim parokonnym doktor Khittel i ja, w karecie poczwórnej garderobiane, na bryce czterokonnej kuchnia i kredens. Mieliśmy z sobą pięciu służących, oprócz należących do obsługi kuchni. Dodawać nie potrzebuję, że o projekcie tym wcześnie zawiadomiony, niecierpliwością i szczęściem pałałem, a bujna wyobraźnia młodzieńcza nasuwała mi tysiące nowych widoków i przyjemności.

Do Gruszczyna, rezydencyi księżny Wirtemberskiej, odprowadzali nas panowie Wojna, Zwierzchowski i Julian Niemcewicz, ten ostatni, świeżo z Ameryki przybywszy, bawił nas zajmującem opowiadaniem obyczajów życia w Stanach Zjednoczonych. Osobi-

stość poety Ursyna i jego pełne rozmaitości losy zanadto są znane, żebym tu je miał powtarzać. Powiem więc tylko, że razem z Kościuszką, po uwolnieniu ich przez cesarza Pawła do Ameryki wyjechawszy, tam pomiędzy obcymi bez funduszów, bez opieki zapadł na ciężką tyfoidalną gorączkę. Prawdopodobnie w warunkach takich śmierć byłaby go zabrała, gdyby zacna pani Elżbieta Jew nie wzięła go w opiekę. Dzięki jej staraniom po ciężkiej i długiej chorobie do zdrowia powrócił, a przywiązawszy się do swej opiekunki o rękę jej prosił. Pani Jew miała już wówczas przeszło lat 30, co u kobiet tamtych krajów jest prawie początkiem starości, ceniąc jednak wielkie moralne przymioty wygnańca, związkiem małżeńskim z nim się połączyła. Ponieważ niedaleko od miasta posiadała małą własność wiejską, tam się więc oboje przenieśli i wtenczas dla naszego poety rozwinął się nowy wcale zawód. Z murzynką, która razem obowiązki kucharki pełniła i z murzynem za parobka służącym, uprawiał Niemcewicz swój ogród, a raz w tydzień do miasta na sprzedaż jarzyny woził i utargowane pieniądze, podług zwyczajów tamtejszych do bankiera składał, asygnując później na niego wszystkie zakupy, jakie w mieście uczynić było trzeba. W sielankach wiejskość podobna pięknie wygląda, ale w rzeczywistości dobrze może się dać we znaki, zwłaszcza, że tęsknota za krajem srodze go trapiła. Ten żal był tak wielki, że kiedy raz na targu w Nowym Jorku spotkał żyda polskiego w zabrudzonym chałacie, on, który żydów tak nie lubił, jak dał tego liczne dowody i w Lejbe i Siora i Listach litew-

skich i w Przebiegach i w Moszkopolis, rzucił mu się na szyję, po kilkakroć uściskał i dla rozmowy z sobą na wieś zabrał. Dowiedziawszy się o powstaniu księstwa Warszawskiego, żonę na czas jakiś opuścił i w r. 1808 do kraju przyjechał. Zajmował się wydawnictwem pism swoich, a głównie poezyi i to mu większy dochód jak jego majątek w Ameryce przynosiło. Najwięcej starania przykładał do wydania Śpiewów historycznych, do których muzykę dorabiały damy znajome, a rysunki z Tyszkiewiczów Potocka, późniejsza Wąsowiczowa, Laura Potocka, Tarnowska, Sułkowska i moja siostra przygotowywały. Poemat Puławy i Moszkopolis, o ile wiem, pozostały niedrukowane i tylko w rękopisie je znałem. Pierwszy opisowy, trochę formą do Sybilli Woronicza zbliżony, choć może nie ma w sobie tyle gorącego uczucia. — Drugi humorystyczny i trochę polityczny, przedstawia, jaką będzie Warszawa w następnym wieku. Rzeczywiście, ja co pół już wieku następnego przeżyłem, widzę, że w przywidywaniach swoich wieszcz nie był bardzo daleki od prawdy. O innych pismach nie mówię, te wszystkim powszechnie są znane.

Niemcewicz był wzrostu nizkiego, twarz miał okrągłą, włosy *chatain*, oczy małe, ale pełne ognia. Humor posiadał zawsze jednaki i nigdy go innym jak wesołym nie widziałem. Głos miał piskliwy i śmiech szczególnego rodzaju. Lubił drwinki i żarty i w nich często w zbytnią wolność popadał, dozwoloną miarę swobody towarzyskiej przekraczając.

Gruszczyn należał do dóbr Maciejowickich i od ordynata Zamojskiego wzięła go w dzierżawę księżna

Wirtemberska. Był tu piękny, murowany, piętrowy pałacyk, wśród lasu wierzb i sokorów położony. Wał nad Wisłą się ciągnący cały był zasadzony różami i nazywał się *Cap des roses*, sąsiedztwa najbliższe oprócz panów Heryngów z Mniszewa, stanowił staruszek Gordon, o którym już wspominałem, i pan Eugeniusz Czaczkowski, krewny Różnieckich, dziedzic Różniszewa. Całe to towarzystwo, a szczególniej ten ostatni wchodzą do romansu ks. Wirtemberskiej — Malwina, gdzie także Stanisław i Artur Potocki łatwo rozpoznać się dadzą.

Towarzysze nasi w Gruszczynie nas opuścili, my więc przebywszy komorę austryacką w Mniszewie, a księstwa w Konarach, stanęliśmy w Warszawie, zatrzymując się jak zwykle w pałacu Błękitnym.

Stanisław Grabowski 23 czerwca prezentował mnie dwom ministrom: sprawiedliwości i policyi. Pierwszy Feliks Łubieński był już w bardzo podeszłym wieku, cerę miał jakby schorzałą i na twarzy wyraźnego znękania ślady. Mimo tych pozorów położył on ogromne zasługi w swojem ministeryum i niesłychaną rozwinął energię. Zorganizował sądownictwo, spopularyzował i uprzystępnił prawo francuskie u nas nieznane i obce i z ludzi nie mających fachowego i specyalnego wykształcenia wytworzył dzielnych urzędników. Pomiędzy innymi przymiotami, oprócz szczególnie zimnej krwi, głębokiego rozsądku i obszernych wiadomości, odznaczał się on wielkiem poszanowaniem wiary katolickiej, której wszystkie formy gorliwie i z surowością przestrzegał. To z jednej strony zyskało mu łaski i zaufanie króla sa-

skiego, z drugiej wszakże naraziło na zarzuty zbytniej, a udanej bigoteryi. Przez krótki też czas trwania księstwa on najwięcej narażony był na pociski i izby i publiczności, o czem jeszcze nieraz mówić mi wypadnie. W 1813 roku porzucił stanowczo zawód polityczny i osiadł w Guzowie, gdzie wśród licznej swojej rodziny, synów, wnuków i prawnuków prawdziwie patryarchalny pędził żywot. W czasie uroczystości rodzinnych zbierało się tej familii z górą ośmdziesiąt osób. Żonaty był, jeżeli się nie mylę, z Bielińską.

Drugi minister, Aleksander Potocki, z Potockich Prymasowskich z Koniecpola, przez stosunki tylko stanowisko to otrzymał, bo wcale odpowiednich zdolności nie posiadał. Nizki, niepozorny, w mowie ostrożny, niepewny i jakby wahający się, niestosownie był wybrany do ministeryum, do którego szczególniej Napoleon wielką przywiązywał wagę. Oddać mu wszakże należy tę sprawiedliwość, że choć za niego policya spała, ale też także i do narzekania nie dawała powodu.

Na dzień następny byliśmy zaproszeni na obiad pod Blachą. Honory domu robiła pani de Vauban i Wincentowa Tyszkiewiczowa, książę Józef przybył dopiero w końcu obiadu. Przyjęcie było niezmiernie serdeczne i książę Józef wiele ze mną rozmawiał, namawiając mnie do prędkiego zaciągnienia się w szeregi walczące. Pokazywano nam bogate pistolety przez Bontela wyrobione, a przysłane w darze przez Murata. Były one o dwu lufach z miniaturowymi bagnetami, które za pociśnięciem sprężyny wyskakiwały.

Cenniejszym może darem był przepyszny kaszkiet karmazynowy ułański podobno ręką samej księżnej Bergu, bogato złotem wyszywany. Cennością wszakże nie odpowiadały dary te upominkowi, jaki ks. Muratowi uczynił Poniatowski, darował mu bowiem bogatą karabelę, po Sobieskim w spadku do Poniatowskich przeszłą.

Po obiedzie zaprosił nas ks. Józef na małą rewię. Była to grzeczność wyświadczona dla księżnej Czartoryskiej, która jeszcze wojsk narodowych nie widziała. 2-gi pułk piechoty Stanisława Potockiego i 3-ci Żółtowskiego odbywały bardzo zręcznie obroty na placu Ujazdowskim. Mundury zupełnie krojem francuskim składały się z fraków z szerokimi wyłogami od końca pół przez piersi aż do ramion idącemi. Na głowach czako, a u grenadyerów wysokie niedźwiedzie bermyce. Sztandary zastępowały białe orły dęte ze srebra i na krótkiej osadzie zatknięte.

Wojsko księstwa Warszawskiego składało się z dwunastu pułków piechoty, sześciu jazdy i artyleryi, której była tylko jedna baterya kosztem Włodzimierza Potockiego, syna Szczęsnego, wystawiona. Dzieliło się na trzy dywizye: Pierwsza dywizya księcia Józefa Poniatowskiego składała się z następujących pułków: piechoty pułk 1-szy Michała Grabowskiego, 2-gi Stasia Potockiego, 3-ci Żółtowskiego, 4-ty Feliksa Potockiego i z jazdy: 1-szy z strzelców konnych Przebendowskiego, 2-gi ułanów Tyszkiewicza; mieli ci ułani rabaty ciemno-żółte. Druga dywizya dowodzona przez Zajączka składała się: piechoty 5-ty pułk ks. Michała Radziwiłła, 6-ty Sierawskiego, 7-my

Sobolewskiego, 8-my Godebskiego — jazdy: pułk 3-ci strzelców Łęczyńskiego i 4-ty ułanów Kwaśniewskiego z rabatami karmazynowymi. Trzecia dywizya Dąbrowskiego miała z piechoty: pułk 9-ty ks. Sułkowskiego, 10-ty Melżyńskiego, 11-ty zdaje mi się Niemojewskiego, 12-ty Weisenhofa — w jeździe zaś 5-ty strzelców Turny i 6-ty ułanów Dziewanowskiego z wyłogami białymi. Piechota i ułani mieli mundury granatowe, strzelcy i artylerya zielone. W spodniem ubraniu wielkiej jednostajności ani u oficerów, ani u żołnierzy nie przestrzegano.

Otrzymawszy za staraniem Grabowskiego paszport, bom austryackiego nie posiadał, 20 czerwca puściliśmy się w dalszą drogę i na noc stanęliśmy w Nieborowie, gdzie zatrzymać się należało koniecznie, bo nietylko księżnę łączyła silna przyjaźń z Radziwiłłową, ale nadto córka tego domu była za księciem Konstantym Czartoryskim. Pałac Nieborowski uderzał nietylko ogromem ale i przepychem wewnętrznego urządzenia. O galeryi tutejszej, o słynnej oranżeryi, a także i Arkadyi już wyżej wspomniałem. Podczas trzydniowego naszego tutaj pobytu zwiedziliśmy to wszystko nanowo i zrobiliśmy wycieczkę do Łowicza dla obejrzenia katedry i grobów prymasów. Pamiętam, choć pod względem historycznym nagrobki ich ważne, żaden mnie jednak tyle nie uderzył, co nagrobek kanonika Oczko, którego artysta wyobraził z czterema oczami, dwoma nosami i dwoma gębami, a znajdujący się obok napis łaciński twierdzi, że nieboszczyk takim był rzeczywiście.

W czasie bytności naszej przybył także do Nie-

borowa marszałek Davoust ks. d'Auerstädt z żoną i dwoma adjutantami pp. de Montmorency i Montesquiou. Sam książę średniego wzrostu, dobrej tuszy, z oczyma dużemi i wyrazistemi o rysach regularnych. Łysy zupełnie i choć zwykle ze zmarszczonem czołem, nie miał w postaci swojej wyrazu surowości, a choć po Massenie do kierowania wielkiemi masami za najzdolniejszego uchodził, na pierwszy rzut oka nie znać jednak było tych talentów. Dowodził 3-cim korpusem złożonym z dywizyi jenerałów: Morand, Gudin i Friand i od 1807 r. w księstwie zostawał. Ona, wysmukła brunetka z dużemi i czarnemi oczyma, śmiało uchodzić mogła za południową piękność. Marszałek wogóle był małomówny, a podobno wyjątkową przyczyną teraźniejszego jego złego humoru były wymówki, jakich nie szczędzono w Petersburgu Savary'emu z powodu śmierci księcia d'Enghien. Z upodobaniem tylko opowiadał, że żołnierz z jego korpusu nie chciał stosownie do odebranego rozkazu przepuścić przez placówki generała. Generał zniecierpliwiony zawołał: *Ne voyez vous pas que j'ai deux etoiles sur mes epaulettes?* Żołnierz na to z zimną krwią miał odpowiedzieć: *Mon général, vous auriez beau porter tout le firmament sur vos épaulettes, et vous ne passerez pas.*

Z Nieborowa, przez Łęczyce, Uniejów przejechaliśmy tylko przez Kalisz, księżna bowiem mając jakąś niechęć czy do Zajączka, czy do jego żony, lękała się, żeby się z nim nie spotkać i wolała popasać w karczmie za Kaliszem. Stąd zaraz wjechaliśmy do Śląska i w Mittelwalde stanęli.

Od owej pory upłynęło pół wieku i nie można

zaprzeczyć, że postać kraju tak naszego, jak i sąsiedzkich licznym uległa zmianom. U nas, za wyjątkiem starej Galicyi nie było żadnej bitej drogi, a i za granicą nie były one bardzo obfite. Gościniec z Wrocławia do Drezna był piaszczystym szlakiem, którego brzegi oznaczały się kolejami przez powozy powyrzynanemi, droga kręciła się wężykowato, a mosty stały zwykle na miejscach suchych i tylko przed nimi i za nimi głębokie kałuże, gdzie często grzęznąć było trzeba. Jeśli mil parę szosy się trafiło, to była ona tak niegodziwa, że ją omijać było potrzeba. Karczmy wiejskie oprócz izby szynkownej i alkierza innego nie posiadały schronienia, a w austeryach wielkich choć były gościnne pokoje, to wszakże szyby w nich powybijane, piece porozwalane, kominy dymiące, a łóżka, stołki i stoły znoszono z miasta, kiedy się gość trafił. O pościeli myśleć nie było można i trzeba było sianem ją zastępować, a jedyne pożywienie, jakiego dostarczano, składało się z mleka, jaj i piwa, kartofle bowiem należały jeszcze wówczas do roślin, które tylko w pańskich hodowały się ogrodach. Każdy więc z podróżnych musiał wozić tłumoki z pościelą i spiżarnią podręczną. O zapasach, jakie szły za księżną, nie mówię, boć to już była potrzeba dogodzenia zachceniom pańskim, ale i szlachcic zwyczajny nie wyruszał w drogę, nie mając z sobą bigosu, kaszy, garnka masła i chleba pytlowego.

Poczty nasze bywały rozmaite. Na jednych konie choć chude, ale rosłe i silne, do biegu były skore, na innych znowu nigdy koni nie było i dopiero po długiem czekaniu przychodziły od brony lub pługa

zmęczone, i najczęściej w drodze ustawały. U nas wszakże, mimo te przeszkody jeżdżono dosyć szybko, ale w Prusiech i Saksonii niezmiernie wolno. Żadne środki nie mogły znaglić do pośpiechu flegmatycznego pocztyliona, który nic sobie z pasażerów nie robiąc, nieodmiennie w połowie stacyi odbywał popas *Halbeweg* zwany. Stąd przez dzień przy trzech popasach ujeżdżało się trzy stacye.

W Niemczech każdy podróżujący szlachcic polski jeszcze i dotąd za hrabiego jest poczytywany. Wówczas było to wszystko w daleko wyższym stopniu i honory te słonymi rachunkami opłacać zawsze należało. Jeżeli zaś dowiedziano się, że rzeczywiście jakaś znakomita przyjeżdża osoba, owacyom nie było końca i w Śląsku w każdem miasteczku witała nas deputacya miejska, asystowała przy naszej wieczerzy, wyprawiała serenady, śpiewały chóry, a i panom rajcom i chórom płacić było potrzeba.

W Hundsfeld zatrzymaliśmy się dłużej, księżna bowiem myślała, że do jej zbiorów jakaś pamiątka ze słynnego pola zwycięstwa odniesionego przez Krzywoustego, da się odszukać, ale wszystkie starania nasze były próżne, a przekonaliśmy się, że między mieszkańcami żadna legenda nawet o tej bitwie się nie przechowała.

Wrocław wyglądał wtedy bardzo smutno. Przed rokiem przez księcia Hieronima oblężony i bombardowany, ruinami świecił. Przedmieścia popalone, a w miejscu, gdzie dziś piękne ciągną się ogrody, wznosiły się okopy, mury, bastyony i kurtyny. Samo miasto w późniejszych czasach także licznym uległo

zmianom, część tylko koło akademii, ratusz i katedra zostały też same. Stanęliśmy *pod Złotą Gęsią*, bo już i wówczas ta gospoda uchodziła za najlepszy hotel i natychmiast z uszanowaniem zjawił się p. Korn, księgarz, który z księciem feldmarszałkiem ciągle korespondował i z dostarczanych do jego biblioteki książek ciągnął wielkie zyski. I teraz przynosił rozmaite bibliograficzne rzadkości, składające się głównie z książek do nabożeństwa pisanych na pergaminie i zdobnych pięknemi miniaturami, księżna kilka ich nabyła po ogromnie wysokich cenach. We Wrocławiu była podówczas menażerya jakiegoś p. Leonardi, o której wzmiankuję dlatego, żem w niej jedynego w życiu widział orangutanga. Księżna opowiadała mi, że w czasie pobytu swojego w Anglii, znała jednego kapitana okrętowego, który do obsługi, czyszczenia sukien i podawania jadła, małpy tego rodzaju używał i że z powierzonych obowiązków wywiązywała się ona wcale zadawalniająco.

Z Wrocławia przez Lignicę, Hainau i Buntzlau, wjechaliśmy w granice saskie. Cały Śląsk podówczas przedstawiał smutny obraz skutków wojny. Głogów, Wrocław, Brzeg, Neissa, Kozel, Świdnica, Glatz nawpół przez bombardowanie popalone, miały poniszczone fabryki, a cały kraj kontrybucyami i zbytkownem żywieniem wojsk francuskich, których część dotąd pozostawała, był wyniszczony. Ślady nędzy były widoczne, a nie tylko u ludu ale i u mieszkańców miast oznaki sympatyi dla Polaków były bardzo wyraźne.

Waldau i Görlitz należały wówczas do Saksonii, a w ostatniem tem mieście istniały słynne fabryki

i blichy płócien. Zauważyłem maszynę do polewania płótna, podobno od Chińczyków przyjętą, a składającą się z koła, które obracając się, kubełki wody wylewało. Cywilizacya europejska nie ulepszyła tego wschodniego wymysłu i nie zadała sobie nawet trudu, żeby pracę rąk ludzkich siłą koni zastąpić. Od Görlitz przez Bautzen, ciągnęła się szosa aż do oberży *pod Białym Orłem* o pół mili od Drezna odległej, ale tak niewygodna i z bruku nie przykrytego szabrem pobudowana, że prawdziwe tortury przejeżdżającym zadawała. Pod Dreznem nie było licznych willi i letnich mieszkań, jakie się tam teraz znajdują, ale ciągnął się ponury las sosnowy, pokrzywiony i karłowaty. Za to dolina Elby, Drezno, Pillnitz, Meissen i góry Czeskie tem piękniej się wydawały, skoro gęstwina lasu się otwarła.

W Dreznie stanęliśmy się na ulicy Zamkowej w Hotelu Polskim, a zaraz odwiedzili nas mieszkający tu Polacy, Zabiełło łowczy litewski i państwo Olędzcy. Ci ostatni zaprosili nas na wieczerzę i u nich poznałem p. Bourgoing, rezydenta francuskiego przy dworze saskim. Ponieważ paszport wydany mi był przez p. Serra, rezydenta francuskiego w Warszawie, na drugi dzień uważałem za obowiązek stawić się u p. Bourgoing. Przyjęto mnie jak brata, a Francuz, którego później losy do nas więcej zbliżyły, wysoki był, chudy, dosyć już w wieku, ale nadzwyczaj uprzejmy. Dom jak na Drezno utrzymywał świetny, mieszkańcy bowiem tego miasta żyją nadzwyczaj skromnie i nawet ekwipażów nie używają, ale zastępują je lektykami, których portyery nie wiem dlaczego szwajcarami

nazwani, w liberyi kanarkowej z błękitnemi bortami, punkt zborny mają przy zamku. Bawili przy panu Bourgoing dwaj jego synowie: starszy Armand, podówczas kapitan w pułku dragonów i młodszy, rówiennik mój Paweł, ochotnik w marynarce. W późniejszym wieku przeniósł się on na pole dyplomatyczne i w 1831 r. zastępując posła w Petersburgu przyczynił się wielce do utrzymania przyjaznych stosunków Rosyi z Ludwikiem Filipem i odwrócił grożącą Francyi wojnę. Jedyna córka posła szesnastoletnia Ernestyna, później za marszałka Macdonalda wydana, robiła honory domu. Wychowany wśród galanteryi dworu Puławskiego, nie mogłem się powstrzymać od otoczenia panny Bourgoing, temi drobnostkowemi grzecznościami, które do niczego nie obowiązując niemniej są miłe. To mi jeszcze więcej jak zaproszenie ojca łask zjednało i przez czas mojego pobytu w Dreznie stałem się w rodzinie tej prawie domownikiem. Paweł towarzyszył mi ciągle, a Armand, wziąwszy na się rolę *Cicerona*, oprowadzał nas po wszystkich zbiorach i miejscach godnych widzenia. Ponieważ ks. Czartoryska, po dwudniowym w Dreznie pobycie wyjechała wraz z matką moją do Teplitz, ja więc w towarzystwie tem nowem sam zostałem, a na niedostatek skarżyć się nie mogłem, bo mi matka udzielając urlopu na dni czternaście, zostawiła sto dukatów w złocie. Opiekę zwierzchnią powierzono nademną p. Zabielle, ten jednak wcale się mną nie troszczył i ciągle u pp. Bourgoing przebywałem. Kilku Polaków, jak Olędzki i Rychłowski, towarzystwo nasze powiększyło. Prezentowałem się p. Brezie ministrowi, sekretarzowi Stanu. Był to już pod-

ówczas mężczyzna w wieku podeszły, siwizną okryty, chudy, wysoki, z orlim nosem i ściągłą twarzą. Niezmiernie ruchliwy i nadzwyczaj ugrzeczniony przedstawiał typ prawdziwego dworaka. Mimo wieku pisał niezmiernie wyraźnie i kształtnie.

W pierwszą niedzielę mojego w Dreznie pobytu z Pilnitz przyjechał król saski i znajdował się na nabożeństwie w kościele katolickim w loży. Aktorowie włoscy śpiewali pięknie na chórze, a Armand znajdujący się ze mną w kościele, ponieważ nie przestrzegał zwyczajów, gadał głośno, i zaglądał pod kapelusze damom, został przez szwajcara wyprowadzony za drzwi. Drugi raz całą rodzinę królewską widziałem 14. lipca, odwiedzając Pilnitz. Zaszedłem tu do dawnego znajomego p. Żaboklickiego, który przy dworze pełnił funkcye szambelańskie, grywał na gitarze, recytował wiersze swojego układu i pochlebiając sowicie, cieszył się wielkiemi łaskami. Ten mnie zapoznał z p. Jurkowskim, mistrzem ceremonii u księcia Maksymiliana. Obadwaj oprowadzali mnie po tej części zamku, która w rannej godzinie była widzialna. W sali jadalnej zauważyłem kilka portretów dam polskich z czasów Augusta II. i III., które zgorzały w czasie pożaru, jaki nawiedził zamek Pilnicki. O dziesiątej, umieściwszy się w korytarzu, oczekiwaliśmy na przejście rodziny królewskiej do kaplicy. O królu, królowej i infantce wspomnę niżej, opowiadając o pobycie monarchy w Warszawie. Tu oprócz nich widziałem jeszcze brata królewskiego, ks. Antoniego, następcę tronu i drugiego brata ks. Maksymiliana. Pierwszy nizki, gruby, czerwony, drugi przeciwnie

wysoki i chudy. Wogóle cała rodzina królewska miała rysy pospolite, bez wyrazu, a oczy jakieś zamglone i jakby porcelanowe. Mały ten dwór, etykietą drobiazgową skrępowany, nudził się fatalnie w Pilnitz i najdrobniejszy wypadek, jak naprzykład moja bytność w kaplicy, był powodem całodziennych rozmów.

U państwa Bourgoing poznałem także p. Kanikow, posła rosyjskiego, p. d'Ulwa, hiszpańskiego, który szczególniej z tego względu śmieszył mnie ogromnie, że niemiłosiernie kaleczył francuzczyznę i mówił naprzykład: *je suis le réprésentant d'une grande potence.* Tu także spotykałem p. La-Haussaye, komendanta 40. pułku dragonów w Saksonii rozłożonych. Posiadał on eleganckie ułożenie salonowe, co wogóle u wojskowych francuskich było rzeczą dość rzadką.

Po upływie urlopu, zwiedziwszy Pilnitz, Königstein i Saską Szwajcaryę, przybyłem do Teplitz. Tu przedstawiony zostałem zaraz dziedzicom tej miejscowości, księstwu Clary, z których towarzystwa często korzystałem i gdzie spotykałem rozmaite znakomitości. Towarzystwo polskie zebrało się także licznie i oprócz marszałka Ignacego Potockiego, który się u ks. Czartoryskiej stołował, byli tu ks. Dominikowa Radziwiłłowa, żona brata ks. Michała z dwiema córkami, Garzeński, kasztelan poznański, Kicki August, starosta krasnostawski, Brochocki z familią, pani Broniec z dwiema córkami, panną Joanną, późniejszą księżną Łowicką i Józefą, późniejszą Gutakowską. Dalej Wyczechowski, podówczas radca ministra sprawiedliwości, Czekierski, słynny doktor warszawski, Czerwiński, Makowiecki, Rastawiecki i t. d.

Z cudzoziemców nie podobna mi nie wspomnieć słów parę o słynnym ks. de Ligne. Miał on już wtenczas około lat 73, dosyć wysoki, chudy na twarzy, choć na ciele otyły, nos miał orli i oczy przymknięte, tak iż zdawało się, że zawsze drzemie. Wstąpił on do wojska austryackiego w dwudziestym roku życia i choć odbył zaszczytnie siedmioletnią kampanię, dopiero przy jej końcu zamianowany został generał-majorem. W r. 1766 przybył na dwór wersalski i tu dowcipem i świetnemi wiadomościami zachwycił wszystkich. Życie wszakże dworskie i stosunki z Trianon nadwerężyły znacznie majątek, opuścił więc Francyę, podróżował po Anglii i Włoszech, odwiedził w Ferney Woltera i dłuższy czas zabawił na dworze w Sans-Souci, a w 1770 towarzyszył zjazdowi Józefa II z Fryderykiem Wielkim i zamianowany został jenerałem *en chef*. Że syn jego ożenił się z ks. Massalską, przeto w Petersburgu długi czas bawił, popierając odebranie dla Massalskich 3-ch milionów od rosyjskiego dworu, a choć od cesarzowej Katarzyny wielce lubiony i orderami obsypany, bez milionów wszakże do Austryi powrócił. Później towarzyszył cesarzowi Józefowi w podróży jego do Chersonu i w czasie wojny tureckiej przeznaczony był do obserwowania obrotów wojska rosyjskiego i z Laudonem oblężenie Belgradu popierał. Wpadłszy potem w niełaskę u swego dworu, zamieszkał w Nussdorf, pod Wiedniem i tu umarł 1818 r. Pisał wiele bardzo i w najrozmaitszym rodzaju. Dzieła jego wyszły w 1807 r. w Paryżu p. t. Oeuvres du Prince de Ligne, a po jego zgonie u Cotty „Oeuvres posthumes“. Kiedym go poznał, dowcip jego rzadko

bardzo już błyszczał i przeważnie był małomówny. Dzieła jego kupiłem także, ale przyznam się, że nic nadzwyczajnego w nich nie znalazłem.

W Teplitz jak w kalejdoskopie towarzystwo mieniało się ciągle i coraz nowe osoby przybywały. Rodzina Löwenstein, księżna d'Aremberg, księżna Solms, księżna Meklemburg-Strelitz, księstwo Turn i Taxis, książę Albert Cieszyński i t. d. Wszystkich ich spotykałem u księstwa Clary, a często i u ks. Czartoryskiej, a żem dobrze mówił po francusku i dobrze tańcował, przeto mnie ciągnięto wszędzie.

Najszczerszą ochotę miałem zbliżyć się więcej do ks. Weimarskiego — raz, że jako dla opiekuna sztuk i nauk czułem dlań wielki szacunek, a powtóre że bywając częściej na jego dworze, mogłem mieć nadzieję i sposobność słyszeć kiedy mówiącego Göthego. Ks. Wejmarskiemu prezentowaliśmy się razem z p. Ignacym Potockim, ale też się na tej prezentacyi ceremonialnej skończyło. Göthego zaś widziałem tylko zdaleka, tak tu jak i w Karlsbadzie.

Raz księżna Clary zażądała odemnie, żebym jej dostawił Zairę Woltera. W księgarni miejscowej dostać jej nie można było, ale że na usługach księżnej Czartoryskiej był szybkobiegacz, który co dwa dni za sprawunkami do Drezna i na austryacką komorę biegał, przeto przez niego żądaną książkę sprowadziłem, nie wiedząc, na co ona tak pilnie była potrzebna. Wieczorem tajemnica się wyjaśniła. Na wieczorze u księżnej ukazał nam się ks. de Ligne w czerwonym płaszczu, z przyprawną brodą, i udając czarnoksiężnika, zawiadomił, że przybyli z Chin śpiewacy, chcą

się popisać ze swoją sztuką. Wprowadzono wychowanicę ks. Clary, pannę Tetinę i ta odśpiewała kilka strof okolicznościowych, przez ks. de Ligne ułożonych, dwoje dzieci w malowanych papierowych chińskich szlafrokach towarzyszyło śpiewaczce. Później wystąpił p. Szak, przebrany za Zairę i oddeklamował parę ustępów z tragedyi. Przyznam się, że po wspaniałych fetach i reprezentacyach, jakie widziałem w Puławach, ta dziecinna igraszka wydała mi się niesmaczną arlekinadą.

Oprócz uroczystości cudzoziemskich i mieszanych były także i czysto polskie. Tak ks. Radziwiłłowa na św. Annę wyprawiła suty podwieczorek polski *ex re* imienin jej córki, a na św. Ignacego, ks. Czartoryska z racyi imienin marszałka sprosiła wszystkich Polaków. Akurat na dzień ten przybył Stanisław Potocki z Działyńskim i Bielińskim, wracający z Bajonny po zawarciu umowy bajońskiej i opowiadali nam wszystkie przejścia z rodziną Burbonów hiszpańskich, o której niezbyt korzystnie się wyrażali.

Pierwszych dni sierpnia opuściliśmy Teplitz i przenieśliśmy się do Karlsbad. Stanęliśmy w hotelu *L'enseigne d'or,* należącym do hrabiego Poltza. Ten straciwszy olbrzymi majątek, sam filozoficznie dyrygował oberżą, rachunki utrzymywał, dozorował kuchni i tylko w chwilach wolniejszych czytaniem książek się zabawiał. Na obiad zaprosił nas Moszyński marszałek, żywy starzec blizko siedmdziesięcioletni i pokazywał nam bogaty swój zbiór kamieni. Prócz mnóstwa pereł, soliterów i dyamentów pojedyńczo oprawnych, cztery kamienie szczególniej swą wielkością i pięknością uderzały: dyament 120 gran ważący,

topaz, szafir i szmaragd ogromny. Znajdował się tu także olbrzymi granat, ale ten nie tyle już cenny. Razem z nami na obiedzie znajdowali się p. Loos z żoną, dyrektor ogrodów króla saskiego i Moszyński z żoną, prefekt departamentu płockiego. Wieczorem więcej przybyło towarzystwa i tańcować zaczęto. Udało mi się po długim szukaniu odnaleźć cenną branzoletę jednej damie, która ją — wysiadając z powozu — zgubiła, za co pozyskałem odrazu jej względy. Dlatego o wypadku tym wspominam, że damą tą była tyle słynna później p. de Livien, przyjaciółka Guizot'a, wywierająca tak wielkie wpływy na dyplomacyę europejską. Podówczas polityką jeszcze się nie zajmowała, młoda, średniego wzrostu, ze zgrabną figurą, włosami ciemno-blond i niebieskiemi oczyma uchodziła nie za piękność skończoną, ale bardzo miłą osobę. Na drugi dzień zaprosiła mnie na bal do siebie, gdzie pośród innych znakomitych osób, poznałem księcia Koburskiego z bratem Ferdynandem i siostrą, księżną Aleksandrą Wirtemberską, tudzież elektora Hesko-Kasselskiego, podówczas wygnańca, z państwa bowiem jego Napoleon utworzył królestwo Westfalskie.

Zawarłszy tak prędko przyjemne te stosunki, z żalem opuszczałem Karlsbad, gdzieśmy byli tylko w przejeździe i towarzysząc księżnej Czartoryskiej przeniosłem się wraz z nią do Franzensbrunn, gdzieśmy mieli dłużej zabawić. Tu nowe mnóstwo znakomitych osób, towarzystwo liczne, a zebrania w kąpielowym salonie wolne od etykiety. Polskich rodzin było bardzo wiele, a i te, któreśmy w Teplitz poznali, tu

także przybyły. Bale, podwieczorki, zabawy szły jedne za drugiemi, a choć potworzyły się rozmaite koterye i kółka stosownie do narodowości się grupując, ja jednak względami tymi się nie krępowałem i lubiąc namiętnie tańczyć, prawie wszędzie bywałem. Wyliczać naturalnie porobione tutaj znajomości byłoby zbyteczne, wspomnieć tylko muszę o panującym księciu Emilu Gotajskim, który jako oryginał oczy wszystkich na siebie zwracał. Dwór jego składali: nieodstępna przyjaciółka Sydonia, kanoniczka, pan Wogenstein, szambelan, baron Herda i hrabia Hardenberg. Sam książę wysoki, blady, chudy i zezowaty, pełen dowcipu i rozlicznych wiadomości, opanowany był prawdziwą manią wskrzeszenia wieków średnich. Marzył ciągle o Hermanie (Arminius), który teraz powinien się zjawić i Niemcy z pod jarzma francuskiego wyswobodzić. Pazie i cała służba w niemiecko-hiszpańskich strojach, a sam nosił włosy blond w ogromnych, długich puklach na ramiona spadające, tok z ogromnym pióropuszem okrywał jego głowę, tunika haftowana, długim pasem spięta i przy boku olbrzymi rapir. Spodnie z bufami opięte, na nogach zamiast zwyczajnego obówia *brodequins* i na tem wszystkiem płaszcz aksamitny. Mimo swej powagi i napuszystości, stał się wielbicielem panny Joanny Grudzińskiej i za nią jak cień się włóczył. Późniejsza jednak księżna Łowicka okazywała pewną sympatyę p. Brewer, który w wojnach nogę stracił i książę Gotajski tą ujawnioną nad nim preferencyą był niezmiernie dotknięty.

Po miesięcznym we Franzensbrunn pobycie, wró-

ciliśmy na czas krótki do Karlsbadu, a później do Dorotenau. O ile pomiarkowałem później, cała ta podróż nie tyle miała na widoku zdrowie księżnej Czartoryskiej, ile doprowadzenie do skutku małżeństwa między księciem Adamem, a córką księżnej Kurlandzkiej — Dorotą. Pierwszą myśl podała ks. Kurlandzka, a negocyacye prowadził pan marszałek Potocki za pośrednictwem Włocha Piatoli. Księżna kurlandzka Bironowa, z domu Medem, utraciła hołdownicze swe księstwo po trzecim rozbiorze Polski i księstwo do cesarstwa rosyjskiego wcielono. Wyznaczono jednak tej familii, jako wynagrodzenie, sto tysięcy rubli rocznej pensyi i zachowano posiadanie dóbr alodyalnych familii Bironów i posagowych Medemów. Oprócz tego rodzina miała widać znaczne kapitały, bo zakupiono w Czechach dobra Nachód, w Śląsku księstwo Sagan i w Altenburskim dobra Löbichen. Tu księżna, osoba światła, dobroczynna i powszechnie kochana mieszkała stale, otaczając się uczonymi. Słynny Jan Paweł Richter i Fiedge stanowili zwykle jej towarzystwo. Na mężu księżnej wygasła w linii męskiej familia Bironów, przedstawiająca w krótkiem istnieniu swojem obraz dziwnej fortuny igrzyska i pozostały tylko cztery córki: jedna — Katarzyna, wydana za hr. Szulenburg, druga — Paulina, za ks. Hohenzollern-Hüchingen, trzecia — Joanna, za ks. Accerenza Piquatelli, czwarta — Dorota, po spełznięciu zamiarów co do ks. Czartoryskiego za synowca Talleyranda ks. Talleyrand de Perigord Dino.

Książę Adam mieszkał podówczas w Petersburgu i kiedy mu o projekcie tym znać dano, zażądał czasu

do namysłu. Długo się wahał, ale zostając pod wpływem dość silnych a przyjemnych związków, stanowczo wykonania przedsięwziętego projektu odmówił.

Co do pana Piatoli, Włoch ten pochodził z Florencyi i pierwiastkowo obrał sobie zawód duchowny, wstępując do zakonu Kapucynów. Stąd wzięty został na kapelana hrabiego Marchisio, pierwszego ministra księcia Modeny i zajął się uporządkowaniem jego bogatego księgozbioru. Tu poznała go podróżująca po Włoszech ks. Lubomirska i wziąwszy go za nauczyciela do swych dzieci, do Polski przywiozła. Zalecony następnie królowi Stanisławowi, został jego lektorem, a układnością swą, dowcipem i obszernemi wiadomościami tak podbił serce królewskie, że stał się niezbędnym i nie tylko dni całe trawił w Zamku, ale obok sypialni królewskiej miał mieszkanie przeznaczone. Tu urosły stosunki Piatolego z polskimi panami i stąd to z Kołłątajem i Potockim użyty był do układania konstytucyi 3go maja. Kiedy król przystąpił do Targowicy, Piatoli z obawy prześladowań, usunął się razem ze Stanisławem Potockim do Drezna, a kiedy w 1794 r. przybyli do Karlsbadu, aresztowano ich i uwięziono w Teresienstadt. Stanisław Potocki prędko uwolniony został, a Piatolego przeniesiono do Pragi, gdzie pod dozorem policyi zostawał. Dopiero w roku 1800 za wdaniem się ks. Kurlandzkiej i za złożeniem deklaracyi, że nigdy w sprawy polskie mieszać się nie będzie, odzyskał wolność i odtąd interesami księżnej kurlandzkiej się zajął. Należał stale do towarzystwa w Löbichen i prowadził układy z dworem petersburskim o wynagrodzenie za księstwo kurlandzkie.

W Petersburgu poznał ks. Adama Czartoryskiego, został przez niego polubiony i za jego protekcyą otrzymał rangę radcy stanu. W 1806 r. zawarł śluby małżeńskie z panną Wittinghoff, a widząc, że z popieranego małżeństwa księcia Czartoryskiego z ks. Dorotą nic nie będzie, wyswatał ją z ks. Dino. W następnym roku po naszej podróży umarł, a bibliotekę jego od żony kupiła księżna kurlandzka, karty zaś geograficzne książę Adam. Rękopisy jego, których miało być bardzo wiele, zaginęły.

Wracając nazad, dłuższy czas zabawiliśmy w Dreznie, a ja z przyjemnością witałem państwa Bourgoing i zawarte tutaj poprzednio znajomości. Familie polskie także się tu poprzednio ściągały, a pomiędzy świeżymi przybył p. Tadeusz Morski, dobrze mi znajomy z wycieczek do Sieniawy i Bardyowa. Był on przeznaczony na posła do Hiszpanii, a choć poselstwa tego nigdy nie objął, nie mniej przeto zachowywał zawsze zagadkową minę dyplomaty. Tu także bawił teraz generał Karnicki, ożeniony z panną Małachowską. Rodzice jej, małżeństwo to uważając za mezalians, chcieli córkę wydziedziczyć i żadnej jej pensyi nie płacili. Generał Karnicki, aż do upadku Kościuszki dowodząc brygadą kawaleryi, na dobrą zasłużył sławę i posiadając piękny na Wołyniu majątek — Lubar, mało zważał na gniewy swego teścia. Z brygadyerem Walewskim zaprzyjaźniony był jak Orest z Pyladem, a później, kiedy w Warszawie zamieszkał, żona jego stale się przyjaźniła z moją siostrą.

Podczas pobytu naszego w Dreznie przybył także pan Piatoli i tu projekta małżeństwa ks. Adama sta-

nowczo się rozwiały. Do księżnej zgłosiła się Francuzka, niejaka p. de Vaughan, polecona przez panią Morską. Prosiła, żeby ją zawieźć do Polski i gdzie na guwernantkę umieścić. Księżna, nic nigdy nikomu nie odmawiająca, zabrała ją z sobą i do Puław przywiozła, ale p. Vaughan, tłómacząc sobie inaczej zwykłe ks. feldmarszałka dla dam ugrzecznienie, umyśliła podbić staruszka. I kiedy zręczna Francuzica od kapitulacyi odstąpić nie chciała, zapłacono jej 10.000 złp. i z Puław odprawiono.

W Dreznie, idąc za radą p. Zabiełły, złożyłem wizytę niejakiemu księciu Putiatyn, który, straciwszy w Rosyi jedyną córkę, od lat kilku już na stałe pod Pilnitz osiadł. Pobudował sobie wśród ogrodu domek w kształcie chłopskiej chałupy, otoczył ją naokoło galeryą i gankami i przy każdych drzwiach wieszać kazał pierścionek i laseczkę, a przechodząc z pokoju do pokoju i pierścionek i laskę zmieniał. W ogrodzie spacerując nosił ogromną pałkę, a buty miał ze sztylpami blaszanemi, jak mówił, z obawy psów wściekłych. W ogrodzie, sposobem dekoracyjnym pomalowanych, znajdowało się mnóstwo domów rosyjskich i rozmaite chłopskie typy w kostyumach narodowych. Wśród tych ekscentryczności jedna rzecz tylko wydawała mi się praktyczną, że mur otaczający ogród był dubeltowo stawiany, a opatrzony dachem i oknami, pozwalał odbywać spacer w czasie deszczu i w zimie.

W końcu września wróciliśmy do domu. Rodzice moi po naradzie, odbytej z ks. feldmarszałkiem, postanowili, abym na mieszkanie do Warszawy się przeniósł i tam odbył kurs prawny. Zamiar ten tem pra-

ktyczniejszym się wydawał, że siostra moja stale w Warszawie zamieszkała, mąż jej bowiem urząd otrzymał i rodzice mieli pewność, że wszelkiej wygody i opieki dom jej mnie dostarczy. Jeśli jednak o pomieszczenie kłopotu nie było, inaczej działo się z nauką. Akademii w Warszawie nie było i zaledwie utworzono lyceum, którego rektorem został p. Linde, słynny leksykograf. Łubieński, minister sprawiedliwości, założył wprawdzie szkołę prawa, lecz ta dopiero w marcu zatwierdzoną została. Zresztą organizujący ją Rzędkowski nie myślał o wykładzie kompletnego kursu prawnego, ale zamierzał jedynie zapoznać młodzież z procedurą francuską.

Ks. feldmarszałek, zawsze na mnie łaskaw, polecił, aby mieszkanie dano mi w pałacu Błękitnym, i w obszernym liście, do p. Lindego wystosowanym, wyłożył, w jaki sposób ma być mi udzielana nauka prawa. Z siostrą więc w końcu listopada opuściliśmy Bronice i Puławy, a matce — jako pamiątkę po sobie — siostra moja zostawiła swego jedynaka Leona z całą gromadą mamek, bon i nianiek.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

1176

BIBL. WOJSK. 26 p. Ut.



32204/2